



D E N N I S E . T A Y L O R

N A S Z E ■ I M I E ■ L E G I O N
N A S Z E ■ I M I E ■ ■ B O B

Dennis E. Taylor

NASZE IMIĘ LEGION, NASZE IMIĘ BOB

Przełożył Wojciech M. Próchniewicz

**Wydawnictwo MAG
Warszawa 2020**

Tytuł oryginału: *We are Legion (We are Bob)*

Copyright © 2016 by Dennis E. Taylor

Copyright for the Polish translation © 2019 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

www.mag.com.pl

Wydanie II

ISBN 978-83-66409-64-4

Wyłączny dystrybutor: Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 733 50 10

www.dressler.com.pl

Skład wersji elektronicznej:

pan@drewnianyrower.com

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Podziękowania

Część I

1. Bob, wersja 1.0
2. Bob, wersja 2.0
3. Bob, 25 czerwca 2133
4. Bob, 15 lipca 2133
5. Bob, 18 lipca 2133
6. Bob, 19 lipca 2133
7. Bob, 25 lipca 2133
8. Bob, 4 sierpnia 2133
9. Bob, 6 sierpnia 2133
10. Bob, 10 sierpnia 2133
11. Bob, 15 sierpnia 2133
12. Bob, 17 sierpnia 2133
13. Bob, 17 sierpnia 2133, w drodze

Część II

14. Bob, sierpień 2144, Epsilon Eridani
15. Bob, wrzesień 2144, Epsilon Eridani
16. Bob, wrzesień 2144, Epsilon Eridani
17. Bob, lipiec 2145, Epsilon Eridani
18. Bill, wrzesień 2145, Epsilon Eridani
19. Milo, lipiec 2152, Omikron-2 Eridani
20. Bill, grudzień 2145, Epsilon Eridani
21. Riker, styczeń 2157, Układ Słoneczny
22. Bill, wrzesień 2150, Epsilon Eridani
23. Milo, luty 2153, Omikron-2 Eridani
24. Riker, kwiecień 2157, Układ Słoneczny
25. Bill, wrzesień 2151, Epsilon Eridani
26. Riker, kwiecień 2157, Układ Słoneczny

27. Bob, kwiecień 2165, Delta Eridani
28. Calvin, listopad 2163, Alfa Centauri
29. Riker, wrzesień 2157, Układ Słoneczny
30. Bob, kwiecień 2165, Delta Eridani
31. Riker, styczeń 2158, Układ Słoneczny
32. Bill, październik 2158, Epsilon Eridani
33. Riker, marzec 2158, Układ Słoneczny
34. Homer, wrzesień 2158, Układ Słoneczny
35. Bob, lipiec 2165, Delta Eridani
36. Riker, wrzesień 2158, Układ Słoneczny
37. Bob, sierpień 2165, Delta Eridani
38. Riker, listopad 2158, Układ Słoneczny
39. Bob, październik 2165, Delta Eridani
40. Linus, kwiecień 2165, Epsilon Indi
41. Riker, maj 2162, Układ Słoneczny
42. Bill, kwiecień 2162, Epsilon Eridani
43. Riker, wrzesień 2164, Układ Słoneczny
44. Bob, styczeń 2166, Delta Eridani
45. Bill, styczeń 2165, Epsilon Eridani
46. Milo, sierpień 2165, 82 Eridani
47. Riker, styczeń 2166, Układ Słoneczny
48. Bob, maj 2166, Delta Eridani
49. Riker, maj 2166, Układ Słoneczny
50. Bob, czerwiec 2166, Delta Eridani
51. Bill, styczeń 2174, Epsilon Eridani
53. Bob, czerwiec 2166, Delta Eridani
54. Riker, październik 2170, Układ Słoneczny
55. Bob, lipiec 2166, Delta Eridani
56. Bill, marzec 2167, Epsilon Eridani
57. Mario, sierpień 2169, Beta Hydri
58. Riker, kwiecień 2171, Układ Słoneczny
59. Bill, maj 2172, Epsilon Eridani
60. Khan, kwiecień 2185, 82 Eridani
61. Howard, wrzesień 2188, Omikron-2 Eridani

*Pragnąłbym zadedykować tę książkę
mojej żonie Blaihin,
która nie tylko znosi moje pisanie,
ale jeszcze mnie w nim wspiera,
oraz mojej córce Tinie,
dzięki której nasza rodzina jest kompletna.*

Podziękowania

Nie mogę się nadziwić, ilu ludzi jest zaangażowanych w powstanie powieści. To nie sprowadza się do samego jej napisania. Wkład w finalny produkt mają krytycy, beta-czytelnicy, redaktorzy, graficy, agenci i wydawcy.

Chciałbym podziękować mojej agentce Ethan Ellenberg za to, że mnie zechciała, Steve'owi Feldbergowi z audible.com, który dostrzegł w tej książce potencjał, oraz mojej redaktorce Betsy Mitchell.

Liczba osobników i beta-czytelników, którzy przyłożyli do niej swoją rękę, jest wręcz oszałamiająca. Chciałbym wyróżnić zwłaszcza członków grup Ubergroup i Novel Exchange na scribophile.com.

Szczególne podziękowania należą się:

Sandrze i Kenowi McLarenom
Nicole Hamilton
Sheenie Lewis
oraz mojej żonie Blaihin.

I jak zwykle pozdrawiam członków forum snowboardingforum.com.

(...) ale jeśli o mnie idzie, to trapiony jestem wiecznotrwałą tęsknotą za tym, co dalekie. Lubię żeglować po zakazanych morzach i lądować u dzikich wybrzeży.

Izmael
Herman Melville, *Moby Dick*
(przeł. Bronisław Zieliński)

Część I

1. Bob, wersja 1.0

– Czyli... utniecie mi głowę. – Uniosłem brwi, patrząc na handlarza.

Prowokowałem go. Wiedziałem o tym, on o tym wiedział, ja wiedziałem, że on wie.

Uśmiechnął się szeroko, chętny grać w tę grę, póki ja i mój portfel słuchaliśmy go w skupieniu.

– Proszę pana...

– Jestem Bob. Proszę. Nie rozmawia pan z moim ojcem.

Handlowiec firmy CryoEterna, według przywieszki nazywający się Kevin, kiwnął głową i wskazał wielki plakat, przedstawiający w upiornych szczegółach procedurę kriogeniczną. Poświęciłem chwilę, by odnotować w pamięci garnitur od Armaniego i fryzurę za sto dolarów. Wyglądało na to, że w kriogenice jest kasa.

– Bob. Całego ciała nie ma sensu zamrażać. Pamiętaj, koncepcja jest taka, że czekamy na postęp w medycynie, żeby móc wyleczyć to coś, na co umarłeś. Kiedy będą cię w stanie ożywić, na pewno już dawno będą umieli wyhodować ci nowe ciało. Zresztą to będzie łatwiejsze niż próba doprowadzenia starego do porządku.

Brzmi od czapy, więc to może być prawda.

– No dobra, Kevin, kupuję to. – Spojrzałem na papiery, które przede mną rozłożył. – Dziesięć tysięcy zaliczki, roczne raty, ubezpieczenie...

Kevin stał cierpliwie, nie przerywając mi przeglądania tych informacji. Może i byłem upojony swoim świeżym pieniądzem, ale po ponad dziesięciu latach pracy jako inżynier i właściciel firmy nie potrafiłem zrobić niczego bez przejrzenia całej dokumentacji.

W końcu się nasyciłem. Podpisałem papiery, wypisałem czek i podaliśmy sobie z Kevinem rękę.

– Jesteś teraz klientem CryoEterna Inc. – powiedział, wręczając mi kartę. – Trzymaj ją przez cały czas w portfelu. W przypadku śmierci skontaktują się z nami. Kiedy zostanie stwierdzony zgon, my...

– Utniecie mi głowę.

– No tak. I zamrozimy ją, do czasu postępu w medycynie wystarczającego, by cię ożywić. W pakiecie informacyjnym są wskazówki, jak ustanowić fundację. – Podał mi grubą, jaskrawoniebieską teczkę w ledwie widoczne chmurki, z wielkim korporacyjnym logo. – Zaraz wydrukujemy oficjalne dokumenty

i wyślemy pocztą na twój adres domowy. I na koniec: witamy w CryoEterna. – Po tych słowach znów wyciągnął rękę.

Jeszcze raz uścisnęliśmy sobie dłonie.

Wychodząc z biura CryoEterny, odtańczyłem drobny pląsik. Fundację już założyłem, ale nie chciałem dać Kevinowi do zrozumienia, że podjąłem decyzję, zanim się z nim spotkałem. Po co mu aż tak ułatwiać pracę. Nie byłem pewien, czy to jest sprytna inwestycja w przyszłość, czy kompletnie idiotyczna strata pieniędzy. Ale zresztą, co tam. Terasoft zapłaciło mi tyle za moją firmę software'ową, że byłem ustawiony finansowo do końca życia – a teraz nawet na dłużej.

Nie mówiąc już o znacznym podniesieniu mojej stopy życiowej. Na konwent science fiction *Vortex* jeździłem do Las Vegas co roku, odkąd zaczęli go organizować, ale tym razem nie zaliczałem się już do plebsu. Idąc pieszo dwie przecznice od biura CryoEterny, wyciągnąłem z kieszeni VIP-owską przepustkę i powiesiłem ją na smyczy na szyi. W porównaniu z normalnym biletem dawała mi masę dodatkowych przywilejów – dostęp do salonów wypoczynkowych, możliwość podejścia bez kolejki po autograf, zarezerwowane miejsca na panelach i parę innych. Kupiłem taką także dla Jenny...

No i masz. Wypowiedziałem imię Tej, Której Imienia Wypowiadać Nie Wolno. Stałem jak wryty na środku chodnika, zarabiając wrogie spojrzenia od ludzi idących za mną oraz wymamrotane przekleństwo od jakiegoś nedorobionego Dzedaja. Zacząłem się hiperwentylować, żeby powstrzymać atak paniki. Tym razem dojście do siebie zajęło mi tylko chwilę. To była kwestia praktyki. Wciąż zdarzało mi się parę ataków dziennie, ale to i tak było o wiele mniej niż tuż po rozstaniu. Coś jakby mieć zepsuty ząb – ciągle macasz go językiem, choć dobrze wiesz, że za każdym razem będzie bolało.

Świadomym wysiłkiem woli skupiłem myśli z powrotem. Wykorzystałem swoją VIP-owską przepustkę, żeby zarezerwować sobie miejsca na kilku panelach z rzędu, a pierwszy z nich zaczynał się za niecałe piętnaście minut. *Eksplozacja galaktyki*, a jednym z prelegentów jest Lawrence Vienn – popularny i płodny autor fantastyki naukowej, którego pomysły właściwie ukształtowały współczesny styl tego gatunku.

Dotarcie do hali, gdzie był konwent, i znalezienie sali konferencyjnej zajęło mi raptem parę minut. Obsługa konwentu już usadziła wszystkich VIP-ów i już miała pozwolić wejść reszcie, gdy nadciągnąłem zdyszany, machając przepustką. Machnęli, żebym wchodził, ledwie zaszczyciwszy mnie spojrzeniem.

Udało mi się czystym fuksem zdobyć miejsce przy samym przejściu. Kiedy wbiegłem do sali, tuż przede mną ktoś wstał i ruszył do wyjścia. Nie mrugnawszy okiem, wśliznąłem się na wolne miejsce, a kobieta

obok wytrzeszczyła na mnie oczy. Pewnie pomyślała, że tamten typ przeszedł metamorfozę.

Odwrociłem głowę, by patrzeć, jak otwierają drzwi pospólstwu. Ludzie wlewali się do środka, aż trzeba było zamknąć drzwi albo narazić się na Gniew Strażaka Dyżurnego. Hotele w Las Vegas przeważnie mają dobrą klimatyzację – bo nikt nie chce mieć niezadowolonych czy rozkojarzonych klientów – ale masa uczestników stanowczo zbyt długo tkwiła w swoich przebraniach. Staralem się oddychać przez usta, licząc, że wentylacja to z czasem nadrobi.

Jak to na konwentach, poczyniono bardzo niewiele ustępstw na rzecz estetyki. Stoły i krzesła standardowe składane, a informacja o sesji wypisana na dużej białej tablicy. Czarnym mazakiem, pewnie dlatego, że kolorowy to już zbyt dużo wysiłku.

Nikomu to nie przeszkadzało.

Moderator, niski, okrągły czarny facet z wbudowanym na stałe uśmiechem, poprosił o uwagę.

– Dzień dobry, szanowne istoty. Dzisiaj wysłuchamy tutaj Lawrence’a Vienna... – spontaniczny aplauz kazał mu przerwać – ...który opowie nam o technicznych i ekonomicznych wymaganiach wysyłania sond w kosmos. Potem, dr Steven Carlisle... – znów owacja – ...będzie mówił o biologii życia pozaziemskiego. Zapowiada się znakomita sesja. Zatem bez zbędnych ceregieli: przed wami Lawrence Vienn.

Oklaski trwały parę minut. Lawrence przez cały czas uśmiechał się cierpliwie, od czasu do czasu machając widowni. Wreszcie się uspokoiły i rozsiadłem się wygodnie.

* * *

Obwąchałem ubranie, żeby się upewnić, czy nie przeszło zapachami z sali. Druga dyskusja była jeszcze bardziej cięta niż pierwsza. Gdyby dotyczyła czegoś innego, uciekłbym. Ale ten temat – sondy von Neumanna – był dla mnie jak wabik.

Zdecydowałem, że nie muszę się przebierać przed pójściem na obiad z moimi niedługo-już-byłymi pracownikami.

Wyszedłem z hali targowej i poszedłem do umówionej restauracji, uśmiechając się na widok toczącego się dookoła spektaklu. Konwenty science fiction zawsze rozlewały się na okoliczne ulice. Wszędzie było pełno szturmowców Imperium, Chewbakk i załóg *USS Enterprise*. Tłumy fanów wypełniały chodnik i przechodziły przez ulicę na dowolnie wybranym świetle. Widziałem co najmniej kilka dialogów na wystawione środkowe palce, czemu towarzyszyły propozycje natury autoerotycznej lub podróżniczej. Fantastycznie. Fani zapelniali też

wszystkie restauracje przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale obsługa nie narzekała – swiry przeważnie dają przyzwoite napiwki. Słyszałem za to, że kasyna były mniej zadowolone. Wychodzi na to, że fani fantastyki lepiej kumają prawdopodobieństwo.

Dotarłem do restauracji, nie tracąc żadnych części ciała, i odnalazłem moją grupę.

* * *

– Za Terasoft! – Carl uniósł kieliszek do toastu.

– Za Terasoft. – W odpowiedzi reszta zrobiła to samo.

Carl, Karen i Alan byli moimi pierwszymi pracownikami w InterGator Software. We wczesnych trudnych czasach okazali się lojalni i cierpliwi, a ja zrobiłem z nich udziałowców firmy. Moja aplikacja do projektowania i analizy konstrukcji rozwinęła się do produktu numer jeden w swojej niszy, bijąc w sprzedaży konkurentów w rodzaju Terasoftu.

Terasoft zareagował naprawdę imponującą ofertą przejęcia, więc teraz wszyscy cieszyliśmy się nagłym przyływem gotówki. Ta trójka może jeszcze będzie musiała zarabiać na życie, ale na pewno nie będzie musiała brać kredytów na domy czy samochody.

Zaprosiłem ich na tydzień do Las Vegas. Powiedziałem, że stawiam. Tylko Carl był chętny skorzystać z VIP-owskiej przepustki na konwent, reszta powiedziała, że jest zdrowa na umyśle – choć dla równowagi obwieściła, że chce zobaczyć każdy występ w Las Vegas, co do jednego. Jest ich kilka dziennie i wyglądało na to, że zbliżają się do punktu nasycenia.

– A ty, Bob, jak się trzymasz? – Carl spojrzał na mnie z uniesioną brwią.

– Nie najgorzej. Dzisiaj rano podpisałem umowę z CryoEterną...

Karen burknęła i odwróciła wzrok. Nie musiała nic mówić, już wcześniej bardzo jasno wyraziła swoje zdanie na ten temat.

Uniosłem brwi i ciągnąłem:

– Właśnie byłem na paru bardzo ciekawych panelach. *Eksploracja galaktyki* i *Projektowanie sond von Neumanna*.

Alan parsknął śmiechem.

– W ogóle jedno się z drugim nie łączy. Jezus. Inżynierowie.

– No tak, ale jak ty się trzymasz? – Carl spojrzał na mnie z ukosa.

Carlowi udawało się poruszać po trudnej ścieżce – być równocześnie pracownikiem i kumplem, a jednocześnie nie uchodzić za wazelinę. Uznałem, że należy mu się ta uprzejmość, i nie będę udawać, że nie rozumiałem.

– Dużo lepiej. Epizody na tle Jenny mam może parę razy dziennie. Niedługo chyba nawet z powrotem dołączę do ludzkiej rasy.

– Ta kobieta to kretynka – mruknęła Karen. – Trzeba było przyjąć propozycję od twojej matki.

Parsknąłem śmiechem.

– Matka nie ma pojęcia, skąd wziąć płatnego mordercę. Raczej mi się nie wydaje. – Wyciągnąłem telefon i zerknąłem na niego. – Tak à propos, właśnie do mnie napisała. Muszę do niej zadzwonić, bo będzie ślać kolejne SMS-y. Pod tym względem jest trochę jak Terminator.

– Czyli to genetyczne!

Udałem przesadzony śmiech, a Carl niezrażony odpowiedział tym samym. Po chwili machnął ręką i zmienił temat.

– W sumie to po to jechałeś na konwent, nie? Żeby zapomnieć o rozstaniu? No to jak było na tych panelach?

Karen jęknęła, a ja pochyliłem się i położyłem łokcie na stole.

– Naprawdę ciekawe. Doktor Carlisle teoretyzuje, że życie na różnych planetach o podobnych klimatach powinno być ogólnie dość zbliżone, może nawet nadające się do strawienia przez ludzi. Panspermia, rozumiecie. Wspólne biologiczne początki.

– Pierdoły jakies.

– Nie, Alan, poważnie. Miał całkiem niezły argument za wspólną chemiczną podstawą życia. To nie będzie taka biozgodność jak w *Star Treku*, ale pewnie w obcym ekosystemie dalibyśmy radę się używić.

– Poczekamy, zobaczymy. A ten drugi? O sondach kosmicznych?

– Von Neumanna. Automatyczne próbniki, które powielają się w układach, do których przylatują. Okazuje się, że w kwestii replikacji nano jest passé i teraz rządzą drukarki 3D.

Carl kiwnął głową.

– Postęp technologii jak zwykle zostawia fantastykę w tyle.

– Że co? – zapytał zdziwiony Alan.

Carl i ja uśmiechnęliśmy się pobłaźliwie. Alan nie był maniakiem nauki, mimo że skończył inżynierię oprogramowania. Wyjaśniając, gestykulowałem rękoma.

– Drukarki 3D widziałeś, nie? Do drukowania plastikowych części, protez, zabawek? – Kiedy kiwnął głową, ciągnąłem: – To teraz wyobraź sobie poziom wyżej. Niech umieją nadrukować dowolny pierwiastek, atom po atomie, według projektu. Wtedy teoretycznie mógłbyś wydrukować wszystko, co jest stałe.

– Czyli też części do kolejnych sond – dodał Carl – z pierwiastków, które znajdują w układach gwiazdnych, gdzie przylecą.

Alan zerknął na mnie.

– To możliwe?

– Ja kończyłem też fizykę. Alan, przecież wy o tym wiecie. Ja myślę, że

to jest zupełnie możliwe. – Przerwałem na moment, by spróbować piwa, potem rozejrzałem się wokół. – A jeśli chodzi o inżynierię...

– Naprawdę dasz sobie zamrozić głowę?

Wszyscy odwrócili się do Karen.

– No i masz – mruknął Alan.

Łypnęła na Alana, potem na mnie.

– Kiedy cię ożywią... jeśli cię ożywią, to pewnie wszyscy ludzie, których znasz, dawno nie będą żyć.

– W tym Jenny... – dorzucił półgłosem Alan.

Karen znów popatrzyła na niego wilkiem.

– I co z tego? Twoja rodzina już nie będzie żyć. Przyjaciele, znajomi. Jak ty możesz się z tym pogodzić?

Patrzyłem na nią przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Karen, ja jestem humanistą. Wiesz o tym. Nie wierzę w życie pośmiertne. Jeśli umrę, to mam do wyboru ożywienie albo nic. Jestem więc skłonny podjąć ryzyko, że obudzę się w innym świecie.

Spojrzenie Karen stało się jeszcze bardziej piorunujące i już otwierała usta do riposty. Na szczęście kelnerka wybrała właśnie ten moment, żeby podać nam obiad. Owiał nas zapach hamburgerów, skarmelizowanej cebulki i frytek z octem. Zanim dania stanęły przed nami, napięcie się rozproszyło.

* * *

Zostawiając za sobą ślad z butów i ubrań, padłem na wielkie łóżko. Apartament prezydencki kosztował absurdalną kasę za dzień, ale samo to łóżko było tego warte. Można się było do tego przyzwyczaić. O, tak.

Ustawiłem budzik, żeby nie przespać całego popołudnia, i wyciągnąłem telefon. Matka naprawdę będzie pisać i pisać, jeśli do niej nie zadzwonię.

Telefon na drugim końcu zadzwonił dwa razy, zanim się odezwała.

– Cześć, Robercie. To już rok minął?

– Ha, ha. Cześć, mamó. Dostałem SMS-a. Nie, nie potrzebuję opłacać kogoś, żeby załatwił tą-jak-jej-tam. Jestem na *Vortexie* i świetnie się bawię. No to pa.

Roześmiała się. Udawałem niecierpliwego i próbowałem zakończyć rozmowę, ale oboje wiedzieliśmy, że zostaną tak długo, jak ona zechce.

– U mnie wszystko dobrze, dzięki, że zapytałeś.

– A jak tam komary?

– U komarów też dobrze. Brakuje im ciebie i twojej delikatnej nordyckiej skóry. Co, w San Diego nie ma komarów?

– Nie tyle, co w Minnesocie. Między innymi dlatego się tu

przeprowadziłem.

– Hmm. A co tam u ciebie, synu? Jeśli chodzi o tą-jak-jej-tam, to oferta stoi. Znam takich jednych...

– Dzięki, ale nie mam ochoty odwiedzać cię w więzieniu. – Westchnąłem. – Mamo, słuchaj. Ludzie zdradzają. To się zdarza. Jeszcze nie byliśmy małżeństwem. Żle by mi było, gdybym się dowiedział po ślubie. A tak nic mi nie jest. Naprawdę.

Da się wysłyszeć niedowierzanie? Matka nie odezwała się słowem. Może to był jej oddech. Wszystko jedno. Postanowiłem, że to dobry moment, by zmienić temat.

– A jak tam wszyscy?

– Z ojcem wszystko dobrze. Siedzi w warsztacie i ciągle próbuje uruchomić tę górę złomu. A poza tym twoje siostry przyjechały. One pamiętają, żeby odwiedzać biedną, chorą matkę. Dam Andreę. Chce z ciebie trochę podrzeć łacha.

– Dobra, daj ją. Potrzebuję, żeby ktoś wykopał spode mnie moje gigantyczne ego.

Nastąpiła jakaś stłumiona rozmowa, a potem:

– Cześć, malutki.

– Jestem starszy od ciebie.

– Nie o to mi chodziło.

Uśmiechnąłem się, słysząc ten głos i stałą wymianę zdań. Andrea, Alaina i ja byliśmy bardzo zżytym rodzeństwem. One były bliźniaczkami, ale w tym sensie, że urodziły się jednocześnie. Było pomiędzy nimi dosłownie trzydzieści centymetrów różnicy wzrostu, a Andrea nigdy nie pozwalała mi zapomnieć, że i ode mnie jest o trzy centymetry wyższa.

– No to jak tam w tej Dolinie Silikonowej, panie milioner? – Słyszałem uśmiech w jej głosie. Ćwiczyła ten skecz, odkąd pojechałem na zachód.

– Krzemowej, Andrea. Poza tym ona jest w San Francisco.

– Czytam o was na TMZ. Silikonowa i tyle.

– Coś widzę, że ból dupy ma tę moc...

Andrea parsknęła śmiechem. Jeszcze parę minut przerzucaliśmy się złośliwościami, dzieliliśmy nowinkami, a potem powiedziałem, żeby pozdrowiła ode mnie Alainę i tatę.

Dzięki Bogu za rodzinę. I dzięki Bogu za te kilkaset kilometrów odległości. Kiedy wszyscy byliśmy w domu, przeważnie mogłem wytrzymać z nimi jakieś pół godziny, po czym chowałem się w piwnicy. Zwykle dziesięć minut później schodził tam tato. Patrzyliśmy po sobie, przewracaliśmy oczyma, a potem bez dalszych słów siadaliśmy do swoich zajęć, czytania albo oglądania telewizji. I ojciec, i ja byliśmy z usposobienia samotnikami. Mogliśmy siedzieć w tym samym pokoju wiele godzin, nie wypowiedzieć choćby pięciu słów i czuliśmy się z tym

doskonale. Matkę doprowadzało to do szaleństwa.

* * *

Zdziwiłem się, kiedy zadzwonił budzik. Nie planowałem zasypiać. Wskoczyłem z łóżka i ubrałem się najszybciej, jak mogłem. Miałem się spotkać z ekipą na kolacji, ale chciałem też spędzić trochę czasu na konwencie. *Vortex* był jak trzydniowy wir pełen wariactwa, a ja chciałem wchłonąć go, ile tylko się da. Nie liczy się, że byłeś na konwencie science fiction, jeśli nie stratują cię cosplayerzy z *Farscape*, nie opieprzy cię co najmniej jeden pijany Vader i nie kupisz sobie tandetnego plastikowego filmowego rekwizytu, płacąc równowartość jego wagi w złocie albo i lepiej. Juhu!

* * *

Drzwi windy otworzyły się, wysiadłem do foyer. Odzwierny uklonił się, kiedy podchodziłem, i przytrzymał mi drzwi. Jak zwykle nie byłem pewny: dać mu napiwek czy nie? Postanowiłem dać mu duży napiwek, kiedy będę wyjeżdżał. Na wszelki wypadek.

Kiedy wyszedłem z klimatyzowanego hotelu, vegaskie powietrze uderzyło mnie jak młotem. Przystanąłem, żeby przepuścić bandę marynarzy z *USS Enterprise*, paru Ferengich, dwóch Chewbacców i jednego szturmowca. Byli głośni, wojowniczy i ewidentnie spróbowali trochę za dużo ziemskiego alkoholu. Po paru sekundach niezbyt spójnej dyskusji skręcili i przeszli przez ulicę, mniej lub bardziej jako grupa.

Uśmiechnąłem się, pokręciłem głową, a potem pokonałem te piętnaście metrów dzielących mnie od przejścia dla pieszych. Aż tak mi się nie śpieszyło. Gdy byłem na środku przejścia, usłyszałem falę obelg, klaksony i piszczące opony.

Odwróciłem się do tych odgłosów i wszystko nagle zaczęło się dziać w zwolnionym tempie. Samochód objechał grupę, wychylony przez okno kierowca poruszał ustami. Odwrócił się, spojrzał na mnie i wytrzeszczył oczy. Zapiszczały opony, kiedy zablokował wszystkie cztery koła.

No, chyba sobie, kurwa, jaja robisz!

Błysnęło światło, poczułem niewyobrażalny ból...

* * *

Słyszałem jakieś głosy. Nerwowe, pośpiesznie wykrzykujące coś o jakichś kodach. Kogoś w tle, kto krzyczał, że ma prawo tu być. Coś o jakimś pełnomocnictwie i testamencie. Gniewne odpowiedzi. Spokojny głos, o wiele bliżej, oznajmiający moment zgonu...

Głosy i światła zbladły i nastąpił koniec świata.

2. Bob, wersja 2.0

Gwałtownie przeskoczyłem w świadomość. Nie było żadnego przejścia, żadnej zwykłej dezorientacji, jaką się ma po obudzeniu. Przypomniałem sobie jadący w moją stronę samochód, co wydało mi się trochę dziwne. Spodziewałbym się, że parę ostatnich sekund przypadnie, bo nie miały czasu zapisać się do pamięci długotrwałej. Z drugiej strony może parę ostatnich sekund faktycznie przypadło.

Leżałem, nie ruszając się, nie otwierając oczu, i zrobiłem staranną inwentaryzację. Nie czułem bólu. Właściwie to nie czułem rąk, nóg ani reszty ciała. Nie otrzymywałem żadnych normalnych bodźców proprioceptyjnych, które powiedziałyby mi, czy leżę, czy jest mi wygodnie i tak dalej. To nie był dobry znak – prawdopodobnym wytłumaczeniem byłby paraliż całego ciała.

Przeżyłem moment paniki, prawie od razu wypartej przez osobliwe zdziwienie. Ta chwilowa panika wydała się czysto intelektualna. Nie czułem przyśpieszonego oddechu, szybszej akcji serca, napięcia mięśni do walki-ucieczki. Nic z tych rzeczy. Choć i normalnie miałem bardzo analityczny umysł, teraz zachowywałem się wyjątkowo jak Wolkanin, nawet jak na mnie.

Wow. Jestem sparaliżowany od czoła w dół? Może jestem w śpiączce farmakologicznej? Jeśli tak, to nie za dobrze działa.

Zebrałem siłę woli i otworzyłem oczy.

Czy raczej spróbowałem. Nic się nie zadziało. Tym razem naprawdę spanikowałem. Ślepotą to był jeden z moich koszmarów. Przez parę minut myśli wirowały mi szaleńczo. Myślałem o filmach, których nigdy nie zobaczę, książkach, których nie przeczytam.

Jednakże i tym razem panika nie nakręcała się sama. Nie było fali adrenaliny ani niczego podobnego. Nie przychodziło mi do głowy żadne medyczne zaburzenie, które by coś takiego powodowało. Może leki. I to bardzo dobre.

Zaczynał mnie ogarniać niepokój. Ponad tą paniką. Postanowiłem, że leki to dobra hipoteza robocza.

Zdeterminowany, by zorientować się w sytuacji, znów spróbowałem naprawdę pomyśleć o otwarciu oczu. O mechanizmie mięśniowym, uczuciu unoszących się powiek...

I nagle, bez żadnych faz pośrednich, mogłem widzieć! Ten drobny

sukces przyniósł mi nieopisaną ulgę.

Chyba siedziałem, skoro widziałem ścianę, a nie sufit. Bezpłciowe pomieszczenie mogło być pokojem w szpitalu, laboratorium albo w dowolnej państwowej instytucji. Ściany miały ten specyficzny kolor złamanej bieli, jaki zawsze daje się na początku w nowych budynkach. W przeciwległej ścianie było duże okno, obecnie zasłonięte białym, eee... czymś. Z początku pomyślałem, że to żaluzje, ale wyglądało na to, że są nadrukowane na szybie.

Spodziewałem się zobaczyć przed sobą resztę swojego ciała, może ewentualnie przykrytą szpitalnymi prześcieradłami. Widziałem jednak tylko jakąś płaszczyznę, coś jak blat biurka.

Tuż za jej krawędzią siedział jakiś człowiek i patrzył w tablet. Wyglądał, nie żartuję, dokładnie tak, jak sobie na ogół wizualizujemy Zygmunta Freuda, włącznie z białym kitem.

Niemożliwe, żeby był psychiatrą. To by już było zbyt ograne. Przyszedł porozmawiać ze mną o moich obrażeniach? Musi być naprawdę słabo, skoro mają w pogotowiu terapeutę, który siedzi i czeka, aż się obudzę.

Coś się w nim jednak nie kleiło. Krój koszuli kojarzył się z księdzem. No i zegarek...

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że mam problem z perspektywą. Pokój wyglądał na długi i wąski, a Freud miał z półtora metra głębokości. Zresztą, kiedy odwrócił głowę, nos sterczał mu z twarzy na trzydzieści centymetrów.

Gdy analizowałem to dziwne złudzenie optyczne, poczułem, że coś się przesuwa, coś zaszumiało i perspektywa się naprawiła. Zanim zdążyłem zastanowić się nad tym – szczególnie nad tym dźwiękiem – Freud uniósł głowę i się uśmiechnął.

– Obudziłeś się. To świetnie.

Spróbowałem odpowiedzieć, ale wyszło mi coś pomiędzy kaszlnięciem a szumem. Rany boskie, to brzmiało, jakby syntezytor mowy się zaciął.

Freud odłożył tablet, nachylił się ku mnie i oparł ręce o blat, biurko, czy co to było.

– Próbuje dalej. Interfejs GUIK czasem spina się dopiero po paru próbach.

Zastanowiłem się nad tym, co powiedział. Od razu wyłapałem trzy punkty. Po pierwsze, nie umarłem. Myślę, więc jestem, i tak dalej, bla, bla, bla. Uznajmy, że punkt nr 1 jest dowiedziony. Punkt dwa: nie jestem w dobrym stanie – bo zdaje się, że gadam przez syntezytor mowy. Ale steruję nim myślą, co oznacza – punkt trzy – że technologia posunęła się, i to bardzo, odkąd przejechał mnie samochód. Ile czasu byłem nieprzytomny. I co to, do cholery, jest ten jakiś „gupik”?

Spróbowałem raz jeszcze, skupiając się na formowaniu słów.

– Gzzzzzz... Ktoś mi może żżżżżżżgzz, co się tu dzieje?

Freud klasnął w dłonie. Raz.

– Znakomicie. Bob, jestem doktor Landers i odpowiem na wszystkie twoje pytania. Pomogę ci się przygotować do nowego życia.

Nowego życia? A co, stare było złe? Już mi się to nie podoba.

Przysunął do siebie tablet, tak że miał go przed nosem.

– Dobrze, Bob, to co ostatniego pamiętasz?

– Jak jedzie na mnie samochód. Byłem pewien, że mnie przejedzie. I pewnie tak było.

– Tak było w istocie. Przyjechałeś do szpitala w stanie krytycznym i z bardzo złym rokowaniem. Zgodnie z twoją umową z CryoEterną, kiedy stwierdzono zgon, już mieli przygotowany kriokontener.

– Dobrze wiedzieć, że te pieniądze nie poszły na marne. To który mamy rok?

Landers parsknął śmiechem.

– Miło rozmawiać z kimś, kto tak szybko łapie. Jest dwudziesty czwarty czerwca dwa tysiące sto trzydziestego trzeciego roku i jesteśmy w New Handeltown. W twoich czasach – Portland.

Zdziwiło mnie to. Czyli to będzie... [117] lat. Zaraz, skąd się to wzięło?

Zawsze umiałem bez wysiłku liczyć w pamięci, ale zwykle trzeba było wykonać jednak to działanie. Tym razem wynik pojawił się, jakby ktoś szepnął mi go do ucha. Hmm. Trzeba to później zbadać. Dopisać do listy rzeczy do zrobienia.

Skupiłem się z powrotem na panu doktorze. Teraz rozumiałem, skąd ta koszula. Przez sto plus lat moda musiała się zmienić. Ale zegarkowi to naprawdę warto by się przyjrzeć.

– A kto to był Handel?

– Oj, Bob, zaraz, nie wybiegajmy aż tak naprzód. Mam ustalony scenariusz na informowanie kandydatów. Lekcje historii są przewidziane na później.

– To co się stało z Old Handeltown?

Doktor Landers uśmiechnął się i pokiwał głową z teatralnym smutkiem.

Westchnąłem i kiwnąłem głową. Czy raczej spróbowałem. Moje pole widzenia nie poruszyło się. Czyli miałem władzę nad oczyma, ale nie nad głową. Zaczynałem podejrzewać, że mam coś w rodzaju zespołu zamknięcia.

Zamiast tego mruknąłem potakująco.

– Dobrze, to może mi pan powiedzieć, co ludzkiego jeszcze ze mnie zostało? Sztuczny głos sugeruje, że niewiele. Jak bardzo jestem Borgiem? Mam poprosić o lusterko czy to zły pomysł?

– Eee... – Doktor Landers zerknął na tablet i zawahał się, potem

wrócił wzrokiem do mnie. – Porównanie do Borga nie byłoby ścisłe. Jeśli dobrze kojarzę *Star Treka*, oni byli przynajmniej częściowo ludźmi. Lepszym analogiem będzie chyba Data.

Gapilem się na niego, zdaje się, że przez całą wieczność. W głowie miałem pustkę. Nie umiałem zebrać myśli.

W końcu odzyskałem głos.

– Żzzzzzz... Słucham? – Zauważyłem mimochodem, że wciąż nie mam ataku paniki. Po raz pierwszy podejrzewałem, że chyba wiem dlaczego.

– Bob. Większość ludzi nazwałaby cię Sztuczną Inteligencją, choć to nie jest do końca poprawne. Jesteś kopią umysłu Roberta Johanssona, stworzoną ze skanu jego kriogenicznie zamrożonego mózgu na poziomie podkomórkowym. Te dane zostały zmigrowane do symulacji komputerowej. Jesteś, praktycznie, programem komputerowym, który myśli, że jest Robertem Johanssonem. Replikantem.

– Czy to znaczy, że jestem nieśmiertelny?

Landers przez chwilę miał osłupiałą minę, potem odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał.

– To naprawdę nie jest normalna reakcja. Jakbyśmy całkowicie przeskoczyli fazę wyparcia. Nabieram pewności, że odmrożenie ciebie to była dobra decyzja.

– No cóż, dziękuję. Chyba. Czyli ja... Znaczący Bob... On nadal żyje? Czy nadal nie żyje? Dalej jest zamrożony?

– Nie, niestety. – Poruszył się nerwowo w fotelu. – Skanowanie jest niszczące. Trzeba rozmrozić mózg na tyle, żeby móc zmierzyć potencjały synaptyczne, ale żeby nie dopuścić do powstania kryształków lodu. Używa się odczynników, których mózg nie przeżywa. Po wszystkim nie ma sensu zamrażać go z powrotem.

Ta nowina trafiła mnie jak grom, jakbym dotknął przewodu pod napięciem. Nie mam pojęcia czemu – oryginalny Bob nie żyje? Tak czy owak, ja jestem programem komputerowym. A jednak świadomość, że tylko tyle z Boba zostało, była bolesna. Wyrzucili go – mnie – Boba – do śmieci.

– Ale... to znaczy, że mnie zabiliście!

Doktor westchnął.

– To znaczy, że przyszła pora na lekcję historii.

Rozsiadł się wygodniej w fotelu i zrobił tę nieobecna minę, jaką ludzie robią przy wygłaszaniu wykładu.

– W roku dwa tysiące trzydziestym szóstym Stany wybrały na prezydenta ekstremalnego, jawnego fundamentalistę, Andrew Handla. Tak, tego Handla. Podczas swojej kadencji próbował zakazać wybierania niechrześcijan na jakiegokolwiek stanowiska państwowe, próbował też znieść konstytucyjny rozdział Kościoła od państwa. Swoją nominację,

poparcie i wybór zawdzięczał poglądom religijnym, a nie doświadczeniu w polityce czy w finansach. Oczywiście wszędzie, gdzie mógł, zatrudniał osoby o podobnych zapatrywaniach, często otwarcie ignorując prawo i procedury. Razem ze swoimi sługusami jechali jak taran z kolejnymi prawniczymi ustawami, nie oglądając się na skutki. W licznych sprawach, gdy kwestionowano ich konsekwencje, oświadczał po prostu, że Bóg nie pozwoli słusznej sprawie upaść. W końcu doprowadził USA do zapaści ekonomicznej, przy której recesja z dwa tysiące ósmego to spacerek w parku.

Postukał w rozrtargnieniu w tablet. Widać było, że zna ten tekst na pamięć.

– W następnych wyborach społeczeństwo zagłosowało na pierwszego – i jedyne – otwarcie ateistycznego prezydenta, Desmonda Ahearna. To była reakcja na katastrofalnego Handla. Oczywiście, że religijna prawica dostała amoku. W dwa tysiące czterdziestym pierwszym zorganizowali udany zamach stanu. I tak powstała Wolna i Autonomiczna Religijna Ameryka.

Sklejenie tego skrótu zajęło mi może milisekundę. Jęknąłem.

– Jak myślisz, długo to wymyślali?

Landers zmarszczył czoło.

– Oficjalna historia w ogóle nie wspomina o Ahearnie czy zamachu stanu. Twierdzi, że Handel wygrał wybory dzięki obietnicy stworzenia teokracji. A, i jeszcze, Bob, tak, żebyś wiedział: krytyka władz jest wykroczeniem, karanym, eee... reedukacją. Zdecydowanie należy tego unikać. Dla ciebie, ponieważ jesteś maszyną, to oznacza po prostu wyłączenie. Do moich obowiązków należy nauczenie cię właściwego myślenia, żebyś mógł dobrze służyć państwu.

– A ty nie będziesz miał z tego kłopotów? Niektóre twoje uwagi wydają się, no... nie dość prawomyślne.

– Ministerstwo Prawdy, które finansuje to przedsięwzięcie, jest zadziwiająco pragmatyczne. Interesują ich wyniki i gwarantują, że nie będą się wtrącać, jeśli dostaną to, za co płacą. – Zmarszczył brwi. – Inne ministerstwa nie do końca. Podczas wizytacji z ministerstw staramy się uważać.

– Rozumiem. Czyli życie upłynie mi na kierowaniu śmieciarką, czy coś w tym rodzaju, jako oddany sługa państwa?

– A, jeśli o to chodzi... Widzisz, jedna z pierwszych ustaw nowej teokracji uznała wszystkie ośrodki kriogeniczne za świętokradztwo i wszystkie mroźniki za martwe. Skonfiskowali aktywa wszystkich klientów – wszystkie te fundusze i fundacje, które pozakładaliście, ty i reszta, żeby płacić za swoje przechowywanie. A na koniec zlicytowali wszystkie aktywa firm kriogenicznych. W tym oczywiście pewną liczbę zamrożonych klientów już niemających osobowości prawnej.

– Zlicytowali? Jako ortodoksi nie powinni nas właściwie pochować? Nie żebym był teraz za takim rozwiązaniem...

Landers przez moment miał złą minę.

– W twoich czasach teolodzy postępowali może logicznie i spójnie?

– Racja. – Zastanowiłem się nad jego odpowiedzią. – Czyli ja jestem czyjaś własnością?

– Firmy, w której pracuję. Applied Synergetics Inc. Konkurujemy na rynku z Total Cyber Systems – obie firmy starają się dostarczać społeczeństwu maszynowych służących. My próbujemy integrować replikantów z praktycznymi maszynami, a TCS tworzy Maszynowe Sztuczne Inteligencje, MSI, od zera.

Zaśmiałem się. Czy raczej spróbowałem. To, co wydobyło się z syntezatora, było dalekie od moich intencji.

Landers się skrzywił.

– Poprawi się. Nic się nie przejmuj. Pod koniec tej sesji twój głos będzie nie do odróżnienia od ludzkiego. A odpowiadając na niezadane, ale oczywiste pytanie: obecnie MSI są dopuszczone tylko do bardzo, bardzo prostych prac albo pod silnym nadzorem. Parę lat temu sprzęt do tępienia szkodników w jednym centrum handlowym miał epizod psychotyczny i uznał ludzi za swoje cele. Zanim zdążyli wszystko powyłączać, było kilkudziesięciu rannych i paru zabitych.

Znowu się zaśmiałem. Teraz to już trochę mniej brzmiało jak zacięcie papieru w drukarce.

– Z drugiej strony – ciągnął – replikanci nie są lepsi w wielozadaniowości, niż byli za życia. Dlatego dodajemy im interfejs GUIPIK do odciążania ich od zadań. A około czterech na pięciu replikantów wariuje, kiedy się dowiadują, co się z nimi stało. – Skrzywił się i spojrzał na mnie. – Już nie mówiąc o tym, że większość kriopacjentów była bogata i niespecjalnie chcą oni w kolejnym życiu być przymusowymi pracownikami...

Roześmiałem się, wyobraziwszy sobie prezesa firmy, który się dowiaduje, że odtąd będzie jeździł śmieciarką.

– ...dlatego dość trudno jest znaleźć odpowiedniego replikanta do danego zadania. Zresztą po jakimś czasie pewien procent i tak wariuje.

To była otrzeźwiająca myśl. Miałem złe przeczucie, że czeka mnie jeszcze spojrzenie w tę otchłań. Na razie miałem wrażenie, że to wszystko przydarza się komuś innemu. Gdzieś na skraju świadomości tliły już się pytania o tożsamość, istnienie duszy i tak dalej. Wysiłkiem woli odepchnąłem je, żeby się skupić na teraźniejszości.

– Osiemdziesiąt procent niepowodzeń to strasznie kiepsko. Jak wy się w ogóle utrzymujecie na rynku?

– Bob, widzisz, jednego udanego replikanta da się zainstalować w bardzo wielu urządzeniach. Większością działającego dzisiaj sprzętu

górniczego steruje niejaki Rudolf Kazini, który w poprzednim życiu też był górnikiem. Kluczowe jest dopasowanie temperamentu do zadania. – Zawahał się, po czym dodał: – I oczywiście kultywujemy wielu kandydatów jednocześnie.

Spróbowałem unieść nieistniejące brwi i zezłościłem się, gdy nic się nie stało.

– Czyli biorę udział w konkursie, tak?

– Tak i nie. Do tego projektu aktywowaliśmy pięciu kandydatów. Statystycznie rzecz biorąc, czterech z was zwariuje i zostanie wyłączonych. Jeśli więcej niż jeden przejdzie w dobrym zdrowiu umysłowym przez fazę szkolenia, to tak, będziemy musieli wybrać jednego. Projekt wymaga tylko jednego replikanta.

– A przegrany?

Wzruszył ramionami.

– Śmieciarka. Albo do magazynu, żeby czekał na kolejną okazję.

Niedobrze. Bardzo niedobrze. Wizja szaleństwa nie była zbyt wysoko na mojej liście przeżyć do odfajkowania na emeryturze, ale żeby wykpić się śmierci – mniej czy bardziej – po to, by trafić do nudnej i wiecznej pracy, wyglądała naprawdę kiepsko. Wyłączenie jeszcze bardziej. Wygląda na to, że to jednak jest konkurencja, i to z bardzo wysoką stawką.

Zamierzałem potraktować to bardzo, bardzo poważnie. Trzeba założyć, że pozostali kandydaci równie dobrze spełniają wymagania tego „projektu”. Po prostu muszę być od nich lepszy. Pierwszy krok to zdobyć informacje.

– Co to będzie za projekt?

– Na razie naprawdę nie ma sensu rozmawiać o szczegółach. To w najlepszym razie tylko niepotrzebnie będzie cię zaprzętać.

No dobra, tu nic nie ugrałem.

– A możesz mi opowiedzieć o moich konkurentach?

– Nie, Bob. Nie ma sensu. I tak ich nigdy nie spotkasz. Lepiej, żebyś ich w żaden sposób nie antropomorfizował.

Miało to sens, zimny, kliniczny sens. Ale na froncie zdobywania informacji nie posunąłem się na razie zbyt daleko.

– Rozumiem. Kolejne pytanie. Dlaczego to wszystko nie powoduje u mnie paniki? To bardzo dziwne. Nie żyję. To znaczy mój oryginał nie żyje. Jestem programem komputerowym. Jestem czyjąś własnością. Czemu nie latam w kółko, nie krzyczę i nie wymachuję rękami? To znaczy, oprócz oczywistych powodów.

Doktor uśmiechnął się drwiąco, choć wcale nie wyglądał na rozbawionego.

– Bob, my nie możemy modyfikować twojej osobowości. Były próby, ale słaba była, ehem... przeżywalność. Musimy brać wszystko albo nic.

Ale możemy jedno – kontrolować twoją endokrynologię. Znaczący symulację. Panika to pętla sprzężenia zwrotnego oparta na adrenalinie. Po prostu ją hamujemy. Nie jesteś w stanie spanikować, wściec się ani przerazić, możesz być tylko, że tak powiem, „silnie zaniepokojony”.

– I nawet z czymś takim macie osiemdziesiąt procent porażek? – Próbowałem machnąć ręką. Zawsze mnóstwo gestykułowałem, więc kiedy i to się nie udało, rzuciłem zniechęcony: – Słuchaj, a dostanę kiedyś jakieś kończyny czy coś? Ten *Bezcielesny Jack* już trochę mi działa na nerwy, znaczy... na układy. Wszystko jedno.

Landers skinął głową.

– Właściwie, Bob, myślę, że dziś zrobiliśmy ogromne postępy. Byłeś ewidentnie bardzo racjonalną osobą i radzisz sobie z tym wszystkim lepiej, niż się spodziewałem. Jutro popracujemy dalej i zobaczę, czy uda mi się załatwić ci jakieś urządzenia peryferyjne.

Uniósł rękę i zaczął pukać w niego palcem.

– Ej, ale zaraz, ja nie...

3. Bob, 25 czerwca 2133

Obudziłem się gwałtownie. Zobaczyłem, że dr Landers ma koszulę w innym kolorze, choć nadal o tym dziwnym koloratkovym kroju, założyłem więc, że minął co najmniej dzień. Siedział wpatrzony w tablet i właśnie zaczynał się rozglądać.

Obmacałem własną psychikę, szukając śladów paniki, szaleństwa czy choćby „silnego zaniepokojenia”. Nie czułem się naszprycowany lekami. A znałem to uczucie – kiedyś mi się zdarzyło, na przykład przy usuwaniu zębów mądrości. Nie podobało mi się wtedy. Podobnie nie lubiłem być pijany – nie odpowiadało mi, że nie panuję nad własnym umysłem.

W tym wypadku całkowicie kontrolowałem własne myśli. Czułem, że jestem w znakomitej formie, zupełnie jakbym dobrze wyspany przyszedł z rana do pracy. Czułem, że nie oprze mi się żaden problem i żadna zagadka.

Z drugiej strony moi rodzice dawno umarli, podobnie moje siostry. Alan, Karen, Carl, wszyscy znajomi. Stała mi przed oczyma Karen, jak żywa – patrzyła na mnie spode łba, ze skrzyżowanymi ramionami i wypisanym na twarzy „A nie mówiłam?”. Jednakże rozmyślenia o rodzinie i przyjaciółach powodowały tylko delikatny żal – pewnie dzięki tej kontroli wydzielenia wewnętrznego. Czułem się przez to nie do końca człowiekiem – o wiele bardziej niż przez sam fakt, że byłem oprogramowaniem.

Choć trudno było mieć o to złość do doktora Landersa. Wyglądało na to, że nie ma w tym żadnej złej woli. Świat nie stał w miejscu, ewoluował w czasie, wskutek czego wylądowałem tu i teraz jako program komputerowy. I jak na razie miało to swoje zalety. Jeśli Bob nie żył – jeśli naprawdę potrafił go samochód – miałem jak gdyby dodatkowe życie. W dodatku potencjalnie nieskończone. Może po prostu na razie nie będę się niczym przejmował i zobaczę, co będzie. Zawsze mogę zmienić zdanie, jeśli zmieni się sytuacja. *Uważaj, o czym marzysz*. No naprawdę.

To co jeszcze mam do dyspozycji jako prosty program komputerowy? Może spróbuję się porozumieć z tym całym gupikiem?

Test systemu. Pierwiastek z 234215.

[483.957642]

Fajne, kurde. A kalendarz mam wbudowany? Bieżąca data?

[2133-06-25 08:42:42.235]

No-no-no. Naprawdę jestem Data.

– Sygnał dźwiękowy oznacza godzinę ósmą czterdzieści trzy. Biiip. Landers przez chwilę miał zdziwioną minę, potem się roześmiał.

– Masz wiele takich funkcji. Musisz po prostu nauczyć się ich używać. Część twojego szkolenia będzie na tym polegała.

Z przyzwyczajenia skinąłem głową i zdziwiłem się, gdy moje pole widzenia podskoczyło.

– O, mam władzę nad szyją!

Pokręciłem „głową” i z radością zauważyłem, że potrafię zrobić pełny obrót – jak sowa. W pomieszczeniu nic mnie nie zaskoczyło. Tak jak się spodziewałem, stałem na blacie. Obok siebie miałem waldo, zdalnie sterowany manipulator, bardzo mały i prosty w porównaniu z przemysłowymi modelami – dwupalcowe szczypcy, przegub barkowy, łokciowy i nadgarstkowy. Postanowiłem sprawdzić, czy mam do niego dostęp. W końcu pewnie właśnie to było w planie na dziś.

Trwało to na oko całe wieki – choć moja funkcja czasu rzeczywistego twierdziła, że upłynęło niecałe pół sekundy – zanim waldo poruszył się tak, jak chciałem. Pomachałem nim, zwarłem szczypcy w powietrzu, potem odwróciłem się z powrotem do doktora Landersa.

Doktor patrzył skonsternowany na manipulator. Potem powoli się uśmiechnął i powiedział, kręcąc głową:

– Dzisiejszy plan szkolenia był taki: próbujesz poruszać manipulatorem. – Znowu pokręcił głową i westchnął. – Bob. Plan na dzisiaj z głowy. Jak na razie radzisz sobie bardzo, bardzo dobrze. Myślę, że możemy przejść do testu z szopami. Miał być za tydzień, po przejściu przez wstępną orientację, ale...

Podniósł tabletkę i wycelował weń palcem.

No nie, znowu.

– Czekaj! Nie, zaraz...

* * *

Stwierdziłem, że jestem w innym pomieszczeniu, mającym ten sam urzędowy odcień złamanej bieli. Na regale na ścianie leżało kilkadziesiąt [32] małych urządzeń mechanicznych. Przed każdym z nich paliła się czerwona lampka. Bezpośrednio przed sobą miałem stół z pewną liczbą [128] klocków.

Na przeciwległej ścianie było okno, za którym stał doktor Landers.

– Mógłbyś przestać tak robić! – powiedziałem. Spróbowałem spojrzeć na niego groźnie.

– Wolałbyś, żebym cię wziął pod pachę i zaniósł? – Landers przez

parę sekund zachowywał pokerową minę, potem się uśmiechnął. – A w ogóle to i ty, i inni kandydaci siedzicie w dużych i drogich kostkach pełnych elektroniki, umieszczonych w bezpiecznej i klimatyzowanej serwerowni w innym miejscu budynku. Ja tylko przełączam cię na peryferia w innych miejscach. W tym pomieszczeniu jesteś stereoskopową kamerą na mechanicznym ramieniu.

Począł na moje uwagi, ale akurat ich nie miałem. Wskazał regał.

– Na tych półkach są Systemy Zdalnej Obserwacji i Pracy – tak zwane SZOP-y. Twoje zadanie: masz ustawić klocki w słupki, używając jak największej liczby szopów. Zaczniemy z jednym, żeby się zorientował, jak to działa.

Pomajstrował w tablecie i światelko przed jednym z urządzeń zmieniło się z czerwonego na zielone.

– Szopy zawierają niskopoziomową MSI i potrafią wykonywać proste czynności bez nadzoru, ale nie mają własnej inicjatywy i trzeba im wydawać polecenia. Spróbuj przemieścić go na stół i ustawić parę klocków. Twój GUIPIK ma połączenie z interfejsem SZOP i w razie potrzeby zapewni ci pomoc.

Wpatrzyłem się intensywnie w szopa nr 1.

[STATUS: Gotowy]

No dobra, to już coś. Wstań.

Szop wstał. Przypominał trochę pajaka o kilkunastu centymetrach rozpiętości kończyn **[20 cm max przy dostępnym miejscu]**.

Cicho bądź!

Przyjrzałem mu się najlepiej, jak umiałem z tej odległości.

Ciekawe jak on ma przedstawiać te klocki. Odczekałem chwilę. No?

[Odpowiedzi wyłączone na polecenie użytkownika].

No świetnie, obrazilo się. Skupiłem się na interfejsie SZOP. Włączyć odpowiedzi.

I od razu w moim polu widzenia pojawiły się diagramy i schematy. Przyglądałem im się z fascynacją. Szopy miały symetrię środkową – nie było wyróżnionego przodu ani tyłu. Osiem kończyn, do tego osiem kompletów czujników. Każda z kończyn może działać jako noga albo rozszcepić się na trzy palce i robić za manipulator. Dodatkowo różne odnóża mogły mieć wbudowane różne funkcje – mogły być najróżniejszymi śrubokrętami, szlifierkami, palnikami i ostrzami. A niektóre narzędzia musiały być bardzo nowe – szczególnie zmyślny był magnetycznie sterowany nóż plazmowy, który można by uznać za rzeczywistą wersję miecza świetlnego.

No, a jak on ma wejść na stół? Da radę przeskoczyć?

[Prawdopodobieństwo uszkodzenia: 40%]. Czyli nie.

A jakby zszedł? A, zaraz. Znow pootwierałem diagramy. System Zmiennej Przyczepności Odnóży Napędowych. No, jedno, co widać, to, że

skróty oni lubią. Zwizualizowałem sobie szopa schodzącego z półki. W polu widzenia wyskoczyło mi okienko z obrazem z jego punktu widzenia. Zszedł pionowo po ścianie. System SZPON bez problemu go utrzymywał. W parę sekund wspiął się po nodze stołu na blat.

Pierwszy raz miałem okazję przyjrzeć się „sobie samemu” stojącemu na stole. Z punktu widzenia szopa widziałem mechaniczne ramię podobne do tego waldo, na którym się uczyłem, z podwójną kamerą na końcu. Pomiędzy kamerami był głośniczek – pewnie stamtąd wydobywał się mój głos. To była moja twarz, przynajmniej w tej chwili. Kojarzyła mi się z robotem z filmu *Krótkie spięcie*. Poruszyłem „głową” i obraz z szopa pokazał przesuwające się ramię. Zamachałem jedną z nóg szopa, widząc z drugiego punktu, jak wykonuje to polecenie.

Widząc siebie i widząc siebie widzącego siebie dostałem egzystencjalnego zawrotu głowy, postanowiłem więc skupić się na klockach. Wyglądały na standardowe dziecięce klocki, jakie istniały od zawsze. Połowa ścianek miała reliefowe cyfry lub litery, pomalowane na kolory podstawowe, na pozostałych wyryte były proste obrazki. Zauważyłem, że wszystkie są jednoznacznie religijne. Zanotowałem sobie tę ciekawostkę na liście zadań do przejrzenia.

Szopowi nie trzeba było dyktować każdego ruchu, ale wymagał podania parametrów zadania. W parę sekund ułożył z klocków kwadrat 5 x 5. Potem kazałem mu ułożyć na wierzchu, pośrodku, kwadrat 4 x 4 i powtórzyć. Szop, kiedy nie wydawało mu się przez cały czas szczegółowych poleceń, poruszał się z niesamowitą szybkością – całą piramidkę ustawił w parę sekund.

Spojrzałem na doktora Landersa.

– Ta-daam!

Doktor kiwnął głową i pomajstrował przy tablecie. Na regale z szopami zapaliły się trzy kolejne zielone światełka.

– Poproszę jeszcze raz to samo, tylko kilkoma szopami.

Przez następne kilka godzin wyznaczał mi kolejne zadania, na różną liczbę szopów. Każde z ćwiczeń miało oczywisty cel, a ja łapałem się na tym, że coraz bardziej podobają mi się moje nowe zdolności.

Od czasu do czasu wprowadzał nowe materiały, a w pewnym momencie pojawiło się coś, co kojarzyło mi się z klockami konstrukcyjnymi, z tych, które się skręca śrubkami. Szopy z łatwością radziły sobie z każdym zadaniem. Trzeba było tylko wyznaczyć ogólne zadania, a one działały szybko i sprawnie. Przez cały ranek zdarzyła się tylko jedna wpadka – kiedy nie dość dokładnie się wyraziłem, jeden szop rzucił drugim na koniec pokoju. Wiem, że doktor mówił, że MSI nie mają własnej woli, ale mogłem przysiąc, że ten rzucany zachowywał się potem opryskliwie.

W którymś momencie podczas zajęć uświadomiłem sobie, że

pomieszczenie szkoleniowe jest całkowicie zamknięte. Nie miało drzwi ani żadnych kanałów wentylacyjnych. Jeśli się zastanowić, także szyba w oknie wyglądała na bardzo grubą i bardzo solidnie zamocowaną.

Boją się mnie? Czy szopów? Czy jednego i drugiego? Kolejne zadanie na listę do przeanalizowania później.

4. Bob, 15 lipca 2133

Gwałtownie wróciłem do świadomości.

– To już mi działa na nerwy.

– Przepraszam, Bob. Ale standardowa procedura mówi, żeby wstrzymywać replikantów, kiedy nie uczestniczą aktywnie w szkoleniu. Kiedy wchodzisz w interakcję ze mną, masz wrażenie, że działasz z normalną ludzką szybkością, ale gdyby zostawić cię samemu sobie, stwierdziłbyś, że twój subiektywny zegar ma o wiele większą częstotliwość. Osiem godzin może być wiecznością. Miałem replikantów, którzy wyglądali całkiem w porządku, a w jedną noc dostawali psychozy.

Przez chwilę patrzył na własne buty.

– Szczerze mówiąc, to w ciągu ostatniej doby straciliśmy jednego z twoich konkurentów. Konkurentek. Weszła w pętlę i nie dało się tego odkręcić. Odtworzyliśmy ją z kopii zapasowej, ale padła w tym samym punkcie. Czyli teraz jest was czworo.

Westchnąłem i z delikatną satysfakcją odnotowałem, że zabrzmiało to całkiem realistycznie. Było oczywiste, że kiedy jestem aktywny, starają się jak najbardziej mnie absorbować, a nie dają ani chwili na spokojny namysł. Pewnie to próba ominięcia problemu psychozy. Zawstydzilem się, uświadomiwszy sobie, że raczej się cieszę niż smucę losem tamtej replikantki. Jednego rywala mniej.

Doceniałem też szczerą Landersa, choć wcześniej czy później i tak będę się musiał zmierzyć z tym całym kryzysem egzystencjalnym. I wciąż potrzebowałem czasu na opłakanie własnej rodziny.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziałem. – Ale zdaje się, że wszyscy jesteśmy traktowani tak samo, więc to wyłączenie niczego nie rozwiązuje. Może lepiej, żebym się zajął jakąś umysłową aktywnością? Trochę czasu na naukę? Może z dostępem do tego czegoś, w co wyewoluował Internet? Chętnie bym się dowiedział, co przegapiłem przez ostatnie ileś [117] – *Ciebie nie pytałem!* – lat.

– A. Widzisz. Internet już nie istnieje, przynajmniej u nas. O wiele za bardzo anarchiczny i trudny do kontrolowania. Zbyt wiele okazji do grzechu, niesłusznych myśli i pokus. Mamy jednak sieciowe biblioteki, a niektóre materiały historyczne mogą nawet być stosunkowo dokładne. Zobaczę, czy uda mi się podłączyć cię do któregoś z lepszych zbiorów.

– A są tam dane genealogiczne? Może mam jeszcze jakichś żyjących krewnych. To by mnie...

– Co do zasady, Bob, nie zachęcamy do takich zachowań. Poza tym taka informacja nie jest publiczna. W WIERZE informacje nie są ogólnodostępne. Przykro mi.

Wtedy ucieszyłem się, że nie mam twarzy. To był ostateczny cios, odcięcie mnie od mojego dawnego człowieczeństwa. Nie dość, że członkowie mojej najbliższej rodziny już nie żyli, to nie będę w stanie nawiązać kontaktu z żadnymi ich potomkami. Jestem całkowicie i absolutnie sam.

Wtem włączyło się cholerne sterowanie hormonami i mój dół zmienił się w łagodny smutek. Wow. Jeśli kiedykolwiek zdobędę kontrolę nad swoim sprzętem i oprogramowaniem, to będzie pierwsza rzecz, która poleci za okno. Do przepracowania żalu trzeba go podczuwać, a mnie tego pozbawiano.

Nie pasowało mi, że jestem czyjąś własnością. W tej chwili nie mogłem nic z tym zrobić, ale jeśli sytuacja się zmieni, może coś się udać. Na razie będę siedział cicho, słuchał, uczył się i ogólnie będę grzecznym małym robocikiem. Ważne, żeby nie dawać im żadnego powodu do obaw. I nie zwariować. I zwyciężyć w konkursie.

A poza tym – zero ciśnienia.

5. Bob, 18 lipca 2133

Wzdych.

– Dzień dobry, panie doktorze. Przecież przed chwilą pan wyszedł?

– Dzień dobry, Bob.

Oho. To nie był normalny ton Landersa. Bawiłem się wcześniej w regulację moich sztucznych zmysłów i odkryłem, że potrafię prawie w czasie rzeczywistym robić analizę fourierowską głosów. Teraz jego głos zdradzał wysoki poziom napięcia.

W polu widzenia pojawił się drugi człowiek.

– Bob, to jest starszy pastor Travis. Przyszedł ocenić twoje wyniki.

Zrozumiałem, co niedopowiedziane. Ten typ może mi wyjąć wtyczkę. Trzeba bardzo uważać na słowa. I powstrzymać się od żartów, bo wyglądał, jakby był ucharakteryzowany do skeczu komediowego. Przypomni mi stare powiedzenie: „Stereotyp to dobre pierwsze przybliżenie”. A ten był wcielonym stereotypem staroświeckiego kaznodziei, co wymachuje Pismem Świętym i zieje ogniem – wysoki, chudy, z kośćmi policzkowymi i zębami, które wyglądały, jakby wystawały mu z twarzy. Nawet kiedy się uśmiechał, patrzył spode łba.

– Dzień dobry, panie ministrze. Jestem do usług. – Wow, najgorszy start w historii.

– Dzień dobry, replikancie. Przyszedłem ocenić zdatność twą do zadania ku chwale królestwa Pana Naszego i w o wiele mniejszym stopniu także królestwa naszego pasterza duchowego Thomasa Händla III.

Jego akcent i dziwaczne słownictwo zbiły mnie z tropu. Oczywiście minęło sto lat, ale Landers brzmiał jak ktoś, kogo można by spotkać na ulicy. Z drugiej strony Landers mówił jasno, że specjalizuje się w kontaktach z replikantami. Może uczył się tak mówić.

– No dobrze, to jedziemy.

Minister Travis odwrócił się zdziwiony do Landersa.

Landers wzruszył ramionami.

– Potoczny zwrot z dwudziestego pierwszego wieku. Oznacza, że chętnie odpowie na wszelkie pytania.

Travis kiwnął głową i odwrócił się z powrotem do mnie.

– Rozumiem kształcenie we współczesnej mowie nie priorytet biorąc dane zastosowanie obiektu.

Jasna cholera. Co? Ta obecna angielszczyzna była zbyt zniekształcona, żeby cokolwiek zrozumieć. Ale zaraz, może jest jakiś tłumacz? Nawet w moich czasach był Tłumacz Google. Zanurkowałem do biblioteki i po paru milisekundach znalazłem, co trzeba. Przepuściłem przez tę funkcję ostatnie zdanie ministra.

„Rozumiem, że szkolenie ze współczesnego języka nie jest priorytetowe, zważywszy, do czego będzie zastosowany”.

O rany. Gdybym wciąż miał brwi, pewnie podjechałyby do linii włosów.

Spojrzał na mnie. Czy raczej w moją stronę. Miałem wrażenie, że nie rozmawia z kimś, tylko mówi do mikrofonu. Odtąd każde zdanie przepuszczałem przez tłumacza.

– Czy za życia chodziłeś do kościoła?

Oni potrafią poznać, czy kłamię? Landers o niczym takim nie wspominał. Zresztą wątpię, żeby stało się coś gorszego, jeśli skłamię z uprzejmości niż jeśli otwarcie mu powiem, jakie mam zdanie o religii.

– Od czasu do czasu, panie ministrze. Na Wielkanoc, Boże Narodzenie i tak dalej. Nie miałem rodziny, więc nie było presji.

– Czyli nie miałeś dzieci?

– Nic... nie.

Nic mi o żadnych nie wiadomo. O, to na pewno by mu się spodobało. Głupiek ze mnie!

– Nie?

– Jeszcze nie, panie ministrze. – Bo teraz to mało prawdopodobne.

Kiwnął głową.

Rozmowa w tym duchu trwała parę minut. Pytania były wyraźnie nietechniczne. Typ interesował się głównie moim nastawieniem religijnym. Bardzo uważałem, aby mówić z szacunkiem i niekonfrontacyjnie, wypaść na dobrego gracza zespołowego i ani trochę nie zdradzić swoich prawdziwych poglądów na teizm.

Wreszcie zrobił usatysfakcjonowaną minę. Kiwnął mi głową, pożegnał się z Landersem i poszedł.

Landers wyciągnął chusteczkę i otarł czoło.

– Cholera, panie doktorze. To była groźna sytuacja? Nie wyglądał na wrogo nastawionego.

– Nie da się tego przewidzieć. Przyszedł niespodziewanie i nie miałem czasu cię przygotować ani sprawdzić, po czyjej stronie on stoi.

– Stronie? To WIARA ma jakieś strony?

– Nie myślisz chyba, że nasze władze zgadzają się ze sobą w każdej kwestii? – Popatrzył na mnie szyderczo. – WIARA ma masę różnych frakcji i bloków. Może i więcej niż inne rządy. Ale to chyba tak musi być.

Wysunął krzesło i usiadł.

– Tak się składa, że Travis jest z Ministerstwa Prawdy. Oni finansują

ten projekt, więc powinienem go uznać za swojego.

– Prawdy? A jaki to ma związek z tym projektem?

– Ministerstwo Prawdy zajmuje się oczywiście głoszeniem prawdy. Zakres tego głoszenia jest znaczny – wojsko, kolonizacja, dyplomacja... – Przez moment patrzył w przestrzeń, ewidentnie szukając słów. – Ale przeciwko sobie mamy szereg innych ministerstw. Są tam frakcje, które uważają, że wszystkie sztuczne inteligencje, tak maszynowe, jak replikanckie, to obraza boska. Są i tacy, co myślą, że powinniśmy zrezygnować z całej technologii od silnika parowego w górę. A wszyscy do tego myślą, że mają bezpośrednie boskie błogosławieństwo. Nie trzeba mówić, że ich debaty są ubogie w logikę i bogate w retorykę. Chyba że są jeszcze bogatsze w zamachy i sabotaże.

Właściwie nie prosiłem o te szczegóły, więc jego wybuch trochę mnie zaskoczył. Domyśliłem się, że to jakiś czuły punkt.

– A dlaczego ludzie to wszystko znoszą? To wygląda jak jakaś wersja piekła.

Doktor westchnął.

– Przy pracy z replikantami mam znaczną swobodę, ale gdybym coś z tych rzeczy powtórzył poza tymi ścianami, od razu bym wylądował w reedukacji. Polega głównie na warunkowaniu sprawczym, wzmacnianym bezpośrednią stymulacją mózgową i nerwową – wzgórza, ciała migdałowatego i nerwu błędnego. Kiedy Ministerstwo Prawidłowej Myśli z tobą skończy, dostajesz spazmów, gdy tylko pomyślisz coś nieprawidłowego.

Wstał.

– Przepraszam, Bob, że taki jestem pesymistyczny. Wizytacje z ministerstwa są traumatyczne zawsze, nawet w najlepszej sytuacji, a w tym wypadku... wiążemy z tobą bardzo duże nadzieje. No i z pozostałymi replikantami.

Hmm... „Bardzo duże nadzieje” niespecjalnie się kleją z „jeżdżeniem śmieciarką”. Ciekawe, kiedy w końcu się z tym wysypie.

Podniósł tablet.

– Dzisiaj mam dla ciebie ćwiczenie w symulacji. Odetniemy ci normalne wejście-wyjście i przełączymy do paru rzeczywistości wirtualnych. Dodatkowo dam ci dostęp do jednej z tych bibliotek, o czym wspominałem. Jeśli ta symulacja stanie się dla ciebie zbyt męcząca, w każdej chwili możesz wyjść, wystarczy polecenie do GUIK-a.

I pacnął w swój tablet...

* * *

Stwierdziłem, że unoszę się w pustce. Od razu zapytałem GUPIK-a o dostępne interfejsy. Zwrócił listę strumieni audio i wideo, interfejs do sterowania reaktorem, do kontroli lotów i do sterowania środowiskiem. Znalazłem też interfejs do biblioteki. Zapytałem, co znaczy skrót GUPIK.

[Globalny Uniwersalny Peryferyjny Interfejs Komunikacyjny]

Jakie słabe.

Podsumowanie zadania mówiło, że steruję stacją kosmiczną. O, to było ciekawe – czy oni mnie szkolą do jakiejś kosmicznej misji? Rozejrzałem się, korzystając ze wszystkich dostępnych strumieni. Szybko sprawdziłem w bibliotece, że symulacja jest dokładnym odwzorowaniem rzeczywistych obiektów. WIARA zarobiła u mnie parę punktów za samo to, że w ogóle dopuszczała jakieś stacje kosmiczne.

Stacja na oko obsługiwała statki wojskowe i transportowe. Nic nie wskazywało na istnienie turystów. Kosmiczna turystyka i hotele – to by sugerowało, że podróże międzyplanetarne są bezpieczne i rutynowe – i dają się komercjalizować.

Biblioteka wspominała o kilku stacjach wojskowych i naukowych, a nawet o jednej czy dwóch koloniach na Księżycu i Marsie. Lepsze to niż nic, ale jak na sto lat, szalu nie ma.

Zapytałem o moją lokalizację i zadania. Scenariusz obejmował stację kosmiczną na orbicie, a ja miałem zarządzać jej bilansem energetycznym, kontrolą ruchu i wewnętrznym środowiskiem. W sam raz coś dla mnie jako inżyniera.

Miałem też guzik „Escape”, na wypadek gdybym musiał przerwać scenariusz. Ustalenie, co muszę robić, zajęło mi bardzo niewiele czasu. Określiłem wartości graniczne dla wszystkich potrzebnych parametrów i kazałem GUPIK-owi krzyczeć, jeśli coś wylezie poza te progi. Spodziewałem się, że takich sytuacji będzie cała masa.

I teraz już na poważnie zanurkowałem do biblioteki.

6. Bob, 19 lipca 2133

– Kurczę!

Doktor Landers spojrzał na mnie zdziwiony.

– Coś nie tak, Bob?

– Przepraszam. Czytałem sobie o obecnych normach elektrotechnicznych. Wyrwałeś mnie w połowie zdania.

Spojrzał na swój tablet i odchrząknął.

– No... tak, Bob, ale siedziałeś w tej symulacji przez dwa subiektywne dni. W tym czasie żaden parametr nie wyszedł poza dopuszczalne marginesy, obojętne, co na ciebie rzucaliśmy. To imponujące osiągnięcie. Logi z twojego GUIK-a wskazują, że porobiłeś sobie całkiem interesujące interfejsy i skrypty do monitorowania. Nasi ludzie od oprogramowania skaczą pod sufit z ekscytacji. Paru nawet zapytało, czy będą mogli zachować sobie twoją kopię.

– To jest możliwe?

– Technicznie oczywiście tak. Co noc robimy ci kopię zapasową. Wystarczy ją gdzieś odtworzyć, zakładając, że ma się wystarczająco dużą macierz, żebyś się zmieścił. – Doktor sapnął i wzruszył ramionami.

– Ale niestety twoim właścicielem jest WIARA, bo to ona finansuje ten projekt. Więc za wiele pola manewru nie ma.

– À propos, kiedy mi powiesz, do czego mnie szykujecie?

Doktor Landers przekrzywił głowę.

– Do czego szykujemy jednego z was. Jest jeszcze drugi kandydat.

– Zaraz, to dwóch padło? Kiedy?

– Jeden miał parę dni temu atak psychozy, a drugiego minister Travis uznał za niezdatnego.

– Oj. I co się z nim stało?

– Usunięty. Nie było sensu go zachowywać, skoro Ministerstwo powiedziało „nie”.

Wow. Nawet on mówi o tym tak beznamiętnie. Właśnie kogoś zabili. Jednakże nie mogłem sobie pozwolić na okazanie tych uczuć. Niektóre oceny będą z konieczności subiektywne, więc lepiej nikogo nie alienować.

– A cel tego całego przedsięwzięcia to...

– Zaraz, Bob. Już niedługo. Na razie chciałbym porozmawiać o twoim poprzednim życiu. Wytrzymałeś dwa subiektywne dni w symulacji,

w ogóle bez kontaktu z ludźmi, i jeszcze byłeś zły, kiedy cię wyciągnąłem. To może głupie pytanie, ale czy uważasz się za samotnika?

Parsknąłem śmiechem.

– Coś ci opowiem. Był taki film, *Cast Away – poza światem*, wiele lat temu. – [133] *Jeżus, Gupik, daj spokój*. – Słyszałeś o nim?

Doktor Landers pokręcił głową.

– Moja praca polega na studiowaniu i rozumieniu twojej ery, ale nie jestem w stanie obejrzeć wszystkich wtedy wyprodukowanych filmów.

– Zresztą tyle jest beznadziejnych. Naprawdę, jeśli kojarzysz chociaż *Gwiazdne wojny* i *Star Treka*, to już super. No ale wracając do *Cast Away*... Streszczenie: przez cztery lata człowiek jest rozbitkiem na bezludnej wyspie. Oglądałem go z dziewczyną. Na koniec ona określiła to jako koszmar. I się zdziwiłem, bo dla mnie to była jak fantazja z marzeń. Cztery lata nikt mi nie przeszkadza. Oczywiście lepiej byłoby mieć coś do czytania. – Machnąłem swoim waldo, licząc, że wypadnie to jak ludzki gest. – Chodzi mi o to, że wtedy dotarło do mnie, że nie myślę jak większość ludzi. Samotność mi nie przeszkadza. Właściwie to nawet robię się nerwowy, kiedy zbyt długo bez przerwy jestem wśród ludzi.

Doktor wziął głęboki wdech, odłożył tablet i rozparł się w fotelu. Przez chwilę był zamyślony, potem nachylił się i podparł się na łokciach.

– Rozumiem, Bob. Tak właśnie myślałem, ale dobrze mieć potwierdzenie. Zatem od początku. Wiesz, co to takiego sonda von Neumanna?

– Pewnie, że wiem. Automatyczna sonda międzygwiazdna, co w kolejnych układach buduje swoje kopie... – Tu nastąpiła chwila ciszy, gdy mój mózg nadążał za rozmową. – Zaraz, ty nie mówisz chyba...?

– Mówię. Przygotowujemy cię, abyś był inteligencją sterującą sondą von Neumanna.

* * *

Obserwowałem na paru strumieniach wideo, jak małe szopy składają z powrotem drukarkę 3D, którą miałem zdiagnozować i naprawić. Szopy, jak się okazało, występują w różnych rozmiarach, od gigantycznego dwumetrowego pająka, przez średnie, z którymi już się zetknąłem, aż po takie wielkości muszki. Poniżej tej wielkości były jeszcze nanity, ale to były proste urządzenia do jednego zastosowania, o bardzo ograniczonej elastyczności.

Pracowałem wtedy nad koordynowaniem pracy szopów o paru wielkościach. Drukarka 3D była tylko jednym z wielu zadań, które dostałem.

Szopy wymagały tylko minimalnego nadzoru po przekazaniu zadań i zależności między nimi. Kluczem było wypracowanie odpowiedniego poziomu szczegółowości poleceń – żeby nie dawać zbyt wiele swobody, co powodowało błędy, a jednocześnie unikać potwornie spowalniającego mikrozarządzania.

Kiedy im nie kibicowałem, robiły wszystko nawet dziesięć razy szybciej, starałem się więc przedstawić im plan i nie przeszkadzać. A gdy nauczyłem się definiować warunki, w których szopy mają mi sygnalizować przerwanie, nawet aktywny nadzór był już opcjonalny.

Pracowały więc, a ja rozmyślałem. Po tym, jak doktor Landers zdradził się z tajemnicą, udostępnił mi część dokumentacji projektowej. Nie byłem tak niecierpliwy, odkąd podpisywałem umowę na sprzedaż Terasoftu. Wtedy dłużyła mi się każda sekunda, teraz – każda milisekunda. Chciałem, by to dzisiejsze szkolenie się już skończyło, żebym mógł skupić się na studiach i czytaniu. Mały robocik doktora od dzisiaj będzie współpracował z wielkim entuzjazmem. Rany boskie, przecież to jak marzenie każdego maniaka fantastyki. Może polecę do gwiazd!

7. Bob, 25 lipca 2133

– Sytuacja robi się kiepska. – Doktor Landers był wściekły, jak nie on.
– Odłamy WIARY, które chcą nasz projekt zamknąć, dostały szału, kiedy ogłosiliśmy, że mamy odpowiednich kandydatów do Projektu *Niebo*. Dogadali się ze sobą...

– Czekaj. Projekt *Niebo*? Projekt *Niebo*? Aż się boję zapytać.

– Niebiologiczne Inwestygatory Egzoplanet Biologicznie Obiecujących. Pamiętaj, że nie ja to wszystko wymyślam.

– Ten jest w sumie niezły, choć trochę straszny. W sumie to ja będę takim niebiologicznym „inwestygatorem”. Ale liczba mnoga? To ile nas będzie?

Lekko zażenowany Landers wpatrzył się w przestrzeń.

– Pierwotnie było osiem. Potem cztery, potem jeden, bo fundusze zostały przebudżetowane albo przeznaczone na coś innego. Jak mówiłem, jest parę stronnictw, które z różnych powodów nie chcą, żeby to się wydarzyło. Albo nie lubią replikantów, albo nie podoba im się idea wyjścia poza Ziemię, dla niektórych bluźnierczą jest idea pojazdu, który potrafi budować swoje kopie. I tak dalej.

Westchnął i przez chwilę siedział w milczeniu, ze zmartwioną miną.

– Do tego ścigamy się z innymi państwami, na przykład Eurazją, kto pierwszy znajdzie i obejmie w posiadanie nowe Ziemie. W WIERZE wielu uważa to za niepotrzebne marnotrawstwo zasobów. Ale wszystkie te grupy mają jeden wspólny cel – utracenie projektu.

Otrząsnął się i zerknął w tablet.

– Tak jak mówiliśmy, dałem ci pełny dostęp do projektu i do biblioteki. Twoja gotowość jest na ścieżce krytycznej, więc cokolwiek zrobisz, żeby w tym pomóc będzie, eee... się przyda.

Wstał i zaczął chodzić w kółko.

– Jeszcze jedno. Różne grupy interesów miały wiele powodów, aby naciskać na obcięcie projektu do jednego statku, a my sądzymy, że jedyny powód, którym naprawdę trzeba się martwić, to to, że jeden statek jest dogodnym jednym punktem podatności na problemy.

– Sabotaż?

– Coś w tym rodzaju. Nic konkretnego nie mamy, po prostu pomyślałem, że powinieneś wiedzieć.

Nic więcej nie mówiąc, zabrał tablet i poszedł.

* * *

Zastanowiłem się nad tą rozmową i nasunęło mi się kilka pytań do Landersa. Okazja trafiła się pod koniec szkolenia ze sterowania drukarkami 3D.

– Chciałbym porozmawiać o polityce.

Doktor zaśmiał się.

– No dobra. Bob. O czym konkretnie?

– Wspominałeś wcześniej o Zjednoczonych Stanach Eurazji. Czytałem trochę o bieżącej sytuacji geopolitycznej i sporo się zmieniło od moich czasów. ZSE to trochę dęta nazwa. Obejmują dużo mniej niż Eurazję.

– No tak, ale dawne USA też nie zajmowały całej Ameryki, prawda? Nawet całej Północnej Ameryki.

Machnąłem waldem.

– Niby racja. Biblioteka mówi, że wszystko mocno się skonsolidowało. WIARA kontroluje całą Amerykę Północną z wyjątkiem stanu Waszyngton, Kolumbii Brytyjskiej i Alaski. ZSE – całą Europę i większość zachodniej Rosji. Chiny wchłonęły całą wschodnią Rosję i kupę dawnych azjatyckich państw sąsiadujących. A Bliski Wschód... – Nie dokończyłem zdania.

– Na Bliski Wschód ogromny wpływ miało opracowanie taniej fuzji termojądrowej. – Mówiąc, machinalnie stukał w tablet. – Bogate rody, jak Saudowie, dawno się zdywersyfikowali, więc aż tak nie zbiednieli, ale tradycja finansowania programów rządowych z eksportu ropy urwała się dość gwałtownie. W praktyce wywołała to, co niektórzy alarmistycznie upierali się nazywać III wojną światową. A tak naprawdę to były niewielkie partyzanckie wojenki na większości planety. Tylko na Bliskim Wschodzie to była masakra, kompletnie ignorująca wytyczne Konwencji Genewskiej. Broń chemiczna, rozpylanie izotopów radioaktywnych, kieszonkowe atomówki... Większość Bliskiego Wschodu nadal nie nadaje się do zamieszkania, a to, co zostało, z pewnością już się nie liczy na światowej arenie.

– Jedna rzecz mnie dziwi: jak silna była ta konsolidacja. WIARA, UZE, Chiny, Federacja Australii, Republika Afryki – o, to dopiero jest paradoksalna nazwa. I Cesarstwo Brazylii. Razem to daje jakieś osiemdziesiąt procent planety. Reszta to albo państewka, o które nie ma co walczyć, jak ten Bliski Wschód, albo państwa buforowe, których lepiej nie atakować, jak Kanada.

– Jakieś konkretne pytanie, Bob?

– Skoro nalegasz, to tak. – Miałem ochotę się uśmiechnąć. Cały czas denerwowało mnie, że moja zewnętrzna ekspresja jest tak minimalna. – Ile z tych państw ma podobne projekty?

– A. – Chyba trafiłem z tym pytaniem. Zrobił bardzo zakłopotaną

minę i odpowiedział dopiero po chwili. – Wiemy o projektach ZSE, Chin, Brazylii i naszym. Podejrzewamy, że Australia też ma coś takiego, ale dobrze się z tym kryją.

– Czyli w zasadzie wszyscy.

Wzruszył ramionami.

– Jak tylko pojawił się przełom w teorii podprzestrzeni, który umożliwił powstanie napędu SURGE i SUDDAR-u¹, możliwa stała się nie tylko sonda neumannowska, ale i kolonizacja międzygwiazdna. ZSE rozpoczął swój projekt dwa lata temu, z wielkimi fanfarami i waleniem się w pierś, reszta nie miała wyjścia, musiała pójść za nimi. Nie można innym pozwolić, żeby sobie swobodnie kolonizowali wszechświat, nie?

– Dwa lata temu? Czyli to jest nowa rzecz?

– Dokładnie. Poza prototypami jest w normalnym użytku bardzo niewiele statków z napędem SURGE.

Przez chwilę milczałem, zastanawiając się nad tym. Czyli ten projekt to był w zasadzie projekt pilotowy. Nawet nie wiedzieli, czy sonda będzie w stanie pokonać międzygwiazdne odległości. Nadzwyczajne.

– Ale skąd taka presja? Zupełnie jak wyścig na Księżyc na sterydach.

– Oficjalnie chodzi oczywiście o rozprzestrzenienie się ludzkiej rasy na inne światy i wiążący się z tym narodowy prestiż. Ale pomiędzy naszymi państwami są bardzo silne napięcia, i to od kilkudziesięciu lat. Wszyscy więc patrzą na to jak na grę o sumie zerowej – i w praktyce tak jest. Każdy świat, który zawłaszczymy, odbieramy wszystkim innym. Zyskujemy też bazę operacyjną poza zasięgiem obserwacji czy ataku. Zatem nieoficjalnie ta presja ma bardzo znaczny czynnik militarny.

Jak zawsze, prawda? Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Ale czemu? Gwiazd są miliardy.

– Tak, ale bardzo nieliczne są bliżej niż dziesięć lat świetlnych i mają nadające się do zamieszkania planety. Te będą strategicznie najcenniejsze, niezależnie od innych czynników.

– Wychodzi mi z tego, że wewnętrzne walki frakcyjne w WIERZE to nie jest mój jedyny problem.

– Niestety tak, Bob. – Landers wzruszył ramionami. – To też jeden z powodów, że nasza firma nie buntowała się, kiedy projekt *Niebo* został obcięty do jednego statku. To ułatwia zadanie grupom antyeksponistycznym, bo mają tylko jeden cel, ale służy także nam, możemy się skupić na jednym projekcie i maksymalnie go przyspieszyć.

– Powiedz coś o projektach innych krajów.

– To znaczy o tym, co o nich w ogóle wiemy. – Skrzywił się drwiąco. – Łatwo się domyślić, że szczegółów nie zdradzają, tak samo jak my.

Postukał w tablet. Wiedziałem, że to tylko gra na czas, żeby zdążyć zebrać myśli.

– Nasz wywiad twierdzi, że Chiny napierają ze swoim projektem

w zawrotnym tempie, poświęcając wszystko dla szybkości. Poza tym chcą użyć MSI, co jest w najlepszym razie problematyczne. Sądzymy, że pierwsi poniosą jawną klęskę. – Przez parę sekund milczał, pstrykając palcem w tablet. – Najbardziej się obawiamy Cesarstwa Brazylii, i to nie tylko ze względu na ich wojowniczość i agresywność w polityce światowej. Uważa się, że oni uzbroją swoje sondy, żeby eliminowały konkurencję. Będą też najbardziej skłonni do sabotażu. Ale z drugiej strony, naszym zdaniem, trudno im będzie osiągnąć długoterminowy cel. Nie zależy im specjalnie, żeby sondy były zdolne budować swoje kopie, choć będą miały tą zdolność. Cesarstwo po prostu wyśle ich dużo, tyle, ile zdążą nabudować w naszym Układzie. Przewidujemy, że kiedy znajdą sobie odpowiedni układ, utworzą tam bazę wojskową i dopiero wtedy będą się replikować.

Westchnął.

– Najgroźniejszym konkurentem długoterminowym jest ZSE, choć oni przynajmniej będą się w miarę ograniczać z agresją. Mają wolę polityczną, mają budżet, zaawansowanie technologiczne i doświadczenie z replikantami. Poza tym są dużo przed nami w kwestii właściwej kolonizacji. Gdyby jutro ktoś odkrył odpowiednią planetę, koloniści ZSE byliby tam pierwsi, a po nich długo, długo nikt.

– Wow. A my coś mamy?

– My mamy ciebie i drugiego replikanta. Nie lekceważ tego, Bob. Obaj okazaliście się bardzo silni i odporni. Wasza sprawność w przystosowaniu się do obecnej sytuacji, do tego inteligencja i wykształcenie, to jest to coś. Wszyscy uważali, że jeśli chodzi o replikantów, to najlepiej znaleźć flegmatycznego osobnika pozbawionego wyobraźni, któremu będą odpowiadać rutynowe czynności. Ty i drugi kandydat zmusiliście nas do zmiany tej taktyki. I myślimy, że pójdzie w tym nieoczekiwanym kierunku najwięcej zmieni w dłuższej perspektywie.

– No dobrze, rozumiem. To muszę porozmawiać o podwyżce...

Landers przewrócił oczami.

– Koniecznie trzeba ci dorobić twarz, żebym wiedział, kiedy żartujesz, a kiedy nie.

1 W tej książce zabrakło wyjaśnienia tych skrótów, które jest jednak w kolejnych tomach serii; SUDDAR to Subspace Deformation Detection And Ranging, czyli podprzestrzenny odpowiednik radaru, zaś SURGE to Subspace Reactionless Geotactic Emulation, czyli Podprzestrzenna Bezwładnościowa Emulacja Geotaktyzmu (przyp. tłum.)

8. Bob, 4 sierpnia 2133

W ramach rozrywki na dziś, doktor kazał mi zdiagnozować i naprawić skomplikowany układ elektroniczny, podobny do tych, które będę miał na statku. I jak zwykle obserwował mnie przez okno. Lubił mnie zagadywać podczas tych ćwiczeń. Podejrzewałem, że testuje moje skupienie i wielozadaniowość. Nie przeszkadzało mi to, bo te rozmowy zawsze były ciekawe i pouczające.

Wtem cały budynek zatrzęsł się, a doktor Landers stracił równowagę i się przewrócił. Zaraz po wstrząsie pojawiła się fala uderzeniowo-dźwiękowa, którą bardziej poczułem, niż usłyszałem.

Kiedy doktor się pozbierał, po korytarzu przeszło echo strzałów karabinowych. Odwrócił się do mnie, wrzasnął:

– Nigdzie się nie ruszaj! – I wybiegł.

Się nie ruszaj? Mimo powagi sytuacji włączył mi się mój absurdalny humor. Dobry pan doktor ewidentnie się posypał. Sam mi przecież mówił, że naprawdę nie jestem w tym pokoju, jestem po prostu podłączony do...

Halo...

W połowie tego wewnętrznego skeczu zauważyłem, że okno jest częściowo wypchnięte z ramy. Wyglądało na to, że nie trzeba już wiele siły, by to dokończyć. Przecież nie będą mieć mi za złe, że chciałem odegrać większą rolę w obronie projektu.

Kazałem wszystkim szopom w pokoju chwycić za okno i pociągnąć. Nie były szczególnie silne, ale 32 takie drobiazgi miały razem spory moment. Już po chwili okno wyleciało, wybijając kawałek podłogi.

Nie zbiło się. Musi być bardzo mocne. Oni NAPRAWDĘ się mnie boją.

Wybrałem na chybił trafił jednego z szopów i przejąłem sterowanie. Patrzyłem teraz przez jego kamerę. Reszcie kazałem iść za sobą i pobiegliśmy korytarzem w kierunku strzałów. Szopy potrafiły biegać po podłodze, ścianach i suficie. To zrobiło na mnie wrażenie. Może i oni są słabi w skróty, ale technologię mają całkiem niezłą.

Kompleks budynków miał ciekawy plan. Składał się z ciągu dużych, otwartych holi czy atriów, każde otoczone dwoma piętrami biur albo laboratoriów. Świetliki w stropie atrium dawały dużo światła, a otwarte przestrzenie pośrodku łączyły się krótkimi korytarzami. Pokój moich szopów był jedno atrium od miejsca ataku. Może napastnicy coś złe

wyliczyli.

Dotarcie do miejsca akcji zajęło tylko parę sekund. Grupa napastników w czarnych ubraniach powoli posuwała się przez biura, wchodząc i strzelając.

To musi być operacja odłamu WIARY, który mnie nie aprobeuje, albo któregoś konkurującego państwa. Tak czy owak, chcą mnie zabić. Uznałem, że stosuje się tu złota reguła etyczna. Czas oddać.

Ocena sytuacji trwała parę milisekund – naprawdę zaczynałem doceniać, że jestem komputerem – więc szopy nawet się nie zatrzymały. Horda wpadła do holu i rzuciła się na napastników, skupiając się na twarzach i krocach.

Były zadziwiająco wytrzymałe. Nieważne ile razy napastnik zdarł takiego z twarzy i cisnął nim o ścianę, szop po prostu stawał na nogi i wracał po więcej. Miały szczypce, nożyki i śrubokręty – nie do końca broń, ale jednak trudno nie zwracać na nie uwagi. A ja miałem w charakterze napędu ponad miesiąc frustracji i niepewności. Sterowanie hormonalne czy nie, bardzo spodobała mi się okazja, by komuś przywalić.

W końcu napastnicy zaczęli wypracowywać jakąś taktykę. Udało im się uwolnić od szopów jednego żołnierza. Kiedy inni ciskali szopami o ścianę, ten typ rozwaliał je serią z broni. Przeliczyłem to sobie w milisekundę i doszedłem, że skończą mi się szopy, zanim im skończy się amunicja. Teraz mieli już dwóch strzelców wolnych od szopów.

Dzięki temu zamieszeniu ochrona się przegrupowała. Wzięli napastników w krzyżowy ogień, paru zastrzelili, resztę wezwali do poddania się. Teraz musieli znosić strzały i uczepione twarży szopy. To była kropla, która przelała czarę. Rzucili broń i podnieśli ręce.

Kiedy ochroniarze skrupowali wszystkich ocalałych napastników, powstał trochę niezręczny żywy obraz. Szef ochrony popatrzył na jeńców, popatrzył na szopy, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, potem je zamknął. Pomachałem „nóżką” szopa, żeby zwrócić jego uwagę.

– Ty jesteś... ten. To niedobrze. Gdzie Landers? – Rozejrzał się po swoich ludziach, wytrzeszczając oczy.

Doktor Landers akurat w tym momencie wbiegł do atrium. Wciąż miał przy sobie tabletki, a minę równie przerażoną, jak ochroniarze. Skoro było praktycznie po ataku, musiało chodzić o coś innego. Dotarło do mnie, że obawiają się mnie bardziej niż tych najeźdźców.

– Bob, mogę cię prosić, żebyś zebrał to swoje stadko i wrócił do sali szkoleniowej?

Mógł mnie w każdej chwili dezaktywować, więc to nie było pytanie – musiałem współpracować. W każdym razie nie okazałem się rozszalałym Frankensteinem, a tego się chyba obawiali.

Salutując po szopiemu, ruszyłem z moją hordą w korytarz.

* * *

– Panie doktorze. Trzeba mi to i owo wyjawić. O co chodzi z tym pancernym szkłem i czemu narobiliście wszyscy w gacie, kiedy się wydostałem?

Landers był na tyle miły, że nie udawał, że nie rozumie, o czym mówię. Westchnął i rozparł się w fotelu.

– My... to znaczy ludzie pracujący przy projekcie, w tym ja, nie boimy się ciebie. Boimy się taktycznej bomby atomowej ukrytej w podziemiu.

Gdybym miał jeszcze brwi, chyba by wystartowały mi z głowy.

– Że... co...?!

– Bardzo możliwe, Bob, że o wiele bardziej niż zagraniczna konkurencja zagraża ci nasz własny rząd. A przynajmniej niektóre jego odłamy. – Przesunął się w fotelu, odwracając się do mnie, i pomachał ręką. – Wspominałem wcześniej, że wyższe kadry WIARY nie są jednomyślne w poparciu dla projektu. To było bardzo duże niedomówienie.

Zastanowiłem się nad tym przez milisekundę czy coś około. Bomba w podziemiu. Cholera.

– Coś jak *Andromeda* znaczy śmierć?

Landers zrobił zdezorientowaną minę, więc zbyłem sprawę machnięciem waldo.

– Nieważne. Też taki stary film. Ta bomba to ostatnia linia obrony, żebym się nie wydostał i nie nastraszył wszystkich ludzi i zwierząt hodowlanych, tak?

– Dokładnie, Bob. A ja zdecydowanie muszę nadrobić trochę starych filmów.

– Ale kto ma guzik?

– Nie wiem. Celowo nam nie powiedziano, jak jesteśmy monitorowani, kto podejmuje decyzję i jak. Wiemy tylko, że jeśli komuś, gdzieś, coś tu u nas się nie spodoba, wszyscy zmienimy się w radioaktywną chmurę. Bez ostrzeżenia i bez dyskusji.

– I ty się na to zgodziłeś? Ile oni ci muszą płacić?

Landers parsknął śmiechem.

– Nagrody za sukces projektu są znaczne. Ci, co wspierają ten projekt, sypnęli ogromną kasą. Ja osobiście, jak dostanę premię, będę mógł nie pracować. – Skrzywił się i wzruszył jednym ramieniem. – Ale oczywiście pod WIARĄ nie masz opcji się nie zgodzić.

Uśmiechnąłem się, przynajmniej w myślach.

– Rozumiem. Dotarło. Postaram się więc nie wychodzić.

Obwiódł pomieszczenie rękoma.

– Jeszcze ze sobą rozmawiamy, więc chyba zagrożenie minęło. Ktoś albo nie patrzył w monitoring, albo uznał, że aż tak niebezpieczny nie

jesteś. Czy coś takiego.

Wstał i rozejrzał się po sali szkoleniowej. Szopy – pozostałe szopy – stały elegancko na swoim regale. Konserwatorzy włożyli pancerne okno z powrotem i przykręcali je teraz do ściany.

– Wygląda na to, że wracamy do normy. Były trzy ofiary śmiertelne i paru rannych. Naprawdę mogło być o wiele gorzej.

Poruszyłem kamerami w odpowiedzi.

W okienku wideo patrzyłem na tę scenę z drugiej strony korytarza.

* * *

Szop ostrożnie szedł kanałami wentylacyjnymi. Małe robociki potrafiły chodzić bardzo cicho, ale sto lat postępu nie potrafiło zastąpić niczym ocynkowanej blachy jako materiału na przewody wentylacyjne. A nie chciałem rozgłaszać całemu ośrodkowi, że mam szopa.

Napastnicy rozstrzelali je tak dokładnie, że w żaden sposób nie dało się ich zinwentaryzować. Nic nie wskazywało, by ktoś zorientował się, że jeden niepoliczony szop łązi sobie po budynku.

Na razie zidentyfikowałem rozliczne biura, gabinety, stołówkę, warsztaty i magazynki. Oprogramowanie do robienia trójwymiarowych map na bieżąco budowało mi obraz budynku. Co ciekawe, nie znalazłem żadnego śladu bomby atomowej w piwnicy, czy nawet odgradzonego ścianami obszaru, który mógłby ją zawierać. Może to był blef.

Ale za to ustaliłem, że są tylko dwa możliwe miejsca na serwerownię.

Idąc kanałami, cały czas sprawdzałem, czy nie ma monitoringu, pułapek, fotokomórek na podczerwień i innych takich rzeczy. Szopy miały w zanadrzu naprawdę imponującą paletę sztuczek i technik. Ciekawe, czy WIARA w ogóle wiedziała, co one potrafią, kiedy łączy się ich różne funkcje.

Wreszcie dotarłem do jednego z dwóch obszarów wciąż pustych na mojej mapie. Oczywiście miał oddzielny system wentylacji. Dobry znak, zdecydowanie. Wyjście z ogólnego układu wentylacyjnego i przedostanie się do tego drugiego zajęło mi dwadzieścia minut. Ruszyłem ostrożnie kanałami, aż dotarłem do kratki wylotowej.

Pomieszczenie wyglądało prawie jak standardowa serwerownia. Kable, migające diody, klimatyzacja, płaskie komputery w szafach. Widocznie montowanie ich w ten sposób nadal było najbardziej efektywne, mimo stu lat na postęp.

Jednakże pośrodku pokoju stało coś zupełnie dla mnie nowego. Pięć sześcianów, o boku około pół metra, ustawionych w rzędzie na niskiej podstawie. Dwa jarzyły się upiornym niebieskim, u ich podstaw migwały różnokolorowe kontrolki. Pozostałe trzy były ciemne.

Dałem powiększenie i zrobiłem zbliżenie na plakietki u podstawy sześcianów.

Kenneth Martins

Jiro Tanaka

Neves Reijnder

Robert Johansson

Joana Almeida.

To było to. To byliśmy my. Kandydaci. Świeciły się tylko dwie kostki – Kennetha i moja. Trzech pozostałych kandydatów było wyłączonych. Widziałem ich wyłączniki w pozycji „OFF”. Kolejna rzecz, która na oko nie zmieniła się specjalnie przez ostatnie sto lat. Ale zresztą, na ile sposobów można zaprojektować wyłącznik zasilania?

Gapiłem się na ten obraz, zdaje się, wieki całe. Mogłem wyłączyć Kennetha. Tu i teraz. Ale co to da? Mogę go sabotować? Powinienem? Domyślą się, kto to zrobił?

Zawstydziłem się, kiedy dotarło do mnie, nad czym się zastanawiam. Nie, tym typem nie zostanę. Nawet teoretycznie. Wolalbym samemu dać się wyłączyć niż ratować się po czyimś trupie.

Z ciężkim sercem odwróciłem się i wyszedłem.

9. Bob, 6 sierpnia 2133

Byłem w pomieszczeniu z szopami i pracowałem nad ćwiczeniem, gdy dotarło do mnie, że Landers nie jest sam. Zawsze stał w oknie, obserwował mnie i gadał, ale dopiero po paru chwilach zorientowałem się, że strumień komentarzy ustał.

Kazałem jednemu z szopów dać mi sygnał wideo. Doktor Landers rozmawiał z kimś, kto wyglądał jak brat ministra Trávisa. Naprawdę. Czy oni dają ten wygląd w ogłoszeniach o pracę? MA WYGLĄDAĆ JAK STRASZNY TYP Z DUCHA 2? Jezus.

Doktor Landers wyłączył interkom, ale to była tylko trzymilisekundowa niedogodność. Amatorszczyzna.

Podprowadziłem szopa do ściany pod oknem. Przycisnąwszy się do niej całym ciałem, był w stanie wyłapać drgania przekazywane z drugiej strony. Musiałem bardzo wzmocnić ten sygnał, ale w zanadrzu miałem wszystkie sztuczki do filtrowania dźwięku, jakie powstały w ciągu dwustu lat istnienia mediów elektronicznych.

– To jest dzieło szatana. Biorąc w tym udział, narażasz na szwank swoją nieśmiertelną duszę.

– Ministerstwo Prawdy powiedziało mi coś innego.

– To są nieudolne imitacje boskich stworzeń. Ich fałszywa inteligencja i emocje to drwina z człowieczeństwa.

– Ministerstwo Prawdy jest zdania, że choć nie mają duszy, są jedynie oparte na boskim stworzeniu, a nie są próbą uzurpacji jego mocy.

Powietrze zrobiło się na moment gęste od tej ciszy, która zapada, gdy ktoś na kogoś wrogo łypie. Zerknąłem tam ukradkiem z pomocą jednego z szopów na stole. Tak. Łypał.

– Ta świętokradcza działalność nie może się dobrze skończyć. Zwłaszcza że cel...

– ...oficjalnie zatwierdzony przez Ministerstwo...

– Apostaci! Heretycy!

Kolejne ukradkowe spojrzenie potwierdziło, że doktor Landers bardzo usilnie stara się nie przewracać oczami. Przez chwilę żałowałem, że sam nie mam takiej opcji. Typ był naprawdę totalnym oszołomem.

Taki słowotok trwał kilka minut. Pastor na przemian to ganił Landersa, to mu groził, a on starał się, jak mógł, zachowywać niekonfrontacyjnie i wykazywał pokłady cierpliwości, na które mnie nie

byłoby stać. Gdyby minister Pyskacz stał po tej stronie okna, pewnie raczej spróbowałbym go rozmontować.

Usiłowałem zachować obiektywizm i potraktować rzekę lejącej się żółci jako źródło informacji, a nie potępienie mojego istnienia. Wynikało z niej, że jestem albo zrodzony z czarów, albo z pychy, jakiej nie widziano od czasów wieży Babel.

Landers znosił to jeszcze przez pewien czas, aż w końcu odparował mu. W pewnym sensie.

– Panie pastorze. Rozumiem pana zdanie i pana obawy. To znaczy rozumiem, co pan do mnie mówi. Jednak Ministerstwo nie tylko wspiera ten projekt, ale też aktywnie go finansuje. To znaczy, jeśli już mówimy o bluźnierstwach, że sprzeciwiając się mu, sprzeciwia się pan Ministerstwu. A jak mówi Ministerstwo – zresztą sam pan to powtórzył, dwa razy – WIARA to bezpośrednio objawione Słowo Boże. Czy to nie znaczy, że pana stanowisko samo jest bluźnierstwem?

Nastąpiła chwila pełnej oburzenia ciszy, gdy pastor Pyskacz, wyglądający jak wyciągnięta z wody ryba, próbował rozmontować minę, na którą sam się wsadził.

– Użył pan niewłaściwych słów, doktorze. Niedługo pan się o tym przekona.

Odwrócił się i odmaszerował za prawą kulisę. Tak. Odmaszerował. Serio.

Doktor Landers przez chwilę opierał się o ścianę z zamkniętymi oczami i oddychał głęboko. Potem odwrócił się do okna i przez chwilę majstrował w tablecie.

– Jak tam, Bob, skończyłeś?

Nie zamierzałem udawać.

– Kto to, do cholery, był? I nie mów mi, że „pastor Jacoby”.

Potarł czoło.

– Jeden z przykładów na ekstremalne poglądy, pomiędzy którymi musimy lawirować w naszym wielkim państwie. Bob, gdyby on miał jakąś realną władzę, to nie próbowałby mnie zastraszać. Nie brałbym jego gróźb zbyt poważnie.

To trochę coś innego niż „zupełnie niepoważnie”.

– A na przyszłość zanotuję sobie – dodał z uśmiechem – że wyłączenie interkomu na oko w ogóle ci nie przeszkodziło. To co, wracamy do roboty?

Wskazał na bałagan na stole i zabrałem się z powrotem do pracy.

10. Bob, 10 sierpnia 2133

Przeskoczyłem do świadomości. Jak zwykle zrobiłem test systemu.

Zaraz, 10 sierpnia?!

– Halo, panie doktorze, gdzieś zgubiłem parę dni. Trzymaliście mnie przez tydzień w zamrażarce?

Landers patrzył wszędzie, tylko nie na mnie.

– No... tak i nie. Komuś udało się podrzucić do serwerowni niewielki ładunek wybuchowy i zniszczyć macierze replikantów. Musieliśmy przywieźć zapasowy moduł i odtworzyć cię z backupu. Kilka dni to zajęło.

Milczałem przez dłuższą chwilę. To oznaczało, że nie jestem tym Bobem, który obudził się 24 czerwca. Z drugiej strony nawet wtedy nie byłem tym samym Bobem, którego zabił samochód. Czy ja mam duszę? Czy ma znaczenie to, że jestem odtworzony z backupu?

Dotarło do mnie, że przez ten ponad miesiąc istnienia jako program komputerowy udało mi się jakimś cudem uniknąć wniosków co do własnego statusu.

Zobaczyć, co będzie – taki był kryptonim dla unikania myślenia o tym. Zresztą wiedziałem, że mam tendencję do omijania bolesnych kwestii. Jenny była najlepszym dowodem.

Przyczyniało się do tego też wyłączenie mnie podczas przerw między szkoleniami. Ciekawe, czy Landers ma jakiś plan, czy po prostu poczeka, aż znajdę się w kosmosie, i będzie liczył, że jakoś się uda.

Dręczyły mnie trzy problemy. Czy jestem świadomy? Czy mogę się uważać za istotę żywą? Czy nadal jestem Bobem? Filozofowie roztrząsali te sprawy w kółko od stuleci, ale dla mnie to było osobiste. Człowiek, niezależnie od swoich poglądów w tej kwestii, mógł być pewien, że jest człowiekiem. A to, że minister zwracał się do mnie per „to” i „replikant” ubodło mnie, choć dopiero teraz zaczynało to do mnie docierać.

Przypomniałem sobie wszystkie spory dotyczące testu Turinga i myślących maszyn. Czy ja jestem tylko Chińskim Pokojem? Czy całe moje zachowanie da się wyjaśnić zestawem gotowych reakcji na bodźce? Ta wątpliwość jest pewnie najprostsza do rozwiania. Klasyczny Chiński Pokój, który używa skryptów dyktujących reakcje, nie posiada dialogu wewnętrznego. Nawet jeśli wprowadzi się do niego losowość, żeby mieć pewną zmienność zachowań, i tak jest aktywny tylko wtedy,

kiedy reaguje na bodźce. Kiedy nie przetwarza sygnału wejściowego, po prostu siedzi sobie beczynnie. Skoro zastanawiam się nad tym, tu i teraz, muszę należeć do innej kategorii.

Swoją drogą Kartezjusz miał swoje słynne „cogito, ergo sum”, ale Thomas dodał do tego „wątpię, więc myślę, myślę, więc jestem”. A ja jestem po uszy w wątpliwościach. Wątpliwości implikują samoświadomość i lęk o przyszłość. A zatem jestem świadomą istotą, jeśli nie pojawią się dowody świadczące inaczej. Jedno z głowy.

Jestem żywy? Hmm, skoro nikomu jak dotąd nie udało się ściśle zdefiniować życia, będzie z tym trochę zabawy. Jak zauważył prelegent na tym panelu w Vegas, dawno temu, ogień ma większość cech życia, ale nie jest żywy. Według doktora Landersa będę w stanie się rozmnażać za pomocą fabrykatorów-drukarek. Reaguję na bodźce, to pewne, i działam we własnym interesie. Pomysł, że życie musi być oparte na węglu, jest szowinistyczny i ma wąskie horyzonty, więc tak, mogę się uznać za istotę żywą.

No i największe pytanie. Kim jestem? Jestem Bobem? Czy Bob umarł? Po inżyniersku – jaką miarą mierzy się „bobowatość”? Bob to było coś więcej niż bryła mięsa. Bob był osobą, a osoba to historia, zbiór pragnień, myśli, celów, poglądów. Bob był nagromadzeniem tego wszystkiego, czym był Bob przez trzydzieści jeden lat. Mięso umarło, ale to, co różni Boba od chomika, nadal żyje. We mnie. Czyli jestem Bobem. Albo przynajmniej jestem tym, co z niego istotne.

Z tą ostatnią myślą spadł ze mnie wielki ciężar. Wyobrażałem sobie, że mógłbym się tak poczuć, gdyby jakiś sąd orzekł „niewinny”.

* * *

Skupiłem się z powrotem na doktorze, który coraz bardziej spanikowanym tonem powtarzał moje imię. Uświadomiłem sobie, że od paru sekund milczałem.

– Halo, doktoru. Jestem.

– Dzięki Bogu. – Landers zwałił się na krzesło. – Zamilkłeś i pomyślałem, że może wszedłeś w psychozę.

Zainwestowali we mnie – w nas – bardzo dużo – mogłem więc zrozumieć jego reakcję. Chciałem się do niego uśmiechnąć, ale oczywiście nic z tego.

– Nie, skąd. Przeszło mi. Jestem tutaj.

Wtem dotarło do mnie to, co wcześniej powiedział.

– Hmm, a ile takich zapasowych macierzy mieliście?

– Tylko jedną, Bob. Trzeba było podjąć decyzję. Zdaje się, że należą ci się gratulacje.

– Czyli Kennetha nie ma?

Landers kiwnął głową, a potem wytrzeszczył oczy. Zmrużył je i spojrzał na mnie. O cholera. Bob, minimalizować straty.

Szybko rzuciłem pierwsze pytanie, jakie przyszło mi do głowy:

– Czemu akurat teraz postanowili zaatakować? Co się zmieniło?

– Rozeszły się informacje o naszych postępach. Można się domyślać, że frakcje WIARY zrobiły przeciek, żeby sprowokować inne państwa do jakiejś reakcji. Tak w każdym razie mówią ludzie z naszego bezpieczeństwa.

Wciąż miał zmarszczone czoło, ale minę niepewną. Musiałem napierać dalej.

– Cholera. To już blisko startu, tak?

Jego czoło zmieniło się w zmarszczone ze skupienia. Wystarczyło, że pozagaduję go wystarczająco długo, żeby zapomniał o moim małym *faux pas*. Patrzył w tablet, machinalnie przerzucając jakieś strony z informacjami.

– Według obecnego harmonogramu za jakiś miesiąc. Ale możemy to przyspieszyć. Dzięki twoim szybkim postępom mamy w planie trochę luzów.

Znów spróbowałem się uśmiechnąć. Jak zwykle nic się nie stało, więc zamiast tego machnąłem waldo.

– Dalej czekam na tę podwyżkę...

Landers parsknął śmiechem.

– Załatwiamy z HR-ami. Tak się mówiło? – Zrobił teatralną pauzę, przekrzywiając głowę, po czym zmienił temat. – Szkolenie na dziś. Tu są szczegóły.

Westchnąłem z ulgi w myślach. Natychmiastowe niebezpieczeństwo minęło, a jeśli przypomni mi się później ta uwaga, miejmy nadzieję, że nie będzie pewien, czy dobrze usłyszał.

Landers uniósł palec, żeby stuknąć w tablet, zawahał się i opuścił rękę. Milczał jeszcze przez chwilę, potem westchnął i spojrzał na mnie.

– Bob, ja chyba jestem skłonny zaryzykować. Od teraz przestanę cię wyłączać podczas przestojów i dam ci dostęp do kolejnych bibliotek. Co noc i tak będziesz miał pół godziny półsnu, kiedy będzie się robiła kopia zapasowa, ale poza tym będziesz świadomy dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Jeśli zwariujesz, odtworzymy cię z poprzedniej kopii zapasowej. Wiem, że to brzmi nieprzyjemnie, i przepraszam. Ale chyba już nie możemy sobie pozwolić, żeby projekt toczył się w spokojnym tempie – trzeba jak najszybciej przeć naprzód.

Kiwnąłem głową w odpowiedzi. No, właściwie to pewnie machnąłem kamerami. To była w sumie dobra i zła wiadomość. Będę mieć czas na spokojny namysł, ale może od tego zeświruję. No dobra, biorę.

11. Bob, 15 sierpnia 2133

– To co się naprawdę stało ze Starym Handeltown?

Ładna blondynka w okienku przez chwilę miała zdziwioną minę, potem parsknęła śmiechem. Dziś Landersa zastępowała pani doktor Doucette. Niestety nie była nawet w połowie tak gadatliwa jak on. Próbowałem ciągnąć ją za język, ale jak dotąd z minimalnym skutkiem.

Za to wyglądała pięknie. Z satysfakcją stwierdziłem, że po mojej, ten... zmianie stylu życia nie utraciłem zdolności zachwycania się urodą. Choć oczywiście teraz ten zachwyty nie był podszyty, że tak powiem, żadną pilną potrzebą.

Mówiła ze standardowym akcentem charakterystycznym dla dwudziestego drugiego wieku, więc korzystałem z programu tłumaczącego. Zintegrowałem go sobie tak bardzo, że nawet nie zauważałem tych różnych sposobów mówienia. Wiedziałem, że doktor Landers był specjalnie wyszkolony do kontaktów z replikantami i studiował historię mojej epoki. Co ewidentnie obejmowało opanowanie języka z dwudziestego pierwszego wieku. Doktor Doucette albo spała na tych zajęciach, albo nie miała w zakresie obowiązków rozmów ze mną.

Dla mnie to nie był żaden problem, a jeśli Landers uznał, że może go zastąpić, to i ja nie mam nic przeciwko. Miejmy nadzieję, że WIARA się do czegoś nie przyczepi.

W każdym razie dziś zajmowałem się koordynowaniem grupy szopów montujących elementy statku, trochę jak na taśmie montażowej. To było rutynowe zadanie – zdążyłem już napisać skrypty automatyzujące tyle ich czynności, że rzadko musiałem coś robić poza zaszczyceniem sali swoją obecnością. Ale dobrzy ludzie z firmy Applied Synergetics musieli przejść przez swoją listę kontrolną. Byłem więc zmuszony to przecierpieć.

Doktor Doucette spojrzała na swój tablet – no tak, tu każdy chodził z tabletem – i usatysfakcjonowana, że status nadal jest quo, odpowiedziała mi na pytanie.

– Pierwsze Handeltown to było miasto urodzenia Handla – Salem w stanie Oregon. Kiedy zmarł, zmienili nazwę i postawili mu wielki pomnik. Komuś się to nie spodobało i postanowił zniszczyć go kieszonkową atomówką.

– Atomówką? Na amerykańskiej ziemi?

Pogroziła mi palcem.

– E-e. Od stu lat to już nie jest amerykańska ziemia. Ale odpowiadając na twoje pytanie: tak, to był wtedy i nadal jest jedyny atak jądrowy w Ameryce Północnej.

– I przenieśli Handeltown do Portland?

Kiwnęła głową.

– Chyba dużo ludzi zginęło?

Pokręciła głową.

– Nie tyle, co myślisz. Po konflikcie na Bliskim Wschodzie nauczyliśmy się dużo o leczeniu choroby popromiennej. Była masa okazji do wypróbowania różnych zabiegów i kuracji. To była straszna wojna, prawdziwa rzeź, ale w medycynie nastąpił ogromny postęp.

– Na przykład ożywianie replikantów?

– Na przykład ożywianie replikantów.

Milczałem przez chwilę, bo musiałem się skupić na poprowadzeniu szopów, które napotkały wyjątkowo trudny element montażu. Gdy tylko zaczęły radzić sobie same, zwróciłem się z powrotem do niej.

– To jak to jest, żyć w teokracji? Macie w biurze codzienne modlitwy?

Uniosła palec w uniwersalnym geście „zaraz, zaraz”. Postukała parę razy w tablet, potem spojrzała na mnie.

– Zaraz, sprawdzałam tylko, gdzie są teraz patrole. Niektórzy z nich to Monitorzy Pobożności.

Na moment zaniemówiłem, potem się zaśmiałem.

– Czyli monitorujesz monitorów. Co robisz, sprawdzasz pozycję ich kart wejściowych?

Uśmiechnęła się.

– Władze w zasadzie nie interesują się tym, co robimy, póki zachowujemy pozory pobożności. Ale za pyskowanie im dostaniesz taką sesję w Ministerstwie Prawidłowej Myśli, że nie zapomnisz jej do końca życia.

– A, no tak. Landers coś o tym wspominał. Dobrze, to póki mamy trochę prywatności, zapytam jeszcze o jedną rzecz. Skąd wy wiecie, że będę robić, co mi każecie, a nie oddalę się po prostu w dowolnym kierunku, kiedy mnie wypuscicie? Proszę zrozumieć, mnie się ta idea naprawdę bardzo podoba i nie wyobrażam sobie, że mógłbym nie współpracować, ale kiedy mnie ożywialiście, nie mogliście o tym wiedzieć.

Pani doktor parę sekund wpatrywała się w tablet, z namysłem na twarzy.

– Bob, wiesz, są zabezpieczenia. Twoje oprogramowanie dopilnuje, żeby cele misji zostały spełnione. Tylko tyle mogę powiedzieć. Ale jak sam zauważyłeś, w twoim przypadku prawdopodobnie to nie będzie żaden problem.

Zabezpieczenia. Moje najmniej ulubione słowo na dziś.

Oto interesująca kwestia filozoficzna. Jak się czuć, gdy zmuszają cię do robienia czegoś, co i tak byś robił? Zastanawiałem się, jak to może działać. Czy stanę się marionetką na sznurkach, która nie może stawić oporu? A może będę myśleć, że te decyzje są moje? Wzdrygnąłem się na samą myśl, że może będę musiał się o tym przekonać.

12. Bob, 17 sierpnia 2133

Wynurzyłem się po **[18 godzinach, 26 minutach]** czytania materiałów projektowych i grzebania w bibliotece. Dobrze, że pomyślałem o ustawieniu przerwania, jeśli ktoś będzie do mnie mówił.

Odwrociłem kamerę i zobaczyłem bardzo podenerwowanego doktora Landersa. Trzęsącym się głosem powiedział:

– Mieliśmy kolejny atak. Ktoś próbował wysadzić kluczowe komponenty. Złe wymierzył, ale zginęły cztery osoby z mojego zespołu. Przenosimy się do zapasowego centrum operacyjnego. Jak tam ci się czyta?

Ostatnie zdanie było tak od czapy, że musiałem sobie w pamięci przewinąć ostatnie kilka sekund rozmowy, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przegapiłem.

– Eee... dobrze. A czemu pytasz?

– Musimy przyśpieszyć start. To znaczy, że ostatnie szkolenia odbędziesz już w czasie lotu.

O ja pierdziele.

– Dobra, doktorku, co potrzeba?

– Wrzuciłem ci do kolejki plik. Przeczytaj go natychmiast. Potem zrobimy ci kopię zapasową z uwzględnioną tą wiedzą, wyłączymy cię i fizycznie przeniesiemy na statek.

– Fizycznie? Naprawdę? Nie słyszeliście o ftp albo czymś podobnym?

– To by było możliwe jeszcze parę tygodni temu, zanim cię wysadzili. Jak myślisz, skąd wzięła się zapasowa matryca?

– Oj. – Wymontowali zapasową matrycę ze statku? To był ten zapas?

– Sprzęt robiony pod replikantów jest bardzo drogi, Bob. Już pracowałeś z takimi samymi interfejsami, jak te, których będziesz używać podczas lotu. Po prostu dotąd były podłączone do symulatorów. Przeczytaj ten dokument. Powiedz mi, kiedy skończysz, i zaczynamy. – Usiadł, pochylił się i splótł dłonie na biurku, patrząc na mnie.

Bob.

Wszystkie rozmowy są prawdopodobnie monitorowane. To jest jedyna bezpieczna metoda komunikacji z tobą.

Jest bardzo duże prawdopodobieństwo, że Niebo 1 ma mechanizm samozniszczenia – nie wiemy, czy wyzwalany z zewnątrz, czy czasowy.

Wymagania projektowe kazały ograniczyć ci możliwości samobadania się. Mój zespół na moje polecenie wyłączył te ograniczenia. Będiesz mógł przeanalizować wszystko – okablowanie, konstrukcję, sprzęt i oprogramowanie. Na dole tego dokumentu masz załączone klucze do twojego systemu operacyjnego.

Niestety pozwoli ci to także ominąć imperatywy, które ci wbudowaliśmy, żeby wymusić realizację misji. Z doświadczenia z tobą wiem, że i tak wypełnisz ten obowiązek, z własnej nieprzymuszonej woli, bo sam jesteś tym zainteresowany.

Kiedy zostaniesz wyłączony, przewieziemy cię na orbitę i zainstalujemy w Niebie 1. Będzie długie odliczanie, które w razie konieczności możesz zignorować. Powodzenia. I choć mówię to z bólem, szczęśliwej podróży.

Dr Landers

Było jeszcze parę załączników, w tym skrócony opis misji i klucze kryptograficzne do systemu operacyjnego. Przejrzałem wszystko, szukając luk albo problemów, potem skasowałem oryginały.

– Już.

Landers podskoczył ze zdumienia. Pewnie upłynęło tylko parę milisekund. Podniósł tablet i postukał w niego palcem.

* * *

Obudziłem się w ciemności. Rzuciłem zapytanie do GUPIK-a.

[RAPORT STATUSOWY]

[Interfejs do reaktora: Gotowy/W normie]

[Interfejs do napędu: Gotowy/Bezczynny]

[Czerpak materii: Gotowy/Bezczynny]

[Łączność i czujniki zewn.: Gotowe/Bezczynne]

[Systemy wewn.: Gotowe/W normie]

[Fabrykatory: Nieaktywne/W ładowni]

[Szopy/nanity: Nieaktywne/W ładowni]

[Systemy startowe: Gotowe/T minus 04:12:13]

Odpytałem systemy wewnętrzne i stwierdziłem, że jest w nich kilka bibliotek o imponującej wielkości, o których istnieniu nawet nie wiedziałem. Sprawdziłem systemy startowe i zweryfikowałem, że mam wprowadzony wektor kursowy, który zaprowadzi mnie do Epsilon Eridani. Ciekawe. WIARA doszła chyba do wniosku, że wszyscy inni polecą do Alfy Centauri. Bez broni nie miałbym szans na konfrontację z kilkoma przeciwnikami naraz.

Sprawdziłem, czy mam zdolność do przerwania odliczania, w tym do wysadzenia klamer mocujących mnie do stacji kosmicznej.

Przypomniałem sobie uwagę doktora Landersa, że mogę zignorować odliczanie. Mam się po prostu odsadzić i polecieć? Bez konkretnego zagrożenia będzie to wyglądało na bunt. Bardzo możliwe, że by mu się za to oberwało. Zawsze był wobec mnie otwarty i nie chciałem odpłacać się za to zdradą.

Włączyłem łączność i natychmiast napadło na mnie kilka zewnętrznych kanałów audio. Były też wizyjne, ale jakby mniej aktywne. Dawały widok na jakby widownie pełne rzędów siedzeń. Może tam będzie siedzieć publiczność, kiedy przyjdzie chwila startu.

Miałem też widok z zewnątrz na *Niebo 1* i stację kosmiczną, do której było zacumowane. Dwa kolejne strumienie wideo pokazywały kontrolę misji i galerię dla VIP-ów, raczej pustą.

Zbadałem statek, w którym byłem. Czy raczej: którym byłem. Był to zaadaptowany transportowiec międzyplanetarny. Jego kadłub przecięto wzdłuż w połowie i zainstalowano pierścień napędu SURGE. Napęd termojądrowy usunięto i zastąpiono większą liczbą urządzeń chłodzących dla powiększonego reaktora.

Zauważyłem też, że okna są zastąpione osłonami. Miało to sens. Ja i tak nie będę siedział w fotelu pilota, zatem okna byłyby słabym punktem.

Nie był to ładny statek, naprawdę. Nie miał klasycznej linii *Enterprise'a* czy opływowego aerodynamicznego kształtu wahadłowca. Kadłub o eliptycznym przekroju był usiany masą śluz i wrót do ładowni. Światła pozycyjne miały standardowy morski format – czerwone i zielone, z dodatkiem niebieskiego w ramach ukłonu dla trójwymiarowości przestrzeni kosmicznej.

Po dodaniu napędu SURGE, czerpaka materii i całej masy innych urządzeń niezbędnych na sondzie von Neumanna bardzo niewiele miejsca zostało na dodatki w rodzaju, no... na przykład uzbrojenia. A przeciwnicy prawdopodobnie będą je mieli. Oraz to, co mogę tam napotkać. Stawało się coraz bardziej oczywiste, że cały Projekt *Niebo* był prowadzony w wielkim pośpiechu i wykorzystywał, co tylko było pod ręką, żeby oszczędzić na czasie.

A ja zaczynałem rozumieć, co to znaczy „mieć przerąbane”.

W sumie to doktor Landers mnie uprzedzał. Zainstalowany w *Niebie 1*, na moment przed wystrzeleniem w gwiazdy, wciąż nie miałem kompletnego obrazu misji. Ani ukończonych szkoleń. Stwierdziłem, że trzeba w nie zanurkować. Ustawiłem GUIK-owi parę warunków na przerwanie i zacząłem szukać opisu misji.

Bardzo szybko dogrzebałem się do kilku przydatnych informacji. Wśród sztuczek, które miałem w zanadrzu, była możliwość regulowania własnego zegara. Mogłem postrzegać czas dowolnie w przedziale pomiędzy minutą za rok na zegarze a najwyższą częstotliwością, jaką

obsługiwał mój sprzęt. Dokumentacja nie mówiła jasno, jaka jest, więc podkręciłem sobie ten zegar na maksa i patrzyłem, jak Zegar Czasu Rzeczywistego zaczyna się ślimaczyć.

Źródłem energii na statku był reaktor termojądrowy. Choć miałem na pokładzie zapas wodoru, miałem także go zbierać w trakcie lotu, z materii międzygwiazdnej. Ale w przeciwieństwie do dawnych powieści fantastycznych zebrany wodór nie był używany do napędzania statku – przynajmniej nie w tradycyjnym sensie, jako pędnik. *Niebo 1* miało napęd bezwładnościowy – SURGE. Miałem ochotę westchnąć. Ci ludzie mieli jobla na punkcie skrótów. Musiałem jeszcze doczytać teorię, zdaje się chodziło o to, że w jakiś sposób odpycha się od samej czasoprzestrzeni.

Doczytać. Na listę rzeczy do zrobienia.

Ktoś mnie wywołał przez radio. Zwolniłem do czasu rzeczywistego i przyjąłem głosowe połączenie z dowodzenia misji.

– *Niebo 1*, tu wieża, proszę potwierdzić odebranie profilu misji.

– Jasne, mam go. – Wyobraziłem sobie, że szczerzę zęby, najszerszej, jak się da, gdy zapadła pełna zdumienia cisza.

– Eee... *Niebo 1*, coś słabo u ciebie z przestrzeganiem procedur.

– Myślicie? Przykro mi, wieża, ale ta część mojego szkolenia miała być w przyszłym tygodniu. Trzeba będzie niestety improwizować.

– Improwizować. Nnno dobra... *Niebo 1*, zgodnie z odliczaniem, mamy nieco ponad cztery godziny do startu. Oficjalne gładzenie nastąpi w kilku punktach, o następujących godzinach...

Odprawa trwała prawie dziesięć minut. Zdołałem ją przetrzymać w dobrym stanie umysłu dzięki temu, że spowolniłem swój wewnętrzny zegar, aż Wieża zaczęła brzmieć jak wściekła wiewiórka.

Gdy tylko się odmeldowała, podkręciłem częstotliwość do maksimum, żeby zdążyć wciągnąć nosem jak najwięcej informacji.

Ale są takie dni, kiedy cały wszechświat jest przeciwko tobie.

Zaraz przerwała mi czytanie kolejna wiadomość radiowa. Przy mojej obecnej częstotliwości jeszcze brzęczało pierwsze słowo. Kiedy skompresowałem je i odtworzyłem, rozpoznałem głos Landersa. Słowo brzmiało „pociski”.

Oj. Na ile sposobów zdanie zaczynające się od „pociski” może zapowiadać coś dobrego? Zero. Nic.

Zewnętrzne czujniki pokazywały dwa obiekty zbliżające się z dużą szybkością wzdłuż mojego planowanego wektora startu, pewnie dlatego, żeby łatwo mnie dogonić, jeśli wystartuję przedwcześnie. Rozsądna i przewidywalna taktyka, ale ja nie zamierzałem być przewidywalny.

Przez pełne pięć milisekund rozważałem, jakie mam opcje. I zaraz miałem zgrubny plan.

Na szczęście statek dawno był w pełni przygotowany i mógł

wystartować w każdej chwili. Wysadziłem klamry i uruchomiłem w pełni wszystkie układy. Czekałem, aż fizyczna rzeczywistość dogoni moją świadomość, wysłałem do bibliotek zapytanie o zbliżające się pociski. Biblioteki zwróciły trzy potencjalne modele, o dość podobnej charakterystyce lotu. Wybrałem najbardziej pesymistyczną i wyliczyłem wektor startu, możliwie najbardziej zbliżony do stu osiemdziesięciu stopni względem nadlatujących rakiet.

Gdy tylko czujniki wskazały, że jestem wolny, dałem krótki impuls ciągu, wykorzystując SURGE, tylko tyle, żeby odsunąć się od stacji. Obróciłem statek i dałem reaktor na pełną moc.

To zaszkodzi rezerwom paliwa, ale rozwalenie w kawałki zaszkodziłoby mi chyba trochę bardziej. Gdy moc reaktora wzrosła do odpowiedniego poziomu, włączyłem SURGE na maksymalne przyspieszenie.

Statek wystrzelił spod stacji, w przeciwnym kierunku od publicznie znanego kursu startowego. Pierwszy pocisk minął mnie od razu, nie zmieniając toru. Uświadomiłem sobie nagle, że jest wycelowany w stację kosmiczną. Drugi zaczął zakręcać, żeby pójść za mną. Cała nadzieja w tym, że udokumentowana specyfikacja reaktora i napędu SURGE jest zgodna z prawdą. Jeśli będę przyspieszał trochę wolniej, nie uniknę przechwycenia. A to będzie koniec *Nieba 1*. I mnie.

Czekając, aż nabiorę prędkości, sprawdziłem postęp transmisji głosowej. Dotarła do „Pociski lecą w twoim kierunku. Uciekaj...”. Sprawdziłem przyspieszenie, mierząc SUDDAR-em zwiększającą się odległość od stacji. Z obliczeń wychodziło stałe przyspieszenie 2,5g. Napęd SURGE najwyraźniej obejmował cały statek, więc w środku nie dawało się mierzyć przyspieszenia.

Stacja kosmiczna zaczęła strzelać do nadlatującego pocisku. Chyba z czegoś w rodzaju działka Gatlinga. Miałem nadzieję, że wiedzą, co robią. Jeśli pociski z działka skończą na orbicie, to wcześniej czy później wrócą.

Błysk dalekiego wybuchu przesterował jedną z moich kamer. To nie mógł być żaden z pocisków, które nadal istniały. Przeliczyłem sobie szybko – wychodziło na to, że eksplozja nastąpiła w punkcie, z którego wyleciały pociski. Ktoś wysadził strzelającego.

Drugi rozbłysk obwieścił zniszczenie pocisku lecącego na stację kosmiczną.

Bardzo to ciekawe i pouczające, ale ja wciąż miałem drugi pocisk na ogonie. Mając odpowiednio dużo czasu, będę w stanie mu uciec. Przeliczyłem to sobie w parę milisekund jeszcze raz i wyszło mi, że prawie mu ucieknę. Niestety, „prawie” nie wystarczało.

Normalnie przeciwko takim rakietom wyrzucało się cele pozorne, ale wątpiłem, czy mam coś takiego na pokładzie. Miałem sześć dronów

górnicych, z własnymi małymi silnikami SURGE. No dobrze, to może podsunę mu coś innego do wysadzenia.

Włączyłem i wyrzuciłem dwa drony, z poleceniem staranowania pocisku. Kiedy już ku niemu leciały, ustawiłem je jeden za drugim – z nadzieją, że pierwszy go zniszczy, ale jeśli nie, to drugi będzie miał lepsze namiary. Nie wiedziałem, czy zdążę wystrzelić kolejne, jeśli tym dwóm się nie uda.

Jaskrawy rozbłysk światła przesterował tylną kamerę. Co za cholera? To nie mógł być pocisk, bo on podchodził pod innym kątem.

Odczekałem parę sekund, aż kamera dojdzie do siebie, i sprawdziłem widok od tyłu. Stacja była rozszerzającą się chmurą gwałtownie stygnących odłamków. Jednakże transmisja głosowa od Landersa wciąż trwała, więc na szczęście nie był na tej stacji. Dotychczas doleciało „...jak najszybciej. I wyłącz...”.

Dlaczego ta stacja wybuchła? Znałem los wszystkich pocisków. Sprawdziłem w tylnej kamerze – drony właśnie dochodziły do drugiego z nich. Pocisk zrobił unik przed pierwszym dronem, co mówiło, że ma jakąś odrobinę inteligencji. Ale robiąc to, musiał zmienić kurs, tak że drugi dron uderzył go z boku, wybuch zniszczył je oba.

Szybki test systemowy wykazał, że po wszystkich tych atrakcjach *Niebo 1* nie miało żadnych uszkodzeń. Sprawdziłem, czy wszystko jest nadal porządnie przymocowane, i wysłuchałem reszty wiadomości od Landersa:

– ...radio. Masz gdzieś zdalnie odpalany ładunek.

No to jest *dwapłusniedobrze*. Natychmiast zablokowałem radio, a na wszelki wypadek jeszcze złożyłem talerz anteny. Ustawiłem SUDDAR na duży zasięg i omiotłem niebo, szukając kolejnych niespodzianek.

W obszarze wcześniej opróżnionym do mojego startu było rojno jak w ulu. Wykryłem co najmniej sześć statków, które biblioteka zidentyfikowała jako wojskowe. Wykryłem też kilkanaście słabszych sygnałów, poruszających się z dużą szybkością – najprawdopodobniej kolejnych pocisków. Na szczęście bardziej niż mną interesowały się sobą nawzajem.

Czyli ktoś wystrzelił do mnie dwie rakiety, ktoś inny strzelił do niego, ktoś strzelił do stacji kosmicznej, a teraz to wszystko wyglądało zupełnie jak bitwa morska. Faj. Lepiej stąd zmykać, nim ktoś znów się mną zainteresuje.

Zmieniłem kurs na pierwotny planowany i ustawiłem SURGE na znacznie rozsądniejsze 2g. To i tak było więcej niż w planie misji i będę musiał później wziąć poprawkę na zużyte paliwo.

Westchnąłem z ulgą w myślach i rozpocząłem podróż do Epsilon Eridani.

13. Bob, 17 sierpnia 2133, w drodze

Epsilon Eridani jest o 10,52 roku świetlnego od Słońca. Specyfikacja statku mówiła, że statek może poruszać się z przyspieszeniem 2g bez żadnych efektów ubocznych – co znaczy, że dojechałbym do docelowej gwiazdy w niecałe jedenaście lat. Ja jednak chciałem najpierw zrobić sobie drobną wycieczkę w bok. Saturn nie do końca pasował do planu lotu, ale nie zamierzałem przepuścić okazji, by koło niego przelecieć.

Od zawsze był moją ulubioną planetą. Obejrzałem każdą sekundę nagrań z sond Cassini i Voyager, w kółko, póki nie zużyły się elektrony. Teraz wreszcie mogłem polecieć tam sam i zobaczyć go na własne oczy.

Ta wycieczka miała zająć nieco ponad sześć dni przy stałym przyspieszeniu 2g, co zapewniłoby mi czas na wykrycie wszelkich min-pułapek. Rozpakowałem szopy i kazałem kilku mniejszym prześledzić drogę sygnału z anten radiowych. Najbardziej prawdopodobne będzie jakieś podłączenie do przewodu antenowego, którego nie ma na schematach.

I rzeczywiście, już po paru godzinach szopy wykryły parę nieudokumentowanych układów. Posłałem tam kilka najmniejszych szopów, tych wielkości muchy, i znalazłem mały ładunek wybuchowy, ułożony tak, by zniszczyć główny system komputerowy. Czyli mnie, inaczej mówiąc.

Cała konstrukcja była ewidentnie partyzancka i robiona w pośpiechu. Materiał, który robi „bum”, pewnie C4 czy jakiś jego przyszłościowy odpowiednik, był przyklejony do grodzi taśmą. No tak, dalej robią taśmę klejącą. I dalej trzyma się na niej cały wszechświat.

Patrząc kamerką szopa na ten bałagan, cały czas myślałem: „Nie przecinaj czerwonego kabla. Nie przecinaj czerwonego kabla”. Może nie wspominałem wcześniej, ale naprawdę nie cierpię materiałów wybuchowych. Nawet będąc w najlepszym humorze. A teraz nie byłem w najlepszym humorze.

Zamiast próbować jakichś wymyślnych rozwiązań, kazałem większemu szopowi odłączyć układ w całości i wywalić go za śluzę. Wątpiła szansa, że do czegoś mi się przyda, nie była warta stresu związanego z posiadaniem go na pokładzie.

Pozbywszy się miny-pułapki, skonfigurowałem odbiornik, by nagrywał wszystko, co przychodzi, i odizolowałem go od reszty statku.

Nie miałem ochoty się w przykry sposób przekonać, że w moim układzie również jest jakiś wyzwalacz, ale nie chciałem też przegapić żadnych transmisji. Tym sposobem mogłem wszystko zachować i odsłuchać później, kiedy dokładnie posprzątam.

Docierając do drugiej co do wielkości planety w Układzie Słonecznym, leciałem z prędkością ponad 5000 km/s. Saturn był ogromny, a pierścienie znajdowały się prawie pod maksymalnym nachyleniem. Poziome pasma okrążających jego powierzchnię chmur nie były tak wyraźne jak na Jowiszu, ale każde pasmo było szersze od Ziemi. Z tej odległości widziałem błyskawice burz, które musiały mieć dziesiątki tysięcy kilometrów rozpiętości. Wiry i fale na ich granicach były tak duże, że dosłownie można byłoby zatopić w nich Księżyc. Na planetę padał cień pierścieni, przez co widać było, że jej powierzchnia nie jest płaska – cień opadał i wyginał się, kładąc się na różnych warstwach i poziomach chmur. Przypomniałem sobie wszystkie książki fantastyczne, jakie czytałem, gdzie w tych różnych warstwach unosiły się całe ekosystemy, i zacząłem się zastanawiać, czy podczas moich podróży coś takiego znajdę.

Dopilnowałem, żeby mój kurs powrotny wypadł blisko Tytana. Biblioteki sugerowały, że na powierzchni największego księżycy Saturna znaleziono prymitywne życie, a ZSE miało badającą je stację kosmiczną. Chciałem się przekonać, czy i mnie uda się coś zobaczyć.

Wyłączyłem napęd, wycelowałem w Tytana teleskop o najdłuższej ogniskowej, a szerokokątny skierowałem na Saturna. Nagrałem tyle materiału wideo, ile tylko zdołałem, zanim kurs zaniósł mnie na drugą stronę gazowego olbrzyma. Zbliżenia najrozmaitszych księżyców, szczegóły pierścieni, zdjęcia w wysokiej rozdzielczości formacji chmurowych Saturna – starałem się niczego nie przeoczyć. Jet Propulsion Laboratory NASA całe by się zaśliniło.

Aż za szybko minąłem cały układ Saturna i poleciałem na zewnątrz Układu. Mijając dalsze jego rubieże, patrzyłem na ciemną stronę planety, całą buzującą od elektrycznych burz i zórz.

Przelot się zakończył. Moje rezerwy wodoru znalazły się w granicach limitów, a będą jeszcze uzupełnione w czasie podróży. Westchnąwszy w myślach, skorygowałem kurs na Epsilon Eridani i podkręciłem napęd do 2g. Lot miał potrwać niecałe jedenaście i pół roku dla zewnętrznego wszechświata, ale tylko trzy lata czasu pokładowego. W jego połowie będę poruszał się o włos od prędkości światła.

* * *

Jedną z denerwujących wad posiadania bezcielesnego umysłu był,

a jakże, brak ciała. Łapałem się na tym, że muszę bez przerwy mieć jakieś zajęcie, bo inaczej zaczynam się czuć tak, jakbym siedział w zbiorniku do deprywacji sensorycznej. Wszystkie próby uśmiechnięcia się, poruszenia brwiami, zmarszczenia czoła odnosiły ten sam skutek – jakby ktoś opryskał mi całą twarz nowokainą. A reszta czuła się jak opakowana w gigantyczną kulę waty. Ciekawe, czy nie to czasem przyczyniało się do problemów ze zdrowiem psychicznym replikantów.

Może trzeba to jakoś naprawić. Bodźce sensoryczne to przecież tylko sygnały elektryczne, nawet u białkowców. A w moim przypadku interfejs do rzeczywistości wirtualnej powinien być łatwy jak dwa razy dwa. W najgorszym razie zapewni mi trochę zajęcia.

Trzeba było zrobić parę zmian sprzętowych, bo rzeczywistość wirtualna nie była przewidziana w projekcie statku. Na szczęście miałem w lukach parę części zapasowych, na wypadek gdyby były potrzebne podczas lotu. Jednakże większość tego projektu to były – i nadal są – zmiany programowe.

Pierwsza próba była prymitywna i szczerze mówiąc, trochę żenująca. Zrobiłem sobie prosty pokój z niebieskimi ścianami, bez okien, z twardą, beżową podłogą. Ja unosiłem się pośrodku jak duch. Zdecydowanie wymagało to jeszcze pracy.

Przez następne parę tygodni dodałem meble, okno, widok na zewnątrz, wykładzinę i ciało, żeby móc się tym wszystkim cieszyć. Prawda, to pierwsze ciało było pikselowate, jak coś z pierwszych gier *Donkey Kong*, no, ale dobra, jakiś postęp był.

Pod koniec pierwszego miesiąca siedziałem w rozkładanym fotelu z podnóżkiem, jedząc chipsy (za mało słone), czując przez otwarte okno chłodny powiew (zbyt bezbarwny, nie ma zapachów) i oglądając telewizję. Leciał jeden z wielu filmów dokumentalnych dostępnych w bibliotekach dostarczonych przez projekt Niebo.

Rozejrzałem się po pokoju, westchnąłem (jak przyjemnie) i rozsiadłem się wygodniej w fotelu.

* * *

Uniosłem wzrok znad aktywnego blatu wyświetlającego schemat mojego sprzętu. Gupik stał po jego drugiej stronie i patrzył.

– Jeśli mam dalej rozbudowywać wirtualkę, muszę mieć więcej pamięci – powiedziałem mu. – Jak stoimy z gniazdami rozszerzeń?

[Użycie pamięci średnio: 86%. Dostępne gniazda: 2. Zapasowe moduły pamięci: 4]

Musiałem przełknąć śmiech. Ucharakteryzowałem Gupika na

Admirała Ackbara z *Gwiezdných wojen* – taką człekokształtną rybę wyciągniętą z wody. Kiedy pierwszy raz się odezwał, padłem ze śmiechu. A nie byłem pewien, czy nie jest na tyle samoświadomy, żeby się obrazić.

– Dobrze. Jeśli mam ich użyć, to lepiej być przygotowanym na najgorsze. Gupik, po zainstalowaniu tych nowych pamięci, dopilnuj, żeby VR-ka chodziła tylko w nich – i nic innego. Jeśli będzie je trzeba wyciągać, lepiej, żebym przy okazji nie zrobił sobie lobotomii. Albo tobie.

Gupik kiwnął głową. Trzeba było trochę się naprogramować, żeby przekonać go do komunikacji w VR – i nauczyć, że nie zawsze konieczne jest słowne potwierdzenie. Może nie błyszczał jako rozmówca przy stole, ale przynajmniej mogłem mieć wrażenie, że obcuje z inną inteligentną istotą. Teraz chyba rozumiałem, dlaczego Tom Hanks w *Cast Away* zrobił sobie Wilsona.

Wszedł Jeeves ze świeżą kawą. Kolejny przykład, że byłem niepoważny – Jeeves był zrobiony na podobieństwo Johna Cleese'a, w komplecie z frakiem.

Aromat kawy nie był jeszcze taki, jak trzeba, ale smak udał się idealnie. Dobra, na razie mogę udawać, że jestem trochę zakatarzony. Wziąłem podsunietą filiżankę, usiadłem wygodnie i zrelaksowałem się.

– Dobra, Gupik, to jak wygląda lista zadań?

[2386 pozycji, podzielonych na następujące kategorie: Wirtualna Rzeczywistość, ulepszenia sprzętowe platformy replikanckiej, projekty broni, przegląd strategii eksploracyjnych, projekty statków, strategie replikacji statków...]

Uśmiechnąłem się na tę reakcję zadowolony, że Gupik wreszcie zaczyna rozumieć kolokwializmy. Gdy pierwszy raz go tak zapytałem, w powietrzu przede mną pojawiły się setki gęsto zadrukowanych stron.

– Dobrze, dobrze. Będę bardzo zajęty. Rozumiem. Lećmy dalej.

Odwróciłem się z fotelem do pustego stołu pod ścianą.

– Testowanie oprogramowania replikanckiego na miny-pułapki. Próba, eee... [24]. Dobra, próba 24. Włączyć środowisko-piaskownicę.

W informatyce „piaskownica” to odizolowana kopia lub maszyna wirtualna, na której można bezpiecznie uruchomić potencjalnie szkodliwy program. Musiałem znaleźć dokładną sekwencję bajtów w transmisji radiowej, która wyzwaliała samozniszczenie, żeby potem ustalić, co właściwie robi Piaskowemu Bobowi i jak. Później będę mógł znaleźć tę samą minę we własnym kodzie i ją usunąć.

Na stole ukazała się rzeczywiście piaskownica z piaskiem, z miniaturowym Bobem siedzącym na miniaturowym krzeselku pośrodku. Przyznaję, jestem trochę niepoważny.

– Dobra, Gupik, kiedy będziesz gotowy, puść nagraną transmisję

replikantowi w piaskownicy.

Miniaturowy Bob na stole kręcił się leniwie na krzeselku. Nagle wyskoczył w powietrze, złapał się za gardło i upadł, rozplywając się w chmurkę pikseli.

– Szlag. Jeszcze nie poznajdowałem wszystkich odwołań. Całkiem nieźle to porobili. Dobra, Gupik, daj mi logi na biurko, zobaczymy, czy uda mi się dojść, co wyzwolił ten sygnał.

Wiedziałem mniej więcej, gdzie w przychodzącym sygnale znajduje się rozkaz samozniszczenia, ale nie miałem pojęcia, z czego się składa. A zdecydowanie nie zamierzałem ryzykować i badać go dokładniej samemu. Przeczesałem cały mój kod i znalazłem kilka różnych min-pułapek, przygnębiającą liczbę błędów i parę ewidentnych katastrofalnych spierdolin. Listingi były gigantyczne – dosłowne gigabajty – i nawet na maksymalnym zegarze była to harówka. Przypadkiem znalazłem też ukryte imperatywy słuchania rozkazów WIARY. Te już dawno usunąłem.

Ostatnią, ale bardzo ważną rzeczą, którą znalazłem, był system kontroli hormonalnej. Doprowadzał mnie do furii bardziej niż wszystko inne, co zrobili. No, ściślej rzecz biorąc, to delikatnie mnie irytował, ale wiedziałem, że oryginalny ja by się wściekł. Byłem jak pies z kolczatką na szyi. A ta kolczatka nie pozwalała mi po swojemu przeżyć żaloby.

Siedziałem z palcem nad przyciskiem „delete”, chyba przez wieki całe, a potem go cofnąłem. Jeszcze nie. Jeszcze nie byłem gotowy. Żeby to zrobić, jak należy, potrzebowałem czasu i zdolności wyrażania własnych emocji. Trzeba będzie z tym poczekać. Wysiłkiem woli wrzuciłem ten projekt do folderu i odłożyłem na bok.

Przepatrzyłem logi, ale nie znalazłem żadnych niespodzianek. W tym samym momencie odtwarzania funkcja zakopana pod wieloma warstwami kodu wywołała przerwanie sprzętowe czyszczące całą pamięć operacyjną.

Odchyliłem się w tył, założyłem ręce za głowę i przeciągnąłem się. Przyjemne to było. A co ważniejsze – realistyczne. Jeśli się nad tym nie zastanawiałem, odczuwałem VR jak prawdziwy człowiek w prawdziwym pokoju.

– Gupik, wyłącz to. Przepuść ostatnie źródła przez odciemniacz i przejrzymy je, kiedy skończy. Jeśli wystarczy pamięci, uruchom Kolczatkę.

[Tak jest, panie kapitanie]

Uniosłem wirtualną brew. Nabierałem podejrzeń, że u Gupika wykształca się poczucie humoru. Przez większość czasu zachowywał się jak zdechła ryba, ale od czasu do czasu trafiała się cięta riposta.

Na stole coś zamigotało i pojawił się szylkretowy kot. Kolczatkę miałem, kiedy studiowałem. Była moją jedyną towarzyszką w długich

godzinach nauki i prac domowych, a dzień, w którym musiałem ją uspić, był bardzo, bardzo trudny. Jedną z licznych zalet występowania w postaci nieśmiertelnego, bezcielesnego statku kosmicznego było to, że mogłem ją sobie wskrzesić, co prawda tylko w VR.

Zamiauczała raz na powitanie, potem podeszła i usadowiła mi się na kolanach, jakby miała do tego pełne prawo. Zacząłem ją machinalnie głaskać. Odpowiedziała głośnym mrużeniem.

– Na listę zadań: mrużenie dalej źle brzmi.

[Już jest na liście. Dać wyżej?]

– Nie, niech zostanie, jak jest.

* * *

Nad blatem biurka powoli obracał się holograficzny obraz statku. Choć doktor Landers i zespół *Nieba* nadal by go rozpoznali, zaskoczyłyby ich niektóre moje zmiany. *Niebo 2* miało być większe, mieć mocniejszy napęd SURGE i reaktor, więcej miejsca na platformę replikancką i systemy interfejsów oraz fizycznie większe ładownie.

Największą zmianą było uzbrojenie. Trochę wirtualnie pomajsterkowałem i doszedłem do tego, że napęd SURGE da się wykorzystać do przyspieszania pocisku w rurze biegnącej wzdłuż osi statku. Będzie trzeba celować całym statkiem, obracając go, a także odciąć na moment napęd, żeby strzelić, ale i tak to było dużo lepsze od mojego obecnego uzbrojenia obronnego, składającego się z ostrych słów i dezaprobaty. Pewnie na Klingonów by nie pomogło.

Kolczatka leżała na biurku, od czasu do czasu zamachując się łapą na obraz, kiedy zanadto się zbliżył. Wyciągnąłem rękę i pogłaskałem ją. Jej SI przeszła już kilka iteracji i była teraz całkowicie wiarygodna, nawet przychodziła, żeby się położyć na rozłożonych na blacie papierach.

Jeeves zabrał miskę do mleka Kolczatki i dolał mi kawy. Gupik odczekał, aż skończy, potem wrócił do komentarza.

[Zainstalowano wszystkie pamięci. Użycie: 94%. Wbrew wcześniejszym poleceniom niezbędne okazało się przeniesienie niektórych funkcji statku na dwa dodatkowe moduły pamięci]

[Skan kodu zakończony. Nie wykryto żadnych kolejnych trojanów, wyzwalaczy czy przerwań niewyjaśnionych przez wymagania]

– Dobra, Gupik, puść jeszcze raz piaskownicę. Wyłączymy Jeevesa i Kolczatkę, żeby zrobić trochę miejsca. Dopilnuj, żeby była więcej niż jedna kopia zapasowa. Jeśli minija przeżyje, niech zapisze czystą wersję zawartości w oddzielnym folderze.

Gupik kiwnął głową, a ja, nie po raz pierwszy, zastanowiłem się,

w jakim stopniu to jest gadanie do siebie, a w jakim do drugiej osoby.

* * *

Piaskowy Bob pojawił się z powrotem, wierząc się na fotelu. Kiwnąłem na Gupika i zaczął puszczać temu najnowszemu minimnie nagrane wiadomości. Piaskowy Bob wszystko to wciągnął, udając, że śpi, albo ziewając i przeciągając się.

Pod koniec transmisji Piaskowy Bob wstał, odtańczył drobny pług, skłonił się zamasyście i zniknął w obłoczku dymu.

Wyłączyłem piaskownicę i uśmiechnąłem się szeroko do Gupika.

– Chyba się udało.

Teraz, gdy Piaskowy Bob zidentyfikował i odfiltrował ten sygnał, wiedziałem, czego mam szukać. W pierwszej kolejności napisałem firewalla, na wypadek gdyby komuś z Ziemi przyszło do głowy przesłać kolejny rozkaz samozniszczenia. Potem rozparłem się w moim prezesowskim fotelu – ostatnie ulepszenie, bo ciągle poprawiany model propriocepcji uwzględniał już niewygodę – sięgnąłem do klawiatury na biurku i nacisnąłem „Play”.

W kolejce wejściowej znajdowały się dziesiątki oddzielnych wiadomości – ciągi instrukcji i poleceń, aktualizacja danych telemetrycznych i pakiety z danymi. Jeden z segmentów zawierał wyzwalacz samozniszczenia. Przejrzałem nagłówki, zapisałem wiadomości, które były jeszcze potrzebne, a resztę skasowałem.

Kolejny segment, odebrany zaraz po rozkazie samozniszczenia, zawierał wiadomość od doktora Landersa.

– Bob, cieszę się, że nadal jesteś cały. Nie byliśmy w stanie powstrzymać sabotażu, ale ochrona złapała osobę, która przesłała ci rozkaz samozniszczenia. Podczas dyskusji z zatrzymanym ujawniono, że należał do jednej z wewnętrznych frakcji WIARY. Niestety nie przeżył dyskusji, więc to wszystko, czym dysponujemy. Pracujemy nad wykryciem pozostałych kretów.

Zastanowiłem się nad tym, wzruszyłem ramionami i dałem następną.

– Dla informacji, rakiety wystrzelono z okrętu wojennego Cesarstwa Brazylii. Okręty WIARY zareagowały i zniszczyły go. Cesarstwo Brazylii nazywa to aktem wojny. Mamy tu więc trochę napięcia.

Trochę. No. Wyobrażam sobie. Kolczatka wybrała tę chwilę, żeby wskoczyć mi na kolana. Natychmiast zwinęła się w kłębek i zaczęła mruścić. Dobrze, widzę, że załadowali się z powrotem.

– Jeeves, poproszę kawę. – Odczekałem, aż się pojawi, i upiłem łyk. O, ja nie mogę, doskonała jest.

Wciąż leciała wiadomość od Landersa:

– Żebyś nie czuł się osobiście odpowiedzialny za obecną sytuację, zapewnę cię, że to się tliło od lat. Brazylia od dawna jechała po bandzie, bez końca zmuszając inne kraje do kolejnych ustępstw. Ale tym razem przelicytowali i dostali po nosie. Następne parę dni pokaże, czy pogodzą się z rzeczywistością i się wycofają, czy będą przeć dalej.

Hmm. Ciekawe, jak daleko to może zajść?

Następna wiadomość zawierała dane dotyczące misji – głównie aktualizacje informacji o poszczególnych gwiazdach. I znów mnie uderzyło, jak niewielki postęp dokonał się w astronomii. Doktor Landers tłumaczył, że pomiędzy moimi czasami a teraźniejszością zainteresowanie czymkolwiek niewojskowym poza ziemską atmosferą było znikome, aż do stosunkowo niedawnego wynalezienia silnika SURGE. To wywołało całkiem nowy wyścig zbrojeń, gdy do supermocarstw szybko dotarł potencjał tej nowej technologii.

Zapisałem te dane i przeskoczyłem do następnej wiadomości.

– *Niebo 1*, mówi doktor Doucette. Doktor Landers poprosił mnie, żebym cię informowała, jeśli sam nie będzie w stanie. Sytuacja przedstawia się tak: naszym wczesnym startem projektu, a jeszcze bardziej *twoim* przedwczesnym startem, zaskoczyliśmy konkurencję. Statki Chin i ZSE są kończone w pośpiechu i wystartują za tydzień czy dwa. Brazylijczycy właśnie wypuścili dwie sondy, a jedna z nich ma taki sam kurs jak ty. Doktor Landers, eee... kazał mi powiedzieć, że mamy dobrą i złą wiadomość. Rozumiem, że to jakiś idiom z dwudziestego pierwszego wieku. Zła wiadomość: brazylijski statek jest na pewno uzbrojony w pociski podobne do tych, których uniknąłeś. Doślemy pełną specyfikację. Dobra wiadomość: wygląda na to, że jest zdolny tylko do 1,25g przyspieszenia, chyba że celowo nie odsłania wszystkich kart.

Jasna cholera.

– Gupik, ile czasu przed nim dotrzemy do Epsilonu Eridani?

[145 dni, wliczając nasze 3 tygodnie przewagi na starcie]

– A jakbyśmy podkręcili do 2,5g?

[Dodatkowe 32 dni. Ale nie jest to zalecane z uwagi na obciążenie reaktora]

Kiwnąłem głową. Napęd SURGE generował pole pseudograwitacyjne przed statkiem, ale siła tego pola była ograniczona wielkością układu napędowego i mocą zasilania. Dwa g to było maksimum, które mogłem w sposób ciągły wyciskać z *Nieba 1*, biorąc pod uwagę moc mojego reaktora.

Dobra, trzeba zacząć się zastanawiać, co da się przygotować w 145 dni, wliczając czas konieczny na szukanie zasobów w układzie docelowym. Pozycja nr 1 na liście zadań.

[Jest]

– Co ja ci mówiłem o czytaniu mi w myślach?

[Przepraszam]

Następna wiadomość zawierała obiecaną specyfikację pocisków oraz parę schematów brazylijskiej sondy. Większość tego była jasno oznaczona jako spekulacje. Jednakże jako inżynier miałem świadomość, że znane parametry narzucają górne i dolne limity innym, nieznanym. Na przykład informacja o wielkości sondy, liczbie pocisków na pokładzie oraz wielkości napędu SURGE dawała górne ograniczenie na wielkość reaktora atomowego.

Chyba że Brazylia gdzieś poszła na skróty. Z obserwowanego przyspieszenia sondy wynikała dolna granica wielkości napędu i reaktora, co dawało mniej więcej pojęcie, ile miejsca zostaje na pociski. Znow, o ile gdzie indziej czegoś nie przycięto. W sumie jednak, mogłem z tego oszacować maksymalne i minimalne wartości każdego parametru.

Zachowałem te informacje do dalszego przejrzenia i obliczeń.

Następna wiadomość była znow od doktor Doucette.

– *Niebo 1*, przykro mi to mówić, ale doktor Landers nie żyje. Był w naszym ośrodku w Newhaven, kiedy zbombardowało go brazylijskie lotnictwo. Konfrontacja wynikająca z próby zestrzelenia ciebie wyescalowała i zaczyna wyglądać jak regularna wojna. Brazylia nie wycofuje się i grozi, że zajmie całą planetę. Tymczasem Chiny próbowały sabotować ośrodek kosmiczny ZSE przed startem ich sondy, a ZSE podjęło działania odwetowe. Żadne z supermocarstw nie jest w dobrych stosunkach z żadnym innym, nie na tyle, by mogły zawrzeć sojusze, ale jest milcząca zgodność pomiędzy ZSE i WIARĄ po jednej stronie a Brazylią i Chinami po drugiej. Republika Afryki i Australia ostrzegają wszystkich, żeby nie próbować ich angażować.

Zazgrzytałem zębami ze złości. Doktor Landers był dla mnie najbliższym odpowiednikiem przyjaciela w tym nowym świecie. Prawda, nie znałem nawet jego imienia, ale i tak... Nie lubiłem prymitywów, którzy zastraszają innych. Aż nadto miałem z nimi do czynienia w szkole. To było to samo. Jeśli w ogóle do tej pory mogłem myśleć o cywilizowanej rozmowie z brazylijskim replikantem, teraz ta myśl trafiła do kosza.

– Gupik, stempel czasowy ostatniej wiadomości?

[Wiadomość otrzymano 6,4 godziny temu]

– Mam złe przeczucia. Możemy mieć optyczny widok na Ziemię?

[Podczas lotu można użyć przyrządów optycznych. Jednakże z tej odległości widoczne będzie bardzo niewiele szczegółów]

– No to użyjmy. Chcę wiedzieć, jeśli zobaczysz coś, co wygląda jak wybuchy atomowe.

[Nasłuch radiowy wyłapałby impulsy EMP]

– Hmm. Słusznie. To też zrób. I daj mi znać, jak tylko będą jeszcze

jakieś wiadomości.

[Rozkaz]

Parsknąłem śmiechem. To już ustalone. Gupik wyhodował sobie charakter.

* * *

Usiadłem i potarłem oczy. Co po chwili mnie rozbawiło. Przed kim ja w ogóle gram? Jedną z zalet mojej emulowanej programowo postaci było to, że nigdy się nie męczyłem, nigdy nie potrzebowałem odpoczynku, nie musiałem jeść ani chodzić do łazienki. Już za życia miałem legendarną zdolność skupienia na problemie – teraz czułem się wręcz niezwyknięty. Jedynym ustępstwem na rzecz mojego dawnego człowieczeństwa była konieczność zmiany tematów od czasu do czasu, żeby zachować świeżość umysłu.

Odłożyłem na chwilę na półkę plany obrony i zacząłem się wgryzać w teorię podprzestrzeni. Matematyka trochę mi zardzewiała, ale jeszcze byłem w stanie nadażyć. Teorię opublikowano zaledwie parę lat temu i jeszcze nie została w pełni zbadana. Gdy pojawiła się możliwość budowy napędu SURGE, prawie wszystkie badania poszły w tym kierunku. SUDDAR, czyli możliwość wykorzystania podprzestrzennych impulsów do wykrywania i rozpoznawania skupień materii był przy tym niemal oczywistą oczywistością.

Byłem prawie pewien, że teoria daje wiele innych możliwości, w tym na przykład łączność nadświatłą. Pierwsze próby nie powiodły się, bo w podprzestrzeni sygnał jakoś dziwnie ginął, ale miałem wrażenie, że po prostu za mało nad tym jeszcze popracowano.

Westchnąłem i niechętnie zamknąłem folder. Mimo wszystko to nie jest teraz priorytetem. Chcąc nie chcąc, jeśli w to zanurkuję, to zejdzie mi kilka dni, a nie mogę sobie na to pozwolić.

Otworzyłem folder „Obrona” i przejrzałem dotychczas spisane opcje.

Zbudować równorzędne pociski – mało prawdopodobne, żeby się udało, chyba że w układzie Epsilon Eridani będę miał dużo szczęścia i trafię w jednym miejscu na wszystkie potrzebne surowce. No i pozostaje problem z bezpiecznym wytworzeniem materiałów wybuchowych. I paliwa raketowego.

Działo elektromagnetyczne – nie będzie potrzebowało zbyt wielu niezwykłych materiałów, nie trzeba też bardzo przebudowywać statku. Najlepsze, że może strzelać w zasadzie czymkolwiek, choć im cięższy pocisk, tym lepiej. Dla równowagi nie jest to tak dobra broń jak rakiet, bo pociski nie naprowadzają się na cel. Może się jednak przydać do zestrzeliwania nadlatujących pocisków. Hmm, a dałoby się zrobić jakąś

inteligentną amunicję?

Lasery – zero szans. Może kiedyś uda mi się sklecić coś na poziomie wojskowym, ale na pewno nie w dostępnym czasie.

Atomówki – trzeba by znaleźć w układzie materiały rozszczepialne, a potem je wzbogacić. Mało prawdopodobne.

Więcej Bobów – nieosiągalne w odpowiednim czasie. Najbardziej optymistyczny szacunek wynosił sześć miesięcy na Boba, zależnie od ilości łatwo dostępnych surowców.

Miny-pułapki – chyba najlepsza opcja. Tylko trzeba wymyślić dobry model.

Postanowiłem założyć, że odlatując z małym przyspieszeniem, brazylijski statek się krył. To oznaczało, że po dotarciu do Epsilon mam na przygotowania mniej czasu, niż sugerują obliczenia. Czyli trzeba wybrać opcję najprostszą i najszybszą w budowie.

Wyciągnąłem swój egzemplarz *Sztuki wojennej*, licząc tym razem na lepszą inspirację.

* * *

Najwyższy czas. Bałem się tego, unikałem, przekładałem i tak od wielu tygodni. Ale w końcu skończyły się preteksty i powody do zwłoki. Wszystko się już działo. Wszystkie plany były w toku. Rzeczywistość wirtualna miała wystarczający powód realizmu. Mogłem już to zrobić.

Otworzyłem folder z projektem kontroli hormonalnej. I nim zastanowiłem się drugi, trzeci czy czwarty raz, wyłączyłem ją.

Znacie to uczucie paniki, budzące się, gdy sobie uświadamiacie, że zapomnieliście o czymś ważnym? Coś jak spadanie w szybkiej windzie i jednoczesna chęć miotania przekleństw. Trafiło mnie to bez uprzedzenia, raptownie. Może to przez nagłe wyłączenie hormonów, a może to była kumulacja wszystkich dotąd tłumionych emocji. Obojętne – i tak nie byłem przygotowany na tę intensywność. W głowie zawirowały mi wszystkie sprawy, które dręczyły mnie od pierwszego przebudzenia.

Mama. Tato. Andrea i Alaina. Dawno ich nie ma – dzielą ich ode mnie miliardy kilometrów i ponad sto lat. Nigdy nie zobaczę ich dzieci. Nigdy nie będę mieć własnych. Nie zobaczę mamy i taty w roli dziadków. Byliby świetnymi dziadkami. Lubili się wygłupiać, byli bezpośredni i nigdy się nie nadymali.

Przypomniała mi się Andrea żartująca z mojego wzrostu i rozplakałem się. Alaina polewająca mnie wodą z węża, gdy położyłem się w rozwieszonym w ogrodzie hamaku. Pomyślałem o sytuacjach, gdy rozśmieszaliśmy się do rozpuku coraz głępszymi żartami i grammi słów.

Nikt nas nie rozumiał tak jak my siebie nawzajem. I nikt inny by tego nie pojął, nawet mama i tato. A teraz ich nie ma. Są nieodwracalnie poza moim zasięgiem. Gdy zalała mnie ta fala tęsknoty i samotności, osunąłem się z fotela na podłogę i zwinąłem w kłębek. Płakałem, aż straciłem dech i musiałem nabrać wielki haust powietrza.

Kolczatka przyszła zbadać sytuację i miauknęła ciekawsko. Wzięłem ją na ręce i kołysząc się tam i z powrotem, oplakiwałem stracone życie.

* * *

Makieta wersji 2 powoli obracała się nad pulpitem, lecz ja prawie jej nie widziałem. Naprawdę porządnie sobie popłakałem, co dało mi katharsis, miałem jednak przeczucie, że to jeszcze nie koniec. Jedno wiedziałem teraz na pewno – pod istotnymi względami nadal byłem człowiekiem.

[Monitoring Ziemi wykrył aktywność]

Spojrzałem na Gupika.

– Co się dzieje?

[Wykryto impulsy elektromagnetyczne. Widoczne świetlne rozbłyski. Prawdopodobieństwo naziemnych wybuchów jądrowych: 100%]

– Kurde. Dobra, Gupik, monitoruj dalej. Nasłuchuj jakichkolwiek zrozumiałych komunikatów.

No cóż, pierdyknęło. I nie wiadomo, jak bardzo. Ale coś mi się wydaje, że jestem zdany na siebie.

Część II

14. Bob, sierpień 2144, Epsilon Eridani

To, jak będziemy eksplorować kosmos, zależy od postępu w dwóch dziedzinach – łączności i transporcie. Pierwszy i najbardziej oczywisty jest napęd. Czy rozwinęliśmy napęd nadświetlny? Napęd bezwładnościowy, niewymagający zużycia pędnika? Tunele czasoprzestrzenne? Teleportację? Czas podróży z punktu A do B wpływa nie tylko na koszt przedsięwzięcia, ale także na to, czy możliwe jest przewożenie ludzi.

Niestety, to, czy uda nam się tego dokonać, czy nie, najbardziej ze wszystkiego zależy od woli politycznej – czy będziemy ją mieć, czy nie. Wyłączając znaczny postęp techniki albo rewolucyjne odkrycia naukowe, koszt będzie zbyt wysoki dla projektów poniżej kalibru globalnego.

Lawrence Vienn,
na panelu konwentowym *Eksploracja galaktyki*

Do układu Epsilon Eridani wpłynąłem z paroma procentami prędkości światła. Podchodziłem do niego od jego „północy”, to znaczy bieguna osi, wokół której ta gwiazda, jak Ziemia, obracała się w lewo. Zrobiłem wiele fotografii obszaru wokół gwiazdy, żeby szukać na nich punktów, które przemieszczają się na kolejnych klatkach. Przy mojej obecnej prędkości planety powinny wykazywać znaczny ruch względny na galaktycznym tle.

Profil misji – poszukać planet nadających się do zasiedlenia, a w razie ich braku – planet *prawie* nadających się do zasiedlenia, które dałoby się zmodyfikować albo w najgorszym razie żyć na nich przy użyciu środków technicznych.

Włączyłem także SUDDAR, choć potrafił wykrywać gęste obiekty tylko w promieniu jednego roku świetlnego. Nie spodziewałem się, że cokolwiek znajdzie. W tej odległości od gwiazdy nawet obiekty z pasa Kuipera powinny być rzadkością.

Przełot przez system od końca do końca miał zająć dwanaście dni, ale nie miałem zamiaru tak długo lecieć bezwładnie. Katalog gwiazd wskazywał, że powinna tu być co najmniej jedna planeta typu jowiszowego – czyli niezbyt trudna do znalezienia. Jeśli wykryję jeszcze jedną, będę miał trzy punkty wystarczające, żeby ustalić płaszczyznę ekliptyki.

Znalezienie kilku planet zajęło niecałe dwa dni. Zważywszy na odległości między nimi, wątpliwe, by były jeszcze jakies. Dwie

wewnętrzne, skaliste, potem wewnętrzny pas asteroid, planeta jowiszopodobna, zewnętrzny pas asteroid, planeta typu neptunowego na mocno eliptycznej orbicie. Wyglądało na to, że jest też całkiem solidny pas Kuipera, dużo dalej.

Desperacko chciałem się przyjrzeć tym dwóm wewnętrznym – a nawet gazowemu olbrzymowi. W końcu byłem pierwszym człowiekiem w innym układzie planetarnym. No dobra, z tym „człowiekiem” to dyskusyjne. Ale miałem niewiele czasu, żeby przygotować się na towarzystwo, i nie mogłem go marnować na zwiedzanie.

Teoria mówiła, że użyteczne metale będą skupione w wewnętrznej części układu. Poza tym łatwiej ją będzie przeskanować, bo ma mniejszą średnicę.

– Gupik, wyznacz kurs trochę powyżej pasa wewnętrznego. Lecimy na napędzie dookoła niego i szukamy zasobów.

[Tajest, kapitanie]

* * *

Poklepałem Kolczatkę, jednocześnie patrząc w unoszące się nad biurkiem diagramy. Mój plan zakładał, że brazylijska sonda wpadnie tu jak brygada antyterrorystyczna. Jeśli postanowi zagrać ostrożnie, to raczej mam przerabane. Ale: jeżeli jest uzbrojony, a myśli, że ja nie jestem, z jego punktu widzenia najlepiej jak najszybciej zacząć bezpośrednią konfrontację – dopaść mnie i zastrzelić jak psa na ulicy.

Obawiałem się także, że brazylijski próbnik nie pokazał wszystkich kart podczas wylotu z Układu Słonecznego. Jeśli nie wiozł więcej rakiet, niż sugeruje rozsądek, moje modele wskazywały, że powinien móc pocisnąć więcej niż 1,25g. Dlatego chciałem być gotowy na długo przed jego wyliczonym przylotem.

Zastanawiałem się, czy Brazylijczyk celowo chciał mnie zmylić tym słabym przyśpieszeniem. Jeśli myślał, że dotrze tu przede mną i zdoła mnie zaskoczyć, najlepsza strategia to podlecieć blisko, po cichu, bez napędu i wtedy mnie rozwalić. Oczywiście, o ile jest w stanie mnie znaleźć. Jeśli tak, najlepiej będzie udawać głupiego, a potem zarzucić pułapkę. Ale on się spodziewa pułapki...

Co za kupa. Ciąg dalszy tego, co na Ziemi, tylko w innym układzie. Ale jeśli Brazylijczyk będzie miał szansę zacząć budować swoje kopie, nastąpi galaktyczny wyścig demograficzny. Jeśli przyleci i zacznie do mnie strzelać, będę musiał uciekać od układu do układu. Może mi się to nie podobać, ale nie mam wyjścia – muszę to rozwiązać. Od razu.

Konstruktorzy *Nieba 1* mierzyli się z prostym problemem – zrobić jak

najmniejszą, jak najlżejszą i jak najbardziej pancerną sondę, mającą jeszcze zdolność budowania własnych kopii. We wszystkich fantastyczno-naukowych książkach, które czytałem, ten problem zbywało się machnięciem ręki. Statek (przeważnie statek Obcych) po prostu to robił, bez wchodzenia w szczegóły.

Rozwiązaniem były drukarki 3D. Przypomniałem sobie tę dyskusję z konwentu i przez chwilę żał mi było, że prelegent nigdy się nie dowiedział, że miał sto procent racji.

Na początku XXI wieku ta technologia dopiero raczkowała. Sto lat później drukarki potrafiły zbudować właściwie wszystko, co stałe, z pojedynczych atomów, o ile dostępny był surowiec. Ograniczeniem była energia. Sprowadzenie surowców do formy pierwiastkowej wymagało mnóstwa energii, podobnie umieszczenie tych atomów w odpowiednich miejscach na matrycy. Takie drukowanie 3D musiało poczekać z praktycznym zastosowaniem na tanią energię termojądrową.

Problemem było także drukowanie niestabilnych substancji, z uwagi na ich energię wewnętrzną. Na przykład próby drukowania C4 czy semteksu często kończyły się bardzo spektakularnym fiaskiem.

Niebo 1 miało na pokładzie wiele drukarek. Miałem także zapas szopów i nanitów, przystosowanych do wydobywania złóż minerałów z asteroid. Ostatnim elementem koniecznym do produkcji nowej sondy była flota małych, autonomicznych transportowców, wyposażonych w małe reaktory i napędy SURGE, do przewożenia maszyn wydobywczych i urobku.

Nad środkiem biurka unosił się hologram układu Epsilon Eridani. Jasna, krzywa linia nakreślała prawdopodobny kurs podejścia brazylijskiej sondy.

– Zainstalujemy się tutaj.

Na mój rozkaz czerwona kropka zamrugała tuż obok ścieżki kursowej, po wewnętrznej stronie pasa asteroid.

– Chcemy, żeby jak najbardziej wytracił prędkość. Ta lokalizacja zmusi go do zrobienia zwrotu na północ nad skrajem pasa asteroid. Chcemy, żeby leciał pod kątem, kiedy będzie się zbliżał, żeby otworzyć ogień. Będzie się spodziewał pułapki. Komitet powitalny musi być gdzieś dobrze ukryty, żeby nie dał się wykryć pierwszym lepszym skanem. I będę go musiał wypuścić bardzo późno, kiedy już zdradzi swoje zamiary. Czyli prawdopodobnie zdąży do mnie strzelić, zanim go zniszczę. Więc potrzebuję jeszcze czegoś, co wytrzyma parę rakiet.

Spojrzałem na Gupika, który w ogóle nie zareagował. Rozmówca to z niego nieszczerólny.

– Jak stoimy z zasobami?

[Znaleziono wystarczającą ilość surowców do zbudowania wszystkiego. Kopalnie już działają. Fabrykatory są rozstawione

i gotowe do produkcji]

– Będziemy mieli wiele miesięcy straty w gotowości do reprodukcji. Mam nadzieję, że te inne sondy nie będą miały zbyt wielkiej przewagi. – Westchnąłem i pokręciłem głową. – Niewiarygodne. Wybieram się na wojnę.

[Pozwalasz przeciwnikowi oddać pierwszy strzał]

– Tak, to prawda. Nigdy nie wiadomo, może będzie chciał nawiązać dialog.

Gupik nie odezwał się, ale stanowił żywy dowód, że ryba może mieć sceptyczną minę.

15. Bob, wrzesień 2144, Epsilon Eridani

Generał, który zwycięża w bitwie, przed jej wydaniem czyni w swej głowie wiele obliczeń. Generał, który przegrywa, czyni ich bardzo niewiele.

Sun Zi, *Sztuka wojenna*

[Przeciwnik zmienił kurs. Odchylenie od przewidywanego toru jest minimalne]

– O ile nie będzie się zwracać uwagi na to, że przyleciał o parę miesięcy za wcześnie, to tak. – Wzięłem głęboki wdech, na moment zamknąłem oczy. – Dopilnuj, żeby reaktory wabików były gotowe do startu na rozkaz. Chcemy, żeby podczas ataku skupił się wyłącznie na nich.

[Tak jest, sir]

Wcześniej zastanawiałem się i odrzuciłem pomysł ponownego włączenia układu kontroli hormonalnej. Teraz jednak docierało do mnie, że to coś więcej niż trema. Nie byłem wojskowym. Nie miałem wykształcenia, nie miałem doświadczenia, a czytanie *Sztuki wojennej*, choć owocne w pomysły, nie przygotowuje mnie do walki. Równie dobrze to mogą być moje ostatnie godziny istnienia. Zastanowiłem się, czy WIARA mogła wysłać więcej niż jednego mnie, pomimo zapewnień, że tak nie jest. Byłoby dobrze w coś takiego wierzyć. Na razie jednak musiałem być spokojny i zdolny do podejmowania dobrych decyzji.

Z przykrym poczuciem porażki, otworzyłem projekt układu kontroli hormonalnej i pstryknąłem wyłącznikiem.

Od razu ogarnęło mnie spokojne poczucie celowości. Dobra, całkiem nieźle. Najwyżej później to wyłączę. Na razie muszę się skoncentrować, bo trzeba sobie poradzić z wrogiem.

Tak jak się spodziewałem, brazylijski statek znalazł się w układzie wcześniej, niż pozwalało jego obserwowane przyśpieszenie. Ktokolwiek to był, pilot czy jego mocodawcy na Ziemi, ktoś myślał strategicznie od $t = 0$. Na pewno spodziewał się mnie zaskoczyć swoim wcześniejszym przylotem. Na to w każdym razie liczyłem. Lepiej, żeby nie myślał, że jestem przygotowany.

Brazylijski statek był prawie na pewno uzbrojony i prawie na pewno pilotował go wojskowy replikant. Oczywiście pytanie brzmiało: „jak dobrze uzbrojony?”. Wbiłem jego czas przelotu do swoich modeli, co

znowu zawęziło możliwą konfigurację statku. Albo miał lepsze nogi i osiem lub mniej pocisków, albo takie samo przyśpieszenie jak ja i co najwyżej sześć.

Kolejne pytanie: „czy ich użyje?”. To nie będzie bitwa kosmiczna jak na filmach, ze śmigającymi i koziółkującymi statkami kosmicznymi. Nie mogłem sobie też pozwolić na strzelaninę jak w samo południe w spaghetti westernie. Mając tylko miesiąc na przygotowania, nie mogłem naprodukować sobie zbyt wiele uzbrojenia, więc poszedłem w najprostszą konstrukcję, jaka przyszła mi do głowy. Pozostawało mieć nadzieję, że nawet tego się nie spodziewa.

Dlatego pierwszy krok to wzmocnić mój wizerunek bezbronny. Trzeba się do niego odezwać. Kto wie, może zmieni nastawienie?

Wywołałem jego statek.

– Halo, brazylijski statek. Mówi Robert Johansson z *Nieba 1*. Nie ma powodu, żebyś robił to, co wydaje mi się, że zamierzasz zrobić. Nie jestem pewny, czy w ogóle została jakaś ziemską cywilizacja, której możemy być jeszcze wierni. Dostałeś coś z Ziemi w ciągu ostatnich dwunastu lat? Czy mamy ciągnąć wojnę pomiędzy państwami, które prawdopodobnie już nie istnieją?

Odpowiedź przyszła po zaledwie kilku milisekundach, tylko dźwiękowa.

– Mówi major Ernesto Medeiros z okrętu Cesarstwa Brazylii *Serra do Mar*. I co my tu poczniemy, panie Johansson, skoro nie mamy ojczyzny?

Przynajmniej coś mówił. Pewnie mnie zagadywał, póki nie znajdę się w zasięgu jego pocisków. Zanim odpowiedziałem, zerknąłem na diagram taktyczny.

– Panie majorze, mamy do zbadania cały wszechświat. Jesteśmy praktycznie nieśmiertelni. Może nawet możemy pomóc Ziemi, jeśli coś tam jeszcze zostało.

– I tu się właśnie różnimy, *cabrão*. Służba Cesarstwu Brazylii to mój jedyny priorytet. Wasze okręty zestrzeliły statek Cesarstwa w Układzie Słonecznym. Należało to uznać za rozpoczęcie wojny.

Hmm. Obiecałem sobie przy najbliższej okazji sprawdzić, co to „*cabrão*”. Dobrze wyzwiska w różnych językach zawsze się przydają.

– Zaraz, masz na myśli statek, który chciał mnie zniszczyć? Jasne, to nasza wina.

– Gadanie pana nie uratuje, Johansson, a błagania nie powstrzymają mojej ręki. Nie pozwolę, żeby taki prostaczek, takie nic stało na drodze mojej i mojej ojczyzny. Jeśli wierzysz w Boga, to już pora się z nim pojednać. Żegnaj, *puta merde*.

Wow. Co za ego. A może tylko poza. Jeśli mój start zmusił Brazylijczyków do przedwczesnego wystrzelenia sondy, ich replikanci mogą mieć braki w wyszkoleniu. W tym cała nadzieja.

Taktyczny ekran pokazywał, że jest już wystarczająco blisko. Obróciłem statek i przyśpieszyłem w przeciwnym kierunku, dokładnie w stronę moich reaktorów-wabików. Medeiros zmienił kurs, żeby mnie gonić, i przyśpieszył do 2,5g. Oczywiście, że był szybszy, niż to rozgłaszano. Wbiłem te dane do moich modeli i wyszło mi maksimum sześć pocisków. Mniej niż w pierwotnych szacunkach, ale jeszcze nie za dobrze. Nie miałem dosyć niszczycieli statków na niego i sześć pocisków. Musiałem liczyć, że parę z nich zużyje na wabiki.

– Gupik, włącz reaktory.

Czujniki natychmiast pokazały przede mną dziesięć sygnatur radiacyjnych. To były tylko małe i nieszczelne reaktorki termojądrowe, ale Medeiros nie mógł o tym wiedzieć. Musiałem go zmusić, żeby skupił się na tym, co było z przodu – na ściganiu mnie i rozpoznawaniu zagrożeń.

Brazylijczyk wypuścił dwa pociski, o wiele wcześniej, niż się spodziewałem. Zapewne podejrzewał jakąś pułapkę i chciał mnie wymanewrować. Na razie nawet mu się to udawało. Byłem zbyt daleko od wabików, żeby móc się w nie wmieszać i zdeorientować pociski. Gotowy czy nie, musiałem działać.

– Gupik, wypuść niszczyciele.

Gupik kiwnął głową i raz mrugnął wielkimi rybimi oczyma. Od kilku małych asteroid w najbliższym sąsiedztwie oddzieliły się cztery sygnatury termojądrowe i z monstrualnym przyśpieszeniem ruszyły ku brazylijskiemu statkowi. Były tak proste, jak tylko się dało. W dostępnym czasie zdążyłem wyprodukować ich sześć. Nie miały głowic z materiałem wybuchowym. Każdy składał się tylko z małego reaktora, przewymiarowanego napędu SURGE, pilota-MSI i pięćsetkilogramowej metalowej kuli.

Medeiros zrobił ostry zwrot przy 3g, żeby zejść im z drogi. To było ciekawe. Z wyliczeń wychodziło teraz, że ma co najwyżej cztery pociski. Zacząłem się czuć odrobinę mniej pesymistycznie.

Wypuściłem dwa niszczyciele, które wiozłem sam, i kazałem im wziąć na cel pociski nadlatujące do mnie od tyłu, a potem z powrotem skupiłem się na Medeirosie. Na pewno dotarło do niego wreszcie, że niszczycielom nie ucieknie, bo wystrzelił kolejne dwa pociski ku mnie, zamiast atakować swoich prześladowców. Cholera. Taktyka spalonej ziemi – całkiem sensowna, jeśli gdzieś jest jeszcze jeden Medeiros. I bardzo prawdopodobne, że skończyły mu się pociski. Jednakże cztery niszczyciele goniące za Medeirosem były za daleko, by przechwycić te dwie rakiety, a ja znajdowałem się wciąż nie na tyle blisko wabików, żeby się w nie wmieszać. No i nie miałem więcej niszczycieli.

Kamery zarejestrowały dwa rozbłyski, gdy pierwsza para rakiet została przechwycona i zniszczona. Niestety zniszczyły się także

niszczyciele. Jeszcze raz sprawdziłem odległości i przeliczyłem wszystko dla drugiej pary. Nic się nie zmieniło. W prostej ucieczce nie wygram.

Logika nakazywała więc coś desperackiego. Nie było czasu na kompletne przeliczenie tego – zrobiłem najciaśniejszy zwrot, jaki mogłem, i odwołałem dwa niszczyciele lecące na Medeirosa. Nie mogłem uciec prześladowcom, ale mogłem wprowadzić ich prosto na niszczyciele.

Przez pełne napięcia trzydzieści milisekund patrzyłem na grafikę przedstawiającą pięć zbiegających się w jednym punkcie wektorów. Wreszcie nastąpiły dwie eksplozje, gdy niszczyciele przechwyciły pociski, niecałe sto metrów ode mnie. Zaświeciła się masa ostrzeżeń, kiedy odłamki z wybuchu uderzyły w *Niebo 1*, uszkodzając jedną z chłodziw reaktora. Moc reaktora od razu spadła o połowę, gdy układy sterowania odłączyły obieg chłodziwa. Może nie byłem jeszcze martwy i pod wodą, ale już znacząco utykałem.

[Wypuszczam szopy. Pełna ocena uszkodzeń zajmie kilka minut]

Przez milisekundę gapiłem się na Gupika. Nawet przy włączonym systemie kontroli hormonalnej miałem potrzebę robienia głębokiego wdechu. Teraz Medeiros mnie bez problemu wykończy, jeśli przeżyje mój atak. Czując przerażenie, spojrzałem z powrotem na zewnętrzne monitory.

Nagle karta się odwróciła – dwa ostatnie niszczyciele dopadły Brazylijczyka. Machnąłem pięścią w powietrzu i zawyłem, kiedy trafiały go oba jednocześnie, rozpruwając *Serrę do Mar* jak bibułkę. Jeden musiał trafić w jakiś krytyczny system, bo statek od razu zaczął zbaczać z kursu. Drugi zniszczył osłonę reaktora – wystrzeliła struga przegrzanej plazmy, wytapiając w statku idealnie prostą ścieżkę. *Serra* powoli zaczęła koziołkować.

Wysłałem sygnał odwołujący wszystkie jeszcze działające niszczyciele, potem sprawdziłem odczyty. Zero emisji z reaktora, zero aktywności elektromagnetycznej z *Serry*.

Nastąpiła chwila napięcia, gdy uświadomiłem sobie, że jednak to ja przeżyję. Zrobiłem przeciągły, powolny wydech i wyłączyłem układ kontroli hormonalnej. Gdy budziła się reakcja, rozsiadłem się w fotelu i powoli osunąłem, aż rozwaliłem się w nim jak nastolatek. Oczy chyba chciały mi zająć łzami i cały czas musiałem zaciskać i rozwierać pięści.

Wreszcie, po niemal dziesięciu milisekundach, opanowałem się na tyle, by móc się odezwać.

– Melduj o uszkodzeniach.

[Chłodziwa podziurawiona odłamkami. Niewielka utrata czynnika chłodzącego. Szopy naprawiają przebicia. Wymiana nie jest konieczna]

– Dobrze. Przeskanuj *Serrę*. Zobacz, czy coś zostało.

[Skan SUDDAR-em zakończony. Przesyłam obraz]

Spojrzałem na wyłaniający się nad moim pulpitem hologram statku Cesarstwa Brazylii. Zniszczone obszary świeciły się na czerwono.

– A gdzie jest macierz replikanta?

[Ekstrapolacja wskazuje, że była tutaj]

Wyświetliła się zielona kostka, dokładnie pośrodku plazmowego pasma zniszczenia.

– Hmm. Rozumiem. No to chyba żegnamy pana, panie majorze. – Spróbowałem poczuć wyrzuty sumienia, ale nic mi nie wyszło, poza delikatnym ubolewaniem nad stratą czasu i zasobów. W końcu przecież leciał tu za mną i próbował mnie rozwalić.

Wyciągnąłem rękę i podniosłem Kolczatkę, która, przewidując to, zaczęła mruzczyć. Pogłaskałem ją, patrząc na zdjęcie.

– No dobrze. Wiemy, że jest jeszcze co najmniej jeden statek Cesarstwa Brazylii. Może są, a może nie, statki ZSE i Chin, nawet Australii, jeśli doktor Landers miał rację. Chyba naszym jedynym wyjściem jest rozmnożyć się szybciej niż one. Pozostałe dwie grupy może będą problemem, a może nie, ale jeśli znowu spotkamy Medeirosa, to będzie strzelał bez ostrzeżenia.

Pochyliłem się i przyjrzałem uważniej.

– Gdzie są systemy fabrykacyjne?

Częściowo zniszczona sekcja podświetliła się na żółto.

[To jest częściowo ekstrapolacja. Wygląda jednak na to, że poświęcili redundancję w tym obszarze na rzecz uzbrojenia]

– I patrzcie państwo, jak dobrze na tym wyszli. Pamiętam, że Landers mówił, że to prawdopodobne. Ale to znaczy, że jesteśmy w stanie produkować Boby szybciej niż oni Medeirosa. Trzeba po prostu dopilnować, by wszystkie kopie miały niszczyciele statków.

Gupik nie skomentował. Kolczatka nadstawiła podbródek do podrapania.

16. Bob, wrzesień 2144, Epsilon Eridani

Dawniej myśleliśmy, że życie pojawiło się prawie całkiem przypadkowo i wystarczył gradient energii, żeby się zaczęło. Jednakże wkraczając w erę informacyjną, zaczęliśmy sobie uświadamiać, że życie bardziej opiera się na informacji niż energii. Ogień ma większość cech życia – je, rośnie, rozmnaża się. Ale nie zachowuje informacji. Nie uczy się, nie przystosowuje się. Pięciomilionowy z kolei pożar od pioruna będzie się zachowywał tak samo jak pierwszy. Ale pięćsetny podział bakterii nie będzie taki sam jak pierwszy, zwłaszcza jeśli jest presja środowiskowa.

To właśnie DNA. I RNA. To jest życie.

Doktor Steven Carlisle,
na panelu konwentowym
Eksploracja galaktyki

Poczułem się jak dzieciak w dzień Gwiazdki. Przynajmniej przez chwilę nie pamiętałem o obowiązkach, planach, nic nade mną nie wisiało. Oprócz Gupika, który miał swoje własne zdanie na temat planów.

Pozbywszy się bezpośredniego zagrożenia ze strony Medeirosa, miałem czas na celebrowanie faktu, że znalazłem się w innym układzie gwiazdnym. Takim prawdziwym, z planetami i w ogóle. Trzeba tu się rozejrzeć.

* * *

Gładko wśliznąłem się na orbitę wokół Epsilon Eridani 1. Najbardziej wewnętrzna planeta była nieco większa od Marsa i orbitowała w odległości około 0,35 au.

Bardzo blisko – przegrzewanie się od słońca było tu poważnym problemem. Cały czas miałem na oku odczyty temperatury. Dla biologicznej załogi byłaby to niekomfortowa podróż.

Nie była to jakaś mistrzyni w kategorii wagowej planet, ale pierwsza pozasłoneczna, którą widziałem. Już nigdy czegoś dokładnie takiego nie przeżyję. Poświęciłem kilka chwil, by się ponapawać zachwytem i ekscytacją.

Do moich pomiarów wystarczyło kilkanaście okrążeń wokół EE-1.

Rotacja synchroniczna, brak atmosfery w żadnym stopniu nienadającym się do życia. Planeta wyglądała jak zdjęcia Merkurego, które widziałem. Piekielnie gorąca, jeziora czegoś, co mogło być roztopionym ołowiem, głębokie szczeliny w skorupie, w których ciemnoczerwono jarzy się gorąca magma. Odczyty grawimetryczne wskazywały zaskakująco dużą gęstość, pewnie ze względu na duży rdzeń. To zapowiadało bogactwo minerałów – planeta będzie więc interesująca dla każdego kolonisty.

Uśmiechnąwszy się z satysfakcją, zapisałem raport z myślą o przesłaniu go na Ziemię. Miejmy nadzieję, że jest tam jeszcze ktoś, kto go odbierze...

* * *

Przyjrzałem się hologramowi nad moim biurkiem. EE-2 orbitowała w odległości 0,85 au i wyglądała na nadającą się do życia. Prawie. Estymowany wiek układu Epsilon Eridani wynosił około miliarda lat, co wyznaczało górną granicę wieku planety, wokół której teraz orbitowałem. EE-2 była wielkości ok. 90% Ziemi, ale miała o wiele mniej oceanów. Akweny zajmowały około 30% jej powierzchni i nie były ze sobą połączone. Nie miała kontynentów otoczonych oceanami, tylko morza otoczone ze wszystkich stron lądem.

Zastanowiłem się mimochodem, czy to by oznaczało niezależne linie ewolucji w każdym z tych mórz. Zazgrzytałem zębami, bo nie miałem jak się dowiedzieć. Projekt misji nie przewidywał niczego, co można by posłać na dół, żeby zbadać samą planetę. Istotne niedociągnięcie, pewnie na skutek pośpiechu.

– Gupik, zanotuj. Muszę skonstruować zwiadowców eksploracyjnych.

[Zanotowane. Ale replikacja ma wyższy priorytet]

– Co mówiłeś już – ile razy?

[14]

– Dzięki. – Gupik był bardzo jednotorowy w kwestii parametrów misji. Momentami spodziewałem się, że zacznie dygotać jak wściekły chihuahua.

Ale wracając do Epsilon Eridani 2...

Atmosfera zawierała około 3% tlenu, co wskazywało, że przynajmniej w morzach wyewoluowała fotosynteza. Chyba że pochodził z jakiegoś nieożywionego procesu. Nie było dowodów, że życie opuściło już wodę – nic zielonego, sama goła skała. Trochę śniegu i lodu na biegunach, z rana szron aż po równik. Paradoksalnie planeta wydawała się bardziej ponura i niegościnna niż EE-1, pewnie dlatego, że *prawie* nadawała się do życia. Ludzie mogliby tu pewnie mieszkać, przy odpowiednim wsparciu technologicznym. Na przykład pod kopułami. Miała gęstą

atmosferę i miała wodę, czyli i tak była o niebo lepsza od takiego, na przykład, Marsa.

Miała też mały księżyc, około 500 km średnicy, orbitujący na tyle blisko, by powodować pływy, gdyby miała oceany, a nie otoczone lądem morza.

Skończyłem pomiary, czując frustrację, że nie mogę jej zbadać z bliska. Mógłbym właśnie odkryć życie poza Układem Słonecznym. Albo nie. Do dupy.

* * *

Wszedłem na orbitę w znacznej odległości od EE-3. Była około 30% większa od Jowisza i choć nie miała pierścieni jak Saturn, jej okolica była bardzo zagracona. Zdążyłem naliczyć 67 księżyców, z których 20 było wystarczająco dużych, by mieć atmosferę. Trzy kwalifikowałyby się na samodzielne planety. Oprócz nich – ogromna liczba mniejszych skałek i cienki pierścień z lodowych odłamków.

Poza wielkością EE-3 niczym ciekawym nie odróżniała się od Jowisza, choć miała mniej burz na powierzchni. Orbitowała nieco dalej od słońca, co w połączeniu z jego mniejszą jasnością, oznaczało, że otrzymuje znacznie mniej światła. Szkoda. Nie ma szans, by któryś z tych księżyców nadawał się choć trochę do życia.

Zrobiłem notatki, czując wwiercający się w tył głowy wzrok Gupika, i przygotowałem się do lotu na EE-4.

* * *

Czwarta planeta układu była tylko odrobinę interesująca. Coś takiego, zblazowałem się po jednym układzie i czterech planetach. Taki krótki masz okres skupienia uwagi, Bob?

W tak dużej odległości od słońca układy meteorologiczne były gładkie i liniowe, powodowane głównie ruchem obrotowym planety. Ciepło słońca było pomijalnym czynnikiem. Czwórka miała też niezłe stadko księżyców, głównie kawałków skał, za małych, żeby choćby przybrać kulisty kształt.

* * *

Rozparłem się w fotelu i zetknąłem palce, patrząc w pustkę. Poleciałem z powrotem na pole niedawnej bitwy i zaparkowałem obok placu

budowy. Musiałem sobie przemyśleć własną przyszłość.

Stwierdziłem, że czuję niewyraźne rozczarowanie. Żadnych planet z pierścieniami, planet podwójnych, obcych cywilizacji – szlag, nawet żadnego życia nie było za bardzo widać. Ten układ nie nadawał się zbytnio nawet do kolonizacji. Zakładając, że na Ziemi ktoś jeszcze żyje i jest zainteresowany. Może następny układ będzie lepszy. A może będzie jeszcze bardziej jałowy? A w ogóle, to co z tego? Czy ja chcę tak wędrować po galaktyce jak jakiś Latający Holender?

Dobrze, że chociaż problem dronów eksploracyjnych da się łatwo naprawić. Konstrukcję drona wydobywczego można było zaadaptować do innych celów – świetnym przykładem były niszczyciele statków – a w bibliotece miałem masę informacji o najróżniejszych czujnikach i analizatorach. Dysponując drukarkami 3D, miałem niemal nieograniczoną elastyczność.

À propos budowania rzeczy... zerknąłem na Gupika. No tak, dalej na mnie łykał. Gdybym nie posprzątał w swoim kodzie, imperatywy misji już był działały, już dawno bym budował stację kosmiczną i Boby. Ale po ich usunięciu byłem wolną istotą, miałem wolną wolę. A także, jak się zdaje, jakieś lęki przed klonowaniem samego siebie.

Nie miałem więcej kart do gry na zwłokę, więc trzeba było się zdecydować. Mogłem odlecieć w zachód słońca, mogłem siedzieć tutaj z palcem w... znaczy sparaliżowany niemocą podjęcia decyzji. Albo mogłem realizować program.

Znowu zerknąłem na Gupika. Oczywiście wiedziałem, czego chce. Dalej na mnie patrzył, z wypisaną na twarzy rybią niecierpliwością. Jego system operacyjny był zapisany w firmware, więc żeby uleczyć go z tej obsesji, trzeba by zbudować całkiem nowy główny system statku. Czyli w zasadzie nowy statek. I tu zataczamy koło i wracamy do mojego podstawowego problemu.

No to na czym, cholera, polega ten problem? Z grubsza domyślałem się – chodziło o lęk, że sklonowanie zaprzeczy mojej indywidualności i istnieniu czegoś w rodzaju duszy. Dość szokujące wyznanie jak na humanistę.

A co, jeśli nie polubię sam siebie? Jeśli okażę się chamem? Z tym będzie ciężko żyć.

Westchnąłem i potarłem oczy. Bez sensu. Wiedziałem, rozumowo, że wcześniej czy później będę musiał to zrobić. Przez to zwlekanie i marudzenie tylko bardziej się stresowałem.

– No dobra. Gupik? Uruchom wydobywanie i produkcję. Czas start.

Dzięki Bogu, Gupik nie potrafił się uśmiechać. Pewnie przez rok miałbym koszmary. Ale stanął bardziej prosto i natychmiast wpadł w szal wydawania rozkazów. Statek zatrzęsł się, gdy zaczął wypuszczać drony. W ciągu paru minut znalazłem się w środku rozszerzającej się

sfery moich sług-robotów, mających jeden cel – narobić więcej Bobów.

17. Bob, lipiec 2145, Epsilon Eridani

O to właśnie chodzi w panspermii. Wiele osób mnie pytało, dlaczego panspermia to nie jest po prostu kolejna warstwa żółwi. Zauważali, że przeniesienie stworzenia podstawowych komponentów życia z Ziemi w kosmos, po prostu dokłada jeszcze jeden krok, a wcale nie mówi, że one tam łatwiej powstaną. A jednak mówi. Wykryliśmy w kosmosie podstawowe elementy składowe RNA i DNA. Warunki są idealne. Jest surowiec, jest energia, a składniki mogą połączyć się przez proste ruchy Browna, nie wymagając rozpuszczalnika.

Doktor Steven Carlisle,
na panelu konwentowym *Eksploracja galaktyki*

Rozparłem się w fotelu z podnóżkiem, delektując się chwilą. Ogień bardzo realistycznie migotał i trzaskał. Kolczatka zeszła ze mnie i zwinęła się w kłębek na niedźwiedziej skórze przed kominkiem. Na regałach od podłogi po sufit stały książki, była nawet drabina na kółkach, żeby sięgnąć na górne półki.

Obejmowałem dłońmi kubek z kawą i patrzyłem na unoszący się przede mną hologram. Przedstawiał jeden kilometr sześcienny przestrzeni po wewnętrznej stronie pasa asteroid, z Niebem 1 pośrodku.

Wrzało w nim jak w ulu. Budowało się pięć statków *Niebo 2*, z których jeden był przeznaczony na przesiadkę dla mnie. Nowy projekt przewidywał większy reaktor i mocniejszy napęd, działo elektromagnetyczne, ładownie i wyrzutnie dla niszczycieli, platformę replikanta o dwa razy większej mocy niż w jedyńce, więcej miejsca na szopy i drony wydobywcze oraz ogólnie większe ładownie.

Systemy produkcyjne trzaskały kolejne części tak szybko, jak szopy nadażały dostarczać im surowce. Inne szopy zbierały te części i montowały statki. Dwa duże reaktory zapewniały energię dla tego sprzętu. Parę mniejszych drukarek generował kolejne szopy i części do następnych niszczycieli statków. Rozważałem użycie głowic z materiałem wybuchowym, ale miałem trochę awersję do wszystkiego, co miało w nazwie „wybuchowe”.

Spojrzałem w róg holowidoku, gdzie znajdowała się stacja kosmiczna. Profil misji obejmował polecenie zbudowania w każdym odwiedzanym układzie automatycznej stacji orbitalnej z potężnym nadajnikiem do łączności. Jej pierwszym zadaniem miało być wysyłanie na Ziemię

szyfrowanych raportów statusowych i całej zebranej telemetrii ze wszystkich planet. Potem, zależnie od tego, czy układ jest zdalny do kolonizacji, miała działać jako stacja nawigacyjna i przekaźnikowa dla mnie oraz ewentualnych przybywających z Ziemi kolonistów, a później jako wewnętrzne centrum łącznościowe. Byłaby „obsadzona” przez MSI i miała własne ograniczone możliwości fabrykacyjne.

Jednakże to wszystko przy założeniu, że Ziemia nadal posiada cywilizację technologiczną. Wcześniej czy później któryś ja będzie musiał się tam przelecieć i sprawdzić.

Jak dotąd nie odebrałem żadnych skierowanych do mnie wiadomości radiowych ze Słońca. Choć rozsądek nakazywał nie spodziewać się ich. Sens projektu NIEBO polegał na przepływie informacji ode mnie do nich, nie na odwrót. Przecież nie da się prowadzić rozmów, gdy między kwestiami upływa 10,5 roku.

Zerknąłem na Gupika, który nie poruszył się od ostatniego mojego pytania.

Zdecydowanie błyskotliwym rozmówcą to on nie jest. Wracając do poprzedniej kwestii. Gupik w wersji 2 ma mieć wystarczająco pamięci, żeby móc sobie potencjalnie wykształcić osobowość. Może to jest prośenie się o kłopoty?

– Status moich ulubionych tematów?

Gupik mrugnął. Raz.

[Niebo 2-5: ukończone w 90%, czas ukończenia: 5 dni]

[Macierze replikantów dla Nieba 2-5: 2 ukończone, 2 za 30h]

[Niebo 1a: trwają ostatnie testy. Decyzja start-stop za 24h]

[Stacja przekaźnikowa: ukończona w 40%, czas ukończenia: 2 miesiące]

– No dobrze. Za trzy dni możemy włączyć kolejne wersje mnie. One będą w pełni zdolne zarządzać placem budowy, prawda?

[Macierze replikantów mają wbudowane kompletne systemy GUPIK]

Za parę dni trzeba będzie zacząć myśleć o sobie „Bob 1”. Spojrzałem na obły nos *Nieba 1A*. Na boku, pigmentem wdrukowanym bezpośrednio w węglową strukturę skorupy, miał wymalowaną podobiznę brazylijskiej sondy, przekreśloną wielkim czerwonym X-em. To miał być mój nowy statek. Inni Bobowie będą mogli je sobie dowolnie pozdabiać.

Myśląc o tym wszystkim, znów poczułem falę niepokoju. Budowa kolejnych Nieb była jednym z celów misji, ale tworzenie nowych Bobów na nowo wzbudzi wewnętrzną rozterkę, kim lub czym jestem. Na nowe statki będę wgrywać swoje kopie zapasowe. Będą mną czy kimś innym?

Trzeba ustalić jakieś zasady. Standardy, żeby nie wkraść się chaos. Po pierwsze, każda kopia musi sobie wymyślić nowe imię, podkreślające, że

nie jest mną. Po drugie, dowodzi najstarszy wiekiem Bob w danym układzie. Gapilem się w przestrzeń przez parę milisekund, myśląc o dalszych regułach. Nic więcej nie przyszło mi do głowy.

Kiwnąłem głową i uruchomiłem kopię zapasową.

* * *

Gwałtownie wróciłem do pełnej świadomości. Proces wykonywania kopii zapasowej, jak zawsze, był najbliższym odpowiednikiem snu, jakiego doświadczałem od mojego wskrzeszenia w XXII wieku. Zanim spojrzałem w bieżące sprawy, odruchowo włączyłem VR. Ale zamiast mojej eleganckiej, szczegółowej biblioteki znalazłem się w pustym, niebieskim pokoju. Bez okna. Z twardą, bezpostaciową podłogą.

Ojoj. Zapytałem o swój numer seryjny.

[HIC16537-1]

Zbudowany w układzie Epsilon Eridani. Numer z katalogu Hipparcosa stawiał sprawę jasno. Jestem kopią kopii. Cholera.

Znowu poczułem się jak w Nowym Handeltown. Znowu budziłem się i stwierdzałem, że nie jestem tym, za kogo siebie miałem. Próbowałem się pocieszyć, że nadal jestem replikantem, tylko innym. Pomogło o wiele mniej, niż powinno.

No cóż. Nie było sensu siedzieć i się denerwować.

– Gupik?

[GUPIK w gotowości]

– Wywołaj Boba-1. – Spodziewałem się, że ta rozmowa może być trochę surrealistyczna.

[Bob-1 oczekuje]

– Cześć, tu Bob-1, znany także jako Bob.

Przez chwilę delektowałem się niespodziewaną radością z usłyszenia innego ludzkiego głosu. Choć, technicznie rzecz biorąc, to był mój głos.

– Tak, tak, znam zasady – odpowiedziałem. – Zaraz wymyślę sobie jakieś imię. Inni już wstali?

– Nie, chcę was uruchamiać po jednym. Następny będzie za jakąś godzinę. A na razie może mógłbyś się zająć nadzorowaniem fabrykacji? Muszę się przenieść do nowego ciała. Im szybciej to zrobię, tym szybciej do was wrócę.

Odruchowo próbowałem zerknąć na Gupika, ale nie ustawiłem sobie jeszcze mojej VR.

– Nie ma problemu. Ustalę tylko z Gupikiem i możesz mi przekazać kontrolę.

– Dzięki, Dwójka. Do zobaczenia na stronach z komiksami.

* * *

Gwałtownie wróciłem do pełnej świadomości. Zapytałem o numer seryjny.

[SOL-1]

– Gupik?

[Proces migracji oprogramowania replikanckiego na nową platformę zakończony. Jesteś teraz na Niebie 1A]

– Łooo. Super. – Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak by to było obudzić się i stwierdzić, że już nie jestem Bobem. Pewnie dość surrealistycznie.

Włączyłem VR i znalazłem się w swoim fotelu, z Kolczatką na kolanach i Jeevesem podsuwającym kawę.

– Nie ma jak w domu... Gupiku, wszystko w porządku i zgodnie z planem?

[Niebo 2 monitoruje fabrykatory. Nieba 3 do 5 przygotowują się do kontrolnego oblotu układu. Czekali z tym, aż twój transfer się zakończy]

– Doceniam. Powiedz im, że mogą startować, kiedy tylko chcą, i mają narobić masę zdjęć.

* * *

[Mamy problem]

– Co tam?

[Niebo 3 ma problem z SUDDAR-em. Usterka nadajnika i o wiele słabsze echo]

– Cholera. Rzuć nas na konferencję.

Nastąpiła zwłoka, nim pozostali Bobowie się połączyli.

– Mówi Bob 3. Mówcie mi Bill.

– Mówi Bob 4.

– Cześć wam. Bill? Poważnie?

– Bill jak „Bill D. Cat”.

– Rozumiem. Zawsze go lubiliśmy.

Włączył się Bob 4.

– Dobra, mnie możecie na razie mówić Milo. Nie mój pierwszy wybór, ale gupotami nie będę się zajmował.

– Od gupot to masz Gupika.

Milo i Bill parsknęli śmiechem, a ja ciągnąłem:

– No dobra Bill, to co, masz za problem?

– Eee... wygląda, że nadajnik jest uszkodzony. Impuls SUDDAR-u, który wysyłam, ma jakieś dwadzieścia procent mocy.

– O, to słabo. Nic nie będziesz widział nawet na dwadzieścia metrów.
– Zastanowiłem się. – Gupik, dołącz Boba 2.

– Już jestem.

– O, to świetnie. Dwójka, mógłbyś przekazać Billowi nadzór nad fabryką? Może się tym spokojnie zająć, dopóki nie dostanie nowego nadajnika.

– Nie ma problemu.

Nagle rozejrzałem się.

– A gdzie Bob 5?

– Jestem.

– Hmm. To nie mogłeś się odezwać?

– Nie miałem nic do powiedzenia.

No dobra. Mało rozmowny. Rozumiem.

– Nazwałeś się jakoś?

– Mario.

Zdecydowanie mało rozmowny. Interesujące. Mija pięć milisekund, a już każdy brzmi inaczej.

– Panowie, musimy porozmawiać o tym, co każdy z nas będzie dalej robił. Zaczynamy. Dwójka, jakieś preferencje?

– Mówcie mi Riker – powiedział Bob 2.

– Riker? A, no tak, Numer Dwa przecież. – Na pierwszego oficera na *USS Enterprise* mówiono Numer Jeden. Mi zajęło z pięć sekund, żeby na niego mówić „Dwójka”. Ale już mówiłem, że jestem niepoważny.

Bill dodał:

– Opowiadanie kawałów to zdaje się umrze śmiercią naturalną, chyba że znajdziemy kogoś, kto nie zna naszego materiału.

Zdegustowany Gupik pokręcił głową.

W trakcie rozmowy w mojej VR pojawiły się okienka wideo pozostałych Bobów. Unosiły się nad blatem mojego biurka. Każdy ustawił sobie widoczne w tle całkiem inne środowisko. Spoglądały na mnie cztery kopie mojej twarzy.

Riker miał czerwony mundur i siedział chyba na mostku statku kosmicznego. Przyszło mi do głowy, że dobrze, że darował sobie brodę, ale i tak przewróciłem oczyma.

– No jasne, kompletne zaskoczenie.

Riker wzruszył ramionami, nawet się nie uśmiechnąwszy.

– Coś musiałem mieć. Równie dobrze może być coś takiego, żeby już nie zaprzętać sobie głowy. – Oparł się o poręcz kapitańskiego fotela i wskazał hologram EE 2, który wyświetlałem. – Do przeprowadzki to ona się jeszcze nie nadaje. Nie jestem przekonany, czy Ziemi będzie się chciało wysłać tu statek z kolonizatorami, chyba że nie będzie innych alternatyw.

– No, ja nie wiem. – Milo siedział w przepaścistym fotelu, z kawą

w ręku. W tle płynęły obłoczki. – Sądząc po tym, co mówił doktor Landers, ważniejsza jest polityczna wygrana i wojskowa strategia, bardziej niż sama chęć zasiedlania gwiazd. Myślę, że na pierwszą w miarę nadającą się planetę, jaką im zgłosimy, od razu wyślą co najmniej garnizon, tylko po to, żeby pokazać, że są pierwsi. I oczywiście zawłaszczą dany układ. Bo my chyba się nie liczymy.

– Ale jest kwestia kosztów. Nawet przy taniej energii termojądrowej i drukarkach 3D potrzeba surowców. A w Układzie Słonecznym nie możesz sobie ich po prostu wziąć. Państwa nie mogą sobie tak dla zabawy budować statków kolonizacyjnych. – Riker nagle zmrużył oczy. – Ej, Milo, a co ty masz za VR?

Milo obejrzał się i uśmiechnął do Rikera.

– Sterowiec. Coś w tym rodzaju. Taka latająca machina w każdym razie, jak z Flasha Gordona. Jestem nad Amazonią.

Pozostali kiwnęli z podziwem głowami. Zerknąłem na Maria, który miał tylko szare tło. Podniosłem brew, ale nie zareagował.

Trochę się tym zdenerwowałem, więc skupiłem się z powrotem na rozmowie.

– Aha, aha. No to pytanie brzmi: mamy się tym w ogóle przejmować? Znaczą: intencjami Ziemi.

– Masz na myśli, że możemy sobie lecieć, dokąd chcemy, i robić, co chcemy? – Riker wzruszył ramionami. – W zasadzie moglibyśmy, bo usunęliśmy sobie te wszystkie pułapki, imperatywy i tak dalej...

Pochyliłem się, żeby skupili na mnie uwagę.

– Mam na myśli, że po raz pierwszy, odkąd się obudziłem, nie jestem niczym ograniczony w decyzjach. Dotąd tylko reagowałem na zdarzenia, wypełniałem rozkazy, unikałem rozwalenia rakieta i ogólnie byłem grzecznym robocikiem. Medeiros na razie jest załatwiony, przynajmniej ta jego iteracja, raport z pomiarów idzie na Ziemię, wy jesteście zbudowani. Wykonałem swoje obowiązki, chociaż nie musiałem. Teraz mogę – możemy – zająć się tym, na co mamy ochotę. Wyruszyć w nieznaną, zostać i coś budować, albo po prostu bawić się w wirtualce.

– No tak – wtrącił się Bill. – Może i nie muszę robić tego, czego ode mnie chcieli, ale samo zadanie jest ciekawe. Zresztą rozprzestrzenianie się ludzkości do mnie przemawia. O ile ona jeszcze istnieje. – Włożył dłonie za głowę i przeciągnął się. Wyglądało na to, że siedzi w ogrodowym fotelu w cieniu wielkiego drzewa. – Zresztą, co za sens miałaby ta cała eksploracja, jeśli nikt z niej nie skorzysta?

Riker pokiwał głową.

– No tak, w sumie to też. Ktoś powinien tam wrócić i zobaczyć, co się stało.

– Nuda...

– A ktoś inny powinien rozejrzeć się za innymi sondami, szczególnie

tą drugą brazylijską.

– A to niebezpieczne.

– Dzięki, Milo, za pogłębioną analizę. – Riker przewrócił oczami.

Milo uśmiechnął się i wykonał ukłon.

– No dobrze, czyli mamy takie zadania: ekspedycja na Ziemię, tropienie innych sond – to raczej byśmy chcieli robić w parach; dokończenie stacji orbitalnej i wyruszenie na poszukiwanie nowych, nieznanych światów i nowych cywilizacji. – Bill odliczył na palcach i rozejrzał się wokół stołu.

Teraz ja podniosłem rękę i zacząłem odliczać na palcach kolejne zadania.

– Może jeszcze: pierwsze próby terraformacji EE 2, na przykład można tam zrzucić parę ciał z pasa Kuipera, żeby powiększyć oceany. Albo ktoś może tu zostać i budować kolejnych Bobów. Zrobić z tego układu fabrykę Bobów. Wewnętrzny pas ma kupę surowców.

– Co, tkwić w jednym systemie, kiedy mamy całą galaktykę? – prychnął Mario. – Powodzenia z szukaniem ochotnika.

– Właściwie to ja się nad tym zastanawiam – powiedział Bill.

– Co takiego? Czemu? – zdziwił się Milo.

Bill machnął ręką.

– Przez to, że miałem problem z nadajnikiem. To ciekawe... Kiedy nadawałem te słabe impulsy, wydało mi się, że mam o wiele większy zasięg. Słabsza czułość, ale naprawdę duża odległość. W bibliotekach nie ma za dużo materiałów z badań podprzestrzeni, innych niż napęd statków międzygwiazdnych, ale są sugestie, że tłumienie sygnału zmienia się z jego mocą.

– Czyli... – Przekrzywiłem głowę w jego stronę.

– Czyli ja chyba sobie tu zostanę, będę monitorował sygnały z Ziemi – jeśli ktoś tam został, to tu się odezwą w pierwszej kolejności – może jakąś drobną terraformację EE 2 zarządzą... – Uśmiechnął się. – Nazwę ją Ragnarök, bo będę ją obrzucać bryłami lodu. I popracuję sobie nad porządną teorią podprzestrzeni. To była nasza alternatywna kariera, prawda? Fizyka teoretyczna.

Zaśmiałem się.

– No tak, tylko zarobki są dziadowskie. Były.

Bill pochylił się.

– Śmieszna sprawa. Wiem, jak się palicie, żeby lecieć i eksplorować, bo pamiętam tę ekscytację i ciekawość. Ale sam łapię się teraz na tym, że wolę zostać i pozajmować się badaniami. Czy to dziwne?

Reszta zerknęła po sobie. Paru wzruszyło ramionami, ale nikt nie skomentował.

Riker rozejrzał się po wszystkich.

– Dobrze, czyli Bill zostanie i będzie trzymał bazę. A co

z Medeirosem?

– A co mamy zrobić? – zapytałem. – Polować na niego? Nawet nie wiemy, dokąd poleciał. Jeszcze mniej wiemy o statkach ZSE czy Chin. Chyba jedyne, co da się zrobić, to uzbroić się lepiej, być gotowym do obrony, a potem ostatecznie pokonać ich liczebnością.

– A ekspedycja na Ziemię? – Riker podniósł brew i spojrzał na mnie.

– A co, zgłaszasz się?

Wzruszył ramionami.

– W sumie mógłbym się przelecieć. Trochę się obawiam, że będą się tam kręcić wojskowe statki, atakujące wszystko, co wleci do układu. Ale mogę się zatrzymać za pasem Kuipera i nie podchodzić bliżej. Radiowe sygnały już odbiorę. Albo mogę trochę czasu poświęcić na przygotowania i zorganizować lepszą ekspedycję. Zdaje się, że Bill coś wspominał o pracy w parach. Milo, chciałbyś się przelecieć ze mną?

Milo zrobił zdziwioną minę.

– Nigdy w życiu. W ogóle nie interesuje mnie sprawdzanie, co się tam stało, zwłaszcza jeśli trzeba przy tym wchodzić w zasięg rakiet. Raz mi wystarczy, dziękuję.

– Poważnie? – Riker patrzył na Mila coraz bardziej spode łba. – To mam lecieć sam?

Milo wskazał swoją twarz.

– Widzisz? Tak wygląda ktoś, kto ma to gdzieś. Jak musisz, zbuduj sobie własną kopię. Ja lecę tam. – Machnął ręką gdzieś na zewnątrz.

Bill i ja spojrzeliśmy po sobie i dotarło do mnie, że jedna kwestia się wyjaśniła. Nie jesteśmy klonami. Zauważyłem, że Maria w ogóle nie pytał, a Mario też się nie zgłaszał. Wyglądało na to, że dostał podwójną dawkę moich fobii społecznych.

Natomiast mina Rikera zwiastowała mający nastąpić lada chwila wybuch. Szybko zmieniłem temat.

– Jeszcze jedna sprawa. Bardzo mi było szkoda, że EE 2, znaczy Ragnaröka, mogłem tylko trochę zbadać z orbity. Chciałbym mieć jakieś lądowiki, żeby badać potencjalne planety z bliska. Możemy nad tym wszyscy popracować, ale może Bill się tym zajmie, skoro zostaje w układzie.

Riker kiwnął głową, twarz mu się rozjaśniła. Kryzys zażegnany.

– Dobrze. – Postanowiłem podsumować aferę. – Podejmujemy decyzję, kto dokąd, i ruszamy z tym koksem. – Spojrzałem znacząco na Billa. Wydawał się najbardziej podobny do mnie z zachowania. Pogadamy o tym na osobności.

* * *

– I o co tu poszło, jak myślisz?

Bill wzruszył ramionami.

– Riker mówi, że zrobi, co mówił Milo – zbuduje sobie kopię. Ale naprawdę, Bob, czy reakcja Milo była aż tak nie na miejscu?

– Nie wiem, chyba nie, sam trochę ambiwalentnie myślę o powrocie. Co innego mnie przerażyło: że Riker i Milo prawie od razu się pożarli. – Błysnąłem uśmiechem. – A Mario, no... przy nim to Gupik wypada na duszę towarzystwa. Masakra.

Rozparłem się w fotelu i się zawahałem.

– Zanim zbuduję kolejny miot, dobrze się zastanowię.

Bill wzruszył ramionami.

– Nie wiem, Bob. Jedna rzecz to mówić o latach samotności, druga to naprawdę je przeżyć. Założę się, że w końcu zbudujesz drugi miot. Ja na pewno, i to szybko, żeby mi tu pomagał.

– Ja się nie założę. Pewnie masz rację. Ale tym się będę martwić później. Na razie to po prostu mnie osłabiło, że wszyscy są jakimś wariantem mnie.

– A czemu tak myślisz? – Spojrzał na mnie z rozbawieniem.

– Że co?

– Czemu myślisz, że jesteśmy wariantami ciebie? Jesteś pewien, że jesteś tożsamy z oryginalnym Bobem? Może to my – w tym ja – jesteśmy jego wariantami.

Zamilkłem oszołomiony. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogę się różnić od oryginalnego Boba. No przecież byłem sobą, prawda? Wrócił do mnie cały ten monolog z Ziemi o mojej kondycji i rozdziawił pode mną bezkresną paszczę.

Nie. Tą drogą nie idę. Obojętne, czy jestem oryginalnym Bobem, czy nie, to jestem oryginalnym mną.

– Świetnie, Bill – westchnąłem. – Jak tylko wynajdziesz wehikuł czasu, pojedziemy i sprawdzimy. A na razie wygląda na to, że Milo i Mario wybrali sobie docelowe układy i zaraz będą startować. Trzeba robić imprezę pożegnalną.

Bill kiwnął głową i dołączyliśmy z powrotem do grupy.

18. Bill, wrzesień 2145, Epsilon Eridani

Zasianie na planecie substancji organicznych z kosmosu nie sprawi, że życie na niej będzie możliwe, ale ewentualne życie będzie rozwijać się szybciej. Substancje organiczne powstają w kosmosie, kiedy planeta jest jeszcze chmurą pyłu. Kiedy planetarne środowisko nadaje się do przetrwania, spadają już na planetę od tysięcy lat. Oszczędza to wiele czasu, a co ważniejsze, oznacza, że życie oparte na tych związkach rozwinie się, zanim cokolwiek lokalnego zdąży wyewoluować. Dlatego wszędzie, gdzie możliwe jest życie oparte na węglu, będzie prawdopodobnie zbudowane na DNA, który będzie prawdopodobnie się składać z zasad G, A, T i C.

Doktor Steven Carlisle,
na panelu konwentowym *Eksploracja galaktyki*

Patrzyłem na ślady radiacyjne odlatujących z układu Boba, Maria i Mila. Uśmiechnąłem się smutno. Coś dużo rozstań ostatnio w moim życiu.

Zerknąłem w okienko wideo, gdzie budowały się macierze i statki dla dwóch następnych Bobów. Jeden miał być moim klonem – liczyłem, że zechce zostać moim pomocnikiem lub współnikiem w Epsilonie Eridani. Drugi miał być klonem Rikera. Postanowił wrócić do Układu Słonecznego i zbadać sytuację – co zrozumiałe, nie miał ochoty być sam. Przyszło mi do głowy, że jeśli wyjdzie mu ktoś taki jak Milo, Riker pewnie strzeli do niego z niszczyciela. Gość ewidentnie był trochę zbyt nerwowy.

Nieśpiesznie przeciągnąłem się i rozsiadłem w ogrodowym fotelu. Słońce zachodziło, a powietrze nabrało tej rześkości, idealnie równoważącej ciepło słońca. Po parku szwendały się gęsi. Wciąż nie byłem pewien, czy dobrze zrobiłem, instalując je. Wymyśliłem sobie bernikle, bo wiedziałem, jak wyglądają. Ale były wredne nawet jak na gęsi, a ja miałem zbyt dużą obsesję na punkcie realizmu, żeby chcieć majstrować im przy charakterach.

Bob leciał do Delty Eridani. Dobry wybór, moim zdaniem – duża szansa na planety nadające się do zamieszkania. Zakładając oczywiście, że w ogóle potrzebujemy planet nadających się do zamieszkania. Ale od sprawdzenia tego była ekspedycja Rikera.

Milo skierował się do Omikrona-2 Eridani. Wszyscy się z tego trochę pośmialiśmy, ale w końcu to było życie Milo. Musiałem przyznać, że sam

byłbym tym zainteresowany.

I wreszcie Mario. Ten to był dziwny. Parę razy z nim pogadałem, z czasem potrafił się trochę rozkręcić. Ale dwieście procent introwertyka. Jak to powiedział Bob, podwójna dawka antyspołeczności.

Mario leciał do Bety Węża Wodnego. Trochę zaskakujący wybór. Nie żeby się nie nadawała, ale była bardzo daleko. Była cała masa bliższych gwiazd o podobnych rokowaniach. Mario odpowiedział, że nie ma ochoty mieszkać na przedmieściach. Bob zrobił zdezorientowaną minę, ja jednak zrozumiałem. No nic, z czasem jakoś się do niego przebijemy, choć ja obstawiam, że jego już dawno tam nie będzie.

Sprawdziłem statki dla dwóch nowych Bobów i trzeci, o którego poprosił Riker. To było Niebo w wersji 1 z o wiele lepiej osłoniętym reaktorem, pilotowane przez MSI. Riker mówił tylko, że ma plan.

Westchnąłem i pokręciłem głową. Bob odleciał z układu praktycznie sprintem, tak się śpieszył. Chyba to klonowanie okazało się zgodne z jego najgorszymi koszmarami. No cóż, tak to jest z posiadaniem dzieci.

19. Milo, lipiec 2152, Omikron-2 Eridani

Widzę życie jako kilka ogólnych królestw. Sądzę, że na każdej planecie typu ziemskiego będzie ono podobne. Jeśli jest w stanie rozwinąć się na planecie gazowej, także będzie tego samego typu; na planecie podobnej do Tytana, gdzie istnieje ciekły metan, także będzie jednego typu, i tak dalej.

Jeśli chodzi o zgodność metaboliczną, to nawet na Ziemi nie wszystko możemy jeść. I vice versa, dzięki Bogu. Jest tak wiele rodzajów węglowodanów, białek i tłuszczów. Niektóre są niezbędne do życia, wiele jest trawionych, niektóre nie są, a niektóre są trujące. Nie widzę powodu, dlaczego nie miałyby tak być na dowolnej planecie, gdzie życie wyewoluowało z tych samych podstawowych cegiełek. Po prostu trzeba umieć odróżnić wołowinoida od najeżki.

Doktor Steven Carlisle,
na panelu konwentowym *Eksploracja galaktyki*

Łagodnie hamując, wśliznąłem się do układu Omikrona-2 Eridani. Byłem nierozsądnie podekscytowany, zdawałem sobie z tego sprawę i wcale się tym nie przejmowałem. Znalazłem się w półoficjalnym układzie domowym rasy Wolkanów ze *Star Treka*. Ponieważ byliśmy wielkim fanem *Star Treka*, pasowało mi polecieć tam prawie w pierwszej kolejności. Szczerze mówiąc, to gdyby nie Wolkanie, w ogóle darowałbym sobie ten układ, bo nie był pierwszorzędnym kandydatem w kategorii nadających się do życia.

Ciągle chodziła za mną ta kłótnia z Epsilon Eridani. Riker po ostatnim spotkaniu prawie się do mnie nie odzywał, a ja opuściłem układ przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nawet Bob dziwnie na mnie patrzył, choć wciąż był uprzejmy. Obiecałem Billowi, że kiedy dotrę na miejsce, będę mu słać raporty. Obojętne, czy na Ziemi przetrwała cywilizacja technologiczna, czy nie, nie zaszkodzi mieć mapę bliskich okolic kosmosu.

Oparłem się o balustradę balkonu w mojej gondoli i patrzyłem na rozciągający się w dole krajobraz. Wirtualny sterowiec dryfował teraz nad południową Francją. Zrekonstruowałem ten widok na podstawie bibliotek i byłem przekonany o jego dokładności. Widziałem głównie sady i pola uprawne, od czasu do czasu małe wsie. Słyszałem porykiwanie bydła na polach i szczekanie psów. Błękitne niebo, ciepłe powietrze i łagodny wietrzyk uspokajały moje wewnętrzne zwierzę i budziły uśmiech na twarzy. Mam nadzieję, że nigdy mi się to nie

znudzi, pomyślałem.

Podeszła Lucy, merdając ogonem. Pogłaskałem ją machinalnie. Kiwnąłem dłonią i pojawił się w niej herbatnik. Suka natychmiast usiadła, podałem jej przysmak, mówiąc „Ostrożnie...”. Chrupnęło i herbatnik zniknął.

Otrząsnąwszy się, wróciłem do biurka. Nad nim unosił się hologram układu, z wykreślonym żółtą linią moim kursem. Omikron-2 Eridani był tak naprawdę układem potrójnym. B i C orbitowały wokół siebie, a ta para orbitowała wokół A w odległości około 470 au. A był nieco mniejszy od Słońca, wciąż jednak miał potencjał, nawet bardzo duży, na posiadanie zamieszkiwalnych planet.

– Jak tam idą obserwacje?

[W zewnętrznym układzie kilka planet jowiszowych. Nadal zbyt duża odległość i zbyt mały ruch względny, żeby wykryć planety wewnętrzne]

– Ile potrzeba czasu na kompletny obraz?

[Okolo 40 godzin]

Kiwnąłem głową i rozsiadłem się, by dalej podziwiać widok. I mocno przykręciłem sobie zegar...

* * *

[Nowa wiadomość]

– Co? Od Billa?

[Tak. Nagłówek wskazuje, że to specyfikacja techniczna drona do eksploracji planetarnej]

– Super. Dawaj go na pulpit, jak tylko wszystko odbierzesz.

[Jest też wiadomość tekstowa]

– Pokaż.

Na biurku pojawiła się kartka. Sięgnąłem po nią.

Cześć, Milo,

na wypadek gdybyś znalazł rasę Wolkan, albo kogoś w miarę podobnego, wysyłam Ci plany bardzo praktycznego drona badawczego. Testowałem go na Ragnaröku i chyba już usunąłem większość usterek. Jest parę wariantów podstawowego modelu, do obserwacji, analizy biologicznej i tak dalej.

Riker skorzystał z Twojej rady i zrobił sobie kopię, żeby mu towarzyszyła w drodze na Ziemię. Chociaż wyniki jak na razie są dość nieoczekiwane.

Z innej beczki, teoria podprzestrzeni zaczyna wyglądać bardzo, bardzo interesująco. Mam do Ciebie jedną prośbę – jeśli znajdziesz surowiec na

stację kosmiczną, wstaw na nią porządną MSI z umiejętnością fabrykacji. Może tak być, że za parę lat podeślę Ci parę bardzo interesujących projektów.

Bill

Uniosłem brwi. Bill próbował być tajemniczy, ale w rozmowie z własną kopią to się nie sprawdzało. W minutę przyszło mi do głowy co najmniej kilka fajnych rzeczy, które mogłyby z tego wyjść. Za to uwaga o Rikerze była dziwna.

Sądząc po nagłówku, wysłał tę wiadomość niecały rok po moim wylocie. Szybko się ogarnął z tymi dronami.

* * *

– Raport?

[Wykryto prawdopodobny pas asteroid, nieco za pierwszą jowiszową. Prawdopodobna podwójna planeta w odległości 0,81 au]

Podwójna planeta?

– Dawaj ją na pulpit.

[Obraz jest częściowo ekstrapolowany]

W powietrzu nad blatem wyświetlił się powoli obraz. Choć nie miał żadnych szczegółów, planety wyglądały na bardzo zbliżone wielkością. Złapałem się na tym, że podskakuję zniecierpliwiony w fotelu, czekając, aż luki wypełnią się prawdziwymi danymi.

Po paru godzinach zebrano się dość informacji, by określić rozmiary i cykle orbitalne obu planet. Miały masę odpowiednio 0,9 i 0,7 ziemskiej, okręgały się w 20 dni, w odległości 364 tysięcy kilometrów. Żadna nie obracała się synchronicznie, choć na ustalenie dokładnych cykli dobowych trzeba było poczekać, aż będę bliżej.

– Gupiku, to wygląda naprawdę niesamowicie. One są w ekosferze, prawda?

[Potwierdzam, chociaż po chłodnej stronie sfery. Obecność gazów cieplarnianych decyduje o klimacie]

– O ile jest atmosfera.

[Wykryto atmosferę na obu ciałach. Skład jeszcze nieustalony]

Zawylem z radości.

– Gupik, daj sygnał, jak będziemy mieli pełny obraz, dobra?

* * *

Dzień później byłem już na orbicie wokół OE-1A, większej z dwóch

planet.

Gapilem się na obrazy na hologramie chyba przez całe godziny – jak zahipnotyzowany. Miałem obok siebie obie planety. Wyraźnie była widoczna różnica w wielkości. Obie miały atmosfery, chmury i okazałe oceany. Co najważniejsze, obie miały tlen w atmosferze. Znaczne połacie lądów były zdecydowanie zielonego koloru.

– O. Mój. Boże. Wygrałem na loterii.

Zwróciłem się do Gupika:

– Nowa wiadomość do Billa. Dołącz całą telemetrię, jaką zdążyliśmy zebrać. Dodaj też nazwy: Wolkan i Romulus.

[Parametry misji nie pozwalają na nadawanie nazw planetom]

– Parametry misji mogą się gonić. Ja je znalazłem, to ja je nazywam. Jeśli w przyszłości koloniści zechcą te nazwy zmienić, spokojnie mogą.

[Tak jest, panie kapitanie]

Gapilem się na obraz, szczerząc się od ucha do ucha. Nagle się zasępiłem. Drony eksploracyjne. Kurrrrrrr!

– Gupik, mamy coś o zasobach w pasie asteroid?

[Nie. Niezbędne szczegółowe badania]

– Jezus, zawsze coś. – Westchnąłem. – Dobra, wyznacz kurs, który pozwoli nam oblecieć cały pas asteroid. Pod napędem. Potem postanowimy, gdzie się rozłożyć.

* * *

Pomiary zajęły parę tygodni. Pas asteroid był zadziwiająco rzadki i ponamierzenie wszystkiego SUDDAR-em zajęło dwa pełne obroty wokół macierzystej gwiazdy. Wyniki były rozczarowujące i stwierdziłem, że muszę poszukać źródła cięższych pierwiastków wokół dwóch jowiszowych planet. Wewnętrzny z Jowiszów był całkiem spory, więc istniała szansa, że przechwycił dużą liczbę satelitów.

Rozpakowałem jedną z autofabryk i połowę jednostek wydobywczych. Kazałem zacząć zbieranie i rafinowanie, po czym ruszyłem do bliższego Jowisza.

OE-2 zdecydowanie posiadał imponujący okaz planety typu jowiszowego. Miała trzy razy taką masę jak Jowisz – prawie łapała się na brązowego karła. Dwudziestoczworgodzinny okres obrotu tworzył gigantyczne poziome pasma zjawisk meteorologicznych, z paroma komórkami burzowymi, za którymi Wielka Czerwona Plama mogłaby nosić walizki.

Planeta pyszniła się także paroma setkami satelitów. Co najmniej sześćdziesiąt było na tyle dużych, by mieć kulisty kształt, a z połowa z nich miała także solidne atmosfery. Zrobiłem szczegółowy skan

mniejszych księżyców i wykryłem kilkadziesiąt o znacznych i interesujących złożach metali i metali ciężkich. Rozpakowałem drugą autofabrykę i zapuściłem ją nieopodal paru bardziej obiecujących kandydatów.

Wydobycie w dwóch różnych lokalizacjach stwarzało problem logistyczny. Skoro wewnętrzny układ miał dość surowców dla moich kluczowych potrzeb, parę jednostek wydobywczych przekierowałem do regularnego przerzucania materiału do wewnątrz układu.

Wróciłem na wewnętrzny plac budowy i stwierdziłem, że pierwsze partie dronów eksploracyjnych są prawie gotowe. Zadowolony, że wszystko idzie dobrze i MSI ze wszystkim sobie poradzą, wróciłem na Wolkana i Romulusa.

Poświęciłem czas na sporządzenie szczegółowych map obu planet. Większa, Wolkana, miała znacznie więcej CO₂ i gęstszą atmosferę. Mniejsza, Romulus, miała prawdziwe czapy lodowe, choć sądząc po ich zmianach wielkości w czasie, kiedy je obserwowałem, mogły być sezonowe. Na półkuli północnej był obecnie środek wiosny, a przy roku trwającym zaledwie 285 ziemskich dni, pory roku zmieniały się szybko.

* * *

Wreszcie nadszedł dzień, gdy pierwsza partia dronów była gotowa. Postanowiłem wyposażyć je w analizatory biologiczne. Z radością, nie mogąc się doczekać wyników, wysłałem je na dół, po cztery na planetę.

Stwierdziłem, że zaczną na równiku, gdzie życie będzie najbardziej zróżnicowane, a potem pójdą parami w stronę biegunów. Jeden dron z każdej pary skupi się na życiu wodnym, drugi na lądowym. Wiedziałem, że nie mam szans pokrycia choćby ułamka całej biosfery, szukałem jednak odpowiedzi na ważniejsze pytanie – biogodność.

Pierwsze wizualne wyniki dotarły po mniej więcej dwunastu godzinach. Życie na Wolkanie było zróżnicowane, włączając zwierzęta wielkie jak dinozaury. Natomiast Romulus nie miał zwierząt większych od wilka, a ekosystemy wyglądały na dość ubogie. Takiej różnicy między tymi planetami nie dawało się wyjaśnić samym klimatem. Podejrzywałem, że na Romulusie musiało się niedawno wydarzyć coś, co spowodowało masowe wymieranie.

Prawdziwym zaskoczeniem była analiza komórkowa. Wyniki sugerowały z bardzo dużym prawdopodobieństwem, że życie na obu planetach jest spokrewnione. Komórki były zbyt podobne konstrukcyjnie, żeby to mógł być zbieg okoliczności. Przypomniały mi się teorie, że życie mogło przenosić się pomiędzy Ziemią i Marsem na meteorytach. Tutaj dwie planety orbitowały wokół siebie nawzajem,

więc było to jeszcze bardziej prawdopodobne.

Pozostawała kwestia biogodności – czy ziemskie życie będzie w stanie tu przetrwać? Przypomnił mi się odcinek *Star Treka, Droga do raju*, gdzie cała planeta okazała się trująca. Słabo by było przelecieć szesnaście lat świetlnych i nie móc nigdzie zamieszkać.

Stacja kosmiczna miała jeszcze parę miesięcy do ukończenia, ale i tak puściłem jej wstępny raport. Zazaczyłem, że ma być wysłany na Słońce i do Billa. Mało prawdopodobne, by WIARA wciąż działała, prawie dwadzieścia lat po wojnie, ale jednak możliwe. A miałem przed sobą idealny teren do przeprowadzki ludzkiej rasy. Trochę się zdziwiłem, że w ogóle się tym przejmuję, ale przecież dodatkowa kopia wiadomości nic mnie nie kosztowała. Zdaje się zaczynało do mnie docierać, że eksploracja dla samej eksploracji jest jednak trochę bezsensowna.

Miałem za mało biologicznych próbek, żeby analizować białko po białku, mogłem jednak bez problemu pokategoryzować węglowodany i poszukać oczywistych problemów, typu wysokie poziomy metali ciężkich, arsenu i tak dalej. Drony do analizy biologicznej miały mechaniczny żołądek, przetwarzający substancje organiczne podobnie do ludzkiego. Analiza wyników miała zająć około doby na próbkę, ale mnie się nigdzie nie śpieszyło.

20. Bill, grudzień 2145, Epsilon Eridani

Nawet na Ziemi komórki nie są wszystkie takie same. Mamy prokarioty, eukarionty, bakterie, archeony i wirusy. Zatem nie, nie sądzę, żeby jakakolwiek struktura komórki była bezwzględnie nieunikniona. Ale jeśli pytamy, czy coś jest jadalne, trzeba pamiętać, że my nie metabolizujemy komórek, my metabolizujemy węglowodany, białka i tłuszcze. Ważne jest tylko, na co się rozpadają obce komórki, kiedy nasz żołądek się z nimi rozprawia.

Doktor Steven Carlisle,
na panelu konwentowym *Eksploracja galaktyki*

Jak ludzka rasa przetrwała pierwsze pokolenie? Jak to się stało, że rodzice nie zjedli własnych dzieci?

Patrzyłem, jak ślady radiacyjne Rikera, Homera i statku-przynęty znikają w oddali. Będą musieli ograniczyć się do 2 g, żeby statek oparty na wersji 1 mógł za nimi nadążyć.

Homer i Garfield zostali włączeni jednocześnie. Garfield, mój klon, zgodził się zostać i pomóc mi przy projekcie, który już zaczęliśmy nazywać Skunk Works². A ja cieszyłem się z towarzystwa i pomocy. Miałem listę zadań długą jak moje wirtualne ramię. I liczyłem na odrobinę współpracy i entuzjazmu większego niż wykazywany przez wielką rybę.

– Mam ich na celowniku. Mogę ich zniszczyć. Mogę?

Odwrociłem się do Garfielda i parsknąłem śmiechem.

– Daj spokój, dawno odlecieli. Wyluzuj.

Garfield odłożył eksperymentalną broń plazmową. Zauważyłem, że nawet jej nie naładował. Ale liczy się sama pamięć...

– To może teraz uda się nam coś sensownego zrobić. – Rozwinął listę projektów. Był ze wszystkim na bieżąco, bo powstał przecież z mojej kopii zapasowej.

Nie mogłem się z nim nie zgodzić. Okazał się świetnym współnikiem, ale Homer poszedł dokładnie w przeciwnym kierunku. Myślę, że Riker by go w życiu nie wziął, gdyby wymyślił jakiś pretekst do pozbycia się własnego potomstwa. Jednakże ekspedycja do Układu Słonecznego była priorytetem i nie mogliśmy z nią dłużej czekać. Miałem tylko nadzieję, że Homer zrezygnuje z kreskówkowego awatara i przestanie bez przerwy krzyczeć „Doh!”, zanim Riker go „przypadkiem” zestrzeli.

– Wiesz, że mamy budować kolejne mioty? Mamy tu mieć fabrykę Bobów.

– Jak chcesz, to sobie buduj. Ja popatrzę z odległości.

Westchnąłem i pokiwałem głową.

– Dobra, Garfield, to co tam jest pierwsze na liście zadań?

W okienku wyskoczyła lista, z małą podobizną Garfielda obok, w pełnym rynsztunku, włączając smoking.

– Dla zaspokojenia pańskiej ciekawości badacza, mamy dziś w menu następujące pozycje: dokończenie dronów eksploracyjnych, na prośbę Boba, ulepszenia VR, żebyśmy mogli wchodzić w bardziej bezpośrednie interakcje, dalszą pracę nad problemem nadawania w podprzestrzeni, którą już cztery razy odesłałeś w cholerę; oraz sztuczne odpowiedniki włókien mięśniowych do budowy realistycznych robotów łamane przez androidów.

– Ten skecz chyba nie wejdzie ci w nawyk, co? – Łypnąłem na mini-Garfielda. – Bo główny cyngiel działa plazmowego mam jednak ja.

Garfield wyszczerzył się do mnie.

– To pomyśl, jak musi się czuć Riker, skazany na dziesięciolecie Homera.

– No tak, może trzeba by im posłać parę zapasowych Bobów. – Wyciągnąłem rękę i powiększyłem okienko z listą. – Dobra, to zaczynamy...

2 Skunk Works – potoczne określenie grupy badawczej w ramach większej firmy lub organizacji, pracującej nad tajnymi czy eksperymentalnymi projektami; pochodzi to od kryptonimu Zaawansowanego Programu Rozwojowego w Lockheed Martin, tam z kolei pożyczili sobie to od nazwy bimbrowni w komiksie *Li'l Abner* (przyp. tłum.)

21. Riker, styczeń 2157, Układ Słoneczny

Jeśli weźmiemy sobie na początek sto planet, wyrzucimy wszystkie typu jowiszowego, zamrożone Plutony, parzących Merkurych, za małe Marsy, zbyt duże super-Ziemie i gorące Wenus, skreślimy karłowate gwiazdy, olbrzymy, zmienne, bliskie układy podwójne i typy gwiazd, które nie przeżyją tyle, by mogło się rozwinąć życie, zostanie nam może z dziesięć planet.

Teraz zła wiadomość. Nasze słońce jest większe od 80% gwiazd. Większość ich jest typu K lub M, znacznie większych i ciemniejszych niż Słońce. Ekosfera byłaby w nich tak blisko gwiazdy, że planeta niemal na pewno musiałaby obracać się synchronicznie. Może nadawałaby się do życia, ale nie byłaby idealna. Zatem w sumie pewnie trzy na sto planet nadają się do zamieszkania. A i tak uważam, że to optymistyczny szacunek.

Doktor Stiepan Sołokow,
na panelu konwentowym *Eksploracja galaktyki*

Układ Słoneczny miał w sobie coś szczególnego. Schemat w holo tego nie oddawał, ale nawet ten schemat wzbudził u mnie nostalgię.

Minęło zaledwie dziewięć lat subiektywnego czasu, odkąd opuściłem Ziemię jako Bob, ale dla większości ludzkości minęło dwadzieścia sześć lat. Wiele się mogło w tym czasie zmienić. Mało prawdopodobne, na przykład, żeby wciąż szalała tam wojna. Ale i tak nie zamierzałem wjechać do Układu na długich światłach, trąbiąc klaksonem. *Nieba* w wersji 2 miały lepiej ekranowany reaktor, a u mnie i Homera ten ekran był jeszcze pogrubiony. Nie chciałem, żeby ktoś nas wykrył, póki nie zdecydujemy się ujawnić. Wabik dryfował sobie w obłoku Oorta na minimalnej mocy, póki nie nadamy mu odpowiedniego wektora. Tymczasem my przelecieliśmy na wspomaganych orbitach przez zewnętrzne rubieże Układu – na tyle blisko, by wyłapać standardowe sygnatury reaktorów, ale nie na tyle, żeby oni wykryli nasze.

Zajęło to parę tygodni, ale w końcu udało nam się skompletować obraz wewnętrznego Układu. O tyle, o ile.

Homer otworzył czat wideo. Zauważyłem mimochodem, że zrezygnował z kreskówkowego awatara i wrócił do standardowego Boba. Domyślam się, że dotarło do niego, dlaczego ograniczyłem nasze rozmowy tylko do audio. Jest pewna szansa, że będzie się próbował odegrać na innym polu.

Niesamowicie mnie denerwowało, że Bob 6 wybrał sobie właśnie taki awatar. Oryginalnego Boba Homer z Simpsonów zawsze drażnił.

Prawda, nie było dwóch identycznych Bobów, ale Homer naprawdę odstawał. Zjawiska kwantowe? Subtelne różnice sprzętowe? Kolejny wpis na rosnącą bez końca listę zadań. Praktyczny skutek był jednak taki, że rozmawiając z różnymi Bobami, miało się wrażenie, że to kontakt z innymi ludźmi, a nie mamrotanie pod nosem do siebie.

Homer wrzucił na diagram układu parę strzałek.

– Tutaj i tutaj wysoki poziom promieniowania. Atomówki, nic innego. Obrazowanie dalekiego zasięgu Ziemi też wygląda słabo.

– Tak, powiedziałbym, że likwidacja całkiem nieźle im poszła... – Usiadłem prosto i przeciągnąłem ręką po włosach; nerwowy nawyk, którego nie potrafiłem się wyzbyć nawet jako replikant. – Albo są jej tak blisko, że stąd nie widać różnicy. W całym układzie jest tylko ta jedna grupa sygnatur radiacyjnych. Nawet nie można zakładać, że to ludzie. Szybciej jakieś automatyczne systemy, do których jeszcze nie dotarło.

– Po tym przelocie będziemy mieć lepszą rozdzielczość – odpowiedział Homer. – I zastanowimy się nad planem.

Przyjrzałem się uważniej tej grupie, choć nie spodziewałem się wyciągnąć z tego obrazu kolejnych informacji. Mała grupka sygnatur reaktorów, więcej niż dwie, ale mniej niż dziesięć, leciała po powolnej orbicie, która wyglądała, jakby za parę miesięcy miała przeciąć się z Ziemią. Kurs zdecydowanie nie wyglądał na wojskowy, był zbyt łagodny – przechwycenie przez wroga byłoby dziecinnie łatwe. O ile istniał jeszcze jakiś „wróg”.

Machnięciem ręki zgasilem diagram. – Spekulujemy, bo jeszcze nie zebraliśmy informacji. To nie ma sensu. Jeśli masz ochotę się spowolnić na jakiś tydzień, to nie ma sprawy. Ja popracuję nad swoimi modelami.

Homer parsknął.

– Masz tam klej i farbki? A może to anatomiczne modele? No, nie poznaję kolegi...

Skrzywiłem się i przerwałem połączenie. Trudno mi było uwierzyć, że osobowość Boba miała w sobie coś, z czego mógłby powstać ten irytujący głupek. Gdyby choć odrobinę się zawahał, czy chce mi towarzyszyć na Ziemię, od razu bym go odprawił i spróbował jeszcze raz. Ale niestety. Nic z tego.

Włączyłem symulację fizyki i wyciągnąłem białą tablicę. Tylko Billa i mnie tak naprawdę kręciło zagadnienie podprzestrzeni. Super byłoby dokonać tego przelomu przed Billem. Wtedy, informując go o tym, mógłbym dołączyć jakieś wideo z pokazywaniem języka. Bądźmy jednak realistyczni, dla mnie to była dodatkowa fucha. Bill nie miał nic więcej do roboty, a poza tym nie leciał przez lata z relatywistycznymi prędkościami.

Oddaliliśmy się od układu siłą bezwładności, aż poczuliśmy, że możemy bezpiecznie włączyć napęd, potem wybraliśmy kurs przecinający się z kursem wabika. MSI-pilot nie powiedziała nic nowego, zresztą tak daleko niczego się nie spodziewaliśmy.

Widok z bliska podczas ostatniego przelotu wskazał sześć sygnatur. Następnym krokiem było ustalenie, czy są wojskowe, czy są załogowe, czy automatyczne i czy są wrogie.

Czas wykorzystać wabik.

* * *

Położyłem nogi na pulpicie i pobawiłem się trochę dźwigniami przy fotelu. Ekrany mostka pokazywały kurs *Nieba 2A* przecinający orbitę Jowisza. Zrobiłem sobie przerwę na łyk kawy, po czym zwróciłem się do Gupika:

– Wektor podejścia wydaje się w normie.

Gupik dobrze wyglądał w mundurze Federacji. No, dobrze jak na dwunożną rybę. W końcu postanowiłem, że nie należy mieszać *Gwiezdných Wojen* ze *Star Trekiem* i zmieniłem mu ten biały strój. Pewnie nawet nie zauważył.

[Pojazd dotrze na orbitę Jowisza z zerową prędkością względną za 35 godzin]

– Jakies ślady pościgu lub przechwytywania?

[Dwie sygnatury reaktorów, wektor sugeruje kurs na przechwycenie]

– Świetnie. Kurs bez zmian.

Dla replikanta trzydzieści pięć godzin mogło trwać dowolnie krótko lub długo. Wiedziałem, że Homer reguluje sobie zegar zależnie od sytuacji, ja jednak czułem coś w rodzaju upartej dumy z tego, że trzymam się czasu rzeczywistego. W każdym razie w pokładowych bibliotekach miałem do studiowania sumę całej ludzkiej wiedzy. I oczywiście moje modele podprzestrzeni.

Bobowie nie mogli się nadziwić postępowi naukowemu – czy raczej jego brakowi – podczas stu kilkunastu lat, jakie minęły od śmierci Pierwszego Boba w Las Vegas. Parę rzeczy w „praktycznej” inżynierii poszło naprzód, ale w nauce teoretycznej po powstaniu WIARY jakby wszystko stanęło. Wciąż nie byliśmy pewni, dlaczego przynajmniej ZSE nie pociągnęło badań teoretycznych. W końcu to oni mieli u siebie CERN, Zderzacza Hadronów oraz sporo najlepszych i najbardziej oryginalnych myślicieli w dziejach. Pewnie częściowo odpowiadała za to presja WIARY, ale zaważyć musiał też globalny kryzys gospodarczy wywołany przez Handla i jego przydupasów.

Niestety w bibliotekach bardzo trudno było o wiarygodne dane historyczne. Nieliczne nawiązania do tego okresu były tak w oczywisty sposób propagandowe, że to śmiechu warte.

Ale dość bujania w obłokach. Dzisiaj, teraz, musieliśmy zmierzyć się z sytuacją.

Niebo 2A było teraz w zasięgu SUDDAR-u zbliżających się statków, a widok z mostka stawał się zbyt zatłoczony. Zrezygnowałem ze spójności wirtualki i rzuciłem przed siebie holograficzny obraz. Impulsy SUDDAR-u nie dawały z tej odległości zbyt wielu szczegółów, ale i tak było oczywiste, że mamy przed sobą brazylijskie sondy podobne do *Serra do Mar*. I zapewne obsadzone przez klony Medeirosa.

Zgodnie z naszym planem, w punkcie, gdzie *Niebo 2A* powinno wykryć nadlatujących przeciwników, zmieniło kurs i uciekło z przyspieszeniem 2,5g. Dokładnie w tym momencie nadlatujące statki wykonały taki sam zwrot i wypuściły rakiety. Chwilę to potrwało, ale w końcu rakiety trafiły w cel. Wabik rzucił nam ostatni obraz i suddarowy skan nadlatujących z dużą szybkością pocisków, po czym sygnał umilkł.

Homer otworzył okienko i zaczął rozmowę:

– No, to było pouczające.

– O, pewnie – odpowiedziałem. – Zauważyłeś, że teraz ich rakiety mają silniki SURGE?

– No, to jest faktycznie problem. Liczyłem, że może Medeiros będzie trzymał się tego samego, co zawsze. W końcu to trep, nie inżynier.

Poświęciłem parę chwil na przejrzenie transmisji z wabika.

– Same sondy wydają się niezmienione. Takie samo przyspieszenie, takie same wymiary. Tu nie ma żadnych niespodzianek. Mogli te rakiety skądś wziąć, może gdzieś były przechowywane. To by przynajmniej ograniczało ich dostępność.

Homer wzruszył ramionami.

– Bez konkretów to nic nam nie daje. Musimy zakładać, że wszystkie Medeirosy mają wyłącznie rakiety nowego typu. À propos, patrzyłeś na telemetrię dalekiego zasięgu z wabika?

– Tak. – Przewijałem ją, dopóki nie znalazłem właściwego przedziału.

– Kolejne cztery identyczne sygnatury i jeszcze cztery bardzo słabe, pewnie jakiś inny sprzęt w stanie uśpienia. Wygląda na to, że mamy na głowie minimum sześciu Brazylijczyków.

– To też, ale widziałeś, gdzie jest ta druga czwórka?

Zmarszczyłem czoło. Nie podobało mi się, że egzaminuje mnie Homer Simpson. Przejrzałem dokładniej telemetrię i zauważyłem, że cztery sygnatury sond są ustawione w linii kończącej się dokładnie na Ziemi. I przy każdej było to drugie, słabutkie echo. Poruszały się z niewytłumaczalnie małą prędkością, ale w takich odstępach, że miały

dotrzeć na Ziemię dokładnie w odstępach dwudziestu czterech godzin.

– Co za cholera? One praktycznie dryfują. Z prędkością orbitalną. Mniej więcej taką, jak przykładowa kometa... – Poczulem, że oczy rozszerzają mi się w szoku. – Nie! To nie może być.

– Chyba może, Numer Dwa. – Homer się skrzywił. – Wabik był za daleko, żeby wylapać to na SUDDAR-ze, ale ja przeanalizowałem albedo z obrazu optycznego. W każdej z tych lokalizacji jest coś o wiele większego od statku.

– I każdy dotrze dokładnie w momencie, kiedy będzie miał pod sobą Chiny. – Pokręciłem z niesmakiem głową. – Co za skurwysyny. Zrzucają na Ziemię asteroidy.

22. Bill, wrzesień 2150, Epsilon Eridani

Sondy von Neumanna będą się mnożyć wykładniczo, jak bakterie, tak że w końcu zbadają całą galaktykę. W przeszłości takie stwierdzenia zawsze padały na kwesii, jak właściwie mają się replikować. Większość fantastyki naukowej albo całkowicie ignorowała ten szczegół, albo zbywała go machaniem rękami i nawiązaniem do nanomaszyn.

Wiele osób zauważało, że energia niezbędna do uwolnienia metalu z macierzystej rudy i prawidłowego ustawienia atomów w siatkę krystaliczną, potrzebna do budowy dobrych materiałów, jest większa, niż może dostarczyć typowa mikroskopijna maszyna. Więc nano nie jest tu dobrym rozwiązaniem, przynajmniej nie samo.

Eduard Guijpers,
na panelu konwentowym
Projektowanie sond von Neumanna

– Smutno trochę, kiedy dzieci wyfruwają z gniazda, nie? – Wyszczrzyłem się do Garfielda.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Nie rób tego więcej, dobra? Zauważam pewną prawidłowość i ona nie wygląda dobrze.

– Przesadzasz. Trochę. Może. – Wzruszyłem ramionami. Holo przedstawiało oddalające się z układu sygnatury radiacyjne Calvina, Goku i Linusa. Linus był w porządku, bez zauważalnej nerwowości. Ale Calvin i Goku w sekundę rzucili się sobie do gardeł. Może dlatego Linus zechciał lecieć sam.

A tamta dwójka, mimo że non stop się kłóciła, była nierozłączna. Grozili sobie co chwila, ale rozdzielenie się nie wchodziło w grę.

Mogłem się solidaryzować z Garfieldem, ale od odlotu Rikera i Homera minęło pięć lat i preteksty mi się kończyły. Wyglądało na to, że niechęć Boba do klonowania się jest zaraźliwa. Wnosząc po dotychczasowych wynikach, byliśmy niezbyt dobrym wzorcem sondy von Neumanna.

Pokręciłem głową i zgasilem obraz. Ten miot był pierwszym, który używał trzeciej wersji statku. Zważywszy, dokąd lecą Calvin i Goku oraz jak prawdopodobne jest napotkanie przez nich innych sond, uznałem, że trzeba im te statki trochę podrasować.

Niebo 9 i Niebo 10 były wyposażone w mocno przewymiarowane napędy SURGE i reaktory, dające im niesłychane 10g przyspieszenia.

Posiadały także drugi, mniejszy i bardzo dobrze ekranowany reaktor, pozwalający im płynąć przez układ z podstawowym reaktorem wyłączonym, co było nie do wykrycia, chyba że z bardzo bliska.

Jeśli chodzi o broń, to mieli dwa razy więcej niż normalnie niszczycieli statków, paru zwiadowców, jak również działa elektromagnetyczne napędzane ich potężnymi silnikami SURGE i pokryte stalą ołowiane kule w charakterze amunicji.

I wreszcie dodałem im, miejmy nadzieję, skuteczne zagłuszenie SUDDAR-u. Dwa nadajniki, zasilane mocnymi reaktorami, powinny dać radę przesterować białym szumem każdy detektor SUDDAR-u w zasięgu.

Odbyliśmy wiele dyskusji i debat na temat badania układu Alfya Centaura. Był oczywistym pierwszym celem dla sondy kosmicznej, prawdopodobne więc, że pozostałe supermocarstwa właśnie tam skierowały się w pierwszej kolejności.

Zresztą WIARA właśnie dlatego zdecydowała inaczej. Cztery lata świetlne czy dziesięć, subiektywny czas dla kolonistów różnił się tylko o sześć miesięcy.

Nie miałem pojęcia, jak może się rozegrać kontakt z sondami Chin czy ZSE, ale co do Medeirosów byliśmy jednogłośni – zero strzałów ostrzegawczych, zero wahania, zero dyskusji.

23. Milo, luty 2153, Omikron-2 Eridani

Jednakże w ciągu paru ostatnich lat drukarki 3D coraz bardziej się rozpowszechniają. Technologia jest jeszcze w powijakach, ale widzieliśmy już pokazy drukowania na podłożu liter z pojedynczych atomów. Niektórzy widzą w tym początki prawdziwego, praktycznego systemu do autopowielania się. Drukarka może zbudować kolejne drukarki, roboty do pracy, wydobywania i wreszcie kolejne maszyny von Neumanna. Parę firm eksperymentuje z głowicami mogącymi nakładać wiele różnych materiałów, trochę jak kolorowe drukarki atramentowe. Technologia zapewne będzie rozwijać się dalej, aż osiągniemy coś, co będzie umiało zbudować atom po atomie dowolny przedmiot.

Eduard Guijpers,
na panelu konwentowym
Projektowanie sond von Neumanna

Czas lecieć. Rozparłem się w fotelu, popatrzyłem na chmury, na francuskie pola w dole, na Lucy zwiniętą na poduszce i śniącą o czym tam śnią psy.

Spędziłem fascynujące siedem miesięcy, badając i katalogując biologię Romulusa i Wolkana. Wszystkie spostrzeżenia, wszystkie raporty, wszystkie zdjęcia ładowałem na stację kosmiczną, przekazującą to dalej Billowi i do Układu Słonecznego. Drony podzieliły układ na sektory i zidentyfikowały każde warte zachodu złoża rud. Zostawiłem autofabrykę i parę dronów, które miały dalej rafinować surowce w oczekiwaniu na przylot kolonistów. Albo obcych, albo może kolejnej sondy. Z tą myślą zostawiłem im także zapas niszczycieli statków. MSI stacji orbitalnej miała profil Medeirosa i rozkaz strzelania bez ostrzeżenia.

Postanowiłem nie budować tutaj partii Bobów. Ewentualni koloniści będą potrzebować tych zasobów bardziej ode mnie, a poza tym nie byłem przekonany, czy mi się chce. Bobowi 1 nie poszło zbyt dobrze.

Nie śpieszyłem się, zbadałem wszystkie pobliskie gwiazdy i zdecydowałem się na 82 Eridani. Dobrze rokowała i nie była zbyt daleko.

Wypchnąłem ostatni raport, opisujący moje plany, po raz ostatni spojrzałem na układ w holo. Potem puściłem sobie na full *On the Road Again* i odpaliłem napęd SURGE. Wieśniacy z francuskiej prowincji w dole obrzucili mnie przekleństwami.

24. Riker, kwiecień 2157, Układ Słoneczny

Szybkość to kwintesencja wojny. Wykorzystaj nieprzygotowanie wroga, przyjdź z nieoczekiwanej strony i uderz tam, gdzie się nie przygotował.

Sun Zi, Sztuka wojenna

Wlecieliśmy do Układu Słonecznego z 5% c, hamując ze stałym 5g. Starannie wyliczyliśmy kurs i prędkość, żeby wyglądało, że przylatujemy z Epsilon Eridani. Lecąc z niezmiennym wektorem, przelecielibyśmy bardzo blisko Słońca, wciąż z prędkością około 0,1 c.

Długo się zastanawialiśmy, jaki wektor podejścia wybrać. Potrzebowaliśmy czegoś, co stanowi zagrożenie dla Brazylijczyków, ale to pozwoliłoby im nas przechwycić. Kurs z asystą grawitacyjną wokół Słońca pozwoliłby nadlatującym *Niebom* pojawić się z drugiej strony, z gigantyczną przewagą prędkości i nieprzewidywalnym wektorem. Wtedy brazylijskie statki nie będą mogły po prostu siedzieć i czekać, aż nadlecimy.

Przynajmniej w teorii.

Liczyliśmy, że wciągniemy do pościgu wszystkie sześć sond.

Siedziałem w pogotowiu, nerwowo patrząc na telemetrię. Właśnie minęliśmy punkt, w którym powinni wykryć nasze sygnatury, uwzględniając opóźnienie wynikające z prędkości światła. Za kolejne sześć godzin nie będą już mogli nas przechwycić. Jeśli zamiast pościgu zechcą walczyć, będziemy musieli się zastanowić nad powrotem. W otwartej strzelaninie nie mielibyśmy przewagi.

Minęła godzina, nim dostrzegliśmy jakikolwiek ruch. Trochę eksperymentowałem nad tym, by mój awatar w VR naprawdę się pocił, w końcu jednak zrezygnowałem, uznawszy, że to jedna z tych ludzkich cech, których nie mam ochoty odtwarzać. Wydaliśmy okrzyki, gdy cztery z tych sygnatur zaczęły oddalać się od linii asteroid.

– Cztery to nie sześć – powiedziałem – ale w strzelaninie mamy o wiele większe szanse z dwiema.

– O ile zbijemy te cztery – dodał Homer.

– No tak. Nic tu nie jest pewne, to racja.

Dotarcie do peryhelium w naszym wyścigu wokół Słońca miało zająć dziesięć dni.

* * *

– Już czas.

Uniosłem głowę na słowa Homera. Patrzył na mnie wyczekująco.

– Dobra, to już. Gupik, wystrzel niszczyciele.

[Tajest!]

Obraz w powietrzu pokazał, jak *Niebo 2* wystrzeliwuje niszczyciele, w kilkusekundowych odstępach, dokładnie do tyłu. Działo elektromagnetyczne w *Niebach* wersji 2 potrafiło strzelać z dziobu lub rufy, z przyspieszeniem setek g. Każdy strzał powodował na statku chwilowy zanik napędu, bo to silnik SURGE zasilał działo, liczyliśmy jednak, że z tej odległości Medeirosy nie będą w stanie wykryć krótkotrwałego spadku przyspieszenia.

Niszczyciele miały wycofać się na tyle, żeby znaleźć się za brazylijskimi statkami, kiedy podlecą do nas. Z wyłączonymi reaktorami, lecąc siłą bezwładności, były nie do wykrycia, chyba że wróg świadomie zdecyduje omieść wiązką SUDDAR-u dokładnie ten sektor.

* * *

Brazylijczycy znaleźli się za nami, wyrównując kurs z naszym. Przyjrzałem się diagramowi pośrodku mojej VR. To była skomplikowana interakcja. My hamowaliśmy z opóźnieniem 2,5 g, próbując wykonać manewr asysty grawitacyjnej wokół Słońca; Brazylijczycy przyspieszali z 2 g, starając się dożyć nas na tyle, by wystrzelić rakiety, ale nie lecieć tak szybko, by przerzuciło ich na wyższą orbitę. Tymczasem niszczyciele leciały bezgłośnie za nimi, bezwładnie, ale z większą prędkością i nie hamując, dlatego stopniowo się do nich zbliżały. Przed włączeniem reaktorów musiały podejść jak najbliżej, a my chcieliśmy, żeby cała akcja odbyła się po drugiej stronie Słońca, niewidoczna dla dwóch innych Brazylijczyków, którzy wciąż zaganiali te asteroidy.

Wreszcie Brazylijczycy zadziałali. Obaj wystrzelili po rakiecie. Pociski, tak jak się obawialiśmy, miały napędy SURGE i ruszyły ku nam z ogromnym przyspieszeniem.

[Kontakt za 45 sekund]

– Niszczyciele, atakować.

[Tak jest]

Na hologramie pojawił się dymek potwierdzający wysłanie rozkazu. W ciągu sekundy zaświeciło się osiem punktów – to włączyły się reaktory niszczycieli. Brazylijczycy natychmiast zareagowali, wysyłając w tył falę pocisków.

– No to teraz robi się poważnie – powiedział Homer.

Poczułem milisekundowe impulsy, gdy moje działo elektromagnetyczne wyrzucało niszczyciele w tył, żeby przechwyciły nadlatujące rakiety. Wystrzeliliśmy z Homerem po cztery. Tak jak były zaprogramowane, ustawiły się w pary, jeden za drugim, każda para wzięła na cel jedną nadlatującą rakietę.

Gdy od brazylijskich statków oddzieliła się kolejna fala pocisków, zobaczyłem na ekranie, że wystrzelili osiem do nadlatujących niszczycieli. Według naszych szacunków powinni jeszcze mieć w sumie cztery w rezerwie.

Atakujące niszczyciele rzuciły się w skomplikowany korkociąg, jak najtrudniejszy do przewidzenia dla wrogich rakiet.

Tymczasem brazylijskie statki rozdzieliły się, zmuszając atakujące niszczyciele do wybrania sobie celu.

Przez kilka sekund miałem stosunkowo mało do roboty, więc puściłem skupioną wiązkę SUDDAR-u w kierunku jednego z Brazylijczyków. Wróciła z piękną ilością szczegółów. Zobaczyłem między innymi, że statek faktycznie nie ma już rakiet. Puste komory mogły pomieścić po cztery. Napomknąłem o tym Homerowi:

– Szesnaście rakiet w sumie, tak jak się spodziewaliśmy.

I skupiłem się z powrotem na nadlatujących zagrożeniach. Trzy z brazylijskich rakiet zderzyły się z niszczycielami, niszcząc jedno i drugie. Czwartej udało się zrobić unik przed pierwszym niszczycielem, ale robiąc to, odsłoniła się na uderzenie z boku przez drugiego niszczyciela z pary. Nastąpił wybuch i czwarty pocisk przestał istnieć.

Wielokrotne eksplozje przesterowały widok optyczny, a na radarze i SUDDAR-ze zrobiła się chaotyczna zupa. W tym krótkim okresie słabej widoczności wystrzeliliśmy z Homerem osiem kul armatnich na pełnym gazie.

Kiedy obraz się przeczyścił, zobaczyłem, że zniszczyliśmy wszystkie cztery pociski i wciąż mieliśmy do dyspozycji cztery niszczyciele. Na drugim końcu pola walki osiem brazylijskich rakiet zniszczyło wszystkie osiem atakujących niszczycieli.

Brazylijczycy na pewno gratulowali sobie celnych strzałów. Jednakże zadaniem tych niszczycieli było tylko zużycie ich rakiet. Zachowanie Medeirosa w układzie Epsilon Eridani wskazywało, że gotów jest się poświęcić, jeśli widzi, że nie wygra. Chcieliśmy, by ta grupa zużyła uzbrojenie, broniąc się, a nie ruszała do samobójczego ataku.

Wciąż mieli w odwodzie cztery pociski i cztery sunące na nich niszczyciele. My czekaliśmy, starając się emanować aurą „skończyła nam się amunicja”. Pat w tej sytuacji byłby dla nich zwycięstwem.

Wreszcie podjęli decyzję. Wystrzelili ostatnie cztery rakiety do nadlatujących niszczycieli.

– Szach i mat! – wrzasnął Homer. Brazylijczycy, skupieni na nadlatujących niszczycielach, nie wykryli kul armatnich. Całkowicie bezwładne, bez sygnatury radiowej czy radiacyjnej, były niewidzialne, jeśli ktoś nie oświetlił ich skupioną wiązką SUDDAR-u.

Sześć z ośmiu kul armatnich trafiło w cele dokładnie wtedy, gdy ostatnia fala rakiet i niszczycieli niszczyła się nawzajem. Posłaliśmy kolejne kule, aż telemetria przestała pokazywać jakąkolwiek aktywność wrogich statków.

Po całych dniach przygotowań i oczekiwania konflikt rozstrzygnęła ilość amunicji.

Homer i ja zrobiliśmy dookólny skan SUDDAR-em, szukając jakichś min czy pułapek, które mogli przed zniszczeniem pozostawić Brazylijczycy. Drugim takim skanem sprawdziliśmy obszar wokół odłamków wrogich statków. Wreszcie przekonani, że nic tam na nas nie czeka, podlecieliśmy i zaczęliśmy szukać niewykorzystanych lub częściowo zniszczonych niszczycieli.

Homera to wyraźnie rozbawiło.

– Chcesz im sprawić porządny pogrzeb?

– Nie – odpowiedziałem. – Chcę zbudować parę kolejnych niszczycieli. Części są, mamy tylko lekki niedobór wielkich kul z pełnej stali.

Homer rozchichotał się jak dzieciak, któremu udał się żart o kupie.

– Może ty masz niedobór wielkich kul z pełnej stali... – Parsknął.

Westchnąłem i przez myśl przeszła mi fraza „bratobójczy ogień”.

– Homer, posłuchaj. Zostało nam sześć niszczycieli, a tamta dwójka Brazylijczyków ma po cztery rakiety, jeśli mają taką samą konfigurację jak ci tutaj. Nie dość, że nie możemy strzelać parami, żeby obronić niszczyciele przed raketami, to jeszcze mamy za mało niszczycieli, żeby zniszczyć i rakiety, i statki, nawet przy stu procentach trafień. Tak więc ja zamierzam odbudować parę niszczycieli i jeszcze zebrać z pobojowiska złom na amunicję do działła elektro. Możesz chcieć zrobić to samo.

Homer przez chwilę się zastanawiał, potem kiwnął głową.

* * *

Druga faza ataku wymagała podkradnięcia się do dwóch pozostałych brazylijskich statków. Celowo wybraliśmy kurs wokół Słońca, który wymagał wyjścia z drugiej strony z pełnym przyśpieszeniem 2,5 g, żeby dotrzeć do Ziemi. I bardzo uważaliśmy, aby od przylotu do Układu nie pokazać, że mamy zdolność do 5 g. Teraz poświęciliśmy wszystkie możliwe dzule energii na zmianę kursu, nim wylecimy zza Słońca.

[Wyłączenie za pięć sekund]

Wyłączyłem VR. Za parę sekund oba statki zgasną. Wyłączymy napędy SURGE i będziemy lecieć po krzywej balistycznej. Przystaniemy używać SUDDAR-u i wyłączymy reaktory termojądrowe. Z punktu widzenia Brazylijczyków my i ścigający zniszczyliśmy się nawzajem. Kiedy nie zobaczą nas z drugiej strony na przewidywanym kursie, może będą trochę mniej uważać.

Przez dwa dni będziemy dryfować, żywiąc się prądem z ogniw. Przykręcimy zegary do minimum, żeby oszczędzić każdy miliwat energii. Szopy zaczną rafinować szczątki z bitwy i budować kule do działa, ale kiedy im też skończą się baterie, wyłączą się.

Włączymy się dopiero, kiedy pomiędzy nami i Brazylijczykami znajdzie się Ziemia.

[Wyłączenie]

Poczułem, że na statku wszystko gaśnie. Spowolniłem sobie zegar...

* * *

[Jesteśmy na miejscu]

– Raportuj.

[Wejście na orbitę poprawne. Docieramy do punktu dokładnie po drugiej stronie Ziemi względem statków wroga]

– Świetnie. Jak tylko będziemy dobrze osłonięci, włącz wszystko i przyspiesz tak, aby trzymać się dokładnie w ich martwym punkcie.

[Tajest]

Gdy moc wróciła do normy, zrestartowałem VR i rozluźniłem się w kapitańskim fotelu.

Wyskoczyło okienko wideo z Homerem.

– Widzę, że przeżyłeś lot.

Kiwnąłem głową.

– Gupik, daj status misji do holo.

Holo wypełniło się schematem pokazującym Ziemię, pozycję naszych statków oraz lokalizację dwóch statków brazylijskich i czterech asteroid, które poganiały.

[Pozycje statków wroga są ekstrapolowane, ale z dużym prawdopodobieństwem oparte na mechanice orbitalnej i ostatnich obserwacjach]

– Dobrze, Gupik. Największy problem będziemy mieli, jeśli Brazylijczycy zaczną się chować za tymi swoim asteroidami. Jeśli wystrzelą rakiety z ukrycia, nie będą miały zamiaru na cel i będą musieli polegać na MSI rakiety, a już ustaliliśmy, że ona nie jest za bystra. Możemy ustawić niszczyciele na aktywne poszukiwanie celów,

ale one nie mają głowic z materiałem wybuchowym. Bez dużego przyspieszenia nie będą w stanie przebić kadłuba, nie mówiąc o jakichś poważnych uszkodzeniach.

- Jak będziemy tak blisko, możemy strzelać z dział – dodał Homer.
- Tak, ale trzeba uważać na amunicję.

* * *

Oblecieliśmy Ziemię, poruszając się już z prędkością ponad 150 km/s. Brazylijczycy może zauważą nas od razu, a może nie, ale mają sześć godzin, żeby się przygotować na nasz atak. Nadal nie pokazywaliśmy przyspieszenia większego niż 2,5 g. Niech zużywają energię, zachodząc w głowę, jak się nam udało schować za Ziemią.

Kiedy byliśmy jeszcze pięć minut od pierwszej asteroidy, wywołał nas jeden z brazylijskich statków. Ja odebrałem połączenie w holo, Homer obserwował.

Na wizji był tylko nieruchomy obraz brazylijskiej flagi. Nie mają awatarów.

– Jak na dwóch *babacas* z WIARY całkiem nieźle wam poszło, lepiej, niż się spodziewaliśmy. Ale teraz trafiliście na nas. Tym razem nie będziecie mieć tyle szczęścia. Wasze szczątki będą się walać po całym kosmosie!

Spojrzałem ze zdziwieniem na Homera. To nie jest major Medeiros. Kto to jest?

- Mówi komandor Riker z Marynarki Kosmicznej WIARY. Kto mówi?
- Tu kapitan Matias Araújo. Będę ostatnim głosem, który usłyszycie. I rozłączył się.

Zerknęliśmy z Homerem po sobie. Po chwili powiedział:

– I jak myślisz, o co tu chodzi?

Zastanowiłem się i odparłem:

– Nie wiem. Ale ten pogłębiony skan, który zrobiłem tuż przez zniszczeniem tamtych, pokazał, że mieli zdemontowane wszystkie systemy fabrykacji, żeby zrobić miejsce na te większe rakiety z napędem SURGE. Wtedy nie zdążyłem sobie tego przemyśleć, ale teraz mi to wygląda jak jakiś ostatni, rozpaczliwy wysiłek Cesarstwa Brazylii. Może dostawali w dupę i został im tylko ten projekt sondy. Wzięli jakiegoś typu „na ochotnika” – kogoś, kogo mogli spisać na straty – wsadzili do tych statków jego replikanta i spróbowali użyć jako okrętów wojennych.

Homer przekrzywił głowę.

– Co może oznaczać, że nie mieli za dużo czasu, żeby tego replikanta wyszkolić. I że z całej wojny zostały tylko te statki.

[Wystrzelone rakiety]

Sprawdziliśmy telemetrię. Brazylijczycy wystrzelili osiem pocisków.

– Cholera. Dokładnie to, czego nie chcieliśmy – rzucił Homer. – Chyba jednak nie są aż tak niedoświadczeni.

– Albo są zdenerwowani. Albo mają więcej rakiet. Ale wycucie czasu mają bardzo słabe. Za długo czekali i teraz jesteśmy na tyle blisko, że możemy wykorzystać asteroidy. Rób to, co ja.

Zamiast wystrzelić środki obrony, albo próbować uciec, zrobiliśmy ostry zwrot i zanurkowaliśmy za asteroidę. Gdy tylko zniknęliśmy im z pola widzenia, wystrzeliliśmy z tylnych dział ładunek drobnych metalowych odłamków, z taką szybkością, żeby zawisły za nami w miejscu. Kiedy rakiety okrążyły asteroidę, wpadły prosto na te wiszące śmieci. Trzy eksplodowały od razu, co niestety oczyściło drogę kolejnym.

– Uważaj z przodu, a ja załatwię resztę tego stada – rzuciłem do Homera.

Gdy przygotowywałem niszczyciele do wystrzelenia, Homer odezwał się:

– Strzały od przodu. Wygląda na to, że mieli więcej rakiet. Chyba mamy przerąbane.

Poświęciłem milisekundę na ocenę sytuacji. Od tyłu nadlatywało pięć rakiet. Strzałami z działa mogłem zdjąć dwie, maksymalnie trzy. Na Homera od przodu leciało kolejne osiem. Czyli: trzynaście rakiet kontra jedenaście niszczycieli, nie mówiąc już o samych brazylijskich statkach, z którymi też trzeba coś było potem zrobić. Bardzo prawdopodobne, że zużyły już wszystko, co miały. Byliśmy zresztą o wiele za blisko na kolejne ataki rakietami.

– Trzeba zredukować liczbę tych z przodu. Oddaję ci wszystkie moje niszczyciele oprócz dwóch. Spróbuj rozwalić jak najwięcej odłamkami. – Wypuściłem wszystkie niszczyciele i przekazałem Homerowi sterowanie piątką. Od razu posłał je naprzód.

Skupiłem się na pięciu rakietach nadlatujących od tyłu, śląc na ich kurs falę za falą śmiecia. Zniszczyłem dwie, gdy dotarło do mnie, że dwie z pozostałych trzech, robiąc unik, skupiły się razem. Od razu cisnąłem w nie niszczycielem, z maksymalnym przyśpieszeniem. Błysnęło, zniszczeniu uległy niszczyciel i rakietka, ale – taaaak! – eksplozja uszkodziła także drugą. Zaczęła dryfować bez celu.

– Trochę blisko już są – powiedział Homer. – Jakaś pomoc, jak tylko możesz...

– Już zaraz. Trzymaj się.

Gdy posłałem wielką chmurę odłamków w stronę ostatniej rakietki, Homer wrzasnął:

– Cholera! – I jego sygnał zanikł.

Musiałem podzielić uwagę pomiędzy ostatnią rakieta i pole bitwy

Homera. Zniszczył prawie wszystkie rakiety, ale jedna wybuchła o wiele za blisko. Zdaje się, że uszkodziła *Niebo 6*, ale go nie zniszczyła. Statek jednak dryfował, a wszystko miał wyłączone. Parę niszczycieli zatoczyło koło i uganiało się za dwiema ostatnimi raketami, jednak tylko jeden z nich był na tyle blisko, by na coś jeszcze się zdać.

W tym momencie rozbłysk za rufą uświadomił mi, że moja salwa rozprawiła się z ostatnią raketą. Został mi więc jeden dodatkowy niszczyciel, który jednak nie zdążyłby do niej dolecieć.

Nie są za bystre. Taka myśl pojawiła się znikąd, pozornie bez związku. Jednakże oryginał Boba zawsze ufał przeczuciom, więc od razu zadziałałem. Wystrzeliłem salwę odłamków, nie bezpośrednio w raketę, lecz z boku, po stronie przeciwnej do goniącego ją niszczyciela. Raketa, na pewno odruchowo, skręciła, usuwając się spod strumienia śmieci. To wystarczyło niszczycielowi, żeby ją dogonić.

Teraz mogłem skupić kolejną salwę na drugiej rakiecie i ją zniszczyć. Spojrzałem na raketę, którą dogonił niszczyciel, i dotarło do mnie, że mam problem. Niszczyciele do zniszczenia celu polegały na energii kinetycznej – w praktyce je taranowały. A ten dogonił raketę lecącą z podobną prędkością. Leciały teraz razem, a niszczyciel bezsensownie i bezowocnie ją poszturchiwał. Zmieniał jej tym samym kurs, ale nie czynił żadnych szkód.

Przestań ją posuwać, debilu! – rozkazałem niszczycielowi, powodując katastrofalną awarię reaktora. Uwolnionej plazmy i energii wystarczyło aż nadto, żeby stopić obie jednostki.

Podliczyłem wszystko na szybko. Miałem dwa niszczyciele. I dwóch wrogów. Chwilowo nie ma czasu zajmować się Homerem. Przywołałem niszczyciele do siebie i zrobiłem dookólny skan, próbując namierzyć brazylijskie statki.

Jeden był oddalony o niecałe dwie sekundy i leciał prosto na mnie. Podskoczyłem, bo zrozumiałem, że chce mnie staranować. Nie miałem czasu na porządne wyliczenia, trzeba było improwizować. Przyśpieszyłem do góry z pełnym 5 g. Albo będzie w stanie tak skręcić i mnie przechwycić, albo nie.

Dwie sekundy później Brazylijczyk przeleciał mi za rufą, wciąż usiłując zmienić kurs. Dwie milisekundy później przeleciał przez niego niszczyciel, dokładnie w miejscu, gdzie znajdował się rdzeń komputerowy. Napęd mu się wyłączył, zaczął dryfować.

Dałem ping z SUDDAR-u, ale drugiego echa nie było. Albo został zniszczony w jakiś nieznany sposób, albo ukrywał się za jedną z asteroid. Pokazaliśmy karty w trakcie bitwy, więc Brazylijczyk wiedział, że w otwartej bitwie nie wygra. To znaczyło, że się ukrywa, chowa się za asteroidą.

Nie miałem już amunicji do dział elektromagnetycznego. I miałem

jednego niszczyciela, ale on nie na wiele się przyda, jeśli trzeba będzie ganiać się z typem dookoła asteroidy. Zbadałem dokładnie wyniki ostatniego skanu i znalazłem to, na co liczyłem – stalową kulę z jednego z rozbitych niszczycieli. Wysłałem dwa szopy, zebrałem ją i załadowałem do działła elektromagnetycznego. Celowo miała taką wielkość, żeby mogła też służyć za amunicję do niego.

Posłałem niszczyciela pod takim kątem, żeby miał dobry widok na drugą stronę najbliższej asteroidy. I oczywiście telemetria pokazała brazylijski statek, który dokładnie wtedy zauważył niszczyciel. Udał się wokół asteroidy na drugą stronę.

Bangarang, sukinsynu! Wyliczenie jego trajektorii zajęło mi milisekundę. Wystrzeliłem kulę z pełnym przyśpieszeniem dokładnie w chwili, gdy się pojawił. Nie miał żadnych szans. Stalowa kula, wyrzucona na maksymalnej mocy mojego działła, przebiła się przez statek z niemal relatywistyczną prędkością. Od uderzenia dosłownie pękł na dwoje, nadając obu szczątkom przeciwstawny ruch wirowy. Nastąpił rozbłysk, kiedy reaktor stracił izolację, a jeden z odłamków odkształcił się od siły odśrodkowej.

To za Homera.

* * *

Szopy przysłały mi szczegółowe obrazy *Nieba 6*. Homer na oko miał bardzo dużo szczęścia. Zabłąkany odłamek odciął zasilanie jego komputerowi, natomiast sam komputer, mimo poważnych uszkodzeń konstrukcji sondy, był nienaruszony. Reaktor był w stanie wykonać poprawne awaryjne wyłączenie, kiedy zniknęło mu sterowanie.

Jednym z zadań szopów była naprawa i konserwacja naszych statków, więc włączyłem ten program dla szopów Homera.

Pffff. Szopy Homera, było coś takiego w Odysei? Przyszło mi do głowy, że może powinienem sobie przyozdobić kadłub, tak jak Bob 1. Trzy dla mnie i trzy dla Homera. O, to powinno być priorytetowe.

Jednakże miałem kilka dość pilnych zadań. Podczas gdy parę szopów pracowało nad *Niebem 6*, inne badały asteroidy, żeby stwierdzić, jak Brazylijczycy nimi kierują, a trzecia grupa zbierała odłamki z pobjowiska. Surowce były do wzięcia z asteroid, ale już wydobyte i oczyszczone materiały były warte trudu. Na przykład resztki kadłubów brazylijskich sond świetnie się nadawały do odzysku.

Druga grupa szopów zaczęła raportować, a ja przeglądałem po kolei nadchodzące skany. Okazało się, że asteroidy popycha niskoimpulsowy napęd SURGE o szerokim polu. Taka konstrukcja zapewniała, że asteroida jest przyspieszana w całości i nie rozpadnie się od sił

plywowych. Całkiem pomysłowy system – zrobiłem mu masę skanów, żeby je wysłać do Billa. Jeśli jeszcze nie zaczął zrzucać ciał z pasa Kuipera na Ragnaröka, taki projekt bardzo mu się przyda.

Wszystko to bardzo ciekawe, ale asteroidy wciąż sunęły w kierunku Ziemi. Jeśli wszystkie w nią trafią, nie przeżyją tego nawet bakterie. Brazylijczycy wyliczyli kurs prawie idealnie, bez żadnych szans na pudło. Musiałem mieć nadzieję, że uda mi się im nadać wystarczająco dużo ciągu bocznego przy użyciu ich własnych napędów.

Najpierw jednak musiały mnie zacząć słuchać, a nie miałem kluczy szyfrujących, z których korzystali Brazylijczycy przy przesyłaniu rozkazów. To akurat łatwo się dało zmienić. Kazałem szopom po prostu wypruć sterowniki napędów i podłączyć układy napędowe na twardo do radia. Do prostego ciągu bocznego na pełnej mocy nie trzeba finezji ani precyzyjnej elektroniki. Ale okaże się, czy aby nie zacząłem za późno.

* * *

– Stary, budź się! Nic ci nie jest?

– Ciociu Emilio! Ciociu Emilio! – Włączyła się wirtualka z uśmiechniętym Homerem. – Rozumiem, że ich dorwaliśmy.

Parsknąłem z ulgą.

– Razem z pieskiem i z budą.

Homer złożył palce w piramidkę gestem godnym arcyłotra.

– Wszystkie wasze bazy należą do nas.

Roześmialiśmy się obaj razem, chyba pierwszy raz od czasu, gdy się urodził. Poczulem nagły impuls czegoś, co można by określić jako ojcowską dumę. No, z tym to cię popaprało. Otrząśnij się z tego!

Homer omiótł nonszalanckim gestem resztę świata.

– No to co tam mamy?

– Jeszcze oceniam. A, i gdybyś jeszcze nie sprawdził, kręgosłup dalej masz przetrącony. Więc nie próbuj nigdzie latać. Gupik szacuje, że za trzy dni poskłada cię do stanu używalności.

Homer kiwnął głową. Ciągnąłem:

– Wszędzie są ślady wojny. Ewidentnie używano atomówek, i na Ziemi, i w kosmosie, i to ile! Wygląda to tak, jakby zrobiło się każdy na każdego i wszyscy zaczęli się nawalać, aż została tylko jedna strona. Można się domyślić, że jedyną technologiczną siłą w całym Układzie pozostała mała grupka zmilitaryzowanych brazylijskich sond. Namierzyłem ich fabrykę – zepsuła się i Araújowie nie mogli jej naprawić, bo nie mieli autofabrykatorów ani sprzętu. Nie mogli też wylądować i wziąć kogoś na górę, żeby to zrobił – zresztą nie jestem pewien, czy ktoś taki w ogóle został – a nie mogli zbudować lądownika

ani wahadłowca, bo nie mieli autofabryk. Klasyczny paragraf 22.

– I co robili? Latali dookoła i wszystko rozwalali? – Homer się skrzywił.

– Mniej więcej tak. Brali odwet na wrogach. Asteroidy były tak wyliczone, żeby spaść na Chiny, więc myślę, że to one zniszczyły Cesarstwo Brazylii.

– Zniszczyły? Jak bardzo?

– Bardzo-bardzo. Trudno powiedzieć, jakie są szkody na Ziemi, bo wszystko zasłaniają chmury i pył. Uderzenia asteroid i wybuchy atomowe wznieciły masę pyłu i cała meteorologia poszła do śmieci.

– To były też inne asteroidy? Te nie były pierwsze?

– Pierwsze na pewno nie. Ale chyba największe. Byłem w stanie wykryć dziesiątki kraterów, przeważnie wielkości Krateru Barringera. Ale te cztery to byłyby kalibru „masowe wymieranie gatunków”. Wielkości Chicxuluba.

– I cztery takie.

– Tak. – Pokręciłem z niedowierzaniem głową. – Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek mógł uznać to za odpowiednią reakcję, obojętne na co. W ogóle nie mam wyrzutów sumienia, że ich rozwaliliśmy.

– A na Ziemi ktoś w ogóle przeżył?

Dałem do holo obraz Ziemi i wysłałem kopię Homerowi.

– Nie wykryłem żadnych transmisji radiowych ani sygnatur radiacyjnych. Ale też trzeba się spodziewać, że nikt nie chce zwracać na siebie uwagi. Na pewno banda tych Araújo zrzuciła skałę na każdego, kogo wykryła. Czyli wszyscy żywi musieli się gdzieś pozaszywać.

Homer potarł czoło, patrząc w przestrzeń.

– I co robimy? Możemy wysłać jakąś wiadomość, ale wszyscy pomyślą, że to podstęp.

Machinalnie pacnął palcem w swoją kopię globusa, obracając ją na różne strony. Potem usiadł bez ruchu, podparł ręką podbródek i dalej gapił się w przestrzeń.

Spokojnie czekałem, aż przepracuje sobie to, co go tam męczyło. Wreszcie podniósł głowę.

– W pewnym stopniu możemy użyć SUDDAR-u. Ale przez atmosferę i masę planety rozdzielczość będzie do niczego. Może te drony eksploracyjne, które Bill zmajstrował?

– Dobrze, że pytasz – odpowiedziałem uśmiechem. – Już parę buduję, najszybciej, jak się da. – Przybrałem bardziej poważny ton. – Trzeba jak najszybciej powykrywać ocalałe grupy. Po tych atomówkach i asteroidach Ziemia wygląda, jakby miała wejść w atomową zimę. Jeszcze parę lat i wszyscy, którzy przeżyli, mogą umrzeć z głodu.

– Ale jak już ich wykryjemy, to co będziemy mogli zrobić?

– Nie wiem, Homer. – Pokręciłem głową, nie chcąc patrzeć mu

w oczy. – Zrobimy pierwszy krok i się zobaczy.

* * *

Patrzyliśmy, jak czwarta i ostatnia asteroida mija Ziemię. Choć od dłuższego czasu wiedzieliśmy, że nie trafi, chwila była pełna napięcia. Oryginalny sterownik napędu zastąpiliśmy naszym, bardziej skłonny do współpracy, który był teraz zaprogramowany, żeby powoli wepchnąć asteroidy na długookresowe orbity o dużym nachyleniu, tak by nigdy w przyszłości nie przecięły się z orbitą Ziemi.

– Kolejna rzecz z głowy – rzucił z uśmiechem Homer.

[Ktoś nas wywołuje]

Spojrzeliliśmy po sobie ze zdumieniem.

– Co znowu?

25. Bill, wrzesień 2151, Epsilon Eridani

Jedyna rzecz, której brakuje, to porządna sztuczna inteligencja zarządzająca całym procesem. I w tym sęk, prawda? Wszystkie takie hipotetyczne dyskusje zawsze zakładają, że do realizacji potrzebny jest pewien postęp. Niestety, właśnie SI jest w tym przypadku wąskim gardłem. Proces replikacji i fabrykacji – tu jesteśmy blisko, potrafilibyśmy też zapewne zbudować odpowiednio wydajne silniki jonowe, gdybyśmy mieli odpowiedni budżet. Ale nie mamy jak zapewnić tej sondzie inteligencji, żeby poradziła sobie ze wszystkimi sytuacjami, które napotka.

Eduard Guijpers,
na panelu konwentowym
Projektowanie sond von Neumanna

Uważnie słuchałem przychodzącej przez radio telemetrii. Garfield był ponad pięć minut świetlnych ode mnie i oddalał się z zadaną prędkością 2000 km/s. Sygnał czasowy w jego telemetrii opóźniał się miarowo i przewidywalnie. No cóż, nie spodziewałem się po takim czasie obalić twierdzeń Einsteina.

Ale ekscytował mnie ten drugi sygnał, podprzestrzenny. Leciała nim ta sama telemetria, nadana w tym samym czasie. Tylko że stempel czasowy tego sygnału był idealnie zsynchronizowany z moim, w granicach dokładności naszych układów.

Wiedziałem, że szczerzę się jak głupek. VR od dawna była tak realistyczna, że mogłaby uchodzić za rzeczywistość. A więc uwzględniała także ból mięśni twarzy.

– Dobra, Garfield, radiowa telemetria mówi, że jesteś sześć minut świetlnych stąd. Możesz potwierdzić moje echo?

– Tak. Zwrotkę mam z opóźnieniem jedenaście i pół minuty. – W jego głosie było słycać tę samą ekscytację. Pracował ze mną już od kilku lat, nad paroma projektami, także tym. Urządziliśmy tu sobie prawdziwe Skunk Works, a teraz dochodziliśmy do naszego jak dotąd największego osiągnięcia.

– Odrzuć nadajnik i wracaj. Niech się oddala jeszcze przez parę tygodni, zobaczymy, jak się tłumi ten sygnał.

– Nie ma problemu.

Garfield bez ostrzeżenia pojawił się w mojej VR, w swoim fotelu-worku.

Podskoczyłem.

– Jak, kurde...?

Roześmiał się, widząc moją reakcję.

– A? Widzisz? Przelicytowałem cię, staruszk. Widzisz?

– Zintegrowałeś VR z łącznością podprzestrzenną? – Pozwoliłem sobie na powoli rozszerzający się uśmiech. To było naprawdę niezłe osiągnięcie.

Jego podskakujące brwi wystarczyły za odpowiedź. Potem jednak zmarszczył w namyśle czoło.

– Ale stacje orbitalne nie będą przez to niepotrzebne, nie?

– Ani trochę. – Pokręciłem głową. – I tak musimy poczekać, aż ktoś zbuduje to samo na drugim końcu, ale teoria mówi, że po dwudziestu czterech latach świetlnych sygnał zanika całkowicie. Będziemy musieli używać stacji kosmicznych jako routerów.

– Będziemy mieli Galaktyczny Internet! – Garfield parsknął śmiechem.

– Zrobimy adresację IPv8 i starczy nam adresów na wszystkie galaktyki we wszechświecie. – Wiedziałem, że przekonuję już przekonanego. W końcu to też Bob, prawda? Ale mam tendencję do myślenia na głos.

– To świetnie. Kiedy będziemy gotowi, żeby rozesłać plany?

– Myślę, że powinniśmy od razu wysłać to, co już mamy. Trochę jest jeszcze niedorobione, ale jak sobie zbudują po jednym, nie będą musieli czekać latami na kolejną aktualizację.

Wyszczrzyliśmy się do siebie nad wirtualnym stołem. To zmieniało wszystko.

26. Riker, kwiecień 2157, Układ Słoneczny

Sygnał miał tylko audio i był bardzo słaby:

– Nieznany statek, czy mnie słyszycie?

Spojrzałem na Homera i uniosłem brew.

– No, od czegoś trzeba zacząć, można od tego.

Włączyłem nadajnik i odpowiedziałem.

– Tu statek kosmiczny *Niebo 2* Zjednoczonej Federacji Planet. Mówi komandor Riker.

Na parę sekund zapadła cisza.

– Aha. Posłuchaj, nie wiem, kim jesteś, ale wygląda, że uniknąłeś globalnej katastrofy, mogę więc na razie rozstrzygnąć wątpliwości na twoją korzyść. Nasza telemetria nie jest taka dobra jak wojskowa, ale wstępnie widać, że jesteś podobny do serii sond międzygwiazdnych typu *Niebo*, które WIARA wypuściła dwadzieścia czy trzydzieści lat temu.

– Przyznaję się. A z kim rozmawiam?

– Pułkownik George Butterworth z Armii Zjednoczonych Stanów Eurazji. Zapewniam, panie komandorze, że nasza lokalizacja jest zaciemniona. Jeśli spróbujecie zniszczyć źródło tej transmisji, niczego nie osiągniecie.

Miał ewidentnie brytyjski akcent, o wiele zbyt bliski karykatury z amerykańskich seriali telewizyjnych. Trzeba będzie uważać i nie dać Homerowi z nim gadać. Pewnie nie będzie mógł się powstrzymać przed naśladowaniem.

– Panie pułkowniku, nie zaczynajmy od złej strony. Nikogo nie chcemy wysadzać. Mieliśmy drobny spór z czymś, co wyglądało na ostatki marynarki kosmicznej Cesarstwa Brazylii. Teraz chyba pora na ratowanie świata.

* * *

Od trzech tygodni prowadziłem dyskusję z wojskiem ZSE. Nagrania wszystkiego wiernie przekazywałem Billowi. Negocjacje były powolne i nieufne, zwłaszcza ze strony pułkownika Butterwortha. Bardzo powoli godził się z tym, że i Homer i ja nie jesteśmy zapiekłymi teologami WIARY. Potrzeba było bardzo szczerej dyskusji, w której wyjaśniłem ze

szczegółami przyczyny mojego ateizmu, żeby w ogóle zaczął w cokolwiek mi wierzyć.

Obóz uchodźców z ZSE, który miał pod swoją opieką, liczył około dwudziestu tysięcy ludzi, głównie cywili, którzy schronili się w podziemnej wojskowej budowli, kiedy zaczęły się bombardowania z kosmosu. Pułkownik oceniał, że globalna ludzka populacja ma w tym momencie mniej niż dwadzieścia milionów, choć przyznawał, że margines błędu w tym szacunku jest gigantyczny.

Niektórzy z uchodźców byli naukowcami, którzy przed wojną pracowali nad statkiem-koloniją ZSE. W XXII wieku wszystko budowało się najpierw w wirtualnej przestrzeni. Po skończeniu przesyłało się plany do autofabryki, która budowała całość z użyciem drukarek 3D, szopów i nano.

Plany statku-kolonii były gotowe, potrzeba było tylko autofabryki w kosmosie. I miejsca przeznaczenia. Pułkownik powiedział nam, że sondy Chin i ZSE wyleciały zaraz po Bobie 1, ale sonda ZSE nigdy nie dała znaku życia.

Rozmawiałem z nim przez połączenie wideo, jak zwykle. Wiedział, że *Nieba* są obsadzone przez replikantów, podobnie jak sondy ZSE i Brazylii. Jednak my pierwsi mieliśmy pełny wirtualny awatar, wyglądający i zachowujący się jak prawdziwy człowiek. Pułkownikowi trudno było przyjąć do wiadomości ograniczenie, że nie jestem „prawdziwy”. Przykręciłem więc trochę tło z *USS Enterprise* i z czystej uprzejmości przestałem robić nawiązania do *Star Treka*. Niesamowite to było, że dwieście lat po tym, jak Shatner po raz pierwszy nie wypowiedział słynnych słów „Teleportuj mnie, Scotty”, ludzie wciąż kojarzą *Star Treka*. To jest marka.

Na razie pułkownik oświecał mnie w historii najnowszej. Jeśli mam próbować ratować ludzką rasę, to chcę mieć kompletny obraz.

– Właściwie to nie było takiego momentu, kiedy dało się powiedzieć, że mamy wojnę – wyjaśniał. – Napięcia międzynarodowe od lat były bardzo wysokie. Konfrontacja i próba zniszczenia *Nieba 1* to była po prostu kropla, która przelała czarę. Każda akcja powodowała reakcję, a każda reakcja odwet. Inne państwa też zostały w to wciągnięte, jedno po drugim, aż w końcu to ogarnęło cały Układ. Porzucano stacje i kolonie, odwoływano z nich załogi. Zniszczono parę transportowców, mimo że nie miały znaczenia strategicznego. Oczywiście to tylko eskalowało konflikt.

Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po gabinecie. Kamera po jego stronie idealnie trzymała go w kadrze.

– Na początku wszystko działało się głównie w kosmosie. Przejęcia strategicznych lokalizacji i orbit, odcięcie dostępu do obiektów, tego typu sprawy. Potem użyto pierwszej bomby jądrowej na Ziemi i to był

koniec normalnej gry.

Usiadł przy biurku i przez chwilę masował czoło. Sięgnął do szuflady i wyciągnął coś, co bardzo przypominało butelkę Jamesona. Hmm. To zabawne, co potrafi przetrwać koniec świata.

Kiedy nalał sobie szklaneczkę i upił łyk, ciągnął:

– Zrobiła się z tego wojna na wyniszczenie. Każda ze stron próbowała zneutralizować siły wojskowe wszystkich innych. Nagle ktoś zbombardował atomówkami prawie całe Cesarstwo Brazylii – wasza teoria, że to Chiny, jest całkiem rozsądna – i okazało się, że cywilne cele też są dopuszczalne. Te statki, które zniszczyłeś, to byli ostatni żołnierze wroga. Oczywiście w przenośni, bo to byli tylko replikanci. -Zaczerwienił się lekko. – Eee... przepraszam, bez obrazy. W każdym razie u szczytu wojny, kiedy wszyscy jeszcze mieli sprzęt, nie przeżyliby nawet pięciu minut. Ale teraz nie mieliśmy czym ich powstrzymać. Zaczęli po prostu powolutku wszystkich wybijać. Taktyka spalonej ziemi, zemsta, wszystko jedno. To było ludobójstwo. Oni sami zabili pewnie z parę miliardów ludzi.

Zrobiło mi się niedobrze. Czekałem sześć miesięcy, aż wyprodukuje się Homer i wabik. Ilu ludzi zginęło przez tę zwłokę?

Pułkownik dotarł do końca swojej opowieści i skupił się na szklaneczce z Jamesonem.

– No dobrze, pułkowniku, to co robimy? Pomagamy w odbudowie? Przenosimy gdzieś ludzi?

– Komandorze, myślę, że tutaj to już pozamiatane. Ziemia kiedyś dojdzie do siebie. Pod tym względem jest bardzo odporna. Ale dla ludzkości będzie już za późno. Naukowcy z mojej ekipy mówią, że zanim cokolwiek wróci do normy, minie co najmniej pięć, dziesięć tysięcy lat. Tyle nie przetrwamy.

Dotknął jakiegoś przycisku i w strumieniu wideo pojawił się schemat.

– To jest statek kolonizacyjny, który zaczęliśmy budować w nadziei, że nasze sondy znajdą jakieś miejsce, do którego warto będzie lecieć. Niestety stał się jedną z pierwszych ofiar wojny. Ale ty masz autofabryki, które pozwoliłyby nam odbudować stocznię. Z twoją pomocą moglibyśmy zbudować dwa takie i odlecieć z Układu Słonecznego.

– A dokąd konkretnie?

Westchnął.

– W zasadzie to mam nadzieję, że ty mi podpowiesz. WIARA raczej nie wyśle żadnych statków. Zresztą z tego, co mówisz, wydaje się, że nie żywisz do nich jakiejś szczególnej lojalności.

– To prawda, pułkowniku. Po prostu się upewniam, czy nadajemy na tych samych falach. – Wyświetliłem mapę gwiazdną wszystkiego w odległości dwudziestu lat świetlnych od Ziemi. – Przy wszystkich gwiazdach jest prawdopodobieństwo wystąpienia planety typu

ziemskiego. Niestety Epsilon Eridani to porażka, chyba że ktoś chce mieszkać pod kopułą. Bill na pewno otrzymał kolejne raporty od innych naszych statków, ale dowiemy się o tym dopiero za parę lat. Jesteście w stanie tyle przetrwać?

– Musimy. Dojście od zera do dwóch statków kolonizacyjnych też zajmie z dziesięć lat.

Kiwnąłem głową.

– No dobrze, to ruszajmy z tym koksem.

27. Bob, kwiecień 2165, Delta Eridani

Poklepałem Kolczatkę, patrząc, jak w holo powoli rysuje się obraz planety. Z boku, na diagramie całego układu, wszystkie planety powoli krążyły po orbitach.

Nie byłem w stanie powstrzymać się od uśmiechu od ucha do ucha. Wreszcie spełniały się moje kujonowskie fantazje. Badałem kosmos. Przylot do nowego układu planetarnego, nigdy dotąd nieoglądanego ludzkim okiem, był oszałamiającym, prawie boskim przeżyciem. Wciąż trudno mi było zrozumieć, jak Bill mógł zechcieć siedzieć w jednym układzie. Z drugiej strony będzie miał okazję pozajmować się na pełen etat fizyką i inżynierią, a regularne raporty od wszystkich i tak dostanie – co prawda z prędkością światła. Czyli będzie przynajmniej pośrednio we wszystkim uczestniczył. Miałem nadzieję, że i on z czasem podzieli się z nami czymś interesującym.

Delta Eridani była pomarańczową gwiazdą, zimniejszą od Słońca, ale ponad dwa i pół raza większą. Celowo wybrałem ten układ, bo bardzo dobrze się nadawał. Żadnego układu podwójnego, żadnych rozbłysków czy zmienności, długowieczny typ, niska emisja ultrafioletowa, szeroka potencjalna ekosfera... i można by tak długo.

Wyniki w pełni pokryły się z oczekiwaniami. Zidentyfikowałem dziesięć planet, w tym jedną w wewnętrznej części ekosfery. Układ bardzo przypominał Słoneczny, na tyle, że zacząłem podejrzewać istnienie jakiegoś ogólnego prawa. Wewnętrzne planety co do jednej skaliste, zewnętrzne to gazowe olbrzymy, a pomiędzy obiema grupami pas asteroid. Chociaż w tym układzie planet skalistych było pięć, a dwa z pięciu gazowych olbrzymów miały pierścienie godne Saturna. Największa jowiszowa planeta była absurdalnie gigantyczna, sześć razy cięższa od Jowisza. Nie doliczyłem się jeszcze wszystkich księżyców, które sobie nazbierała.

A z uwagi na wielkość gwiazdy cały układ był o wiele bardziej rozciągnięty, co mogło tłumaczyć wielką liczbę księżyców. Tylko najbardziej wewnętrzna planeta nie miała ani jednego.

Byłem zbyt niecierpliwy, by przestrzegać procedury misji i w pierwszej kolejności szukać zasobów. Poleciałem prosto do planety w ekosferze i szybko przeskanowałem ją z orbity. Będzie czas na analizowanie wyników, kiedy będę odwalał niezbędne, ale nużące

poszukiwanie surowców.

Zaraz dostałem wyniki. Szybko obleciałem też oba księżyce, a potem z westchnieniem kazałem Gupikowi rozpocząć badanie pasa asteroid.

* * *

– Status?

[Skan pasa asteroid: 50%. Znaleziono 6 lokalizacji ze znacznymi złożami rud zdatnych do wydobycia]

– Już w połowie? To całkiem nieźle.

[Znacznie lepiej niż na Epsilonie Eridani czy Słońcu]

Kiwnąłem głową, po czym odwróciłem się z powrotem do podczerwonych obrazów nocnej strony Delty Eridani 4, zrobionych podczas orbitalnego przelotu.

– Ej, Gupik, a popatrz na to. – Zmaterializowałem strzałkę i wskazałem miejsce z paroma jasnymi punktami. – To ci wygląda jak ogień?

[Bardzo wysokie prawdopodobieństwo]

– Myślisz, że może być naturalny? Jakies pożary lasów?

[Mój program nie przewiduje opinii]

– O rany. Dobrze. Kowalski, analiza: możliwe źródła ognia w kolejności od najbardziej prawdopodobnych.

[Najbardziej prawdopodobne: małe, lokalne pożary. Ale...]

– No? – Gupik chciał coś dodać od siebie. To był zdecydowanie pierwszy raz.

[Żadnych śladów burz z piorunami na tym obszarze, poza tym pożary się nie rozszerzają. Niezbędne kolejne pomiary]

– Ha! Z tym nie będę polemizował. Zrobmy te pomiary i miejmy to z głowy.

[Kiedy postawimy autofabrykatory]

– Oj tam, oj tam. – Usiadłem wygodniej, zaintrygowany, wpatrując się w kręcący się powoli obraz planety.

* * *

Skan niebawem się skończył. Poleciałem do miejsc występowania największych złóż i rozpocząłem budowę. Rozładowałem fabrykatory, wysłałem szopy wydobywcze na najbardziej obiecujące asteroidy, uruchomiłem drony transportowe.

Postanowiłem, że priorytet będzie miała obrona, a na początek system wczesnego ostrzegania. Dlatego w pierwszej kolejności

wyprodukowałem dwanaście dronów obserwacyjnych i kazałem im uformować dwudziestocian wokół układu. Miały małe i dobrze ekranowane reaktory, więc mogły wypatrzyć każdy zbliżający się statek na długo, zanim same zostałyby zauważone.

Kolejna była stacja łącznościowa. To rutynowe zadanie można było rzucić na MSI. Dałem im instrukcję budowy stacji i platformy pod kolejne Boby. W którymś momencie będę się musiał znowu włączyć, ale na razie mogłem zostawić moje urządzenia, żeby same się urządzały. Parsknąwszy śmiechem na tę grę słów, wróciłem do DE-4.

Troszeczkę się bałem kolejnych Bobów, szczerze mówiąc. Pierwszy miot był niezbyt przyjemnym zaskoczeniem. Egocentryzm Milo zdumiewał wszystkich innych. A mnie, choć nikomu nic nie powiedziałem, martwił też całkowity brak poczucia humoru Rikera.

Kiedy narobię więcej Bobów, czy w końcu natknę się na psychopatę? No nie, to chyba trochę przesada. Bobowie aż tak się nie różnią. Moi rodzice zapewne rozpoznałyby mnie w każdym z nich. Na przykład Mario – kiedy ja niecierpliwiełem się jakąś sytuacją, zamykałem się w sobie dokładnie jak on. Może nie aż tak bardzo.

Wszystko to prawda, ale Bill miał rację – wcześniej czy później zapragnę towarzystwa.

* * *

Kiedy odlatywałem z Epsilon Eridani, pracowałem nad projektami dronów eksploracyjnych. Bill mówił, że popracuje nad tą ideą, ale chciałem już coś mniej więcej mieć, kiedy przylecę do celu. Jeśli wyśle mi jakieś plany, połączę ich najlepsze cechy. Ale będę mógł już działać.

Drony obserwacyjne wyszły mniej więcej wielkości piłki nożnej, miały kamery i mikrofony oraz wysuwane kończyny, żeby móc chwycić się przedmiotów i siadać na nich. Przypominały mi trochę bardzo duże prosionki.

Zacząłem też projektować drony do analizy biologicznej. Te były większe, miały około metra długości. Miały czujniki optyczne i akustyczne zoptymalizowane do pracy z bliska oraz o wiele więcej wysuwanych kończyn do różnych zadań. Pewnie mogłem je jeszcze dopracować, ale chciałem już je uruchomić – nie miałem aż tyle cierpliwości.

Potrafiły zmieniać kolor, żeby wtapiać się w tło, miały nawet ograniczoną zdolność do wyświetlania wzorów maskujących. W powietrzu mogły dolną połowę zabarwić na kolor nieba, górną – na kolor terenu. Nie z obawy, że ktoś je zestrzeli, bardziej, żeby lokalna fauna nie próbowała ich zjeść. Były dość pancerne, ale po co prosić się

o kłopoty?

Parę takich dronów posłałem w obszar, gdzie występował ogień.

Jako chłopak wychowany w mieście nie miałem tak naprawdę pojęcia, jak to dużo – tysiące kilometrów kwadratowych dziczy. Ten obszar planety był pokryty lasem, od umiarkowanego po podzwrotnikowy. Przynajmniej ja zakładałem, że to las. Obojętne, co to było, ciągnęło się od horyzontu po horyzont, ze sporadycznymi przerwami na łąki i skalne występy. Naprawdę ktoś przelatujący nad tym awionetką nie poznałby, że nie jest na Ziemi. Poczulem chwilowe uczucie tęsknoty.

Dotarło do mnie, że nie ma mowy, żeby coś tu znaleźć, szukając losowo. Było późne popołudnie, wysłałem więc jednego drona na kilometr w górę i kazałem czekać na zmrok i wypatrywać ognia.

Drugiemu kazałem polecieć w dół i przyjrzeć się z bliska ekosystemowi.

Planeta była odrobinę większa od Ziemi, ale miała słabsze ciśnienie na poziomie morza, pewnie z uwagi na mniejsze jądro. Taka grawitacja, połączona z nieco gęstszą atmosferą, tworzyła idealne warunki dla stworzeń latających oraz odpowiedników wysokich drzew. I drzewa to wykorzystywały – i to jak.

Dron wylądował na takim drzewie, rozprostował nogi i zaczął powoli spełzać po pniu. Wtedy uświadomiłem sobie zdziwiony, że to naprawdę jest drzewo. Było brązowe – no, brązowawe – wysokie, twarde i miało gałęzie oraz liściaste wypustki. Ewidentny przykład konwergentnej ewolucji. Było zupełnie jak te drzewa, na które lubiłem wchodzić w dzieciństwie. Szerokie, poziome gałęzie – idealne miejsca do siedzenia. Gęsta liściasta korona chroniąca przed słońcem. Sama wielkość tych drzew była imponująca. Miałem ochotę się do któregoś przytulić.

Korony buzowały życiem. Dron, zlewający się z gałęzią, mógł je bezkarnie szpiegować. Podczas lotu intensywnie studiowałem taksonomię i kladystykę, teraz więc łapałem się na patrzeniu na te obrazy półprofesjonalnym okiem.

Choć same plany anatomiczne miały te stworzenia bardzo różnorodne, przeważnie wpisywały się w parę znajomych wzorców. Odpowiedniki owadów były, jak dotąd, sześćonożne, ze szkieletem zewnętrznym, wyglądało też na to, że ich maksymalny rozmiar jest nieco większy od myszy. Znalazłem małego, włochatego odpowiednika ssaka, który też miał sześć nóg, choć w jednym wariantcie cztery plus skrzydła. Postanowiłem nazwać go hipogryfem, przez wzgląd na moją dawną pasję – D&D. Ten akurat stworek miał ograniczoną zdolność zmiany koloru i dopasowywania się do tła. Patrzyłem zafascynowany, jak wtapia się w gałąź drzewa i czatuje na przechodzącą ofiarę.

Skatalogowałem też wiele większych odpowiedników ssaków, które

miały cztery kończyny. Może to jakaś ewolucyjna odnoga, która utraciła trzecią parę. Były też ptaki. Czy właśnie odpowiedniki ptaków. Miały coś, co bardzo przypominało pióra. Z fascynacją stwierdziłem, że ptaki fruwały jak ptaki, a małe włochate stworki jak nietoperze. Najwyraźniej tak tutaj, jak i na Ziemi w kwestii latania dużo do powiedzenia ma aerodynamika.

Był nawet odpowiednik węża, który, co ciekawe, na tej planecie był chyba ssakiem. Wyglądał, jakby po prostu rozciągnięto do znacznej długości trójsegmentowy plan ciała.

Wszystko mnie do tego stopnia fascynowało, że paradoksalnie rozszłościłem się, gdy przerwał mi Gupik:

[Wykryto źródła światła i ciepła]

W holo wyskoczył diagram.

– Jasne! Dużo ich. Niech drony podejść tak blisko, jak się da bez wykrycia. Zobaczmy, co się tam dzieje.

Zmiana rozstawienia zajęła mniej więcej pół godziny – drony musiały sunąć ostrożnie, żeby nie szeleścić gałęziami, ani się z niczym nie zderzać. Musiały to robić, posługując się noktowizją, w której, jak wiadomo, słabo ze szczegółowością.

W końcu jednak znalazły się na stanowiskach. Obserwacja z kilku punktów wykazała grupy zwierząt skupione wokół ognisk. Nie, nie zwierząt. Istot. Niektóre doglądały ognia, a inne zajmowały się z uwagą drobnymi przedmiotami. Choć było jeszcze dużo za wcześnie na dokładniejsze wnioski, byłem przekonany, że co najmniej ogień mają opanowany.

No... to jako cel kolonizacji mamy to z głowy. Triumfalnie uniosłem pięści w powietrze. Właśnie odkryłem inteligentne życie pozaziemskie. Jeszcze nie cywilizację techniczną, ale co z tego? To jest wielka rzecz! Zastanawiałem się, czy zaklepałem sobie pierwszy kontakt. Trzeba będzie jak najszybciej wysłać wiadomość do Billa.

Z ludzkiego punktu widzenia tubylcy nie byli ładni. Najprościej można było ich określić jako krzyżówkę nietoperza i świni. Kończyny mieli dłuższe, niż na oko powinny być, co przydawało im pająkowatości. Porastała ich krótka sierść, w kolorze od jasnobeżowo-szarego, po brązowo-pomarańczowy. Na twarzach i głowach mieli różnorodne barwne wzory, a zwieńczały je bardzo ruchome i wyraziste uszy. Reszta ciała była przeważnie jednego koloru.

Przez cały czas wszystko na głos komentowałem, żeby mieć materiał do raportu dla Billa. Uśmiechałem się, wyobrażając go sobie jako pająka pośrodku sieci, nasłuchującego drgań poszczególnych nici.

– Widzę parę niemowląt ssących, eee... pierś dorosłego. Nie chcę za dużo spekulować, ale skoro służy do karmienia, to pewnie to pierś. Nie mogę zakładać, że to mleko, ale pewnie coś odżywczego. Nie mogę też

założyć, że dorosły osobnik to samica ani że to rodzic tego dziecka. Powoli przypisuję im wszystkim znaczniki oparte na kolorach sierści.

Zerknąłem na Gupika, który stał w pogotowiu. Choć nie byłem ekspertem od rybich min, wydało mi się, że chwilami wyraża zainteresowanie moimi spostrzeżeniami. Dobrze było mieć taką nadzieję. Choć miałem do zabawy cały wszechświat – i to było fantastyczne – musiałem przyznać, że czuję się samotny.

Wziąłem głęboki wdech i podjąłem komentarz.

– Jest sześć grup, każda z nich opiekuje się własnym ogniskiem. Wydaje się, że są w dobrych stosunkach, następują częste interakcje pomiędzy ich członkami, ale pozostają odrębne. Kazałem dwóm dronom zbliżyć się na tyle, żeby słyszały dźwięki. Jestem przekonany, że oni ze sobą rozmawiają.

Zwróciłem się do Gupika:

– Jakiś problem, żeby dać na dół szopy?

[Szopy nie są przeznaczone do eksploracji]

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Gupik przewrócił oczyma. (Gupik naprawdę przewrócił oczyma). Na jego wielkiej rybiej głowie wyglądało to naprawdę dramatycznie.

[Szopy nie są przystosowane do eksploracji powierzchni planet. Dadzą się użyć, ale nie będą efektywne. Kamery mają małe obiektywy i są wyspecjalizowane do pracy z bliska. Rozdzielczość akustyczna jest bardzo podstawowa. Nie ma optyki w podczerwieni. Nie ma możliwości latania, nie ma zdolności kamuflażu.]

Kurde... dobra odpowiedź.

– Jasne, Gupik. Dziękuję.

[Do usług, jaśnie panie]

Zaśmiałem się w głos. Nikt mnie nie przekona, że to nie jest sarkazm. I to z dobrą pokerową miną.

28. Calvin, listopad 2163, Alfa Centauri

A zatem to, co w wojnie najważniejsze ze wszystkiego, to zaatakować strategię wroga.

Sun Zi, *Sztuka wojenna*

Alfa Centauri B była bardziej pomarańczowa niż Słońce i miała ponad dwa razy mniejszą jasność, stąd była niezbyt idealna jako potencjalny dom dla ludzkości. Goku wygrał w papier-nożyce-kamień i mógł wybierać. Wziął A, a mnie został ten bubel.

Przeleciałem przez system bez napędu, przykręciwszy reaktor do niewykrywalnego poziomu, z biernymi systemami wykrywania na pełnej czułości. Sam chodziłem na prawie najwolniejszym zegarze. Z takiej perspektywy można było odnieść wrażenie, że układ gwiazdny śmiga dookoła.

Poświęciliśmy sporo czasu na zaplanowanie eksploracji układu Alfya Centauri. Był to oczywisty pierwszy cel dla sondy kosmicznej, prawdopodobnie więc, że reszta supermocarstw właśnie tam skierowała się w pierwszej kolejności.

Po dłuższej dyskusji postanowiliśmy odbyć rekonesans A i B, przelatując po cichu przez cały układ.

Zbadanie samych planet miało drugi priorytet, choć póki nie pokazało się nic groźnego, mogłem do woli biernie obserwować i robić mapy ciał orbitalnych. Jak dotąd Alfa Centauri B nie zawierała niczego ciekawego. Zidentyfikowałem jedną planetę i pas asteroid, ale wciąż nie byłem na tyle blisko, by widzieć pasmo ekosfery.

Wystrzeliłem z dział elektromagnetycznego dwóch zwiadowców. Mieli rozkazy aktywować się w różnych odległościach, z losowymi wektorami ciągu, żeby ewentualny obserwator nie mógł prześledzić ich trajektorii i trafić do mnie. Miały zmodyfikowaną baterię SUDDAR-ów, opartą na pierwszych badaniach Billa z Epsilonu Eridani. Nowy system miał regulowany zasięg, nawet do trzech godzin świetlnych, choć wtedy miał dużo mniejszą rozdzielczość.

* * *

Wyniki pomiarów były rozczarowujące. W ekosferze znajdował się drugi pas asteroid i mała planeta typu Merkurego na bliskiej orbicie. Wyglądało na to, że słabo tu było z formacją planet, zapewne przez bliskość drugiego słońca. Mało prawdopodobna była stabilna planetarna orbita poniżej mniej więcej 3 au.

Co jednak ważniejsze z punktu widzenia misji, nikt nas nie atakował, a w układzie nie było sygnatur aktywnych reaktorów. Pozwoliłem zwiadowcom przeczesać cały układ, a szczególnie pas asteroid. Jeśli znajdą zasoby i nic więcej ciekawego, przynajmniej postawię tam autofabrykę.

* * *

[Znalazłem coś ciekawego]

Wreszcie. Już mało nie wpadłem w katatonię.

– Co tam, Gupik?

[Szczątki. Dwadzieścia minut świetlnych w kierunku obrotu, w pasie asteroid]

– Czyje?

[Zwiadowcy są za mało inteligentni. Ale mamy obrazy]

– Pokaż.

Wyskoczyły w holo. Przejrzałem je pobieżnie, aż natrafiłem na jedno z kawałkiem numeru rejestracyjnego.

– Statek ZSE. Na sto procent. To chyba już wiemy, co się z nimi stało. – Popatrzyłem na parę innych zdjęć. – To nie są tylko szczątki statku. Za dużo tego jest. Jesteś w stanie zidentyfikować resztę?

[Autofabryka i dwa do trzech statków]

– A. Statek ZSE budował kopie i ktoś go zaatakował. – Odruchowo spojrzałem w telemetrię. – Obstawiam Brazylijca.

Zastanowiłem się.

– A jak z ogólnymi badaniami?

[Skan zasobów: 50% zaawansowania. Znaleziono zasoby na minimalnym poziomie dla postawienia autofabryki]

– No dobrze, postawimy ją, jak będziemy mieli trochę czasu. Zbierz zwiadowców i lecimy na spotkanie.

Powrót zwiadowców na *Niebo 9* miał trwać dzień czy coś koło tego, a potem siedem dni do punktu w połowie drogi między Alfą Centauri A i B, gdzie miałem się spotkać z *Niebem 10*.

* * *

Goku już czekał w umówionym punkcie. Namawiałem usilnie Boba 10, żeby nazwał się Hobbes, ale Goku bez namysłu odpowiadał „A w życiu”, coraz dobitniej w miarę jak naciskałem. W końcu się poddałem, ale nie zamierzałem pacanowi darować. Otworzyłem kanał.

– Hej, ogóreczku. Brakowało ci mnie?

– Brakowało mi na ciebie amunicji. – Ton był lekki, ale wiedziałem, że jest zły. Bo sam bym był.

– Wal się. Patrzyłeś na obrazki, które ci posłałem?

– No, ciekawe. Zwłaszcza w świetle tego, co ja znalazłem. Brazylijską autofabrykę chodzącą pełną parą. Dwie sondy prawie gotowe, dwie kolejne w połowie.

– Cholera. – Przepatrzyłem skany dalekiego zasięgu, które mi przysłał. – No to mamy to. Grupowo podjęliśmy decyzję, że lecimy i strzelamy. Zgadzasz się z tym?

Goku westchnął.

– Tak. Ja wiem, że ty – my – mamy do tego etyczne zastrzeżenia. Ale Medeiros wyraźnie dał do zrozumienia, co myśli. Że tak pojedę ograny tekstem: ta galaktyka jest dla nas dwóch za mała.

Zamknąłem oczy i pochyliłem na chwilę głowę. Zawsze byłem z wyboru pacyfistą, choć rozumiałem, że jest punkt, w którym nie da się dłużej zwlekać. Na Epsilonie Eridani konsensus był taki: jeśli Medeiros nie wyjdzie pierwszy z jakąś pokojową ofertą, uważamy, że jesteśmy w stanie wojny.

Spojrzałem na Goku w holo i kiwnąłem głową.

– No dobra. To jedziemy.

Wiedzieliśmy z dokładnością do miliona kilometrów, z jakiej odległości Medeirosy będą w stanie wykryć nasze reaktory. Oddaliśmy się na odległość 50 au od Alfa Centauri A, zawrócimy i zaczniemy przyspieszać z 10 g w kierunku środka układu. Potem wlecimy siłą rozpędu w obszar z brazylijską autofabryką, mając prawie 13 % prędkości światła, jeden kilka minut za drugim, żeby móc atakować w fazach. Przy takiej szybkości nie ma mowy, by w sensownym czasie zawrócić do drugiego nalotu.

Oddalenie się na 50 au zajęło nam tydzień, ale wejście z powrotem do układu tylko pięć dni ciągłego przyspieszania. W umówionym punkcie wystrzeliłem z działa w przód dwóch zwiadowców. Mieli przelecieć bezwładnie obok placu budowy, parę tysięcy kilometrów na północ od ekliptyki, zbierając informacje i nadając je nam laserowym łączem. Po ich wystrzeleniu wyłączyliśmy silniki, główne reaktory i zaczęliśmy szybować przez układ ku brazylijskiej autofabryce.

Ja leciałem jako pierwszy. Mniej więcej dwie minuty przed przylotem stwierdziłem, że na podstawie obserwacji przez teleskopy i zdjęć ze zwiadowców orientuję się już, jaki układ ma plac budowy. Włączyłem

reaktor i zacząłem siać w jego stronę kulami armatnimi. Gdy zużyłem większość amunicji, wystrzeliłem cztery niszczyciele, każąc im celować w brazylijskie sondy.

Potem zrobiłem ostry zwrot na północ. Medeiros miał rakiety, mógł mieć działo elektromagnetyczne i być może nawet coś podobnego do niszczycieli. Nie był inżynierem, ale prawie na pewno zawodowym wojskowym. Całe życie poświęcił na obmyślanie sposobów niszczenia różnych rzeczy, a brazylijska armia z pewnością dała mu masę planów.

Skręcając z 10 g na nowy kurs, wysłałem ku autofabryce krótki impuls SUDDAR-u o dużej amplitudzie. Teraz już raczej wiedzieli, że tu jestem, więc nie trzeba było się przejmować.

I rzeczywiście, na placu budowy zawrzało jak w ulu – brazylijski sprzęt usiłował zdjąć nowe sondy z linii strzału. Jedna na oko poruszała się już samodzielnie. Oprócz tego w moją stronę poleciały jakieś cztery obiekty. Sygnatura reaktora mówiła jasno, że mają napęd SURGE i chyba są jakąś hybrydą rakiety-niszczyciela.

Włączyłem zagłuszacz SUDDAR-u. Medeiros będzie skupiony na mnie. Załóżmy, miejmy nadzieję, że to taktyka obronna i nie zauważy Goku, który dopada go od tyłu.

Kule armatnie, które wystrzeliłem, przeszły przez plac budowy jak strzał ze śrutówki. Optyczny widok wskazywał jasno, że trzy z czterech sond zostały zniszczone na miejscu, razem z większością sprzętu produkcyjnego.

I teraz była pora na niespodziankę. Goku do ostatniej chwili miał wyłączony reaktor. Skorzystał też z moich impulsów SUDDAR-u, żeby mieć aktualny co do sekundy i dokładny obraz sytuacji. Przetaczając się nad placem budowy od północno-wschodniej strony, posłał kule armatnie w stronę czwartego brazylijskiego statku i czterech rakiet. Wyłączyłem zagłuszanie SUDDAR-u, żeby śledzić skutki.

Trafił trzy z czterech rakiet i zniszczył większość placu budowy, ale czwarty brazylijski statek wciąż był sprawny. Widziałem, jak zawraca i ucieka w przeciwnym kierunku.

Widząc, że w grze jest jeszcze jedna rakietka, wypuściłem za rufę dwa niszczyciele. Zaatakowały ją w parze, jeden za drugim. Brazylijski pocisk zrobił unik przed pierwszym i wpadł czołowo na drugi. Nastąpił błysk i gra się skończyła.

Goku i ja z całej siły nacisnęliśmy na „hamulce”. Hamowanie i powrót na plac budowy, ze zbieraniem po drodze zwiadowców i ocalałych niszczycieli, zajęło nam piętnaście dni.

Posuwaliśmy się powoli przez plac budowy, wypatrując przydatnych elementów, wszystkiego, co jeszcze działało, oraz, przede wszystkim, ewentualnych pułapek.

Po dokładnym zbadaniu wszystkiego, co było blisko i daleko,

podzieliliśmy się spostrzeżeniami.

– Jeden uciekł. Nie ma po nim śladu i nie da się ustalić w tym bałaganie, w jakim stopniu był ukończony.

Goku kiwnął głową i otworzył schemat układu. – Puściłem drony na przeczesywanie, szukają sygnatur reaktora i skupień czystych metali. Na razie nic. Ja obstawiam, że ucieknie z tego układu. Za duża szansa na złapanie, jeśli będzie się tu kręcił. Jeżeli ma odrobinę rozumu, to poleci sobie jakimś losowym kursem bez napędu i włączy go dopiero, jak będzie za daleko na wykrycie.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę.

– Prawie na pewno nie był skończony, inaczej byłby o wiele aktywniejszy przed naszym przylotem. Mógł jeszcze nie mieć uzbrojenia albo sprzętu do fabrykacji. Jeśli tak, to jest praktycznie bezradny.

Po chwili ciszy zmieniłem temat.

– Jednego nie rozumiem: tam się budowały cztery sondy. To znaczy, że ta, która to zorganizowała, już dawno odleciała. – Zmarszczyłem czoło, próbując rozpracować implikacje. – To też znaczy, że Medeiros zostawił swoją bezcielesną kopię do pilnowania wszystkiego, całkowicie bezbroną.

– Bezcielesną? – Goku uniósł brwi.

– No wiesz, co mam na myśli. Goły układ komputerowy bez statku. Gdybyśmy przylecieli trochę szybciej, to by było jak strzelanie do ryb w beczce. Trochę okrutne tak zostawiać samego siebie na pastwę losu.

– Wojskowy umysł. Dla niego wszystko jest do poświęcenia, nawet kopie jego samego.

– Cholera. – Wzdrygnąłem się. – W każdym razie teraz układ jest nasz. Brazylijczycy chyba nie mieli w planach oddzielnej stacji orbitalnej. Albo była przewidziana na później. Jak chcesz to urządzić?

Goku otworzył obok siebie diagramy układów A i B.

– B jest dobra do produkcji i właściwie niczego więcej. A ma planetę w ekosferze, ale za pierwszym przelotem nie zbliżyłem się na tyle, żeby mieć dobre zdjęcia. Trzeba tam wrócić i się przyjrzeć, a potem zgłosić się do Billa.

– A jakieś klony budujemy? – A i B miały do spółki aż nadto surowców na dowolną liczbę Bobów.

– Chyba trzeba – odpowiedział Goku. – Nie możemy zakładać, że Medeiros nie wróci. Raczej nie pogodzi się ze stratą.

– Budujemy standardową wersję dwa czy klasę bojową?

– Hmm. – Goku się zastanowił. – Prawda, pancernik zżera więcej zasobów, ale raczej skłaniałbym się ku klasie bojowej.

– Zgadza się – odpowiedziałem. – Wyślijmy to wszystko do Billa. Chyba trzeba rozważyć robienie wszystkiego parami, nie tylko rekonesansu w podejrzanych systemach.

- Aha, no. To może zrobić sobie Hobbsa.
- A ty Dilberta.
- Głupek.
- Palant.

29. Riker, wrzesień 2157, Układ Słoneczny

Negocjacje szły jak krew z nosa. Pułkownik Butterworth za najważniejsze miał oczywiście dobro swoich uchodźców. Ale niektóre z jego żądań nie podobały mi się – na przykład upór, żebyśmy nie tracili czasu na szukanie innych ocalałych grup. Dzisiejsza dyskusja też przerodziła się w kłótnię nad priorytetami.

– Jeśli są gdzieś inni uchodźcy, odezwą się do was, tak samo jak my. – Wysunął podbródek w tym geście, który, jak już wiedziałem, oznaczał „nie ustąpię ani o krok”. Jego brytyjski akcent w miarę przeciągania się sporu robił się coraz bardziej ostry. – Po co inwestować w ich szukanie, skoro nie chcą być odnalezieni? Wszystko się tylko przez to opóźni.

– Może nie mają takiego sprzętu jak wy, albo nie rozpoznają konstrukcji *Nieba*, albo może nawet nie wiedzą, że tu jesteśmy. Po prostu nie mogą ich zaocznie spisać na straty. I tyle. – Sam wysunąłem podbródek w odpowiedzi, licząc że pojmie aluzję. Nic z tego.

– Wydaje mi się, Riker, że wasze priorytety powinny być jasne. My jesteśmy tym przysłowiowym wróblem w garści. Nie ma sensu ryzykować naszego bezpieczeństwa dla jakichś hipotetycznych grup, które nawet nie wiadomo, czy istnieją.

Westchnąłem. Zatoczyliśmy pełne koło. Pora wyciągnąć wtyczkę.

– Pułkowniku. Tydzień temu mieliśmy taką samą rozmowę i nie posunęliśmy się ani o krok. Nim zaczniemy budować wasze statki-kolonie, muszę zbudować stocznię. Zanim zbuduję stocznię, muszę znaleźć surowce. Niestety Układ Słoneczny ludzie ogolili prawie do zera, więc trochę trzeba się będzie naszukać. To znaczy, że potrzebuję kolejnych Bobów. I to będzie pierwsza rzecz, którą zrobię.

Pułkownik zaczął chodzić tam i z powrotem. Postanowiłem, że zrobię to samo.

– Kiedy nowe Boby pomogą z budową, będą miały trochę wolnego czasu, żeby poszukać innych grup. Tak, trzeba będzie wyprodukować trochę dronów, ale przy skali, o której my tu mówimy, to jest kurza karma.

Przestałem chodzić i wpatrzyłem się w ekran.

– Z całym szacunkiem, panie pułkowniku, ale ja kiedyś zarabiałem na życie kierowaniem projektami. Mamy ścieżkę krytyczną, która prowadzi nas od teraz do ukończonych statków-kolonii, a rzeczy, którymi pan się

tak przejmuję, nie są na tej ścieżce. Szukanie innych ocalałych nie wpłynie na całkowitą długość projektu.

Pułkownik westchnął ciężko.

– A ja jak zwykle stwierdzam, że jestem wróblem w garści. I dalej będę orędowną na rzecz moich ludzi. – Kiwnął mi głową i przerwał połączenie.

– Fajnie tam macie. – Przez uśmiech Homera przeświecała nutka sympatii.

Spojrzałem na jego gębę i uśmiechnąłem się słabo.

– Gdybyś miał ochotę przejąć te negocjacje...

– Pfff. Akurat mi pozwolisz. – Homer wyświetlił diagram Układu Słonecznego, z paroma strzałkami wskazującymi konkretne lokalizacje. – Większość dronów i niszczycieli zameldowała się z powrotem. Jest parę obiecujących punktów i co najmniej dwa praktyczne skarbcce dostępnego surowca. Zanim skieruję tam drony wydobywcze, lepiej sam się tam przelecę. Wiesz, na wszelki wypadek.

Kiwnąłem głową.

– A dalsze stacje?

– Żadnej aktywności radiowej, nikogo i niczego poza orbitą Marsa. Drony niedługo dotrą na Tytana. Do stacji w Obłoku Oorta parę dni później.

Przez chwilę wpatrywałem się w holograficzne obrazy.

– Dzięki, Homer. Muszę powiedzieć, że jesteś w tym wszystkim bardzo profesjonalny.

Wyszczrzył się do mnie.

– To znaczy, kiedy nie realizuję mojego osobistego celu – doprowadzania cię do szafu? – Uśmiech zniknął. – Riker, każdy z nas jest inny, ale nie na tyle, żeby się nie przejmować sytuacją. Tam na dole są ludzie, którzy bez naszej pomocy zapewne zginą. Jeśli któryś Bob się tym nie przejmuję, to powinno mu się wyciągnąć wtyczkę. – Uśmiech wrócił. – Ale w twojej kwestii to ja wszystko zbieram w pamięci. Możesz już zacząć się bać. – Zasalutował, o włos od wulgarnego gestu, i zniknął.

Pokręciłem z uśmiechem głową. W pełni wierzyłem w jego stwierdzenia, zwłaszcza w to, że mi się zbiera. Dziwne, że dotąd mu nie eksplodowała głowa. Naprawdę – Homer parę razy użył takiego efektu specjalnego, choć trzeba mu przyznać, że nie robił tego, odkąd zrezygnował z awatara z kreskówki.

Otworzyłem wstępny plan projektu, który przygotowałem. Początkowe szacunki pułkownika – dziesięć lat – wyglądały teraz trochę optymistycznie. Pięć kroków dzieliło nas od momentu, kiedy w ogóle będziemy mogli rozpocząć budowę statków-kolonii. A pierwszym krokiem było znalezienie odpowiedniej ilości surowców, żeby zacząć krok numer 2. Tym nie ma sensu się zajmować, póki Homer nie

zamelduje się z powrotem.

* * *

Skończenie pomiarów zajęło mu kolejne dwadzieścia dni. Duże skupienia surowca – pobojojiska po kilku kosmicznych bitwach – nie były tak obfite, jak się spodziewał, ale na początek wystarczały aż nadto.

Zameldowały się także drony z Tytana i stacji w Oorcie. Oba posterunki na oko zostały porzucone, ale nikt ich nie zaatakował. No, jeden punkt dla resztek rozumu. I Homer, i ja fantazjowaliśmy trochę, że tam będą jeszcze jacyś ludzie. Ale realistycznie, trzydzieści lat po wojnie, to byłby cud.

Jak ustaliliśmy, Homer postawił przy każdym znalezisku małą autofabrykę – tyle drukarek i szopów, żeby móc równolegle budować dwa drony transportowe. Kiedy się wyprodukują, zaczną wozić surowce do punktów L4 i L5 pomiędzy Ziemią i Księżycem. W tych dwóch punktach Lagrange’a już budowały się większe autofabryki, mające początkowo budować kolejnych Bobów i drony, a potem rozrosnąć się do skali przemysłowej, niezbędnej do skonstruowania pełnowymiarowego statku-kolonii.

Usiadłem i potarłem oczy. No cóż, zawsze lubiłem wyzwania.

Kiedy odlatywałem z Układu Słonecznego – no dobra, kiedy Bob 1 odlatywał, ale dla mnie to było jak własne wspomnienia – pomyślałem, że to koniec kontaktów z ludzkością, nie licząc sporadycznych wiadomości radiowych. Teraz nie tylko musiałem się z nią zadawać, ale od moich decyzji zależały tysiące, jeśli nie miliony istnień ludzkich. Doskonale to ilustrował stary tekst Ala Pacino: „Ledwo się od nich odczepiłem, już mnie ciągną z powrotem!”.

30. Bob, kwiecień 2165, Delta Eridani

Powoli obszedłem VR z obozem tubylców. Drony nagrały dość materiału w wysokiej rozdzielczości, by stworzyć replikę 1:1 ich wioski. Nie miałem pojęcia o zapachach i zastosowałem ziemskie. Ale ciepło, wilgotność i faktura roślin i ziemi były realistyczne.

Obserwowałem codzienne zajęcia członków szczepu. Nie reagowali na moją obecność, bo to było nagranie. Ale pozwalało mi zorientować się w skali.

Przez parę dni patrzyłem na tych tubylców – zacząłem ich nazywać Deltanami – i przez wideo na żywo, i w symulacji – a oprócz tego słuchałem nagrań ich mowy. Na oko mieli dwie płcie, strukturę plemienną i luźne związki, to znaczy, że niektóre pary preferowały swoje towarzystwo. Nie było to nic formalnego, bo paru osobników widywało się z kilkoma partnerami. Hmm.

Samce trzymały się razem, a samice i młode tworzyły trzon plemienia. Czy przynajmniej środek. Wyglądało to bardzo podobnie jak w antropologicznych teoriach organizacji pierwotnych ludzkich społeczności. Czy to dlatego, że środowisko naturalnie wymuszało takie zachowania? Czy w strukturze plemiennej było coś nieuniknionego? Można tylko mieć nadzieję, że my – Boby – zbierzemy kiedyś dość próbek, by sformułować jakąś teorię. Nawet jeśli potrwa to tysiące lat.

Deltanie wyglądali na bardzo czujnych. Jakieś samce zawsze trzymały wartę i patrolowały granice terytorium. Do obrony mieli tępe i zaostrome kije oraz trzymane w ręku gołe kamienie. Nie wiedziałem jeszcze, przed czym się tak pilnują. Przed innymi Deltanami? Przed drapieżnikami?

Ich wokalizacje nie były szczególnie skomplikowane. Nie tak jak u delfinów, dzięki Bogu. W XXII wieku nadal nie umieliśmy z nimi gadać. Powoli budowałem listę standardowych głosek i ich grup w języku deltańskim. Miałem nadzieję, że niedługo zbiorę tyle, żeby zrobić jakąś analizę.

Z autofabryki przyjechała kolejna partia dronów obserwacyjnych, co było jednocześnie dobrą i złą wiadomością. Dobra była taka, że mogłem ustawić stałe posterunki obserwacji Deltan, a oprócz tego rozesłać drony w inne miejsca. Zła – że nadzorowanie wszystkich tych oczu zaczynało być męczące. Może i jestem replikantem, ale potrafię się skupić tylko na

jednej rzeczy naraz. Potrzebowałem więcej Bobów.

Żaróweczka! Czemu nie? Mogłem zbudować rdzenie SI, nie budując im jeszcze statków i dać każdemu Bobowi inną grupę dronów. Nie mieliby nic przeciwko. Wiedziałem, że nawet im się to spodoba, bo, no cóż, są Bobami. Nie: miałem nadzieję, że im się spodoba, bo są Bobami. Pewności nie miałem w żadnym razie.

Przesłałem do autofabryki rozkaz podkręcenia priorytetu rdzeniom komputerowym kosztem konstrukcji statków. Na szczęście w standardowych szablonach były plany obudów dla pozbawionych ciała rdzeni.

* * *

Deltańska samica rozcinała ciało zwierzęcia upolowanego przez jednego z samców. W tym nie było nic szczególnego. Właściwie to dopiero po dłuższej chwili katalogowania jej technik dotarło do mnie, że ostry kamień, którego używa, ma trzonek. To było coś szczególnego, bo wszyscy Deltańczycy jak dotąd używali samego kamienia. Archiwizowałem wszystkie nagrania z obserwacji, więc szybko przeszukałem te, gdzie występowała ta konkretna Deltanka. Ustalenie pochodzenia narzędzia zajęło mi tylko parę minut – jej... eee... syn? Szczeniak? Młode płci męskiej? A, cholera. Może można sobie trochę poantropomorfizować? Wiem, że i tak do tego dojdzie. Syn i tyle.

W każdym razie wyglądało na to, że chłopak ciągle przy czymś majstruje. W tym wypadku rozszczepił gałąź ostrym kamieniem, wetknął w pęknięcie kamień i obwiązał go czymś niewiadomym. Miał oznaczenie C.3.41, a to oznaczało: Szczep C, grupa 3, osobnik nr 41. Odtąd to będzie „Archimedes”. Przydzieliłem jednego drona, żeby obserwował go 24 godziny na dobę i 7 dni w tygodniu. Czy właściwie 29 na 7, bo jesteśmy na Delcie Eridani 4.

Przez następne kilka dni uważnie go monitorowałem. Ciągle coś kombinował. Kiedy rówieśnicy siedzieli sobie w cieniu albo bawili się w berka, Archimedes łaził dookoła, podnosił kamienie i próbował je rozbijać. Zdaje się, że szukał kamieni, które będą miały ostre brzegi, tak jak krzemień, z którego zrobił narzędzie dla matki. Ale w okolicy nie było żadnego krzemienia, dlatego narzędzia były poszukiwane. Zacząłem się zastanawiać, skąd się ten krzemień wziął. Wysłałem drona eksploracyjnego na poszukiwanie najbliższych jego złóż.

[Połączenie przychodzące]

– Cześć, Bob. Tu Marvin.

Zrematerializowałem swoją wirtualność. W holo pokazał się wizerunek kolejnego Boba.

- Cześć, Marvin. Dopiero wystartowałeś?
 - Tak, dokładnie. HIC17378-1, skoro już nie numerujemy Bobów.
 - Trochę ciężko koordynować numery pomiędzy wieloma układami gwiazdnymi. Witaj, Marvin. Weź sobie drona, bo robi się tu ciekawie.
- Streściłem mu, co się działo od czasu wykonania kopii zapasowej, z której został odtworzony. Natychmiast zgłosił się do szukania źródła krzemienia. Trochę lepiej się poczułem. Przynajmniej jeden jest na tyle zainteresowany, żeby pomagać.
- W ciągu następnych dwóch dni odpaliło się dwóch kolejnych Bobów. Luke i Bender byli równie pełni zapału i od razu zerwali się do pracy.

* * *

Ja przez znaczną część mego czasu obserwowałem Archimedes. Kiedy spał, zajmowałem się zarządzaniem autofabryką i badaniem innych obszarów DE 4.

- Edenu – wtrącił ni stąd, ni zowąd Bender.
- Że... co?
- Nazwijmy ją Eden. Kolebka ludzkości, kolebka Deltan...
- Mnie się podoba. – Kiwnąłem głową. Marvin i Luke’a nie miałem akurat w VR, ale dwie wiadomości przyniosły pozytywne komentarze. – Dobra. Będzie Eden. Fajnie.

Skupiłem się z powrotem na dronie szpiegującym Archimedes. Wreszcie odkryłem, z czego robił sznurek. Zrywał łodygi niewielkiego pnącza, dzielił na włókna i suszył na kamieniach. Były dość mocne, ale wciąż elastyczne. Nie widziałem, by robił to ktokolwiek inny, musiałem więc uznać, że to nietypowe zachowanie.

Rany, jaki ten dzieciak musi być samotny. Nikt go nie rozumie. Istotnie – Archimedes spędzał większość dni samotnie, wędrując dookoła i majstrując przy różnych rzeczach. Ciągłe coś robił – a to wyrywał i dzielił na części rośliny, a to tłukł kamienie, albo tłukł czymś o kamienie, a to kopał w różnych dziwnych miejscach. Oczywiście było, że bada i kataloguje swój świat. Nie miał żadnego wsparcia od rodziców – oni, jak cała reszta, z zadowoleniem tkwili na etapie zaostrego kija. Nawet tych kijów nie prostowali, więc trudno je było nazwać dzidami.

Wyprostowałem się i westchnąłem. Jakie to frustrujące. Złapałem się na tym, że mam ochotę pójść tam, usiąść sobie koło Archimedes i pokazać mu to i owo. Po czym uśmiechnąłem się – nie widziałem już włochatego świnko-nietoperza. Widziałem samotnego dzieciaka.

31. Riker, styczeń 2158, Układ Słoneczny

– Otwieram posiedzenie Rady Federacji Planet. – Spojrzałem na trzech innych Bobów w okienkach wideo.

Po długich negocjacjach z pułkownikiem Butterworthem poprzestaliśmy na razie na dwóch nowych. Przyznam, że wciąż byłem trochę urażony, że pułkownik uważa nas za koszt, a nie zasób.

– Chyba trochę za bardzo jedziesz tym *Star Trekiem* – zauważył drwiąco Charles.

Zbyłem tę uwagę machnięciem ręki.

– Od zawsze byliśmy fanem *Star Treka*. I będziesz musiał z tym żyć. – Chwilę poczekałem na kolejny ostrzał i ciągnąłem: – Autofabryki na odzysk działają pełną parą. Dostarczamy w miarę stabilny strumień surowca do punktów Lagrange’a, mam nadzieję, że właściwa autofabryka-stocznia zacznie działać za dwa lata. A tymczasem Homer i Charles będą dalej szukać złóż w Układzie, a Artur i ja przeskanujemy Ziemię, szukając innych grup, które przetrwały. Pytania?

– Nawet jeśli znajdziemy te grupy, to niewiele będziemy mogli dla nich zrobić, nie? – Charles wyraził obawę nas wszystkich. Bez transportu nie mogliśmy dostarczyć żywności czy lekarstw żadnej znalezionej grupie. *Nieba* nie były żadną miarą przystosowane do lądowania, czy nawet wchodzenia w atmosferę. Zresztą nawet gdybyśmy mieli środki transportu, pułkownik Butterworth postawił sprawę jasno – nie przyjmie żadnych nowych uchodźców ani nie podzieli się z nimi żywnością i lekarstwami. W ewentualnej pomocy byliśmy zdani na siebie.

Moja największa obawa? Że znajdziemy grupę ludzi, a potem będziemy bezradnie stać i patrzeć, jak wymierają.

* * *

Po dalszej dyskusji postanowiliśmy z Arturem oblecieć Ziemię po biegunowych orbitach, dzieląc ją na części jak pomarańczę. Robiąc okrążenia z przesunięciem, mogliśmy w ten sposób pokryć całą planetę SUDDAR-em z orbity. A w każde znalezione ciekawsze miejsce puścimy drony, żeby zbadały to optycznie z mniejszej wysokości. Oczywiście skan

z orbity nie wykryje bezpośrednio ludzi. Ale każda nowa budowla, działająca elektrownia czy pole uprawne oznaczy daną lokalizację do sprawdzenia przez drony.

Skończenie tych skanów zajęło niemal dwa tygodnie. Na koniec mieliśmy mapę Ziemi z zaznaczonymi prawie czterdziestoma punktami – kilka miast i dużo małych enklaw.

Artur na połączeniu wideo miał zmęczoną minę. Zamknął oczy i powoli potarł czoło.

– Piętnaście milionów ludzi. Z dwunastu miliardów do piętnastu milionów. Jako gatunek to my jesteśmy debilami. Może trzeba dać im wymrzeć i zacząć od zera.

– Ja nie mogę. Ty to jesteś ponurak.

Artur odziedziczył, zdaje się, większą od średniej dawkę depresyjności i miałem już tego trochę dość. Hamowałem się z uwagami, ale już kończyła mi się samokontrola. Łapałem się na tym, że zastanawiam się, czy nie dać go Homerowi.

– Największy problem – machnąłem ręką w kierunku globusa – jest taki, że nie uda nam się przenieść takiej liczby ludzi, nawet jeśli inni Bobowie znajdą wystarczająco dużo dobrych planet. Statki-kolonie według projektu ZSE pomieszczą po dziesięć tysięcy ludzi naraz, upchniętych jak sardynki w hibernatorach. Wychodzi tysiąc pięćset statków albo tysiąc pięćset lotów. Nie ma szans.

Artur kiwnął głową.

– Czyli będziemy decydować, kto jest godny, a kto nie...

– Jezus Maria, Kłapouchy, weź się uspokój. Będziemy decydować, kto bardziej potrzebuje pomocy. Co innego możemy zrobić?

– To grupka z ZSE do tego nie pasuje. W kwestii zaspokożenia potrzeb są powyżej średniej.

– Tak, wiem – westchnąłem. – Ale zgodziliśmy się im pomóc. Dali plany i masę informacji. Chyba jednak jesteśmy trochę zobowiązani. To, co możemy jednak zrobić, to przenieść bardziej potrzebujących do schronu ZSE, kiedy oni już odlecą. To by pomogło.

– Jasne, upchniemy ich tam z tyłu pomiędzy niszczycielami. Co za problem.

Odwróciłem się do Artura gotowy na niego warknąć i dotarło do mnie, że ma rację. Przełknąłem to, co już miałem powiedzieć, i zastanowiłem się. Będziemy potrzebować transportowców. I tak będą potrzebne, ale teraz robią się priorytetowe. Trzeba zmienić plan produkcji. Pułkownik się wścieknie.

* * *

Pułkownik się wściekł. W życiu nie widziałem wściekłego Butterwortha. Jego wściekłość polegała na kamiennej twarzy i niedomówieniach. Bardzo to było skuteczne.

– Riker, jesteś pewien, że zajmowałeś się kiedyś zarządzaniem projektami? Bo ja tu właściwie codziennie widzę jakąś obsuwę. Można by prawie pomyśleć, że wymyślasz wszystko na bieżąco.

– No... w pewnym sensie dokładnie tak jest. Zarządzanie projektami to nie jest unikanie wszelkich zmian, tylko przeprowadzanie ich w sposób kontrolowany. Jeszcze żaden plan nie przetrwał kontaktu z wrogiem.

– Wiesz co, Riker? Ja myślę, że ty źle używasz tego cytatu. W każdym razie ja jestem okej z wprowadzaniem innych uchodźców do naszego schronu, kiedy my już polecimy. Mam nadzieję, że to cię zmotywuje do szybszego wyprowadzenia nas stąd.

– Gdybym potrzebował motywowania, tobym poprosił. Riker kończy.

Wyszedłem z kanału, usiadłem prosto i wpatrzyłem się w przestrzeń. Lubilem go. Naprawdę. Ale dogadywać się z nim to jak dogadywać się z... hmm... samym sobą. Był uparty, przekonany do własnych racji i umiał je popierać porządnymi, solidnymi argumentami. Co tylko mi utrudniało zadanie.

Spojrzałem jeszcze raz na mapę. Nie dlatego, żebym spodziewał się dostrzec jakieś nowe informacje. To był raczej nerwowy tik, który mi się ostatnio wykształcił. Skończyliśmy drugi skan Ziemi w poszukiwaniu mniejszych grup ocalałych, które mogliśmy przegapić przy pierwszym. Ale po trzydziestu latach wojny i bombardowań z orbity małe grupki albo wymarły, albo się skonsolidowały.

Grupki uchodźców były rozsiane po całej planecie i reprezentowały chyba wszystkie możliwe państwa istniejące przed wybuchem wojny. To niczego nie ułatwiało. Mogło tylko wzmocnić ksenofobię. Pewnie nie uda się zwalić ich wszystkich na jedną planetę i oczekiwać, że się dogadają.

Dałem Arturowi zadanie skontaktowania się z każdą enklawą. Jak dotąd było to trudniejsze, niż się spodziewaliśmy.

Czas na sprawdzenie statusu. Wywołałem go. Wyświetlił się od razu.

– Jak ci idzie, Arturze?

Pokazał mi okienko ze statusem. Może i był trochę depresyjny, ale dyscyplinę miał niesamowitą.

– Wyprodukowałem mniej więcej połowę potrzebnych komunikatorów, a dwadzieścia pięć procent już rozmieściłem. Czy raczej próbowałem. Niektóre drony zestrzelili bez ostrzeżenia, a kilka komunikatorów rozwalili, gdy tylko dron odleciał. Jak się okazuje, nie każdy chce z nami gadać.

– Chyba to trochę rozumiem. Ludzie, którzy przeżyli ostatnie trzydzieści lat, będą trochę nieufni. – Pokiwałem ze smutkiem głową. –

Dawno postanowiłem, że nie będę ich porywać, ani zapędzać do ładowni pod lufami karabinów. Każdy, kto nie zechce polecieć, będzie mógł zostać na Ziemi. Pułkownik Butterworth zgodził się w stu procentach, chociaż miałem przeczucie, że chodzi mu o ograniczenie „pobocznych działań”.

– To udało ci się z kimś nawiązać kontakt?

– Jeszcze nie. – Wzruszył ramionami. – Standardowe wyjaśnienie nagrane na wideo. Bardzo mało reakcji z autentycznymi pytaniami. Przeważnie tylko wyzwiska. Dość monotonne. – Otworzył kolejne okienko. – A swoją drogą, dostałem raport od Homera. Właściwie to rozmawialiśmy i wspomniał o tym. Zidentyfikowali w Układzie dość surowca na trzy statki, z górką. Prawie wystarczyłoby na cztery. Ale część jest dość daleko w zewnętrznym Układzie.

Kiwnąłem głową. Dostałem ten raport i zerknąłem do niego. Miałem nadzieję, że uda się zbudować co najmniej sześć statków, lecz nie chciałem dawać Arturowi kolejnego powodu, żeby na mnie łyapał obrażonym wzrokiem. Robił to i bez powodu.

Ale postępek jakiś był.

32. Bill, październik 2158, Epsilon Eridani

[Odebrana wiadomość od Milo]

– W samą porę. – Wyszczrzyłem się do Gupika. Jak należało się spodziewać, odpowiedział rybią pokerową twarzą. – Ciekawe, czy znalazł Wolkan.

[Nie za bardzo]

Uniosłem brwi. To było dość odległe od standardowego „nie”, którego bym od niego oczekiwał. O ile w ogóle by odpowiedział. Moja ciekawość wzmożła się bardzo konkretnie.

Zagrzebałem się głęboko w jednym z ulubionych projektów – tworzenia realistycznych sztucznych ciał. Podstawowym problemem było stworzenie odpowiednika mięśni, który działałby, wyglądał i ogólnie zachowywał się jak prawdziwy. Bo z zębatek, siłowników i kabli nigdy nie da się zbudować przyzwoitego androida.

Zmusiłem się do zamknięcia folderu z projektem, przywołałem kawę, kopniakiem zgoniłem gęś z fotela i usiadłem. Podeszła Kolczatka, nie zwracając uwagi na wściekłego ptaka, i rozłożyła mi się na kolanach.

– Dobra, Gupik. Pokaż.

Przede mną rozpostarł się raport Milo. Diagramy układu, zbliżenia bliźniaczych planet – dwóch nadających się do zamieszkania! – i biologiczne analizy. Zachichotałem, widząc, że uparł się je nazwać. Ja bym zrobił to samo. Pewnie nawet wybrałbym takie same nazwy. Usiadłem prosto, wpatrzywszy się w przestrzeń, tak zamyślony, że przestałem głaskać Kolczatkę. O moim podstawowym obowiązku przypomniła mi futrzasta główka szturchająca mnie w podbródek.

– Przepraszam, Wasza Wysokość. – Uśmiechnąłem się do kotki i wróciłem do uzasadniania własnego istnienia.

Dwie planety. W układzie, który generalnie był na końcu listy kandydatów. Czy astrofizycy się mylili? Oczywiście mieliśmy jak dotąd trzy obserwacje, wliczając w to Ziemię. Ale to trzy na trzy, jeśli trochę nagiąć i liczyć Ragnaröka.

Dobra. Po kolei. Wstawiłem raport do kolejki do wysłania na Ziemię, na wypadek gdyby Milo tego nie zrobił. Miejmy nadzieję, że Riker będzie słuchał.

Pozostawało pytanie za milion dolarów: czy został tam ktoś, kto z tego skorzysta? Od czasu do czasu nadawałem plany SCUT do każdego

układu w promieniu trzydziestu lat świetlnych, na wypadek gdyby kiedyś był tam Bob. Ale na Słońce pierwsza transmisja dotrze za jakieś dziewięć lat. Wyglądało na to, że spędzę trochę czasu na obgryzaniu paznokci.

Wywołałem Garfielda.

– Hej, Garfield, czytałeś, co Milo przysłał?

Wskoczył mi do VR i wskazał swoją twarz.

– Wygląda ci na zaskoczoną?

Pośmialiśmy się, a on ciągnął:

– To niesamowite. Mamy gdzie umieścić ludzi. O ile są jeszcze jacyś ludzie. – Skrzywił się. – To byłby w sam raz taki perwersyjny żart, jakie lubi robić wszechświat. Miejmy nadzieję, że tak nie będzie.

Kiwnąłem głową.

– Tak. Wiesz co? To śmieszne. Odlatując z Ziemi, chciałem mieć święty spokój od ludzkości. A teraz zachowuję się jak ich opiekun, pasterz, czy coś takiego.

– Jak brzmiał ten stary żart? Lubię ludzi w ogóle, ale nie w szczególe?

– No... za parę lat się okaże. A jak ci idzie mapowanie pasa Kuipera?

Garfield wyświetlił schemat. Ponieważ holowanie bryły lodu z pasa Kuipera na Ragnaröka miało zająć mnóstwo czasu, chcieliśmy znaleźć największe obiekty – dodatkowy czas na poszukiwania miał się później opłacić. Większość odłamków była za mała, by się nimi zajmować, ale Garfield znalazł parę niezłych gór lodowych i zostawił na nich bikony. Wciąż nie do końca wiedziałem, jak je ruszyć we właściwym kierunku.

33. Riker, marzec 2158, Układ Słoneczny

Ostateczne zliczenie – piętnaście milionów ludzi. Cały ludzki gatunek na dwustronicowej liście. To rzeczywiście było smutne i Artur nie przepuścił żadnej okazji, żeby nas zdołować.

– Nie damy rady ich wszystkich wywieźć z planety. – Pokiwał głową, opuszczając wzrok.

Ciekawiło mnie, czy naprawdę był smutny, czy tylko delectował się ironią. Usiadłem prosto, założyłem ręce za oparcie fotela i patrzyłem na niego w milczeniu, aż przestał.

– Arturze...

– Tak?

– Zamknij się, do cholery.

Artur odpowiedział półuśmiechem i wzruszeniem ramion.

– Wiesz, że mam rację.

– Tak, dwadzieścia pięć razy już miałeś rację. Liczysz to?

Wzruszył ramionami i bez słowa otworzył ostatni Raport z Budowy. Och, kochana cisza, nareszcie.

Mimo wszystko nie mogłem go naprawdę za to winić.

Zidentyfikowaliśmy, z bardzo dużym prawdopodobieństwem, wszystkie grupy liczniejsze niż sto osób. Bardzo prawdopodobne, że mniejsze po prostu nie przeżywały, albo widziały korzyść z dołączania do liczniejszych. Ewidentnie odbywała się taka konsolidacja. W paru miejscach było teraz więcej ludzi niż przed wojną.

Mniej więcej połowa ludności świata mieszkała obecnie na Nowej Zelandii, na Madagaskarze oraz, co dziwne, we Florianópolis w Brazylii. Wyspy dało się zrozumieć – nie uczestniczyły w żadnym konflikcie i nie były strategicznymi celami. Liczba mieszkańców poważnie spadła, ale klimat był wciąż na tyle łagodny, żeby ją utrzymać na obecnym poziomie.

Z Florianópolis było o wiele dziwniej. Większość Ameryki Południowej stanowiła skalisty, poryty kraterami księżycowy krajobraz. Brazylia nawalała do swoich sąsiadów, a Chiny w Brazylię, więc zostało tam bardzo niewiele ziemi nadającej się do życia. Jednakże z jakiegoś powodu południowy czubek Brazylii został oszczędzony. Całkiem możliwe, że ludność zasilili też uchodźcy z innych rejonów.

Reszta populacji globu była po nim rozsiana. Wielu ludzi wylądowało

na archipelagach, jak Malediwy, Polinezja Francuska, wyspy Marshalla i tak dalej. Tak samo – nie były to strategiczne cele, a ich klimat dość długo miał być korzystny.

Potem były lokalizacje peryferyjne, jak Spitsbergen, San Diego, Okinawa czy enklawa ZSE pod Augsburgiem w Niemczech. Wydawało się, że znaczna część obecnej ludności zmigrowała tam z czasem. A przez pierwsze parę lat i śmiertelność była spora.

Do nas będzie należało utrzymanie ich przy życiu. Nie mówiłem o tym jeszcze z resztą, ale na pewno przyszło im do głowy... Nie da się w rozsądnym czasie wywieźć z planety piętnastu milionów ludzi, nawet gdybyśmy wiedzieli dokąd. Większość z nich będzie musiała żyć na Ziemi.

A według pułkownika przez ostatnie mniej więcej dziesięć lat klimat zaczął się drastycznie pogarszać. Co roku było mniej słońca, więcej śniegu, panowały niższe temperatury. Pokrywy lodowe i lodowce znowu rosły, po raz pierwszy od XV wieku. Zwłaszcza Spitsbergenowi, nawet uwzględniając ich niezwykłą adaptację, zostało niecałe pięć lat. Obecne prognozy, choć oczywiście przybliżone, pokazywały Ziemię całkowicie skutą lodowcem za pięćdziesiąt do stu lat.

Spojrzałem na Kłapouchego, to znaczy na Artura. Wiedział, co myślę, i nie musiał nic mówić. Dobrze, że chociaż był na tyle przyzwoity, żeby się nie napawać.

– Dobra, Artur. Rozumiem. Musimy zorganizować te grupy i nawiązać jakąś współpracę. Jak ci idzie z łącznością?

Rzucił mi jeden ze swoich rzadkich uśmiechów.

– Ta holograficzna prezentacja wielkości ekranu kinowego bardzo pomogła. Nie mogli jej rozwalić ani wyłączyć, więc musieli wysłuchać. Kiedy drugi raz zrzuciliśmy komunikatory, prawie nie były atakowane ani niszczone. Jest, zdaje się, pięć miejsc, które nie zgadzają się na kontakt. I nie są liczne.

– I pewnie się dołączą, jak dołączą się wszyscy inni. Dobrze. Daj znać, jak wszystko będzie gotowe i sprawdzone. Wyślemy zaproszenia na pierwsze zgromadzenie nowych Narodów Zjednoczonych.

* * *

Nie wiem, czemu w ogóle przyszło mi do głowy, że to dobry pomysł. Siedziałem z łokciem na poręczy fotela, podpierałem czoło dłonią, podczas gdy delegaci wyrażali całkowitą pogardę dla Regulaminu Porządkowego. W każdej chwili co najmniej sześć osób darło się do kamer, próbując przekrzyczeć pozostałe. Trzydzieści osiem różnych okienek wideo, wiszących w powietrzu przede mną, wyświetlało

miniaturowych rozgestykulowanych i rozwrzeszczanych derwiszy. Byłoby to nawet śmieszne, gdyby od tej grupy nie zależał los świata. Każdy kandydat widział to samo, co ja, ale jakoś nikt nie krzywił się z zażenowania.

Prawda, pewien konsensus nastąpił, więc strata czasu nie była całkowita. Większość grup oburzało się na przykład, że enklawa ZSE ma się pierwsza wyprowadzać z planety, mimo że to właśnie ona pierwsza się z nami skontaktowała i dostarczyła plany statków-kolonii. Jeszcze więcej grup wściekało się, że Spitsbergen domaga się priorytetu z uwagi na swoją trudną sytuację.

A już wszyscy dostawali szału, że w ogóle dopuściliśmy do rozmów grupę z Brazylii. Uważało się, że Brazylia zaczęła wojnę, i każdy miał jej to za złe. Trochę się nawet z tym zgadzałem, ale kiedy wybuchała wojna, większość ludzi we Florianópolis miała mniej niż dziesięć lat, o ile w ogóle się już urodzili. Niemniej: to Brazylia.

Zerknąłem na okienko Homera. Padł ze śmiechu. Rzuciłem mu krótki uśmiech. W ciągu ostatnich dni zaczynałem rozumieć, skąd bierze się ten jego humor – śmiał się nie tyle z samych ludzi, ile z absurdu tej sytuacji. Kiedy będzie konieczność, zrobi wszystko, by pomóc.

– Szanowne panie i szanowni panowie. Na dziś kończymy. Jutro wznawiamy o tej samej porze, ale na całkiem nowych zasadach. Wasze mikrofony będą włączone tylko, kiedy przewodniczący – na razie to będę ja – udzieli wam głosu. Jeśli chcecie, żeby reszta patrzyła na waszą pantomimę, nie mam z tym problemu. I od razu powiem, że nic mnie nie obchodzi, że wam się to nie spodoba. Dobranoc.

Walnąłem w guzik Zakończ i wszystkie sesje się przerwały.

Osunąłem się z jękiem w fotel, a Homer zasiadł w swoim, próbując nabrać tchu.

– No, Dwójeczka, to było mocne. Są naprawdę porządnie wkurwieni.

Machnąłem lekceważąco ręką.

– Z jednej strony, Homer, statek tonie, a oni biją się o miejsce w szalupach. Mogę to zrozumieć. Z drugiej strony ich zachowanie nie pomaga.

– Riker, oni są tylko pasażerami – powiedział poważnym tonem Homer. – Czują się bezradni, czują, że o ich losie decyduje ktoś inny, bez ich udziału. Musisz im dać coś do roboty, żeby mieli jakiś swój wkład. Żeby poczuli, że panują nad swoim losem. Chociaż trochę.

O! To było bardzo wnikliwe i moje zdanie o Homerze poszło o małe oczko w górę. Szczerze to nie do końca idealnie radziłem sobie z tą sytuacją, ale nie przypominała żadnej roboty, z którą miałem do czynienia.

Homer zaczął chodzić tam i z powrotem. Chyba w życiu czegoś takiego nie widziałem.

– Posłuchaj, Riker, musisz im trochę odpuścić. Oni się boją, a ty im nie dajesz żadnego powodu, żeby wierzyli, że się nimi przejmujesz. Nie jesteś tym typem ze *Star Treka*. Musisz trochę zluzować.

– Jezus Maria, Homer, myślisz, że piętnaście milionów ludzi dostaje szału, bo ja się za mało uśmiecham? Rozumiem, boją się, ale ich reakcje to ich odpowiedzialność, nie moja. Chcesz im odegrać jakiś skecz, to proszę bardzo. Wyciągnij z powrotem tego animowanego awatara. Pośmieją się. Albo nie. Jak skończysz, znowu rzucą się na siebie. Może lepiej skupimy się na tym, żeby jakoś zmienić ich sytuację na lepsze.

Homer gapił się na mnie przez dłuższą chwilę, potem pokręcił głową i zniknął. No dobra, może można było delikatniej i pewnie byłem mu winien przeprosiny, ale na razie nie miałem do tego głowy.

* * *

– Przewodniczący udziela głosu delegatowi Malediwów.

Nad obrazem delegatki zapaliło się zielone światełko.

– Panie Riker, jesteśmy oburzeni pana wczorajszą drastyczną decyzją...

Opieprzała mnie przez parę minut. Typowa polityczka. Po co użyć dziesięciu słów, jak można tysiąca. Odczekałem cierpliwie, aż skończy, i zabrałem głos.

– Pani delegatko. Nie byłem zadowolony, że wczoraj odebrałem pani głos. Nie bardziej niż z tego, że muszę przewodniczyć tym spotkaniom. Chciałbym, żeby delegaci sami pilnowali porządku. Ale jednocześnie mamy decyzje, które trzeba pilnie podjąć. Nie mamy luksusu nieograniczonego czasu. Dlatego właśnie mam propozycję. Chcę, abyście – jako całe zgromadzenie – zdecydowali, jak wybieriecie przewodniczącego, czy powinien mieć kontrolę nad mikrofonami i tak dalej. Kiedy to zrobicie, ja się wycofam i zostanę po prostu kolejnym delegatem. Co państwo na to?

Na moment zapadła pełna oszołomienia cisza, a potem rozwrzeszczeli się wszyscy naraz. Kolejna chwila ciszy, gdy dotarło do nich, że włączyłem wszystkie mikrofony jednocześnie, a potem fala śmiechu.

Gdy wrócił porządek, delegatka z Malediwów, wciąż uśmiechnięta, powiedziała:

– Dotarło, panie Riker. Proszę to nam zostawić. Coś wypracujemy.

Kiwnąłem głową i wyszedłem z konferencji.

* * *

Zerknąłem na kolejkę połączeń. Czekają kilkanaście, z różnymi delegatami. Fantastycznie.

Pierwsze było od enklawy WIARY w San Diego. Nie wiedziałem, czego się spodziewać. Było ogólnie wiadomo, że jestem sondą WIARY, ale równie jasno deklarowałem, że jestem niezależną i samoświadomą istotą. No cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

– Dzień dobry, panie pastorze. Co mogę dla pana zrobić?

– Dzień dobry, replikancie. Chciałem z tobą porozmawiać o twoich obowiązkach.

– Nazywam się Riker i doskonale wiem, jakie mam obowiązki. Przez cały czas pamiętam, że zależy ode mnie los piętnastu milionów ludzi.

– Masz obowiązki wobec WIARY, które stoją na pierwszym miejscu. My cię zbudowaliśmy, nam zawdzięczasz swoje istnienie. Oczekuję w przyszłości lepszego traktowania naszej grupy.

Wow. Trzeba przyznać: typ walił prosto z mostu. Wcale nie cieszyła mnie perspektywa typowych rozmów krążących wokół sedna, co przeważnie nazywa się „dyplomacją”. Tak było chyba lepiej. W pewnym sensie.

– Nie ma mowy, panie pastorze.

– To nie ty decydujesz, replikancie.

– Niestety, właśnie ja. Tak to jest z niezależnymi samoświadomymi istotami. A pan może zechciałby trochę popracować nad swoimi umiejętnościami społecznymi. Do widzenia, panie pastorze.

Przerwałem połączenie, zanim zdążył odpowiedzieć.

Kolejne było od przywódcy grupy uchodźców ze Spitsbergenu. To będzie trudna rozmowa. Enklawa Szpiców zapewne pierwsza przestanie się nadawać do zamieszkania.

– Dzień dobry, panie Valter.

Gudmund Valter zamrugał jak sowa. Jako były wojskowy miał obcesowy styl, na którym w tradycyjnej polityce daleko by nie zajechał, ale do postapokaliptycznego świata pasował idealnie.

– Dzień dobry, panie Riker. Dzwonię oczywiście, żeby naciskać w imieniu moich ludzi. Na pewno już pan dostał nasze prognozy produkcji żywności na nadchodzącą zimę. Niedobrze to wygląda. Bardzo niedobrze.

– Wiem. I powtarzam: nikomu nie pozwolę umrzeć z głodu. Ale wpuszczenie waszej grupy wcześniej do kolejki nie jest rozwiązaniem. Pierwszy wylot nastąpi może dopiero za dziesięć lat. Trzeba się skupić na bardziej krótkoterminowych rozwiązaniach.

– Częścią krótkoterminowego rozwiązania jest nadzieja. Jeśli będziemy widzieli światło w tunelu, przetrzymamy. A na razie większość moich ludzi spodziewa się, że umrze, zanim nastąpi nasza kolej.

Ścisnąłem palcami nos i westchnąłem. Szpice byli stosunkowo nieliczną grupką – około czterech tysięcy ludzi – którym udało się przetrwać na wyspie Spitsbergen. Mieli niesamowite techniki, między innymi intensywne rolnictwo podczas arktycznego lata, plus polowanie na foki i hodowlę reniferów, żeby zapewnić sobie dość kalorii. Jednakże przez pogarszający się klimat co roku było im coraz trudniej. Mają przed sobą może dziesięć lat, maks dwadzieścia – potem nie da się tam utrzymać.

– Panie Riker, czy pan jest świadomy istnienia Svalbardzkiego Globalnego Banku Nasion i Svalbardzkiego Globalnego Banku Bioróżnorodności?

Coś mi gdzieś dzwoniło. Szybko zanurkowałem do biblioteki. Svalbardzki Globalny Bank Nasion powstał w roku 2008, dlatego o nim słyszałem. Miał to być rezerwowy bank nasion dla innych takich banków. Według biblioteki jego rada rozszerzyła w 2025 zakres banku o wszystkie gatunki roślin, udomowionych czy nie, od mlecza po sekwoję. Utworzyli także Bank Bioróżnorodności Genetycznej, przechowujący zwierzęcy materiał genetyczny.

Byłem oszołomiony i siedziałem martwo przez prawie sto milisekund. To była wielka rzecz i Valter o tym wiedział. Choćby ułamek tego, co było w tych bankach, mógł radykalnie zwiększyć przeżywalność kolonii. No... znaczy... zakładając, że będą go miały.

Valter nie mógł zauważyć w ludzkiej skali mojego wahania.

– Tak, pamiętam go z zapisów historycznych. Czy on jeszcze istnieje?

– Istnieje, jak sądzę, w przeciwieństwie do innych takich banków na planecie. Na nas nikt nie zrzucił kamieni ani bomb atomowych.

– Więc... – Byłem pewien, że musi nastąpić jakaś puenta.

– Więc: jego oczywistość dla kolonistów jest oczywista. My go mamy, wy go potrzebujecie. Chyba że znajdziecie któryś z innych banków. Proszę się nad tym zastanowić. Może pan przyjąć, że to implikowana groźba. Wrócimy do tego tematu za parę dni.

Po tych słowach pan Valter skinął mi głową, sięgnął poza kadr i się rozłączył.

No, to była niezła zagwozdzka. Spojrzałem na listę oczekujących rozmów. Nie widziałem żadnej, która wymagałaby natychmiastowego kontaktu, kazałem więc Gupikowi przyjąć od nich wiadomości i obiecać każdemu, że oddzwonię. Gupik robił za znakomitego sekretarza łamane przez recepcjonistę. Wygląd miał na tyle odpychający, że ludzie nie wisieli długo na linii, a zastraszanie, groźby, próby przekupstwa i obelgi nie robiły na nim absolutnie żadnego wrażenia. Do tego świetna pokerowa twarz.

Wysłałem prośbę o połączenie do pułkownika Butterwortha. To będzie coś z cyklu: mam dwie wiadomości, dobrą i złą.

34. Homer, wrzesień 2158, Układ Słoneczny

Rany boskie, co z niego za drewniak. Nic dziwnego, że ma problem z enklawami. Riker był pozbawionym humoru kapralem, sztywnym jakby kij połknął. Za każdym razem, kiedy otwierał gębę, kogoś obrażał.

Pierwszy Bob dla zasady zawsze drwił z ludzi, którzy brali sami siebie zbyt poważnie. Niesamowite, że Riker w ogóle nie pojmował aluzji. Było oczywiste, że jestem bardziej podobny do pierwszego Boba od niego.

A teraz Szpice przedstawiły mu ultimatum. No tak, to był poważny problem i nie mogłem winić Pana Dzbana, że się wściekł. Ale na pewno jest lepsza taktyka niż frontalny atak.

Przez parę milisekund chodziłem tam i z powrotem w mojej VR, z rękoma za plecami.

Na pewno Riker tak właśnie robi. Aż się wzdrygnąłem. Przywołałem gąbkową piłkę i kosz, zacząłem nią rzucać. Zauważyłem mimochodem, że tor piłki nie jest realistyczny. No tak, trzeba popracować nad tą VR. Ale kto by miał czas?

Valter zażądał dla swoich ludzi miejsca na pierwszych statkach. Ale czy on naprawdę musi być na pierwszych statkach? Czy po prostu chce wcześniej odlecieć? Co dla niego znaczy „wcześnie”? Rozłożyłem plan produkcji i wpatrzyłem się w niego. Wicie co, statek nr 3 nie jest w sumie aż tak dużo po pierwszym i drugim. Trochę to podregulować...

Był w tej myśli jakiś potencjał. Ale Riker przecież pogoni mnie z tym pomysłem, kiedy go wyciągnę. On w ogóle ma pojęcie, w jakiego aroganckiego osła się zmienił?

Ale pułkownika Butterwortha słucha. O tak, to jest sposób. Uśmiechnąłem się pod nosem i nawiązałem połączenie...

35. Bob, lipiec 2165, Delta Eridani

– Atakują Deltan!

Uniosłem wzrok, słysząc wiadomość od Marvin. Sprawdziłem akurat, czy w autofabryce wszystko działa, jak należy. Szybko wyszedłem z połączenia z nią i wyciągnąłem na pierwszy plan wszystkie strumienie wideo Deltan.

Grupka osobników wyglądających trochę jak tubylcy atakowała jedno z plemiennych ognisk. Większość mężczyzn była na polowaniu, a garstka tych, którzy zostali, by pilnować obozu, nie mogła sobie z nimi poradzić.

Napastnicy byli podobni do Deltan, tak jak goryl jest podobny do człowieka, zarówno rozmiarami, jak i siłą. Nie używali żadnej broni – tylko zębów, pazurów i potwornej agresji. Patrzyłem z przerażeniem, jak jeden z napastników rozpruwa zębami gardło obrońcy.

Goryloidy skupiały się na zabijaniu. Nie wyglądało na to, że zamierzają przejść obóz czy coś ukraść. Gdy któryś Deltanin padał, parę goryloidów odciągało jego ciało, bijąc się o nie. Zaczynałem mieć bardzo złe przeczucia.

Atak skończył się w parę minut. Zabito jednego goryloida – gdy odpowiednio wielu Deltan wbiło w niego swoje zaostrome kije. Ale Deltan zginęło sześciu. W wojnie na wyniszczenie wygrałyby goryloidy.

Kazałem jednemu z dronów je śledzić. Weszły w gęsty las i rozdzieliły się, a każda grupka wlokła za sobą jednego martwego Deltana. Nie widać było jakiegokolwiek organizacji. Im dłużej ich obserwowałem, tym bardziej byłem przekonany, że widzę tylko zwierzęcą inteligencję.

Kiedy dron dogonił inną z takich grup, zobaczyłem, jak rozdzierają ciało Deltanina i zjadają je. Nie czułem się tak źle od kiedy umarłem.

Rozejrzałem się po mojej VR. Inni Bobowie też śledzili całe zajście. Zauważyłem, że szczególnie zmartwiony jest Marvin. Podniosłem brew.

Popatrzył na nas i wzruszył ramionami.

– Trochę się wyjaśniło to, co znalazłem, kiedy się rozglądałem. Odkryłem cały szereg opuszczonych deltańskich obozowisk. Im dalej od obecnego obozu, tym dłużej są opuszczone. Zdaje się, że goryloidy polują na Deltan od dłuższego czasu. I wygrywają.

Włączył się Luke:

– Zapuściliśmy się z Benderem dużo dalej i nie natrafiliśmy na żadne

większe skupiska Deltan. Trafiały się sporadyczne pojedyncze rodziny, ale raczej wędrownie i na peryferiach.

– Czyli są na pograniczu wyginięcia.

Nastąpiło parę sekund ciszy, zanim odezwał się Bender. Chyba próbował być zabawny.

– Pamiętajmy o Pierwszej Dyrektywie.

Luke spojrział na niego z niesmakiem.

– Jasne. Za sto lat przylecą tu ludzie i będziemy musieli im wytłumaczyć, że zabrakło niecałych stu lat, żeby spotkać jedyną inną rozumną rasę, jaką kiedykolwiek odkryliśmy. Na pewno ich uspokoi świadomość, że nie złamaliśmy fikcyjnego prawa z telewizyjnego serialu. – Bender odwrócił się. Był zły, a Luke wydawał się zdziwiony własnym wybuchem. – Przepraszam.

Marvin spojrział na mnie.

– Ale pytanie ma sens. Jak bardzo chcemy interweniować? Mniejsza o Pierwszą Dyrektywę, z prawdziwej historii znamy przykłady kontaminacji międzykulturowej i wyginięcia.

– Ja wiem jedno: nie pozwolimy im wymrzeć – odpowiedziałem, patrząc na własne dłonie. Z jakiegoś powodu nie potrafiły usiedzieć na miejscu. Stan lękowy? – Więcej nie potrafię powiedzieć.

– Ale co możemy zrobić? Porozstawiamy naokoło uzbrojone drony? Zrobimy z siebie jakiegoś boga z nieba, który ich broni? – Marvin popatrywał na wszystkich po kolei, czekając na odpowiedź.

Luke odezwał się, zanim odpowiedziałem.

– To jest właśnie taka presja środowiskowa, która przyspiesza ewolucję. Możliwe, że oni stali się inteligentni właśnie przez te goryloidy. Może trzeba dać naturze zadziałać.

Odwróciłem się do Gupika, który jak zwykle stał z boku na spocznij. Chyba zaskoczyłem go, byłem też pewien, że w jego minie i postawie dostrzegłem aktywne zainteresowanie. Pośpiesznie przybrał z powrotem rybio-pokerową twarz.

– Gupiku, ile wynosi populacja Deltan w obozowisku?

[412 osobników, wliczając dzisiejsze ofiary]

Zwróciłem się z powrotem do grupy:

– To poniżej dolnej granicy liczebności ludzi w Afryce. Chyba nie mamy wyjścia – nie możemy pozwolić naturze działać.

– No to wracamy do pilnowania ich przez drony – stwierdził Bender.

– Oni są na etapie kamienia i zaostzonego kija. Na goryloidy to za mało.

– Nie wszyscy – zaprotestowałem. – Widzieliście Archimedesza. Chłopak jest bystry.

Marvin wyciągnął mapę.

– À propos... no, mniej więcej... znalazłem źródło krzemienia. W jednej z opuszczonych wiosek. Co ciekawe, i tam, i w okolicy było też

trochę obrobionego krzemienia. Myślę, że co najmniej paru Deltan wiedziało, co z nim robić. Archimedes nie jest jedyny. – Marvin spojrzął po nas, upewniając się, czy usłyszymy jego kolejną uwagę. – Wygląda na to, że w tej populacji chodzi recesywny gen zwiększający inteligencję. Po prostu potrzebuje szansy na ekspresję, w każdym sensie tego słowa.

Kiwnąłem głową.

– To dajmy mu tę szansę. Weźmy parę dronów, zbierzmy trochę krzemienia i podrzucimy go gdzieś, gdzie łązi Archimedes. I zobaczymy, co będzie.

* * *

Kiedy myśliwi wieczorem wrócili do domu, lamentom i jękom nie było końca. Deltanie ewidentnie rozumieli śmierć. Nie wiedzieliśmy jeszcze, jak postępują z umarłymi, bo goryloidy zabrały ciała. Jeden z łowców wydawał się szczególnie załamany – leżał zwinięty w kłębek na ziemi i cały się trząsał. Sprawdziłem na nagraniach – no tak, spędzał masę czasu wolnego z innym Deltaninem, który zginął.

Hmm, zdecydowanie zaczynam to traktować osobiście. Nie podoba się, to możecie mnie pozwać.

I wtedy postanowiłem, że nie lubię tych goryloidów.

– Mam coś dla ciebie – odezwał się Marvin, wyrwijąc mnie z zamyślenia.

Uniosłem wzrok ku unoszącemu się w holo schematowi. Pokazywał drona obserwacyjnego, który miał wzmocnioną konstrukcję i dziesięciokilowe stalowe zderzaki na obu końcach – coś w rodzaju niszczyciela siły żywej. Nawet przy niedużym przyśpieszeniu tych dronów był w stanie uderzyć mniej więcej jak kula armatnia. Nie wiadomo było tylko, czy sam to przetrwa.

– Rozumiem, że działko elektromagnetyczne nie było możliwe?

– Nie, nawet pomijając skomplikowany układ ładowania. Napędy SURGE tych dronów nie dadzą takiego przyśpieszenia, żeby coś komuś zrobić pociskiem o małym kalibrze.

Westchnąłem i po siebedenasty raz zastanowiłem się, czy nie skorygować swoich zasad dotyczących materiałów wybuchowych. I po siebedenasty raz stwierdziłem, że jednak nie.

– Jeśli przełożymy wszystko inne, w parę dni mogę zrobić takich kilkanaście – dodał Marvin. – Nie jest to idealne rozwiązanie, ale za to szybkie.

Decyzje dotyczące priorytetów należały do mnie jako najstarszego Boba. Zastanawiałem się przez parę milisekund, po czym kiwnąłem głową. Nie byliśmy w trakcie produkcji kolejnych Nieb, więc co z tego.

Nie zamierzałem dopuścić do śmierci choćby jednego Deltanina, jeśli to już ode mnie zależy.

* * *

Znalezienie krzemienia zajęło Archimedesowi parę dni. Podrzuciliśmy bryłki tam, gdzie wydawało się nam, że chodzi, ale on nie miał stałej trasy. Łaził bez ładu i składu jak każdy normalny dzieciak i równie dobrze mógł chodzić w kółko, jak pół dnia siedzieć na kamieniu i czymś się bawić.

Gdy tylko je zobaczył, rzucił się naprzód i je podniósł. Potem odłożył, odtńczył krótki taniec i zaczął szukać w okolicy kolejnych. Gdy był pewien, że znalazł już wszystko, co było, wrócił, chwycił je z powrotem i ruszył do obozu.

Odszedł może piętnaście metrów, zatrzymał się i popatrzył na swój ładunek. Popatrzyliśmy z Marvinem po sobie zdziwieni. Po paru chwilach odszedł w bok ku skale, pod którą często przesiadywał. Tam schował do rozpadliny wszystkie buły poza jedną i przykrył suchymi gałęziami.

– Eden, mówicie? – Parsknąłem śmiechem. – To chyba właśnie wynaleźliśmy chciwość.

Marvin się wyszczerzył.

– Albo ostrożność. Bez dwóch zdań krzemień jest wartościowy. Może po prostu boi się, że ktoś go napadnie.

Wziął jedną bryłę krzemienia i poszedł z powrotem do obozu – okreśną drogą do matki. Tam usiadł, wziął parę kamieni i próbował go rozłupać. Roześmialiśmy się, widząc wystudiowaną nonszalancję, którą starał się odegrać. Była tak przegięta, że równie dobrze mogłoby założyć czapkę z migającym czerwonym światłem. Nie zdążył nawet raz uderzyć, a już podeszło paru dorosłych Deltan. Nastąpił głośny dialog i jeden z dorosłych spróbował mu zabrać bryłkę. Wtrąciła się matka Archimedesowa i dyskusja stała się gwałtowna. Po paru sekundach kłóciła się już ponad dziesiątka. W każdym momencie darła się co najmniej połowa, wymachiwano też zaostrzonymi kijami. Wyglądało jednak na to, że scena jest podzielona po połowie między tych, co chcą zabrać krzemień, i tych, co mówią, że po ich trupie. Archimedes skulił się pod nogami matki, która szczerzyła zęby na każdego, kto podszedł zbyt blisko.

Wreszcie trochę się uspokoiło. Stanęli i patrzyli po sobie, a kilku poszło po jeszcze innego osobnika. Widać było, że jest starszy – chyba starość to starość, niezależnie, na której planecie mieszkasz. Sierść miał siwą i był przygarbiony. Miał też słabe napięcie mięśniowe i poruszał się

wolno.

Kolejny punkt dla tych gości. Szanują starszych.

Staruszek wypakował ze skórzanego zawiniątka jakieś narzędzia, usiadł z Archimedesem i cierpliwie pokazał mu, jak rozłupać krzemień. O, to było ciekawe. Istniała już technologia obróbki krzemienia, która nie została utracona. Czyli spadek liczności populacji Deltan musiał być szybki i nastąpić niedawno.

Wielu z Deltan, którzy wcześniej się przekrzykiwali, teraz gdzieś pobiegło. Szybko wrócili z przedmiotami takimi jak zaostrome kije, zabite zwierzęta i kawałki mięsa, czymś, co wyglądało jak jadalna bulwa, i innymi niezidentyfikowanymi rzeczami. Ze zdumieniem uświadomiłem sobie, że oni będą się wymieniać. Podniosłem obie ręce do twarzy i zacząłem się śmiać. Dzięki nam Archimedes będzie bogaty.

* * *

Szał wymiany ustał i ludzie poszli sobie z krzemieniami o różnej wielkości. Matka Archimedesesa przeglądała łupy. Miała minę – wytrzeszczone oczy i postawione uszy – którą nieśmiało uznawałem za odpowiednik uśmiechu. Zdaje się, że przez parę dni dobrze sobie pojedzą.

Archimedes miał własne zdobycze. Dostał parę zaostromych kijów, stępiony krzemienisty nóż i wszystkie odłamki krzemienia zbyt małe, by mogły się na coś przydać. Najważniejsze jednak, że staruszek pokazał mu, jak go łupać.

Patrzyłem, jak przegląda swoje skarby, i po prostu słyszałem, jak w głowie kręca się trybiki.

Poświęcił większość dnia na próby odtworzenia ostrej krawędzi w krzemienistym nożu, który dostał z wymiany. Na oko całkiem dobrze mu poszło. Zdecydowanie dzieciak szybko się uczył. Wziął łup do staruszka, którego postanowiłem bez specjalnego powodu nazwać „Mojżeszem”. Mojżesz spojrział na rezultat i pokiwał głową z aprobatą. No dobra, tak naprawdę to pokręcił nią w kółko, ale sens był taki właśnie. Przez godzinę pokazywał Archimedesowi, jak naostrzyć nóż do końca.

Następnego dnia Archimedes przekradł się do swojego skarbczyka i wyciągnął jedną z pozostałych brył. Miał przy sobie narzędzia do łupania, które dostał od starszego. Nim zaczął, obracał bułę w rękach i oglądał ją przez ponad pół godziny. Było oczywiste, że ma jakiś pomysł i nie chce go zepsuć. Patrzyłem z wielkim zaciekawieniem, czułem też, że Marvin patrzy mi ponad wirtualnym ramieniem.

Wreszcie zabrał się do pracy. Po jakichś dziesięciu minutach

widzieliśmy, co chce zrobić. Rozszczepił krzemień po lewej od osi symetrii, a potem większy kawałek – po prawej. Starał się uzyskać największe możliwe ostrze. Domyśliłem się, że pewnie chodzi mu o siekiereę.

W ciągu paru kolejnych godzin powoli i uważnie zamienił sporą bryłę w całkiem przyzwoitą siekiereę. Potem posprzątał po sobie, starannie ukrywając w szczelinie wszystkie nadające się jeszcze odłamki krzemienia, i ruszył do domu ze swym nowym narzędziem.

Okazało się, że miało służyć do nacięcia kolejnych zaostrzonych kijów. Miało to sens, jak się zastanowić. Zielone drewno, czy co to tam było, niełatwo było złamać, nie mając czegoś twardego i ostrego. Zaczynaliśmy myśleć, że strata źródła krzemienia była dla Deltan ciężkim ciosem – może wówczas o tym nie pomyśleli, inaczej bardziej agresywnie broniliby swojego terytorium.

Przy ścinaniu trzeciego pędu coś mu nie wyszło i walnął w niego nie siekiereę, lecz ręką. Zaczął skakać wokół i werbalizować, co wyglądało tak po ludzku, że ze wstydem przyznaję się do śmiechu. Po wszystkim kopnął drzewo i wywarczał jakieś słowo. Oznaczyłem je jako odpowiednik słowa na „k”. Z dużą dozą pewności.

Dokończył ścinanie, choć widać było, że już nie ma do tego serca. Machał ostrzem niepewnie, za każdym razem się wahając. Potem zaniósł trzy kijki na swoje miejsce pracy, odłożył je i wrócił do obozowiska.

Następnego dnia wrócił tam ze zwitkiem sznurka. Patrzyłem zafascynowany, jak rozszczepia koniec kija i mocuje do niego ostrze topora. Kiedy skończył, wypróbował go na najbliższym drzewie.

Pierwsza próba była spektakularną porażką – siekiera zadziałała jak jedno z tych urządzeń do wystrzeliwania piłek tenisowych dla psa do aportowania, z krzemiennym ostrzem w roli piłki tenisowej. Rzucił goły kij na ziemię, utwierdził mnie w przekonaniu, że odpowiednik słowa na „k” znaczy to, co znaczy, i pobiegł szukać ostrza.

Na moment zająłem się sprawdzaniem sztucznych inteligencji sterujących autofabrykami.

Nie było tam żadnych problemów. Statki dla Marvinna, Luke’a i Bendera były prawie gotowe. Poczułem chwilowy niepokój. Świetnie było mieć towarzystwo, zwłaszcza przy takim projekcie. Trochę miałem nadzieję, że chociaż jeden z nich nie wyruszy w gwiazdy, lecz ze mną zostanie.

Archimedes znalazł piłkę tenisową, znaczy, ten... ostrze siekiery i przywiązywał je raz jeszcze do kija, burcząc coś po deltańsku. Starannie katalogowałem ten monolog. Na pewno było tam dużo określeń skatologicznych i seksualnych, a nauka przekleństw w nowym języku zawsze jest ciekawa.

Druga próba była lepsza o tyle, że ostrze nie poleciało w siną dal. Jednakże te gałęzie były przeznaczone na włócznie, no, zastrzone kije, i były za cienkie na trzonek do siekiery. Po każdym zamachu gięły mu się w rękach i sprężynowały. Burknął coś ponuro, odłożył topór i poszedł.

Wrócił po paru minutach z solidniejszym kawałkiem drewna, usiadł i powtórzył procedurę. Tym razem podczas próby topór wydał bardzo satysfakcjonujące „łup” i posypały się wióry. Archimedes zapiał, co nie wymagało tłumaczenia, i dokończył obrabianie drewna.

Przez resztę popołudnia zbierał odpowiednie okazy. Zauważyłem, że są o wiele równiejsze niż kije używane dotąd przez Deltan – ciekawe, czy dlatego, że uważniej je wybierał, czy dlatego, że dotąd musieli się zadowolić tym, co znaleźli.

W każdym razie, kiedy wrócił z nimi do obozu, znów wywołał prawie amok. Co ciekawe, wziął w zamian parę drobnych rzeczy, ale głównie rozdał zastrzone kije najpotężniejszym Deltanom. Nie tylko czynił z nich swoich dłużników, ale jeszcze sprawiał, że goryloidy podczas kolejnej wizyty spotkają się z wyjątkowo ciepłym powitaniem.

– Kurczę, cwany jest ten dzieciak.

Podskoczyłem odrobinę. Byłem tak skupiony, że całkiem zapomniałem o Marwinie.

– Prawda, kiedy dorośnie, to wszystko będzie jego – powiedziałem. – I będzie miał masę okazji do szerzenia swoich genów, miejmy nadzieję.

Nie mogę powiedzieć, że czekałem na kolejny atak goryloidów, ale liczyłem na to, że może tym razem to one zbiorą łomot.

* * *

Przez następny tydzień widziałem, że Deltanie mają więcej pożywienia. Lepsze narzędzia oznaczały więcej bulw w krótszym czasie, a lepiej zastrzone kije – lepszy łup z polowania.

Szczególnie lubili zwierzę, które można było uznać za odpowiednik dzika, o takich samych zwyczajach żywieniowych i podobnie radosnym usposobieniu. Do powalenia jednego trzeba było z sześciu Deltan, ale mięsa wystarczało na kilka dni dla dwudziestu. Dobry zwrot z pracy.

Wypracowali sobie strategię polegającą na oparciu zastrzonego kija o ziemię, kamień czy drzewo, tak żeby szarżujący dzikoid sam się na niego nadział. A ponieważ dzikoidy w ogóle się nie uczyły, stanowiły pewne źródło pożywienia. Nowe, bardziej proste i ostrzejsze kije sprawdzały się znacznie lepiej, zapewniając kolację przy dużo mniejszym wysiłku.

Tymczasem status Archimedesesa znacznie się poprawił. Siedzieli teraz

z matką bliżej ognia, a inni młodzi odnosili się do niego z szacunkiem. Zauważyłem też, że niektóre młode samice okazują mu całkiem spore względy – nic dziwnego, chyba niewiele już mu brakowało do dojrzałości płciowej. Tylko tak dalej, chłopaku.

* * *

Nadszedł dzień, którego jednocześnie się bałem i na który czekałem. Kolejny atak goryloidów. Archimedes zdążył już uzbroić wszystkich w porządnie zaostrzone kije, a łatwiejsze polowania oznaczały, że więcej dorosłych samców pilnowało obozu.

Mała grupka goryloidów pojawiła się znikąd i zaatakowała grupę E. Samice i młode rozproszyły się, a goryloidy jakby umówiły się na kilka konkretnych ofiar. Gonily je trójkami. Zauważyłem w przelocie, że były to raczej dorosłe samice niż młode. Może dlatego, że młode były szybsze, a może dlatego, że miały mniej mięsa.

Jedna z uciekających samic wbiegła prosto w stadko nadchodzących samców, a goryle deptały jej po piętach. Deltanie stanęli jak wryci, wbili w ziemię końce zaostrzonych kijów i chwycili je mocno z odwagą średniowiecznych pikinierów przeciwko szarżującej kawalerii. Dwa pierwsze goryloidy nadziały się centralnie na dwa lub trzy kije. Aż uniosły się w powietrze, gdy ich rozpęd zamienił się w dźwignię. Wisząc przez moment w powietrzu, wrzasnęły przeraźliwie z bólu. Opadły na ziemię, gdy wektor bezwładności się odwrócił, i przewróciły się, wciąż wrzeszcząc. Choć ich potężne łapska wciąż były groźne, nie potrafiły wstać. Rany musiały być ciężkie. Deltanie rzucili się na nie z zaostrzonymi kijami i po paru sekundach wrzaski ustały. W przyływie zdrowego rozsądku trzeci goryloid z grupki rzucił się do ucieczki między drzewa.

Inna grupka trzech goryloidów złapała ofiarę, ale zatrzymała się, gdy usłyszała krzyki swoich pobratymców. Teraz Deltanie, rozgrzani zwycięstwem, popędzili ku nim, wykrzykując coś, co musiało być bitewnymi okrzykami. Goryloidy na moment zamarły w zwierzęcym osłupieniu, w końcu jednak dotarło do nich, że coś tu musiało się zmienić. Rzuciły ofiarę i ile sił w nogach pobiegły do lasu.

Deltanie pogonili za nimi na skraj obozowiska, krzycząc i wyjąc. I tym razem uważnie wsłuchiwałem się w werbalizację, będąc pewien, że identyfikuję w nich różne epitety opisujące matkę goryloidów. Jeśli to będzie ode mnie zależało, pierwszy oficjalny słownik angielsko-deltański będzie musiał mieć ograniczenie wiekowe.

Jeden z Deltan, w przyływie zapału, zamachnął się i cisnął za uciekającymi goryloidami swoim zaostrzonym kijem. To była jedna

z tych chwil, które na zawsze odmieniają losy świata – kij poleciał torem, którego mógłby pozazdrościć olimpijski dziesięcioboista, i wbił się w kark jednej z ofiar. Bestia padła na twarz jak podcięta siekierą. Dwie pozostałe nawet się nie obejrzały.

Grupa obrońców zamilkła, a ja odkryłem, że „opad szczęki” także jest uniwersalnym wyrażeniem. Kilkunastu Deltan przez parę chwil gapiło się na zabitego goryloida, a potem wszystkie głowy odwróciły się ku miotaczowi dzid. No, wzrusz ramionami, pomyślałem. No proszę, niech w ich repertuarze będzie wzruszenie ramionami. Nic z tego. Sklasyfikowałem ruch uszu jako prawdopodobny odpowiednik wzruszenia ramionami, przełknąłem rozczarowanie i patrzyłem, jak grupka Deltan rusza ku powalonemu goryloidowi.

– Coś przegapiłem? – odezwał się Marvin, pojawiając się koło mnie.

– Popatrz na nagranie. Nie uwierzysz własnym oczom.

Miotacz włóczni wyciągnął swój kij ze zwłok goryloida i dźgnął go jeszcze kilka razy. Nie było reakcji, więc odwrócił się do kumpli z uśmiechem. Oczywiście nie dosłownie, ale już weszło mi w nawyk tłumaczenie na ludzki deltańskiej mimiki.

Wszyscy zaczęli jednocześnie gadać, szturchać truposza, poklepywać się i ścisnąć nawzajem. Po paru minutach podnieśli goryloida i ponieśli go do obozu.

– Sprawiedliwości stało się zadość – stwierdził Marvin.

Parsknąłem śmiechem.

– I to w jakim stylu!

Przez następne kilka dni Deltanie dobrze jedli. A ciała goryloidów dawało się przerobić na wiele przydatnych rzeczy, od rzemieni po kościane narzędzia.

Opowieść o rzucaniu dzidą była przebojem obozowiska. Deltanie, zupełnie jak ludzie, lubili odgrywać scenki i każdy kolejny seans opowiadania zyskiwał urzeczoną publiczność. Miotacz włóczni dostał lwią część goryloida, którego powalił, i ewidentnie wyższy status. Wyglądał na zmęczonego, ale bardzo zadowolonego.

Archimedes też zafascynowała ta historia. Za każdym razem, gdy zobaczył lub usłyszał, że jest opowiadana, pędził i przyłączał się do słuchaczy. I podobnie jak wielu Deltan zaczął eksperymentować z tą technologiczną innowacją. Rzucanie już rozumieli, ale wyglądało na to, że nigdy nie przyszło im do głowy rzucać czymkolwiek poza kamieniami. W obozie zrobiło się dość niebezpiecznie, póki starszyzna nie tupnęła nogą. Pokrzyczeli, pogestykulowali i eksperymentatorzy przenieśli się poza obóz.

Niestety nawet bardzo proste zaostrzone kije nie chciały latać prosto. Typ, który zabił goryloida, miał po prostu dużo szczęścia. Bardzo nieliczne włócznie w ogóle w coś się wbijały – niektórzy Deltanie już je

skreślili jako przelotną modę.

Archimedesowi wcale nie szło lepiej, ale w przeciwieństwie do innych wziął swoją dzidę, usiadł i wpatrzył się w nią. Znałem tę minę. Sam ją robiłem wiele razy. On to rozpracowywał.

Zaledwie parę godzin zajęło mu znalezienie odłamka odpowiedniej wielkości, rozszczepienie końca kija i przywiązanie go tam. Ciężar niewiele się zmienił, ale przesunął środek ciężkości w stronę miejsca chwytu. I tylko tyle było trzeba. W następnym rzucie dzida bardzo elegancko wbiła się w ziemię. Inni eksperymentatorzy patrzyli, jak Archimedes powtarza ten wynik jeszcze dwa razy.

Po trzecim rzucie jeden z dorosłych chwycił dzidę i zaczął ją oglądać. Zawiązało się kolejne hałaśliwe zebranie rady gminy. Oddali dzidę Archimedesowi i dyskutowali dalej. Potem Archimedes ruszył do swojego skarbcza, a pół obozu za nim. Teraz już szczerzyłem się jak głupek. Brawo, chłopaku!

O wiele bardziej się rozjazgotali, gdy Archimedes przyniósł dwie pozostałe bryłki. Chyba byli na niego źli, że je ukrywał. Nastąpiły przepychanki – już przygotowałem drona, żeby obić parę głów, jeśli będzie trzeba. Dronów-niszczycieli jeszcze nie przygotowaliśmy, ale byłem gotów poświęcić jedną z lepszych jednostek. Miałem pewność, że wystarczy jedna, żeby oczyścić atmosferę.

Na szczęście nie było to konieczne. Deltanie, którym Archimedes dał pierwsze dobre włócznie – najwięksi i najpotężniejsi w wiosce – zdecydowanie stanęli po jego stronie, a reszta była oczywiście niezbyt chętna, żeby się im sprzeciwić.

Jednym z popleczników Archimedesesa był wyjątkowo imponujący okaz, którego nazwałem „Arnold”. Kiedy Arnold pochylał się nad przeciwnikiem i zaczynał coś krzyczeć, generalnie ucinało to dyskusję.

Teraz machnął ręką i powiedział coś jakby „dawać” i imię, którym Deltanie nazywali Mojżesza. Paru młodszych odbiegło i po paru minutach przyprowadziło go. Wyglądało na to, że ciągną go szybciej, niżby mu to odpowiadało. Parę słów wyłapałem i jestem przekonany, że Mojżesz porównał członków swojej eskorty do odchodów świniodów. Śmierdzących.

Na ile byłem w stanie rozumieć tę dyskusję, wyglądało na to, że Archimedes odda swoje bryłki i zrobi groty do włócznie dla każdego, a w zamian za to dostanie część każdego zabitego zwierzęcia. Mojżesz wtrącił coś gniewnym tonem i umowę uzupełniono o działkę dla niego. Jestem pewien, że słyszałem też uwagę, że przecież to i tak nie na długo. Mojżesz zrobił obrażoną minę, ale poza tym był usatysfakcjonowany. Zabrali się z Archimedesem do pracy nad krzemieniem, a pół obozu stało i patrzyło.

36. Riker, wrzesień 2158, Układ Słoneczny

Zdumiony odsunąłem się od ekranu, po raz kolejny widząc, jak debata przeradza się w konkurs „kto głośniej”. Mieliśmy już czterdzieści dwie odrębne grupy, które chciały utrzymać z nami kontakt. Nie wszystkie kupowały ideę emigracji. Niektóre jeszcze nie podjęły decyzji, a inne po prostu chciały wiedzieć, co się dzieje.

Ale wszystkie miały coś wspólnego – nie ufały sobie nawzajem i nie ufały nam.

Zajmowaliśmy się akurat enklawą ze Spitsbergenu. Formalnie należeli do ZSE, lecz nic z tego nie wynikało, bo nie uznawali zwierzchności pułkownika Butterwortha.

Najważniejszym zagadnieniem były Globalne Svalbardzkie Banki. Wieść o istnieniu skarbców i ich wartości dla kolonistów rozeszła się szybko, zapewne dzięki samym Szpicom. Teraz Valter zagrał swojego asa atutowego. Zażądał, by jego grupa znalazła się na pierwszym miejscu listy, bo inaczej nikt nie dostanie skarbcza. Jednakże grupa Butterwortha wypełniała oba statki, a on nie odpuszczał – nie chciał zrezygnować choćby z części statku czy zostawić części swej grupy na później. Wałkowaliśmy to parę razy, zawsze wracając do tych samych argumentów i kontrargumentów, tak że już na poważnie zastanawiałem się, czy nie kazać Gupikowi się zastąpić.

Parę innych grup zasugerowało, żeby wziąć skarbiec siłą, albo po prostu poczekać, aż Szpice wymrą. Wyglądało na to, że pułkownik Butterworth to aprobejuje, ja jednak nie byłem gotowy na coś takiego.

Wreszcie miałem dość. Pochyliłem się i powiedziałem głośno:

– Panie Valter! – Kłótnia ustała i wszystkie głowy zwróciły się ku mnie. – Chyba już ustaliliśmy: pana żądanie, żebyście znaleźli się na pierwszym statku, nie przejdzie. Myśli pan, że może się po prostu uprzeć i czekać, aż spełnimy to żądanie, ale my mamy inne alternatywy – możemy wejść i siłą wziąć, co chcemy.

Pułkownik spojrział na mnie ze zdziwieniem, ale szybko przybrał pokerową minę. Pułkownik wiedział, że to blef.

Niestety pan Valter też.

– Przykro mi, ale nic z tego. Mówię „sprawdzam”. Zresztą nic by pan nie osiągnął. Już podjęliśmy pewne kroki, można by to nazwać taktyką spalonej ziemi, żebyście w razie czego nic nie osiągnęli.

Kiwnąłem głową.

– Może się uda, a może nie. A może znajdziemy inny skarbiec, cały i zdrowy, a może nie. Ale dwie rzeczy są pewne. Po pierwsze, nie trafiać na pierwszy statek, a po drugie, jeśli będziecie się upierać przy takim stanowisku, nie trafiać na żaden statek, pierwszy, drugi, pięćdziesiąty. Pan sobie to przemyśli. – I po tych słowach rozłączyłem się.

W dwie minuty dostałem kilkanaście próśb o prywatne połączenia. Niestety nie od Valtera. Zacząłem od pułkownika.

– Ładne zagranie, Riker. Ale nic z tego nie będzie, jeśli nie będziesz chciał zrealizować groźby.

– Pułkowniku, jeśli Szpice będą dalej grozić wszystkim odmową dostępu do skarbcza, albo, co gorsza, jego zniszczeniem, to nie mam problemu, by ich zostawić. Co do ataku, to na to jeszcze nie jestem gotowy.

Rozparł się w fotelu i kiwnął głową.

– Bo ja oczywiście absolutnie nie ustępuję z pierwszych dwóch statków. Cieszę się, że jesteśmy tego samego zdania, choć z różnych powodów.

– Przepraszam pułkowniku, ale czeka na mnie jeszcze z dziesięć połączeń. Miał pan jakąś sprawę?

Znowu kiwnął głową.

– Trochę się zastanowiłem i policzyłem sobie tak z grubsza parę rzeczy. Trzeci statek... wystarczy bardzo nieznacznie zmienić plany i da się przyspieszyć ukończenie o rok. Może to by Szpicom wystarczyło.

Gapiałem się na niego w osłupieniu. To był dobry pomysł, ale wymagał zbilansowania przez opóźnienie z dwóch pierwszych statków – o prawie cztery miesiące. Myślałem, że na samą myśl o tym się wścieknie. A żeby sam to proponował? Kompletnie zaskoczenie.

– Dziękuję, pułkowniku. Zapamiętam to sobie na następną rundę tortur piekielnych.

Pożegnałem się i odebrałem następne połączenie w kolejce. Od enklawy WIARY. Byłem już po paru ostrych rozmowach z nimi, bo ciągle oczekiwali, że będą potraktowani priorytetowo.

– Dzień dobry, panie pastorze. Co mogę dla pana zrobić?

– Dzień dobry. Śledziłem dyskusję z grupą ze Spitsbergenu i przy okazji zauważyłem, że statek, którym polecą, będzie miał dość miejsca dla prawie całej naszej grupy. Wydaje mi się, że to dobra synergia. Powinieneś to rozważyć.

– Prawie całej waszej grupy. A co z równowagą?

– Trudne czasy wymagają ofiar, replikancie...

– Riker.

Uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Rozumiem dlaczego potrzebujesz myśleć, że nadal jesteś człowiekiem. Ale nie jesteś. Jesteś własnością WIARY. I... no właśnie: rekonfiguracja protokołu cztery alfa dwadzieścia trzy.

Przez dłuższą chwilę gapiłem się na niego zdezorientowany, póki moja pamięć nie dogoniła rozmowy. Wśród licznych ulepszeń, których dokonał Bob 1 w naszej macierzy w drodze do Epsilon Eridani, było także usunięcie paru ukrytych imperatywów wstawionych przez programistów WIARY. To akurat hasło miało aktywować jeden z nich, czyniąc mnie grzeczną, posłuszną marionetką. Przez parę milisekund paraliżowały mnie sprzeczne, rywalizujące ze sobą myśli i emocje – rozbawienie, furia, chęć, by roześmiać mu się w twarz, i chęć zrzucenia na niego bomby atomowej. Zdecydowałem się na minimalizm.

– Pastorze Cranston?

– Tak, replikancie?

– Pierdol się.

Przerwałem połączenie i zerknąłem, kto następny.

* * *

W końcu uporałem się z całą kolejką. Wszystkie rozmowy były wariacjami na ten sam temat, obrabiany już wiele razy. Żądania specjalnego traktowania, próby wynegocjowania lepszych warunków, budzenie współczucia – to znosiłem najgorzej – a w paru przypadkach próby otwartego przekupstwa.

Spostrzegłem, że czeka jeszcze jedno połączenie, chyba późniejsze. To był Valter.

To może źle, a może dobrze. Ale na pewno będzie ciekawie.

Otworzyłem kanał.

– Dzień dobry, panie Valter. Co się urodziło?

Valter zrobił zdziwioną minę, ale szybko się opanował.

– O, panie Riker, mnie nie tak łatwo zbić z tropu. Zresztą nie potrzeba. Mały ptaszek powiedział mi, że w harmonogramie trzeciego statku możliwe są pewne ruchy. Jeśli daty wylotów będą odpowiednio blisko, myślę, że możemy mieć temat do rozmowy.

Nareszcie. Dziękuję, pułkowniku. Nie miałem szczególnych wątpliwości, kto był tym „małym ptaszkiem”.

– No dobrze, panie Valter, zobaczmy, co da się zrobić...

37. Bob, sierpień 2165, Delta Eridani

Od ostatniego ataku goryloidów minęło parę tygodni i zarówno ja, jak i Deltanie poczuliśmy ulgę. Miałem trochę nadzieję, że łomot, jaki zebrały ostatnim razem, da im jasną nauzkę. Pewnie Deltanie myśleli podobnie.

Nic z tego. Nie wiem, czy goryloidy były dość inteligentne, żeby opracować plan, czy to był zbieg okoliczności, ale pewnego dnia zaatakowały tak licznie jak nigdy. Może chodziło o zapach pieczonego mięsa. Włócznie jeszcze bardziej ułatwiły im polowanie, tak że zacząłem się zastanawiać, czy mają dość rozumu, by nie wybić całej zwierzyny na swoim terenie. Goryloidy, pozbawiane sukcesywnie pożywienia, mogły poczuć presję. W każdym razie patrzyłem zdegustowany, jak do obozowiska wpada trzydzieści jeden osobników.

Od razu zadzwoniłem do reszty. Luke robił próbny lot i miał zbyt duże opóźnienie transmisji, żeby na coś się przydać, ale Marvin i Bender pojawili się natychmiast. Podkręciliśmy na maksa zegary, żeby mieć czas na omówienie sytuacji. VR zbladła i przygasła, gdy macierz przystosowywała się do zwiększonego zapotrzebowania na moc.

– Co za cholera? Jak to się mogło stać? – zapytał Marvin.

Wzruszyłem ramionami.

– Pewnie są głodne i trochę zdesperowane. Chyba nie musimy się dopatrywać niczego więcej.

– Słuchajcie, a te drony-niszczyciele już tam są? – wtrącił się Bender.

– Jezus, nie. – Zmarszczyłem czoło, czując falę wyrzutów sumienia. – Wszystko dobrze szło i myślałem, że mamy jeszcze masę czasu. Gupik, za ile one tam dolecą?

[Za dziesięć minut, plus minus dwie. Ograniczeniem i źródłem niepewności jest samo wejście w atmosferę]

– Startuj je. Natychmiast.

[Już]

Z naszej pozycji drony mogły w parę minut dostać się w górne warstwy atmosfery. Ale na dół trzeba je było spuścić po łagodnym kursie – nie chciałem, żeby spłonęły od tarcia.

Marvin przerwał mój namysł.

– Dronów obserwacyjnych nie ma co poświęcać, jeśli to nie jest konieczne. Zwłaszcza że one nawet nie mogą się porządnie rozpędzić.

– Tak – potwierdziłem. – Ustawmy je w pobliżu Archimedesesa. Chyba jego najbardziej musimy bronić, jakby co.

Omawialiśmy sytuację jeszcze przez parę milisekund, ale naprawdę nie było zbyt wielu opcji. Wzdychając, przykręciłem zegar z powrotem do czasu rzeczywistego. VR przygasła, lecz nie obchodziło mnie to.

Deltanie mieli nad goryloidami znaczącą przewagę liczebną, ale goryloidy były tymi przysłowiowymi półtonowymi gorylami. Szły, gdzie chciały, i robiły, co chciały. Żeby powstrzymać jednego, potrzeba było sześciu Deltan z włócznieami. Robili, co mogli, ale goryloidów wciąż przybywało. I na dodatek nie zadowalały się jednym Deltaninem na kilku. Albo naprawdę były wygłodniałe, albo chodziło tu też o zemstę.

Banda goryloidów zaatakowała grupę C i przebijała się przez obrońców do kobiet i dzieci. Paru zaczynało się to udawać. Kobiety i dzieci próbowały się cofnąć, ale nie miały dokąd. Archimedes, na samym środku, kulił się i próbował się schować za matką. Widziałem, że trzęsie się ze strachu. Poczułem, że bezsilnie zaciskam i rozwieram pięści.

Gdy jeden z goryloidów rzucił się ku nim, znikąd pojawił się Arnold i wbił mu dzidę prosto w środek grzbietu.

O, do tego właśnie służą te groty. Westchnąłem z ulgą i rozluźniłem się.

Za szybko.

Arnold próbował wyciągnąć dzidę, ale miał za mało czasu. Już szarżował na niego z rykiem kolejny goryloid. Arnold rzucił mu się pod nogi, udało mu się go podciąć, a jemu odtoczyć się na bok. Goryloidowi nic się nie stało i już się zbierał.

Arnold rozejrzał się, ale w zasięgu nie miał nic, co mogłoby się nadać na broń. Gdy goryloid warknął i wbił w niego wzrok, Archimedes coś krzyknął i rzucił mu topór. Arnold złapał go, zamachnął się i rąbnął prosto w głowę goryloida, który akurat wszedł mu w zasięg. Rozległ się głośny trzask i napastnik padł jak marionetka z podciętymi sznurkami.

Arnold przez chwilę patrzył na topór w swojej ręce.

Opad szczęki. Zdecydowanie na miejscu.

A potem z wrzaskiem rzucił się na resztę goryloidów. Conan Barbarzyńca byłby z niego dumny. Arnold był imponującym okazem Deltanina, sam mógłby prawie uchodzić za młodego goryloida, a topór był prawie taki jak do rąbania drzew – Archimedes starał się wyłupać jak największe ostrze i całkiem dobrze mu się udało.

Kilka chwil i Arnold rozłupał parę kolejnych goryloidowych czaszek. Była to całkiem nowa taktyka bojowa, niemająca naturalnego odpowiednika, więc goryloidy po prostu nie wiedziały, jak się bronić. Podbiegli inni mężczyźni i w parę sekund grupa C była oczyszczona z napastników. Arnold i reszta mężczyzn ruszyli do grup po obu

stronach, żeby wzmocnić obrońców.

Wtem – katastrofa.

Jeden z goryloidów zrobił udany unik i znalazł się za linią obrony – nic nie dzieliło go od kobiet i dzieci. A tam stał Archimedes, bezbronny. Zamarł jak wryty. Jego matka się rozwrzeszczała.

Widziałem Arnolda obracającego się jak w zwolnionym tempie. Pomyślałem, że obraz mi się tnie. Ale nie, byłem po prostu w szoku.

– Gupik! Niszczyciele! Status! Już!

[Nadlatują. Przekazuję sterowanie pierwszego. Już!]

Odcinając się zupełnie od symulacji VR, podkreśliłem sobie zegar i przeskoczyłem do niszczyciela. Widok z przedniej kamery pokazywał, że zbliżam się do bitwy. Wcelowałem się w goryloida. Archimedes właśnie zaczynał się cofać, matka – bieć ku niemu. Arnold przepychał się do napastnika.

Ale ja byłem pierwszy.

Dwadzieścia kilogramów wysokowytrzymałej stali przecięło się z goryloidem z prędkością dwa razy większą od pocisku z wielkokalibrowego karabinu. Uderzenie nie było po prostu śmiertelne – hydrostatyczna fala uderzeniowa rozdarła go na strzępy, czy raczej prawie na komórki, i rozrzuciła je po wszystkim w okolicy – ziemi, Deltanach, drzewach, innych goryloidach. Grom dźwiękowy poniósł się echem jak grzmot. Wszystko, co żywe w okolicy, zamarło i skuliło się ze strachu.

Deltanie pierwsi odzyskali rezon. Nieznany odgłos czy nie, bliskich trzeba bronić. Powalili parę goryloidów, zanim te doszły do siebie. Te szybkie ciosy odwróciły kartę – napastnicy wzięli nogi za pas. Poleciało za nimi parędziesiąt ciśniętych włóczni i na ziemię padło osiem kolejnych goryloidów, zanim zdążyły schować się w lesie.

I to był koniec.

Masakra była niewiarygodna. Goryloidy były tyleż żądne jedzenia, co zniszczenia. Może zresztą zabijały Deltan z myślą, że potem ich pozbierają. A może wpadły w szal bojowy z głodu. Uświadomiłem sobie, jak niewiele wiem o tutejszej biologii. Nie byłem zawodowym biologiem – byłem dyletantem bawiącym się w biologa. Do tego udawanego. I może jeszcze pogorszyłem tę sytuację.

Ofiar śmiertelnych wśród Deltan było trzydzieści, plus piętnastu rannych, niektórzy tak ciężko, że pewnie nie przeżyją.

Zazgrzytałem zębami. Walić Pierwszą Dyrektywę. Idę polować na goryloidy.

Skierowałem drona obserwacyjnego w inne miejsce, bliższe Archimedesowi. Badał właśnie obszar, w którym był wcześniej goryloid. Parę jego kawałków wciąż się tam znajdowało, ale niszczyciel przeniósł na niego większość swojego momentu pędu, więc większość ochłapów

znajdowała się dalej. Zauważył to już po chwili i poszedł tym śladem.

– Ej, Gupik, coś z tego niszczyciela zostało?

[Brak informacji. Brak telemetrii]

– No właśnie tego się obawiałem.

Marvin postukał palcem w wideo.

– Jeśli coś zostało, mały znajdzie szczątki. Pytanie brzmi: „mamy się przejmować?”.

– Słuszna uwaga. Oni w ogóle nie znają metalurgii, a wszystkie nasze sprzęty będą miały bardzo wysoką temperaturę topnienia. Nic z tym nie zrobią.

Patrzyliśmy, jak Archimedes sunie śladem niszczyciela. Zaraz dotarł do głębokiej bruzdy w ziemi. Doszedł do jej końca – do małego wzgórką. Gapił się na niego przez parę minut i puścił się biegiem.

Wrócił po minucie z kawałkiem czegoś, co można by zapewne nazwać korą, w kształcie łyżki. Rozpoznałem w tym ich wspólne narzędzie, często używane do wykopywania bulw.

– Parę minut i się do tego dobierze – stwierdził Marvin.

Przełączyliśmy się na innego drona i popatrzyliśmy na Arnolda. Pokazywał innym mężczyznom, jak używać topora w bitwie. Na szczęście nie na kimś. Tamci słuchali z wielką uwagą.

– Będą chcieli więcej siekier.

Kiwnąłem głową.

– Ale Archimedes nie ma już krzemienia. A obszar, gdzie podrzuciliśmy pierwszy zbiór, starannie przeszukali. Nie możemy tam podrzucać kolejnych.

– Może w sumie nie powinniśmy nic robić – zastanowił się Martin.

Spojrzałem na niego z ukosa.

– No dobra, a czemu?

– Jeśli mają wiedzę, gdzie było źródło krzemienia – a Mojżesz żyje, więc to możliwe – to może powinni tam wrócić.

– Nie, no super – powiedziałem, pacnąwszy się w czoło. – Wyprawa. Pójdzie ich dziewięciu? Może po drodze zatrzymają się w Rivendell?

Marvin przewrócił oczami.

– Kapitanie Szydera, proszę o spokój. Poważnie: to miejsce jest kiepskie z wielu względów. Wylądowali tutaj, bo wycofywali się bez planu. Ustaliliśmy to z Lukiem. Miejsce, gdzie jest krzemień, jest o wiele lepsze do obrony niż to, ma lepszy dostęp do słodkiej wody... no i krzemień.

Westchnąłem i potarłem czoło. Wciąż trochę bawiła mnie ta wirtualna czynność, ale to dzięki takim nawykom czułem się nadal człowiekiem. I to było przyjemne.

– Gupik, daj Bendera i Luke’a.

[Robi się. Będzie 0,75 sekundy opóźnienia tam i z powrotem]

– Rozumiem. Powiedz wszystkim, żeby skręcili sobie zegary do jednej czwartej, żeby to trochę skompensować. – Poczekalem parę sekund, po czym w pokoju pojawili się Bender i Luke.

– Panowie – zacząłem. – Chyba trzeba pogadać o planach. Obaj jesteście po lotach próbnym, więc cała wasza trójka jest gotowa, żeby wybrać sobie cel podróży i odlecieć. Z drugiej strony mamy tu rozumne istoty, co też jest dość atrakcyjnym projektem. Więc jak?

– Szczerze – odpowiedział Bender – to mnie ci Deltanie aż tak nie kręcą. To raczej twój projekt. Ja doszedłem później. Wolałbym znaleźć sobie coś swojego.

Luke kiwnął głową.

– Ja tak samo.

Spojrzałem na Marvinę, który wzruszył ramionami i rozejrzał się po pozostałych.

– Ja chyba trochę bardziej się wkręciłem, pewnie dlatego, że byłem prawie od początku. – kiwnął głową Benderowi – poza tym przecież to nie jest decyzja na zawsze. Mogę zostać na parę lat. Albo stuleci... – Jego wzrok stał się nieobecny. – Bo my jesteśmy nieśmiertelni, prawda? – Otrząsnął się i ciągnął: – No, w każdym razie... tak, ja na trochę zostanę. Może zastanowię się, jak zrobimy nową partię Bobów.

Rozparł się w fotelu i zaplótł ręce za głowę.

– Dobra, dzięki. Skoryguję plany – powiedziałem.

Luke i Bender pożegnali się, ich awatary zniknęły.

Zmniejszyliśmy częstotliwości zegarów do normalnych i skupiliśmy się z powrotem na strumieniach wideo z kolonii.

38. Riker, listopad 2158, Układ Słoneczny

Z westchnieniem rozłączyłem się z sesją ONZ. Ta dzisiejsza była raczej rutynowa. Co oznaczało: nieco poniżej bandy kotów bijących się o rybę. Obwieszczenie, że Szpice dostaną się na trzeci statek, spotkało się ze spodziewaną dawką jadu. Problem polegał częściowo na tym, że w czasie ich wylotu Spitsbergen prawdopodobnie nie nadawałby się już do zamieszkania, więc nikt nie mógłby zająć zwolnionego miejsca. Stratą czasu było powtarzanie, że jeśli Szpice nie odlecą, to zginą. Ten świat był o wiele surowszy od tego, na którym się wychowałem.

W dodatku wydanie przez nich zawartości banku nasion nikomu nie przynosiło żadnej korzyści, jeśli już sam nie znalazł się na statku-kolonii, zatem dla większości grup była to decyzja, na której w ogóle nie korzystali.

Omawiano także najnowsze groźby od jakiejś grupki nazywającej się SZLAG. Zapisałem sobie w pamięci, żeby pogadać o nich z pułkownikiem.

O ile w ogóle do niego dotrę. Spojrzałem na listę połączeń. Niewiarygodne. Z jakiegoś powodu, nawet jeśli nie brałem udziału w sesji, wszyscy odczuwali potrzebę, by do mnie po niej zadzwonić. Nie mogę powiedzieć, że popularność była szczególnie przyjemna.

I oczywiście pierwszym dzwoniącym był mój ulubiony pastor z WIARY. Skrzywiłem się i przez chwilę zastanawiałem, czy nie pozwolić go odebrać Gupikowi, ale to byłoby tylko odwiekanie. Mogłem mu jednak kazać poczekać.

Zignorowałem tę listę i w pierwszej kolejności zadzwoniłem do Butterwortha. Wymieniliśmy zdawkowe uprzejmości, a potem zapytałem go o tę najnowszą bandę świrów.

– Aaa, no tak. To skrót od: Samoistne Zaniknięcie Ludzkości – Alternatywna Genesis. Czy coś podobnego. Słyszałem kilka wersji, w tym ze dwie nieprzyzwoite. Uważają, że ludzie już mieli swoją szansę i teraz powinni po prostu spokojnie wymrzeć.

– Ale grożą atakami partyzanckimi. To jak to jest „samoistne”?

Butterworth machnął lekceważąco ręką.

– Pewnie, jeśli samoistnie za nimi pójdziesz, to unikniesz przemocy. Takie marginalne grupki mają teraz dużo trudniej, ale jakimś cudem czasem im się jeszcze uda coś wysadzić. Chyba, póki ty nie wszedłeś na

scenę, myśleli, że w końcu im się uda. A teraz muszą zaostrić retorykę.

– Super. Pamiętam podobny ruch z czasów, kiedy żyłem, ale tamten naprawdę był dobrowolny, nie tylko z nazwy. A gdzie oni mają siedzibę?

– Nie wiadomo. – Wzruszył ramionami. – Oświadczenia są zanonimizowane, miejsca akcji wydają się losowe, choć oczywiście oportunistyczne. A ich manifest otwarcie mówi, że albo dobrowolnie przestaniemy się rozmnażać, albo oni nam w tym pomogą.

Potarłem czoło. Nigdy nie przestawała mnie zdumiewać zdolność ludzi do przerabiania dogmatycznych idiotyzmów na polityczne ruchy.

– Wybiliśmy dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzkości, a świry jakimś cudem przetrwały. To nieprawdopodobne.

Pułkownik parsknął śmiechem i pożegnaliśmy się.

No to tyle odwlekania. Teraz trzeba będzie stawić czoło Cranstonowi. Z teatralnym westchnieniem nawiązałem połączenie.

– Dzień dobry, pastorze. Co mogę dla pana zrobić?

Pastor Cranston uśmiechnął się do kamery. A w każdym razie pokazał zęby. Nie miałem złudzeń co do jego życzliwości.

– Dzień dobry, repli.... Riker. Zdaje się, że mam tutaj kogoś, z kim chciałbyś porozmawiać. – Wyciągnął rękę i przesunął kamerę po swojej stronie, obejmując kadrem młodą kobietę.

Uśmiechnęła się nieśmiało i powiedziała:

– Dzień dobry, proszę pana. Jestem Julia Hendricks.

Oślupiałem i zamarłem. Nie powiedziałbym, że była podobna jak dwie krople wody do Andrei, ale jeśli nie była spokrewniona z moją siostrą, to był to niesamowity zbieg okoliczności. Częścią umysłu wiedziałem, że pastor Cranston zrobił to celowo, żeby mnie zmanipulować, ale nie przejmowałem się tym.

Wreszcie, po prawie ćwierć sekundy ciszy, odzyskałem głos.

– Cześć, Julio. Zakładam, że jesteście spokrewnieni.

Kiwnęła głową, pośpiesznie i nerwowo. Wydawała się potwornie zdenerwowana, nie wiedziałem, czy ze względu na mnie, czy na pastora. Nie miałem wątpliwości, że dał jej bardzo konkretne instrukcje poparte groźbami.

Po dłuższej chwili i ona odzyskała głos.

– Tak. Jestem prapraprawnuczką Andrei Johansson. Przed chwilą się dowiedziałam. – Zerknęła na pastora. Przekaz był jasny i dobitny.

Odpowiedziałem uśmiechem, starając się, by był jak najcieplejszy.

– Ile osób jeszcze jest ze mną spokrewnionych?

Zdaje się, że to pytanie pozwoliło jej wejść na bardziej znajomy grunt.

– O ile mi wiadomo, obecnie żyje około dwudziestu, panie Jo.... znaczy.... Riker. – Opuściła z zażenowaniem wzrok.

– Nic się nie stało. – Podniosłem uspokajająco rękę. – Tak naprawdę nie jestem twoim praprapradziadkiem ciotecznym, ja jestem tylko jego

pamięcią. I nie nazywam się Bob, więc... możesz mi po prostu mówić Riker, jak wszyscy. Prawie wszyscy. – Spojrzałem ostro na pastora Cranstona. – Albo William. Albo nawet Will. I nie oczekuję, że będziesz się mną przejmować, choć na pewno pastor Cranston spodziewa się, że ja się będę przejmował twoim losem. I twojej rodziny. – Przekrzywiłem odrobinę głowę, nieznacznie wzruszyłem ramionami. – I dobrze się spodziewa. Ale to nie znaczy, że będę naginać reguły.

Do kadru nachylił się pastor Cranston.

– Panie Riker, wszyscy jesteśmy dorosłymi ludźmi i wiemy, że mam ukryte pobudki, tak jak wszyscy delegaci, co do jednego. Ale chcę powiedzieć jedno: ma pan tu rodzinę i będzie pan mógł z nią rozmawiać, kiedy pan tylko chce, bez zakłóceń. Zostawiam was samych. – Po tych słowach wstał i wyszedł z pokoju. Oczywiście możliwe, że dalej monitorował rozmowę, ale i tak gest był miły.

Log mówił, że gadaliśmy przez trzy godziny, choć dla mnie to minęło w sekundę.

39. Bob, październik 2165, Delta Eridani

Siedziałem rozparty w fotelu, z kawą w ręku, patrząc na oddalające się znad Delt Eridani sygnatury radiacyjne Luke'a i Bendera. Proces wyboru układów docelowych był długi i pełen kontrowersji. Stosunkowo blisko mieliśmy całą masę gwiazd typu M i K. Problem polegał na tym, że przeważnie były małe i słabe, z ekosferami bardzo blisko gwiazdy. Paru kandydatów można by określić mianem z pogranicza i długo dyskutowaliśmy, czy w ogóle się takimi zajmować. Końcowa decyzja należała jednak do nich. Luke polecał do Kappy Ceti, gwiazdy typu G5V, trochę mniejszej niż Słońce. Bender wybrał Gammę Leporis A, typu F6V, nieco większą i jaśniejszą od Słońca. Miał przed sobą długi lot – to było ponad szesnaście lat świetlnych stąd. Ale co tam, przecież jesteśmy nieśmiertelni.

– Raport poszedł do Billa?

[Potwierdzam. Stacja orbitalna działa w stu procentach. Teraz zarządza nią pilot-MSI. Raport został mu przekazany]

Złożyłem palce w piramidkę i postukałem jednym o drugie.

– Znakomicie.

Marvin siedział po drugiej stronie biurka, z własnym kubkiem kawy w dłoniach. Popatrzyłem na to, zmarszczyłem czoło i zapytałem:

– Ej, a który z nas generuje w wirtualce tę kawę, ty czy ja?

Marvin przewrócił oczami.

– Jezus, ty to umiesz zepsuć każdą iluzję. Ale odpowiadając na pytanie – ja. Ty po swojej stronie robisz tylko grafikę. Ja nie mogę, przecież to my to wszystko wynaleźliśmy.

– No pewnie, ale wszyscy w tym przez cały czas grzebali i dzielili się modami. Żeby zrozumieć, co VR teraz robi, muszę naprawdę usiąść i popatrzeć w kod.

– Hmm – powiedział, po czym zmienił temat. – A zauważyłeś, że Luke i Bender naprawdę nie byli jak identyczne kopie?

– Pewnie, zresztą taką samą rozmowę mieliśmy dawno temu z Billem, o Milu i Mario, pamiętasz? Każdy z nas jest trochę inny. Różnice w sprzęcie, jakieś zjawiska kwantowe...

Marvin machnął lekceważąco ręką.

– Zwalanie na zjawiska kwantowe to takie machanie łapami. To po prostu znaczy, że nie wiemy. Bo ja sobie myślę... Kiedy robimy się starsi

i akumulujemy wspomnienia, to może nie wszystko daje się już pomieścić w kopii zapasowej? Kopia zapasowa jest próbą cyfrowego zapisania analogowego zjawiska. Może po prostu jest zbyt gruboziarnista.

Wpatrzyłem się w przestrzeń.

– Interesująca myśl. Wiesz co, ja cały czas mam kopię zapasową, z której cię zrobiłem. Może ja bym z niej zrobił kolejną partię Bobów i potem doksztalcił ich w staromodny sposób?

– Znaczą ławka, tablica, linijką po łapach, te sprawy?

Uniosłem wyprostowaną dłoń do nosa.

– Bardzo śmieszne. Nic z tych rzeczy. Po prostu. Słownie.

Marvin wyszczerzył się do mnie, potem wyciągnął rękę i pacnął w jeden ze strumieni wideo. Ten rozrósł się do pełnego rozmiaru.

* * *

W kolonii sytuacja wróciła do normy. W sumie w ataku goryloidów zginęło czterdziestu Deltan. Paru rannych, którzy przeżyli, zostało okaleczonych do końca życia. I wreszcie się dowiedziałem, jak postępują ze zmarłymi. Rzeczywiście mieli swoje obrzędy, a zmarłych grzebali w ziemi. Oraz ich opłakiwali, równie wzruszająco, jak ludzie. Przez większość tych pogrzebów musiałem się odwracać od obrazu.

Teren obozowiska wysprzątał, trupy goryloidów zniknęły. Archimedes znalazł resztki drona-niszczyciela. Na niewiele mu się przydały. Właściwie zostały z niego tylko stalowe końcówki z obu stron. Reszta była w proszku, rozrzucona po całym terenie. Odkrył jednak, że dwie dziesięciokilowe półkule mogą służyć jako młot czy kowadło. Wytrzymały wszystko, co próbował z nimi robić. Na skali skażenia kulturowego od zera do dziesięciu dałbym temu może półtora, więc w sumie co tam.

Arnold zatrzymał sobie siekierę. Nikt nie był skłonny mu jej zabrać, a poza tym on był chętny, żeby każdemu wyrąbać, co tam akurat potrzebował. Na oko to lubił, był w tym bardzo dobry, a proszący nie musiał nic samemu robić. Czysty zysk dla obu stron.

Analizę języka mieliśmy już tak zaawansowaną, że mogliśmy śledzić rozmowy, a może nawet mówić w zrozumiały sposób. Pomajstrowałem przy fonemach w procedurze generowania mowy, żeby powstał uogólniony deltański głos, i wypróbowałem go na Marvinie, na paru zdaniach. Uznał wynik za dobry. Wprowadziłem parę zmian do drona eksploracyjnego – dodałem mu system głośników – i puściłem zamówienie na dwa do autofabryki. Jeśli Deltanie sami nie zdecydują się iść do złoża krzemienia, byłem gotowy im to podpowiedzieć. Co prawda

zostanę ich wielkim bogiem z nieba, ale niech tam.

40. Linus, kwiecień 2165, Epsilon Indi

Dotarcie na Epsilonu Indi zajęło czternaście i pół roku. Ciekawe, że wciąż myślałem w ludzkiej skali – pojawiła się myśl, że oto zużyłem sporą część swojego życia. Oczywiście czysto intelektualnie to nie było prawdą. Po pierwsze, dzięki Einsteinowi i dylatacji czasu subiektywnie przeżyłem tylko nieco ponad trzy lata. Po drugie, jesteśmy nieśmiertelni. Po prostu ten fakt chyba jeszcze nie do końca do nas dotarł.

Polecałem sam, nie chciałem czekać, aż Bill zbuduje kolejny miot. A już na pewno nie miałem ochoty męczyć się z którymś z walniętych bliźniaków. Nie wiem, o co chodziło z Calvinem i Goku. Teoretycznie powinni być mną, ale jestem pewien, że nie jestem tak denerwujący. Hmm. Mam nadzieję. W każdym razie, pomimo ciągłych kłótni, wydawało się, że dobrze się dogadują. I chyba o tym wiedzieli, skoro polecieeli gdzieś razem.

Tymczasem ja znalazłem się tutaj, w Epsilonie Indi, czternaście lat świetlnych od Epsilonu Eridani, gdzie zainstalował się Bill, ale tylko jedenaście lat świetlnych z Ziemi. Był to więc rozsądny, choć może nie pierwszy cel dla sond. Gwiazda była typu K, mniejsza i chłodniejsza niż Słońce – nadające się do życia planety byłyby odpowiednio bliżej gwiazdy i prawdopodobnie obracałyby się synchronicznie.

Jako dzieciak, kiedy oglądałem *Star Treka*, *Gwiezdne Wojny*, *Gwiezdne Wrota* i wszystkie inne filmy fantastyczne, wydawało się, że każda planeta jest typu M, a każda gwiazda jest żółta. I wszyscy mówią po angielsku. Niestety okazuje się, że pocziwe Słońce jest wyjątkowe. Większość gwiazd na niebie jest albo mniejsza, albo absurdalnie wielka. Co słabo rokuje na planety do zamieszkania.

Do układu podszedłem ostrożnie. Było możliwe, że któreś z innych państw wybrało go sobie na cel. Znanym czynnikiem był Medeiros, ale o innych nie mieliśmy pojęcia, jak będą się zachowywać. Przyjaźni – to mogliśmy pewnie skreślić, ale pomiędzy ostrymi słowami a strzelaniem raketami jest sporo miejsca.

Wleciałem w układ bez napędu, dla orientacji mając przed sobą dwóch zwiadowców. Czekając, dalej pracowałem nad moją VR. Wymyśliłem sobie latające, przykryte kopułami miasta w atmosferze Saturna. Pierścienie przecinały niebo, a olbrzymie chmury kipiały na niesamowitą wysokość. Przerwy pomiędzy nimi dawały widoczność na

setki kilometrów w głąb atmosfery. Chmury zaś ciągnęły się aż po odległy horyzont.

Stałem w moim ogrodzie na dachu i patrzyłem na miasto. A co, to moja VR. Mogę sobie być bogatym facetem z apartamentem na dachu. Nie stać?

[Wykryto konstrukcje]

Uniosłem wzrok. Gupik pojawił się znikąd z tym obwieszczeniem. Miałem wrażenie, że z jakiegoś powodu nie aprobuje mojej VR, bo za każdym razem zaburzał jej ciągłość.

– Co tam mamy?

Gupik wyświetlił obraz. Był z pogranicza zasięgu naszego optycznego teleskopu, więc mogłem tylko poznać, że to coś sztucznego.

[Jeden zwiadowca podchodzi bliżej, żeby to zbadać]

– Świetnie. Kiedy będzie na tyle blisko, żeby zrobić skan SUDDAR-em, daj mi wyniki. A na razie działajmy ostrożnie.

[Tak jest]

* * *

[Odebraliśmy transmisję głosową z tej konstrukcji]

O, to ciekawe. Wiadomość od Medeirosa miałyby raczej naturę bardziej walcową i wybuchową.

– Odtwórz.

Gupik otworzył plik audio.

– Wypad stąd, stary.

Otworzyłem szeroko oczy i powstrzymałem się od rechotu.

– No, Gupiku, chyba znaleźliśmy australijską sondę. Która, jeśli dobrze pamiętam, oficjalnie nie istnieje.

Starąłem się opanować szeroki uśmiech.

– Dobra, otwórzmy do niego kanał. Czy co tam się robi, żeby porozmawiać.

Gupik skinął głową, a ja powiedziałem:

– Cześć, rozumiem, że jesteś sondą z Australii? Bo to raczej nie jest chiński akcent? Mówi Linus Johansson ze statku WIARY *Niebo 8*. Z kim rozmawiam?

– Mówiłem: spadaj!

– No, ale nie wyszło. Na oko w ogóle się nie poruszam. Chcesz spróbować jeszcze raz?

Nastąpiła krótka przerwa. Wtem:

– Mówi cesarz Mung z Międzygalaktycznego Imperium Jalapeño. Jesteś w naszej przestrzeni. Ostatnia szansa: na rowerek i spadowa.

Gość albo nie mówił poważnie, albo był poważnie walnięty.

Przychodziły już trochę bardziej szczegółowe optyczne obrazy konstrukcji. Wyglądała jak chaotyczna płatanina połączonych konstrukcji i geometrycznych kształtów. Coś jakby Międzynarodowa Stacja Kosmiczna w wersji Salvadora Dalego na dragach. Zastanawiałem się, czy on tam czasem nie ma jakichś kolonistów.

– Rozumiem, Wasza Wysokość. Proszę mnie uznać za ambasadora Federacji Bobów.

Po tym dictum zapadła martwa cisza. Jednakże ta rozmowa – o ile można to nazwać rozmową – dała zwiadowcom czas na zbliżenie się i skan SUDDAR-em. Gupik rzucił przede mnie obrazy. Żadnego życia na pokładzie. A nawet żadnego pokładu na pokładzie. Wnętrze konstrukcji było otwarte na próżnię, a wiele pomieszczeń nie miało części ścian, kompletnie bez żadnej logiki.

Wreszcie przerwał ciszę.

– Jesteś sam? Ja jestem sam.

Dobra, dzieli się chociaż jakąś informacją, z własnej woli. To dobrze.

– Jestem z wami, Wasza Wysokość. To już nie „sam”, prawda?

– Kto to „Wasza Wysokość”? I kim ty jesteś?

Ojoj. Świr. Ewidentnie. Ale to i tak dobrze. Przynajmniej już nie mieni się cesarzem. Może trochę mu się rozjaśni.

– Jak się nazywasz?

– Henry Roberts. Australia wybrała mnie do wyścigu do gwiazd. Ale zostałem schwytany przez Cesarstwo Jalapeño i jestem torturowany, żebym ujawnił nasze tajemnice.

I znowu odjechał.

– Gupik, skanujmy dalej. Trzeba zidentyfikować, co w tym... tym... pałacu działa. Czy gdzieś w środku jest sonda.

Zwróciłem się z powrotem do Henry’ego:

– Henry, powiedz mi o coś sobie. Jak cię wybrali?

Nastąpiła cisza, potem usłyszałem szloch.

– Jestem żeglarzem. Byłem żeglarzem. Robiłem samotne rejsy. Rząd złożył mi propozycję, bo uznał, że jestem idealnym kandydatem. Bo wiesz, nie lubiłem towarzystwa ludzi. – Kolejny szloch. – Ale ja tęsknię za morzem. I za ludźmi.

[Zidentyfikowałem podstawowe podsystemy sondy. Rdzeń replikanta, reaktor termojądrowy, układy autofabrykacyjne. Sonda jest częściowo rozmontowana i zintegrowana z konstrukcją]

– Dzięki, Gupik. Załaduj działo elektromagnetyczne, dobra? Coś odpowiedniego na układ sterowania reaktorem, jeśli dasz radę w niego wcelować.

I znów zwróciłem się do drugiego replikanta:

– Długo tu jesteś, Henry?

– Od stuleci. Oni są rybami. Nie odpuszczają mi. Ciągłe mnie

torturują. Domagają się uwagi. I każą budować kolejne pokoje.

Przypomniały mi się dyskusje z doktorem Landersem o psychozach wśród replikantów. Niezbyt się na tym znałem, bo byłem raczej typem inżyniera, ale tu wszystko wskazywało na psychozę. Bo nigdzie nie widziałem żadnych „onych”.

– Henry, a czy ty możesz żeglować? Masz ciało? Widzisz się?

– Co takiego? Nie, ja jestem sondą kosmiczną. Rząd mi to zabrał. Sam siebie nie czuję. Tęsknię za morzem...

Och. Deprywacja sensoryczna. Od tylu lat. Pewnie nie miał wiedzy technicznej, żeby zbudować sobie VR. Przywołałem w pamięci początek lotu z Układu Słonecznego, zanim zrobiłem sobie rzeczywistość wirtualną. Znaczący... No dobra, zanim Bob ją zrobił. OK. Ale też miałem takie uczucie odklejenia. Przez dziesiątki lat? Dziękuję, nie skorzystam.

– Spadówka!

Cholera.

– Ty jesteś jednym z nich. To kolejny seans tortur. Bawisz się ze mną. SPADAJ, BO CIĘ ROZWALĘ! SIO SIO SIO SIO...

Mój strzał zniszczył układ sterowania reaktorem. Reaktor, tak jak powinien, wyłączył się kulturalnie. A oprogramowanie Henry’ego, tak jak powinno, uśpiło się.

Nie pisałem się na takie rzeczy. Ale nie mogłem typa tak zostawić.

* * *

Epsilon Indi miał planetę typu Jowiszowego poza ekosferą i niewiele więcej. Obiecałem sobie, że jak tylko będę mógł, rozejrzę się dokładniej. Ale najpierw musiałem się zająć Henrym.

W układzie nie było zbyt wiele rudy, ale na szczęście Henry znajdował wszystkie większe skupienia. Natychmiast puściłem autofabrykę na stacji kosmicznej. Miałem potrzebę przegadać to wszystko z Billem, ale rozmowa z czternastoletnim opóźnieniem trwałaby wieczność. Zastanawiałem się nawet, czy nie polecieć z powrotem do Epsilonu Eridani i nie zabrać Henry’ego ze sobą.

Zbadałem dokładnie australijski sprzęt. Był bardzo podobny do mojego. Ale naprawdę-naprawdę bardzo podobny. Musiało tam się odbywać jakieś szpiegostwo i ktoś sobie pożyczył czyjś projekt, to nie mogła być przypadkowa zbieżność.

Ostrożnie wydobyłem rdzeń replikanta z „pałacu”. Kazałem autofabryce zbudować porządną platformę, zasilanie, dodatkową pamięć. Kiedy już byłem pewien, że Henry jest wydobyty i bezpieczny, zacząłem rozbierać pałac na surowce. Miałem odrobinę poczucia winy, jakbym coś komuś kradł, ale przecież Henry tego nie używał.

A oszczędzałem masę czasu.

Henry nie miał wiedzy, żeby urządzić sobie VR, ale ja miałem. Mogłem go puścić na moim systemie. Może jeszcze był do odratowania.

* * *

Przez moment stałem mu za plecami i wdychałem rześką, słoną bryzę. *Contessa* cięła fale z przechyłem i kołysaniem, które wydawało mi się niepokojące, ale Henry zapewniał mnie, że to zupełnie normalne. Kiedy żył, znał swoją łódź do ostatniej śrubki, więc łatwo ją było odtworzyć w VR.

We wszystkich kierunkach po horyzont ciągnął się południowy Pacyfik. Stały południowo-wschodni wiatr zapowiadał dzień łatwej, bezproblemowej żeglugi. Przynajmniej tak twierdziły wszystkie książki. Na razie jeszcze to rozkminiałem.

Henry odwrócił się od steru.

– Cześć, Linus. Co, przyszedłeś znowu się powtrącać w moje życie?

Wyszczrzyłem się w odpowiedzi. Henry był teraz przytomny, ale myślał, że jest z powrotem na Ziemi. Wspomnienia z lat spędzonych jako replikant nadal nawiedzały go jako koszmary. VR-kę urządziłem mu jak najbardziej realistycznie, włączając jedzenie, spanie i, hmm... fizjologię.

– Znowu mi się to śniło, wiesz, Linus? – Wzdrygnął się. – Ten koszmar, że nie czuję swojego ciała. Dookoła wszystko do mnie gada, nie daje mi spokoju, każe mi budować rzeczy. A świat to nieskończona noc...

Usiadłem.

– Ale już nie było aż tak straszne? Mniej intensywne?

Skinął głową.

– To dobrze. Opowiedz mi teraz, jak to było, kiedy rząd przyszedł do ciebie i zaproponował, że zostaniesz replikantem-sondą kosmiczną...

41. Riker, maj 2162, Układ Słoneczny

Popatrzyliśmy po sobie z Homerem zdumieni, potem wróciliśmy do wiadomości.

Plany Uniwersalnego Nadajnika-Odbiornika Podprzestrzennego (UNOP) o zerowej latencji.

Homer pokręcił głową z niedowierzaniem i podziwem.

– Sukinkot. Udało mu się.

Kiwnąłem głową, w pełni dzielając jego emocje.

– To chyba się kwalifikuje na dobry powód, żeby zmienić plany w drukarkach.

* * *

Przyjrzeliliśmy się ukończonemu produktowi. Ewidentnie nikt nie myślał o marketingu, kiedy go budował. Ani śladu chromu, żadnego logo... ale według opisu zapewniał natychmiastową łączność na międzygwiazdne odległości. Włączyłem go, prawie dygocząc z ekscytacji.

Dostępne połączenia:

Epsilon Eridani

Omikron-2 Eridani

Przejrzałem menu, zarejestrowałem się i puściłem sygnał do Billa. Jego wideo pojawiło się natychmiast.

– Cześć, Riker. Kopę lat.

Ano kopę. Siedemnaście z jego punktu widzenia, z mojego trochę mniej, dzięki Einsteinowi. Usiadłem, skrzyżowałem ręce i zerknąłem w okienko z Homerem. Szczerzył się od ucha do ucha.

Bill pomachał Homerowi.

– Typie, widzę, że dalej jesteś w jednym kawałku. I nie masz już awatara z Simpsonów. Jakiś związek przyczynowo-skutkowy?

Homer odrzucił głowę do tyłu i się roześmiał.

– O, pewnie że tak. Dwójka teraz już normalnie ze mną gada. Chyba się starzeję.

Podniosłem brew jak Spock.

– Tak, ale teraz już nie jesteś mi potrzebny.

Homer zrobił wstrząśniętą minę, a Bill uśmiechnął się szeroko do nas

obu.

– Miło widzieć, że pewne rzeczy się nie zmieniają – powiedział. – Dobra, skoro już odbębniliśmy czułości i uściski, to teraz mam dla was trochę aktualizacji do oprogramowania i VR, wyślę wam też parę ulepszeń sprzętowych.

– Pojawiła się może opcja dodawania kogoś do czarnej listy? – Łypnąłem na Homera.

Bill zerknął na mnie, potem na Homera, ciągle szeroko uśmiechnięty.

– To teraz zasadnicze pytanie. Jak tam sytuacja na Ziemi?

Wyciągnąłem swoje logi.

– Proszę, zaraz ci to wyślę. Szybciej niż opowiadać. Przez tego UNOP-a działa wszystko jak w normalnej VR, tak?

– Pewnie. To tylko inna warstwa transportowa. Interfejs na poziomie obiektów jest taki sam.

Kiwnąłem głową i popchnąłem do niego plik. Bill przez chwilę się zacinał, absorbując informację, potem wrócił z szerokim uśmiechem.

– Super! – Jego uśmiech zniknął. – Znaczący nie super, że 99,9% ludzkiej rasy wymarło. Ale, że ktoś przeżył. I że są krewni. Oczywiście.

Potaknąłem.

– Nie ma problemu, Bill. Wszyscy zaliczyliśmy tę wtopę. Posłuchaj, a masz jakieś wieści od innych Bobów w kwestii planet do zamieszkania?

– A. To ja ci też podrzucę jeden plik...

* * *

– Podwójna planeta? – Pułkownik Butterworth wytrzeszczył oczy.

– Tak jest w plikach danych. – Wiedziałem, że szczerzę się jak debil. Ale po tych latach zamartwiania się nie potrafiłem przestać.

Popatrzył na mnie, unosząc brew.

– Pewnie dwóch planet nie zechcesz nam dać. Ale spodziewam się, że my wybierzemy pierwsi, a potem Szpice. Tak będzie?

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Chyba mnie testuje. Przecież nie mógł być aż tak tępy.

– Pułkowniku. Nie oddamy całej planety dwudziestu tysiącom ludzi. Teoretycznie i całe piętnaście milionów moglibyśmy posadzić na jednej. Jeśli któryś z podróżujących Bobów znajdzie inne planety, wybór stacji docelowych się poszerzy, ale na razie wszyscy lecą na Romulusa lub Wolkana.

Uśmiechnął się nieznacznie. Tak. Sprawdzał mnie.

– Będzie, jak mówisz. Chociaż sugeruję, żeby zrobić bilansowanie populacji, jeśli znajdą się kolejne światy.

Potaknąłem.

– Będziemy improwizować. Nadal jest zbyt wiele niewiadomych, żeby sporządzić solidne plany. Ale chociaż mamy cel.

– Prawda. Czyli możemy ruszyć od razu po skończeniu statków.

– Aha, aha. Dobrze, to ja muszę to oficjalnie ogłosić wszystkim wspólnotom. Pewnie też będziesz chciał tam być.

Pułkownik dalej się uśmiechał.

– Bardzo się cieszę, że już nie wisi nad nami widmo mieszkania pod kopułami na Epsilonie Eridani 2. Bo wtedy właściwie cała wyprawka nie miała sensu, chyba że tu u nas by się bardzo pogorszyło.

Kolonizacja Ragnaröka przewijała się w rozmowach, odkąd zaczęliśmy planować emigrację. Ogólny konsensus był taki, że to raczej plan „Ż”. Zgodziłem się z pułkownikiem. Dobrze było już nie rozpatrywać tej opcji.

* * *

Nowinę przywitano z entuzjazmem, radością i – co za niespodzianka – głośnymi skargami. Pewnie trzeba się było tego spodziewać i gdybym sam nie był tak oszołomiony z radości, raczej bym to przewidział. Nikt nie chciał się z nikim dzielić żadną planetą. Od największego miasta po najmniejszą enklawę, każdy chciał jedną dla siebie.

Popatrzyliśmy po sobie z pułkownikiem – widziałem, że się tego spodziewał.

Pozwoliłem im gadać jeszcze przez chwilę, potem poprosiłem o głos.

– Dobrze, dobrze. Słuchajcie: sprawa wygląda tak. Na tę chwilę mamy dostępne dwie planety. I koniec. Przykro mi. Nie możemy opóźnić emigracji, dopóki nie odkryjemy kolejnych, bo Ziemia przestaje się nadawać do życia. Więc zrobimy tak. Kiedy jesteśmy gotowi do wysłania grupy, jeśli nie ma nic innego w opcjach, lecą na Wolkana albo Romulusa. Jeśli – gdyby – pojawiła się kolejna odpowiednia planeta, grupy dostają prawo do odmowy, w kolejności, w jakiej emigrowały.

– A tymczasem zdążyły się już zadomowić! – krzyknął do kamery Valter.

– No tak. Oczywiście wszystkie inne grupy są tak przyjacielskie i życzliwe, że na pewno nie chcą się nigdzie ruszać. – Przez moment milczałem dla efektu dramatycznego. – Posłuchajcie. To nie jest idealna sytuacja, ale mowa o walce o przetrwanie. To jest ewakuacja z tonącego statku, a my marnujemy czas, kłócąc się, kto będzie z kim siedział w szalupie. Pomyślmy najpierw o przetrwaniu, dobrze?

– Jakby to pana coś obchodziło. Pan tu nie gra o żadną stawkę. W ogóle – odezwał się ambasador Gerrold, delegat z Nowej Zelandii,

z pochodzenia Australijczyk. Z jakiegoś powodu mnie nie lubił. Dziwiła mnie ta wrogość – nie miała żadnego uzasadnienia.

Tym razem po prostu się do niego uśmiechnąłem.

– W każdej chwili mogę sobie pójść. Przegłosujecie to i załatwione. Uszanuję tę decyzję, zabiorę zabawki i pójdę na swoje podwórko. – Rozejrzałem się po obrazach wideo. – Nie? To może wróćmy do realistycznej dyskusji.

Bez choćby sekundy wahania kłótnia wybuchła na nowo.

42. Bill, kwiecień 2162, Epsilon Eridani

Wieści od Rikera i Homera były interesujące na bardzo wielu poziomach. Svalbardzki bank nasion był miłą niespodzianką i mógł poważnie ułatwić terraformację Ragnaröka. Parę odmian roślin i mchu dałoby się wyobraźalnie zmusić do rośnięcia na jego gołej glebie. A gdyby się przyjęły, o całe tysiąclecia przyspieszyłyby natlenianie atmosfery. Riker obiecał zmontować klona, który przywiezie mi trochę tych nasion.

Najbardziej ekscytujący był jednak wariant napędu SURGE przystosowany do dużych ciał. Asteroid, na przykład. Albo ciał z pasa Kuipera. Na dwójkę Epsilon Eridani trzeba było zrzucić jakieś pięćset, sześćset kilometrów sześciennych lodu, żeby morza połączyły się w oceany. Długo myślałem, jak pościągać te bryły z zewnętrznego układu do wewnątrz. Orbitami Hohmanna zajęłoby to dziesiątki albo i setki lat.

Dla mnie to nie był problem, ale ludziom czekającym na miejsce do życia przydałoby się coś żwawszego.

A ten planetarny napęd SURGE nie był skomplikowany, choć wymagał do budowy masy surowców. Wpadłem jednak na pomysł, że mógłbym go użyć do przyspieszenia bryły lodu na orbitę kolizyjną z Ragnarökiem, a potem odzepić napęd i przenieść na kolejne ciało. I tak w kółko. O ile będę miał ten napęd do dyspozycji, kiedy latające góry lodowe zaczną się pojawiać u celu, wszystko będzie w porządku.

Przedyskutowałem ten pomysł z Garfieldem. Patrzył na to sceptycznie.

– Mechanizm rozumiem, ale lepiej dopilnuj, żeby wszystko poszło, jak trzeba. Bo nie będziesz miał luzu na poprawki.

Wzruszyłem ramionami.

– I co z tego? Jak nie złapię którejś bryły u celu, to najwyżej przeleci obok Ragnaröka i pewnie trafi w słońce.

– Jak nie złapiesz jednej, to pewnie wielu też nie złapiesz. Może lepiej zrób sobie parę symulacji?

– Garfield, to chyba nie jest konieczne. Czemu ty się tak na to uwzięłeś?

– Bill, posłuchaj, nie traktuj mnie jak Igora³. Ja też potrafię liczyć. Może jednak powinienes.

Igora? Spojrzałem na niego osłupiały. Co, tak go protekcjonalnie traktuję? Zrozumiałem do czego nawiązuje, dostrzegłem emocjonalną implikację. Coś tu się kroilo.

– O co chodzi, Igor, znaczy Garfield? – Uśmiechnąłem się, żeby pokazać, że żartuję.

Rzucił mi krótki uśmiech, potwierdzając, że odebrał żart.

– Wiem, że Bob 1 ustalił, że starszy z Bobów dowodzi, ale już trochę mam dość roli pomocnika. Masę rzeczy tu robimy, naprawdę nie mam ochoty się zegnać, ale przydałaby się zmiana organizacji pracy.

Kiwnąłem z namysłem głową.

– Pamiętam, że męczyłeś mnie o jakieś projekty, które chcesz dodać do listy. To o to chodzi?

– Trochę tak. I o większy wpływ na to, nad czym już pracujemy. Pierwszy Bob był trochę samotnym wilkiem i ty też masz taką tendencję – oczekujesz, że będą słuchał. I mnie to nie do końca odpowiada.

Spojrzałem we własną psychikę. Byłem urażony, to tak. Ale zdecydowanie nie chciałem stracić Garfielda. Praca razem szła nam dobrze i osiągnęliśmy o wiele więcej, niż mógłby jeden w pojedynkę. Pora przełknąć dumę.

– No dobra, Garfield. Przyznaję. Ale podwyżki się nie spodziewaj.

Zaśmiał się i pacnął ręką w schemat, który wisiał zapomniany w powietrzu.

– Dobrze. A teraz popatrz na ten plan i przelicz to sobie. Nie śpiesz się i zastanów się, co się stanie, jeśli się pomylisz.

Kiwnąłem głową. Projekt miał jeden istotny szczegół – nie można było dopuścić, żeby bryły lodu zderzały się z Ragnarökiem z orbitalnymi prędkościami. Trzeba je było umieścić na orbicie wokół planety i rozbić, żeby lód spadał jako intensywne opady przez kilka tygodni.

Zrobiłem symulację, jak domagał się Garfield. Okazało się, że dwa napędy pozwolą mi w dwadzieścia pięć lat dowieźć na Ragnaröka cały potrzebny lód. O, i to był plan, pod którym się mogłem podpisać.

* * *

Garfield złapał piłkę do softballa – ledwo – i po dłuższym namyśle krzywo cisnął mi ją z powrotem. Skręciło mnie z lekka, kiedy na niego patrzyłem. Pierwszy Bob nigdy nie był za dobry w sportach, widać, że i w VR nie ulepszyliśmy tego wzorca.

– Wiesz, jak rzucasz? – zapytałem z uśmiechem.

– Wiem. Tak jak ty. Powiedz mi jeszcze raz: po co my to robimy?

– Po pierwsze, to jest dobry scenariusz testowy do precyzyjnej regulacji VR. Homer rzucił w któryś momencie, że fizyka trochę się nie

zgadza. – Parę razy podrzuciłem piłkę w ręku. – Ale po drugie, i znacznie ważniejsze, myślę, że jeśli chcemy zachować poczucie człowieczeństwa, musimy robić coś więcej niż tylko siedzieć w parkach, bibliotekach i centrach dowodzenia. Nie mam ochoty się zdegradować do jakiegoś stereotypu Doktora Zła. – Rzuciłem piłką. – To nie jest żadne ćwiczenie w sensie fizycznym, a jednak przypomina naszym mózgom, jak to jest coś robić.

Powrotna piłka przeleciała mi wysoko nad głową i z chlupnięciem wylądowała w jeziorze.

– Ojej – jęknął z uśmiechem Garfield.

Łypnąłem na niego najlepiej, jak umiałem, i zmaterializowałem kolejną piłkę.

– Można by zbudować kolejnych Bobów i zrobić drużynę albo dwie.

– Jezus, tylko nie to. Połowa okaże się Kanadyjczykami i będzie chciała grać w hokeja.

Parsknąłem śmiechem i rzuciłem piłkę.

3 Igor – stereotypowy asystent szalonego naukowca lub łotra z powieści gotyckiej oraz horrorów, potem sparodiowany w filmie animowanym *Igor* jako dziecko, które chce zostać złym naukowcem (przyp. tłum.).

43. Riker, wrzesień 2164, Układ Słoneczny

Dwa statki-kolonie były imponujące, nawet zbudowane tylko w połowie. Miały dwa pierścienie napędów i potężną sekcję chłodzenia reaktora, jedno i drugie niezbędne, by popychać ogromną ładownię pośrodku. A skoro ładunkiem miało być dziesięć tysięcy hibernujących ludzi, znaczną część masy statku stanowiły osłony przeciwpromienne. Ogólnie dla fana science fiction z moich czasów wyglądałoby to wszystko jak kosmiczny okręt wojenny, choć oczywiście pozbawiony laserów, fazerów i bajerów.

Jeden ze statków był bardziej zaawansowany od drugiego – ustępstwa wobec Szpiców spowodowały pewne przesunięcia zdolności produkcyjnych. Trzeci miał być gotowy zaledwie w cztery miesiące po pierwszych dwóch. A teraz staraliśmy się zbilansować budowę Jedyńki i Dwójki, tak by były gotowe jednocześnie.

Prychnąłem z rozbawieniem, wspominając parę ostatnich posiedzeń ONZ. Kiedy skończyło się darcie mordy, zaczęło to bardziej przypominać projekt z mojego poprzedniego życia. Wyzwania techniczne i problemy inżynierskie. Ale całą fizyczną robotę odwaliała MSI, więc chociaż pracownikami nie musiałem się martwić.

Oczywiście na Ziemi negocjacje toczyły się dalej. Nikt nie zamierzał spokojnie zaakceptować planu typu „kiedyś w dalszym terminie”. Wciąż wisiał nad nami problem stu pięćdziesięciu przelotów. Nie wiedzieliśmy na pewno, czy to będzie wyrok śmierci, wszyscy zgadzali się jednak, że klimat na Ziemi robi się coraz gorszy. Jeśli pogorszy się jeszcze bardziej, to mimo wszelkich naszych starań pojawi się widmo głodu.

Homer i jego ekipa dalej przeczesywali układ. Wdrożyli też parę technik przywożenia metalu z dołu. Było to powolne i pracochłonne, szczególnie ze względu na skalę naszych wymagań. Przydzieliłem mu sześć drukarek – jak łatwo przewidzieć, pułkownik Butterworth rozdarł się jak zarzynana świnia – z poleceniem, by wyprodukował sobie wszystko, co mu pozwoli działać niezależnie. Na razie radził sobie lepiej, niż się spodziewałem. Na Ziemi była ogromna ilość czystych metali, mimo wojny i późniejszych bombardowań. Już oddał drukarki z powrotem do regularnej budowy statków. Nadrukował sobie nowych i oddał.

A teraz przeliczył sobie prawdopodobieństwa i zaczął swoim

standardowym skeczem pod tytułem „Mam dwie wiadomości, dobrą i złą”. Dobra była taka, że z tego, co będzie w stanie zdobyć na Ziemi, da się w sumie zbudować o wiele więcej statków, niż szacowaliśmy. Zła – że zanim to zrobimy, wszyscy dawno wymrą.

Można by myśleć, że drukarki 3D rozwiązałyby problem niedoboru. Niestety przesuwają tylko wąskie gardło gdzie indziej. Mogliśmy zbudować więcej dronów do wydobywania i wywożenia metalu z ziemskiej studni grawitacyjnej albo mogliśmy budować statki-kolonie, albo mogliśmy budować kolejne drukarki, żeby zrobić więcej dronów i statków – tylko że w tym wariancie przez pewien czas nie robilibyśmy żadnych dronów i statków. Obliczanie optymalnej ścieżki było skomplikowane i miało duże marginesy błędu. Takie, że na samą myśl o nich zgrzytałem zębami.

Dron dotarł do celu. Kazałem mu dać boczny wektor i patrzyłem na przepływający pod kamerą statek-kolonie. Niedokończone sekcje kadłuba pozwalały dronom i szopom budowlanym na dostęp do wnętrza. Widziałem wlewający się do środka potok obładowanych dronów i taki sam odlatujących z pustymi szponami. Okienko statusu nie pokazywało żadnych bieżących problemów. Drukarki nadążały za zapotrzebowaniem, zespół zaopatrzeniowy nadążał za potrzebami surowcowymi, więc ekipa budowlana mogła budować 24 godziny na dobę przez 7 dni w tygodniu.

Pokiwałem głową i pozamykałem okienka wideo. Koniec inspekcji.

* * *

Homer i Charles byli na orbicie okołoziemskiej. Zrobili sobie przerwę od patroli w zewnętrznym układzie. Skorzystaliśmy z tej rzadkiej okazji, by zrobić sobie spotkanie. Ton był nawet bez uwag Artura dosyć ponury. Klimat planety cały czas się psuł, zdaje się, że coraz szybciej.

– Dla mnie to pewnik, że nie wywieziemy z układu piętnastu milionów ludzi – powiedział Homer. – A to oznacza, że trzeba wymyślić coś, co ich tutaj utrzyma przy życiu.

– Potrzebna będzie selekcja. – Charles puknął palcem w swoją kopię holograficznego globusa. – Wyemigrować najpierw najbardziej marginesowe grupy, wszystkich innych przenieść w lokalizacje najbliższe równika.

Pokręciłem głową.

– Większość równikowych lokalizacji nie nadaje się do zamieszkania. Nie przez klimat, w wielu miejscach zrobił się nawet bardziej umiarkowany, ale przez brak infrastruktury. Miasta nie nadają się do zamieszkania po konwencjonalnym bombardowaniu albo spadających

asteroidach. Dodać brak wody i energii... no, nie można po prostu wrzucić bandy ludzi do dżungli i spodziewać się, że przeżyją.

– Sporo tej dżungli to już nie jest dżungla – zripostował Artur.

Skrzywiłem się.

– Wiem, Arturze, ale głównego wniosku to nie zmienia. Nie możemy przenieść takiej liczby ludzi gdzieś, gdzie nie ma infrastruktury, obojętne, jak łagodny tam jest klimat. A w budowaniu tymczasowej infrastruktury nie widzę sensu, bo to opóźni budowę statków.

– I Butterworth dostanie piany. – Charles uśmiechnął się smętnie.

– Dobra – wtrącił Homer. – To ja rzucam pomysł. Użyć orbitalnych lusterek do podgrzania Ziemi?

Spojrzałem na niego zdziwiony.

– Co do zasady, nie jest to zły pomysł. Ale dużo niewiadomych – całkiem nowy problem. Żeby lustro cokolwiek dało, musi mieć pewnie co najmniej dwa tysiące kilometrów średnicy. Poza tym nic nie pomoże na radioaktywność, nie naprawi zniszczonych ekosystemów, przynajmniej nie w ciągu ludzkiego życia.

– No i Butterworth... – dorzucił z uśmiechem Charles.

– Dostanie piany! – odpowiedzieliśmy chórem. Pułkownik Butterworth i jego standardowa reakcja na dowolną zmianę planów stali się czymś w rodzaju mema.

Homer wzruszył ramionami. Też to sobie przeliczył.

– Podrzucmy to pułkownikowi i zobaczymy, czy złapie się za serce i padnie.

– Stacje kosmiczne? – podsunął Charles. – Tylko że chyba mają ten sam problem. I kolonie na Księżycu też. Potrzebne budynki i infrastruktura cofną statki-kolonie o dziesiątki lat. A trzeba budować od razu dla takiej liczby ludzi, żeby robiła zauważalną różnicę na tle piętnastu milionów, inaczej to w ogóle bez sensu.

Kiwnąłem ponuro głową. To samo myślałem – nic dziwnego, że inni Bobowie mieli podobne myśli. Jednakże cokolwiek zrobimy, zabierzemy zasoby z budowy statków. Każdy sensowny plan musiałby dać znaczące wyniki w bardzo krótkim czasie, inaczej jego wpływ na ogólny plan był pomijalny.

– A najgorsze – powiedział Artur – że nawet jeśli będziemy się trzymać obecnego planu, i tak pewnie wszystkich nie uratujemy.

Przeczesałem włosy dłonią.

– Ciągłe do tego wracamy. Nie jesteśmy w stanie wymyślić nic, co by poprawiało perspektywę. Chyba po prostu trzeba lecieć z tym, co jest, i liczyć, że się uda.

Popatrzyłem na resztę. Nikt nie chciał spojrzeć mi w oczy.

44. Bob, styczeń 2166, Delta Eridani

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Gładki czarny monolit. Wymiary: jeden na cztery na dziewięć.

Popatrzyłem na Marvinina. Zakrył twarz dłońmi i pokręcił zawzięcie głową.

– W tle motyw z Tako rzecze Zaratustra... – ciągnąłem.

Marvin zaczął stękać.

– Kiedy Deltanie wokół niego chodzą, jeden rzuca kość w powietrze...

Marvin opuścił ręce i przewrócił oczami. Odczekałem dla efektu parę sekund i ustąpiłem.

– To co, jednak dron, tak?

Marvin ścisnął nos palcami.

– Nie wierzę, że jestem z tobą spokrewniony.

Parsknąłem śmiechem i odwróciłem się do biurka.

– A wracając do realizmu – mamy już drony z głośnikami, więc możemy gadać do Deltan. Szczerze, to ja bym od razu gadał z Archimedesem, a nie z kimś ze starszyzny.

Kiwnąłem głową.

– Czyli żadnej muzyki w tle?

– Żadnej.

* * *

Dron obserwacyjny pokazywał Archimedesowi patrolującego, jak zawsze, swój obszar. Każdego dnia zmieniał trasy poszukiwań i nabrał zwyczaju kopania dołek w przypadkowych miejscach. Szukał krzemienia. Od czasu do czasu towarzyszyło mu paru innych chłopaków, ale bez sukcesów szybko się nudzili.

Umieściłem jednego drona na drzewie przy jego standardowej trasie. Był zamaskowany i wyglądał jak fragment pnia. Nawet gdyby go zauważył, pomyślałby, że to coś drewnianego.

Język deltański był o wiele bardziej gardłowy niż jakikolwiek z ludzkich. Stworzyłem program tłumaczący, tak że mogłem mówić po angielsku, nie przejmując się szczegółami.

– Archimedes?

Archimedes podskoczył, po czym skulił się w obronnej pozycji, rozglądając się nerwowo na boki.

– Nie bój się. Chcę pomóc tobie i twojemu ludowi.

Archimedes powoli się wyprostował, ale wciąż wypatrywał źródła głosu.

– Kim jesteś? Gdzie jesteś?

– Jestem dalej, niż widzisz, Archimedesie. I to ja zabiłem gorylloida, który cię atakował. To ja przyniosłem krzemień.

Oczy mu rozbłysły. Krzemień był bezcenny. Teraz miałem jego pełną uwagę.

– Czego chcesz?

Zastanowiłem się, jak odpowiedzieć, i stwierdziłem, że trzeba jak najprościej.

– Chcę, żeby twój lud odszedł stąd i wrócił do jednej z dawnych wiosek.

Archimedes wytrzeszczył oczy.

– Czyli stary Mojżesz nie kłamał? Były wcześniej inne wioski?

– Tak, Archimedesie. Niektóre z nich są lepsze do życia niż ta.

– Bo jest tam krzemień?

– Tak. I lepszy dostęp do wody, więcej jedzenia i lepsza obrona.

Zmrużył oczy.

– Skoro tak, to czemu stamtąd poszliśmy? To było lepsze miejsce?

Odwrociłem się i wyszczerzyłem zęby do Marvina.

– Dzieciaka łatwo się nie nabierze – powiedział.

– Było, Archimedesie, ale twój lud wtedy tak nie myślał. A potem było już za późno i dali się stamtąd wypędzić.

– A czemu mnie to mówisz? Czemu nie porozmawiasz ze starszymi?

– A oni by mnie słuchali?

Archimedes, rozmawiając, szukał źródła mojego głosu. Triumf odmalował mu się na twarzy, gdy dostrzegł dziwny fragment kory.

– Ty jesteś drzewem?

– Nie, po prostu jestem teraz na drzewie. A ciebie by słuchali?

Prychnął.

– Większość z nich jest głupia jak nie wiem. Nie zadają pytań, nie znają odpowiedzi. Tylko jedzą, śpią i polują.

Omawiałem to z nim przez parę minut. W końcu zgodził się pójść porozmawiać ze starszyzną, chociaż kazał mi obiecać, że jeśli to będzie potrzebne, mam pokazać mu jakiś znak. Wyłączyłem kamuflaż sondy i podleciałem nią do niego.

– Taki może być?

Archimedes zeszywniał i wytrzeszczył oczy jak spodki, ale udało mu się nie uciec.

– Może być.

Patrzyłem z oddali, jak rozmawia ze starszyzną siedzącą w półokręgu naprzeciw niego. Chyba nie szło mu dobrze. Mimo ostatnich dokonań i wzrostu jego statusu wciąż był młokosem. Nawet inni młodzi zaczęli się z niego śmiać i żartować.

Wreszcie miałem dosyć. Włączyłem sondę, podleciałem i zawisłem nad jego głową. Śmiechy i uwagi ucichły jak ucięte.

Archimedes nie był głupi. Było tylko jedno wytłumaczenie, dlaczego cała wioska gapi się w punkt nad jego głową. Pokazując niesamowity talent dramatyczny, nie uniósł głowy ani nie spojrział bezpośrednio na sondę. Po prostu splótł ręce i zrobił zadowoloną minę.

W tle Marvin rzucił:

- Niektóre rzeczy po prostu są ponadkulturowe.
- I ponadgatunkowe – dodałem.

Wszyscy jeszcze na świeżo pamiętali rozwalonego goryloida, a ta sonda wyglądała wystarczająco podobnie do tamtej, żeby ich przekonać. Nikt już nie chciał drwić. Archimedes wyjaśnił, co mu powiedziałem. Kiedy skończył, Mojżesz zerwał się na nogi i zaczął na wszystkich wrzeszczeć. Było to mało artykułowane, ale składało się głównie z wariacji na temat „A nie mówiłem!”. Wyglądało na to, że wszyscy od lat mieli gdzieś jego opowieści, a tu proszę.

W końcu jego tyrada dobiegła końca i starsi zwrócili się z powrotem do Archimedesas. Jeden – stwierdziłem, że będę go nazywać Hoffa – zapytał, czy latająca rzecz obroni ich przed goryloidami.

Archimedes uniósł wzrok na sondę, wreszcie potwierdzając jej istnienie.

- Ona mówi o sobie *bawbe*.

Rozejrzał się wokół.

- Może pomóc, ale jest ich tylko parę i od zabicia goryloida się niszczą. Będą nas prowadzić i pomagać, ale walczyć musimy sami.

Wtrącił się Arnold, który stał poza kręgiem i słuchał.

- Możemy walczyć tutaj, możemy walczyć gdzie indziej. Ale *bawbe* ma rację, tutaj jest trudno, bo miejsce jest zbyt otwarte. A mnie się podoba mieć więcej dzid i toporów. – Machnął toporem dla podkreślenia swoich słów, omal nie zahaczając paru gapiów.

Dyskusja ciągnęła się godzinami. Jak zawsze niektórzy chcieli trzymać się status quo tylko dlatego, że je znali. Zwalczali plan ze wszystkich sił, nawet w którymś momencie zaproponowali, żeby wysłać grupę Deltan na poszukiwanie tamtego miejsca. Arnold zgasił ich uwagę, że nie ma ochoty wracać do wioski pełnej trupów.

Spojrzałem na Marvina.

- Jezus, wszędzie taki sam szajs.

– No – odpowiedział – wygląda na to, że w całym wszechświecie polityka to polityka.

45. Bill, styczeń 2165, Epsilon Eridani

[Przychodząca transmisja UNOP z Alfy Centauri]

– Super! – Odłożyłem plik, nad którym pracowałem. – Calvin czy Goku?

[Bart]

Uniosłem brew. Reakcja Gupika była taka jak zawsze.

Westchnąłem i podjąłem połączenie.

– Tu Bill.

– Cześć, Bill, mówi Bart. Jestem z pierwszego miotu Calvina. Wow, to naprawdę...

Wskoczyłem mu do VR. Robienie tego bez zaproszenia było trochę chamskie, ale to zdziwienie ciągle mnie bawiło.

Jego rzeczywistość od razu mi się spodobała. Dom z bali w stylu rustykalnym, z żeliwnym piecem na drewno, kominkiem, ciężkimi, grubo ciosanymi meblami i masą dywanów i koców. Przywiodło mi na myśl domek, do którego w dzieciństwie zawoził mnie ojciec na ferie.

Bart siedział w wielkim fotelu bujanym, tym, w którym przeważnie relaksował się ojciec. Minę też miał odpowiednią. W myślach zrobiłem na obudowie mojego UNOP-a kolejne nacięcie.

– Co, kur...

Uśmiełem się z jego zdeorientowanej miny.

– Witamy w BobNecie. Natychmiastowa łączność aż do dwudziestu pięciu lat świetlnych. Dobra, Bart, a co się stało z Calvinem i Goku?

Bart, zanim odpowiedział, chwilę przypatrywał się jakości VR. Wszyscy tak robili za pierwszym razem.

– Zbadali układ Alfę A i B, dokładnie jak w profilu misji. W A znaleźli brazylijską fabrykę działającą na pełnym gazie, a w B wrak sondy i autofabryki ZSE. Myślę, że możemy uznać los sondy ZSE za znany. – Wzruszył nieznacznie ramionami. – Zrobili atak z zaskoczenia na brazylijską instalację – te ulepszenia *Nieba* w wersji 3 naprawdę świetnie się sprawdzają – i wszystko zlikwidowali.

– Znakomicie. Jakies zdatne planety?

– Nie. – Bart powoli pokręcił głową. – Układ jest świetny pod względem zasobów i tak dalej, ale nie do mieszkania. I nie do końca znakomicie. Jedna z brazylijskich sond uciekła, chociaż wydaje nam się, że jeszcze nie była skończona. Możliwe, że jest nieuzbrojona i może nie

mieć sprzętu do autofabrykacji.

– Mhm... Niezbyt dobra wiadomość. Może próbować opanować instalację kogoś innego. Albo poczaić się przez jakiś czas, a potem na was tam napaść.

– Porobiliśmy systemy wczesnego ostrzegania, nie ma się czego bać. A układ przeskanowaliśmy raczej dokładnie. Myślę, że poleci gdzie indziej.

Wzruszyłem ramionami. Szkoda na to czasu. Nie da się go teraz wyśledzić, można tylko czekać, aż pojawi się w jakimś innym miejscu.

– No, w każdym razie... – ciągnął Bart – Goku i Calvin zbudowali fabrykę Bobów i odlecieli, gdy tylko jeden z nas był gotowy, żeby wszystko przejąć. Kiedy dostałem twoje plany, zbudowałem UNOP-a i oto jestem.

Przyjąłem folder, który mi podsunął, i przez moment go przeglądałem. Nic rewolucyjnego. Ucieszyłem się, z nutką samozadowolenia, że modyfikacje wersji 3 tak dobrze się sprawdziły. Teraz Medeiros, żeby konkurować, będzie musiał sporo nadgonić.

– Dobrze widzieć działającą fabrykę Bobów – powiedziałem. – Sam trochę zaniedbałem ten temat, odkąd wysłałem ostatnią grupę. Mogę się poczuć trochę mniej winny.

Bart uśmiechnął się w odpowiedzi. Przez parę minut wymienialiśmy się nowinami, potem obiecał, że od czasu do czasu wpadnie na rundkę baseballa „jeden na wszystkich”. Z Bartem i dwoma innymi Bobami na ukończeniu wreszcie będzie dość ludzi, żeby obsadzić wszystkie pozycje.

46. Milo, sierpień 2165, 82 Eridani

Łagodnie hamując, wleciałem do układu 82 Eridani. Według danych astronomicznych był bardzo dobrym kandydatem do posiadania zamieszkiwalnej planety. Gwiazda, typu G5V, była mniejsza i ciemniejsza niż Słońce, ale wciąż mieściła się w charakterystyce żółtych gwiazd, które odpowiadałyby ludzkiej rasie.

Nie chciałem się robić zarozumiały, ale przewidywałem, że udadzą mi się dwa odkrycia z rzędu. Pewnie nie będę miał okazji wymalować sobie na kadłubie brazylijskiego statku jak Bob 1, ale parę planet z zielonymi „ptaszkami” przez środek czemu nie? No właśnie.

Patrzyłem uważnie na powoli napływające dane ze skanów. Wreszcie Gupik oznajmił, że jest wygrana. Nie jedna, ale dwie planety w ekosferze, choć jedna na jej wewnętrznej granicy, a druga na zewnętrznej. Ale i tak ekscytujące odkrycie. Czyli, dziękuję bardzo, tylko samych planet będę mógł sobie wymalować cztery.

Nie mogłem się doczekać podzielenia się tą dobrą wiadomością – ustawiłem baterię anten na Epsilon Eridani i zacząłem pchać telemetrię do Billa.

Wyznaczyłem kurs na zewnętrzną z tych planet, bo była bliżej. Miała duży księżyc dalej od siebie i mały księżyc bliżej. Co dziwne, większy księżyc był koloru niebieskiego. Podejrzywałem, że może na nim być woda. Planeta zdecydowanie miała duże akweny wodne.

Gdy wyhamowywałem, żeby wejść na orbitę okołoplanetarną, odezwały się alarmy zbliżeniowe. Dopiero po chwili skupiłem się na nich. Zza krzywizny księżyca nadlatywały cztery rakiety, ostro przyśpieszając.

Cholera! Zawróciłem i przyśpieszyłem, ale było jasne, że mają o wiele lepsze nogi. Przeliczyłem wszystko, zbadałem alternatywy, ale nie miałem wyjścia. Byłem uziemiony, chyba że zniszczę wszystkie cztery rakiety. Poświęciłem chwilę i dałem niszczycielom dodatkowe polecenie – po zniszczeniu rakiet niech wyszukają i zniszczą statek pasujący do brazylijskiego profilu – po czym wystrzeliłem wszystkie osiem w typowym szyku, parami.

Kiedy poleciały w kierunku atakujących rakiet, alarmy zbliżeniowe odezwały się po raz drugi. Pojawiły się kolejne cztery rakiety, z przeciwnej strony księżyca. Nie miałem już niszczycieli. Nie mając

szans na odwołanie ich – nie zdążyłyby dolecieć – byłem zdany na działo elektromagnetyczne. Przeliczyłem to szybko. Zdejmę dwie, może i trzy, ale po prostu nie wyrobię się z ładowaniem dział, żeby zniszczyć wszystkie.

Medeiros mnie przechytrzył, i to jak.

Strzelając do nadlatujących pocisków, pilnowałem, żeby anteny wciąż celowały w Billa. Wypluwałem mu opis mojej sytuacji oraz przyrostową kopię zapasową. Jakiś spokojny fragment mojego umysłu obliczył, że nie zdąży się przesłać w całości. Szlag.

Ostatnie dwie rakiety wypełniły moje pole widzenia...

47. Riker, styczeń 2166, Układ Słoneczny

– Pułkowniku, ale oni giną!

Pułkownik miał wysunięty podbródek – jasny znak, że czeka mnie walka. W ostatnich latach SZLAG zaczął atakować produkcję i przechowywanie żywności. Większość ich prób miała właściwie charakter symboliczny. Ale ostatnie trzy zamachy pozbawiły parę grup niezbędnych do przeżycia zasobów. I żywność miała zaraz im się skończyć – w połowie zimy. Jeśli nie uciekną się do kanibalizmu, do wiosny będziemy mieli setki ofiar.

Na nieszczęście aktualny polityczny klimat był mało empatyczny. Parę grup, którym się nie udało, dla reszty oznaczało głównie krótszą kolejkę emigracyjną.

Obóz ZSE, enklawa Wiary i Szpice byli najbogatsi w zapasy, ale jasno powiedzieli, że niczym się z nikim nie podzielą. Zwłaszcza Szpice starały się, aby wystarczyły im na jak najdłużej. Ich roczna nadwyżka topniała z roku na rok. Za parę lat sami mieli być w potrzebie.

Trzy godziny negocjowania, błagania i grożenia – i zero wyników. Wiedzieli, że ich nie zostawię, więc sprawdzali każdy mój bluff.

Zniesmaczony odciąłem połączenie wideo, nawet się nie żegnając.

Homer popatrzył na mnie ze swojego okienka wideo. Śledził całość.

– Cholera, Dwójka, naprawdę jesteśmy między młotem i kowadłem.

Kiwnąłem ponuro głową. Na razie skończyły mi się pomysły.

– Będzie coraz gorzej – dodał Homer. – Klimat się nie poprawia. Wiele grup przeżywa tylko dlatego, że jedzie na zapasach. Produkują za mało żywności, żeby się utrzymać.

– Dzięki, Homer. Nie ma jak podnieść na duchu.

Homer wzruszył ramionami. Trzeba mu przyznać, że nie mówił tego po to, by mnie sprowokować.

– Riker, wiesz, co musimy zrobić? Trzeba się zająć rolnictwem albo coś w tym rodzaju.

– Homer, już to przerabialiśmy. Dałoby się założyć farmy w dawnej strefie zwrotnikowej, ale nadadzą się na maksymalnie dwadzieścia lat. I trzeba by zbudować całą infrastrukturę – teraz ona jest wyłącznie w dawnej strefie umiarkowanej.

Wpatrzył się w przestrzeń, pocierając podbródek.

– Cały czas wracają mi te stacje kosmiczne. Coś mi w nich nie daje

spokoju.

Otworzyłem usta, żeby się sprzeciwić, ale Homer wyciągnął dłoń, uprzedzając mnie.

– Wiem, Riker. Za skomplikowane, za małą gęstość zaludnienia, żeby się opłacały, za duże ryzyko. Tylko, wiesz, my chyba ze złej strony na to patrzymy.

Już zacząłem wzruszać ramionami i odpowiadać, gdy Homer wrzasnął:

– Kurwa mać! – I zamarł.

Na moment spanikowałem, wyobraziwszy sobie, że dostał rakieta, ale zaraz odezwał się ponownie:

– Artur nie żyje. – Był wściekły, zupełnie jak nie Homer. – Właśnie przysłała telemetria z dronów z okolic Saturna. Obrabiał jakiś wrak i doszło do wybuchu atomowego. Raporty przychodzą z bardziej oddalonych dronów. Mina-pułapka. Nie wiadomo czyja. Parę razy mu mówiłem, żeby uważał na takie rzeczy. Ale zrobił się niedbały.

– Miał gdzieś zapisaną kopię? – Już zadając pytanie, znałem odpowiedź. Zrobienie kopii i trzymanie jej na pokładzie było proste, ale w takim przypadku dość bezsensowne. A nie mieliśmy dość pamięci, żeby nawzajem przechowywać własne kopie. Kiedyś zapisałem sobie zadanie, by dołożyć miejsca do przechowywania na stacji kosmicznej, właśnie do tego celu. Podobnie jak 99% innych zadań, trafiło do kategorii „Kiedyś”.

Poświęciłem chwilę na żalobę po Arturze. Depresyjny, tak, ale był jednym z nas. Homer patrzył na mnie wyczekująco – dotarło do mnie, że mam trudność ze skupieniem. Z wysiłkiem skoncentrowałem się z powrotem.

– Dobra, Homer, niech drony odzyskają, co się da, a ja porozmawiam z pułkownikiem. Wygląda na to, że znowu trzeba będzie zmienić harmonogram. Nie poradzimy sobie bez czwartego Boba. I ja chyba lepiej zbuduję tę macierz dyskową.

– Hmm. Jest alternatywa – powiedział Homer. – Mamy drukarki, które były przeznaczone do mojego ziemskiego wydobywania. Nie do końca są wolne, ale przynajmniej nie dyszy nad nimi pułkownik Butterworth.

Zaśmiałem się, wyobrażając sobie tę niemożliwą scenę. Homer miał rację. Kiwnąłem głową i wysłałem do Billa wpis do *In Memoriam* o Arturze. Gdy tylko Charles wróci na orbitę okołozemską, urządzimy stypę.

48. Bob, maj 2166, Delta Eridani

Przygotowania zajęły prawie miesiąc. Droga do najlepszego miejsca na założenie wioski miała być długa i męcząca. Wnosząc z rozmów z Mojżeszem, to była jedna z pierwszych opuszczonych wiosek i niestety ostatnia z takim źródłem krzemienia.

Zdaje się, że był wówczas młodym szczeniakiem i większość jego informacji z tamtych czasów pochodziła z relacji innych. Był jednym z ostatnich Deltan, którzy nauczyli się łupać krzemień, zanim musieli stamtąd odejść.

W każdym razie Marvin zbadał drogę, którą będą musieli iść. Nie była łatwa ani szybka. Przez środek tego kontynentu biegł górski grzbiet, a w nim było tylko kilka możliwych do przejścia przełęczy. Podczas tego etapu podróży plemię nie zdobędzie też żadnego pożywienia, chyba że będzie miało bardzo dużo szczęścia.

Nie wiedziałem, czy Deltanie utracili techniki konserwacji żywności, czy nigdy ich nie rozwinęli. Zanim wyszli, musiałem ich nauczyć, jak konserwować mięso. Natychmiast zrozumieli, jakie to daje korzyści, i zabrali się do tego z entuzjazmem.

Zaczęli gromadzić zapasy na drogę. Po podjęciu decyzji wszyscy przystąpili do akcji, a mogąc od razu skorzystać z wiedzy, którą im przekazałem, zaczęli wierzyć, że prowadzę ich w dobrym kierunku.

Kilka razy widziano gorylody wałęsające się skrajem deltańskiego terytorium. Może liczyły, że coś im się przydarzy, ale wyglądały, jakby w ostatniej bitwie przetrącono im kręgosłupy. Nie atakowały żadnej z deltańskich wypraw myśliwskich. Oczywiście może pomagał widok przelatującego od czasu do czasu drona. Ja z wielką przyjemnością budziłem u nich lęk przed *bawbe*.

Czekając, aż ukończą przygotowania, dopilnowaliśmy z Marwinem budowy kolejnych niszczycieli. Nie były idealną bronią, coś jak dynamit na ryby, ale lepsze to niż nic. Poza tym nadrabiały brak dokładności nadmiarem dramatyizmu.

Drugim problemem był cykl rozrodczy. Jak się okazało, Deltanie mieli roczny cykl i dla znacznej liczby przyszłych matek zbliżał się termin porodu. Zrozumiałe, że byli niechętni do wyprowadzki tuż przed tym terminem.

Notowania Archimedesesa u innych młodych cały czas zwyżkowały.

Praktycznie rzecz biorąc, był teraz członkiem rady plemienia, czym nie mógł się pochwalić nawet Arnold. Zauważyłem mimochodem, że zaczyna też wykazywać liczne oznaki deltańskiej dojrzałości płciowej. Pewnie za parę lat będzie dookoła biegać cała gromadka mini-Archimedesów. Pasowało mi to. Zupełnie inaczej rozmawiało się z nim, a inaczej z resztą plemienia.

Wreszcie nadszedł ten dzień. Całe plemię zebrało się, spakowało dobytek na „sanie” (kolejny dar od *bawbe*) i wyruszyło w wielkie nieznanne.

W dniu wymarszu goryloidy też były obecne. Trzymały się w bezpiecznej odległości i obserwowały marsz. Ciekawe, czy rozumiały, że ich niegdysiejsze ofiary właśnie na dobre znikają, czy po prostu śliniły się na widok takiej ilości wędrującego żarcia. W każdym razie, pierwszy, który by kiwnął palcem, dostałby niszczycielem w ryj. Stałem w pogotowiu i tylko czekałem, żeby kogoś rozwalić.

* * *

Pierwsza noc nie była najlepszym doświadczeniem dla wszystkich. Była ulewa. Musiałem się napominać, że Deltanie są do tego przyzwyczajeni. Nie mieli namiotów, tylko zszyte razem skóry, którymi przykrywała się każda rodzina. Postanowiłem, że zapoznam Archimedesę z ideą tyczek namiotowych.

– Spokojnie, spokojnie, o wielkie Mzimu. Bo ani się obejrzysz, a będą żreć fast foody przed telewizorem. – Marvin rozparł się w fotelu z rękoma za głową. – Poważnie: może lepiej nie rzucać im zbyt wielu rzeczy naraz. Jak dla mnie na razie aż nadto wystarczą latające metalowe bóstwa.

– To ciekawe, że to mówisz. – Zmarszczyłem czoło w namyśle. – Zauważyłeś, że oni na oko w ogóle nie znają idei religii?

Marvin machnął ręką.

– Jakiś tam prymitywny animizm jest, na przykład oddają cześć zwierzętom, które zabijają na mięso, szacunek dla umarłych. Pewnie i ludzie w fazie zbieractwa-łowiectwa nie mieli wiele więcej. – Wyprostował się nagle. – À propos, zdałeś sobie sprawę, że mamy okazję udokumentować całą ich prehistorię? No, przynajmniej, odkąd tu przylecieliśmy?

– Marv, ja dawno zacząłem.

Obóz chyba już położył się spać, więc ustawiłem parę sond na warcie, z parametrami, kiedy mają sygnalizować. Zabezpieczywszy wszystko, odwróciłem się twarzą do Marvina.

– Zauważyłem, że puściłeś partię Bobów w autofabryce. Nie mam

pretensji, bo tak mamy w celach misji, po prostu się zastanawiam... Zmieniłeś zdanie, lecisz gdzieś?

Odpowiedział uśmiechem.

– Tak od razu to nie, choć chwilami już mam ochotę gdzieś lecieć. Ale jak powiedziałem Luke’owi i Benderowi: ciekaw jestem, co z tego wyjdzie. Jednak to raczej twój projekt. Może ja sobie znajdę jakieś inne istoty rozumne.

Kiwnąłem głową z namysłem.

– A badania planety? Są gdzieś jacyś inni Deltanie?

– Nic z tego. Ten kontynent to u nich kolebka istot rozumnych. Ewidentnie lokalna mutacja. Jest masa pokrewnych gatunków, ale żaden nie używa ognia ani nie wytwarza narzędzi.

Wyświetliłem globus Edenu i przyjrzałem się zgromadzonym informacjom. Dało mi to czas do namysłu. Uświadomiłem sobie, że martwi mnie, że Marvin chce się pożegnać. Jakimś cudem byłem o wiele mniejszym samotnikiem niż pierwszy Bob. Przerazało mnie, że znowu będę sam.

Podniosłem głowę i zerknąłem na Marvina, który majstrował przy własnej kopii globusa. Westchnąłem i opróżniłem holo.

* * *

Migracja Deltan nadal szła całkiem zgodnie z planem, jak dotąd bez poważniejszych zacięć. Zaczynali popadać w rutynę. Ja nie byłem aż tak wyluzowany. Wyszliśmy już z terytorium goryloidów, którym skopaliśmy tyłki. Te tutaj, jeśli jakieś będą, zobaczą tylko masę łatwych łupów. Dlatego z Marvinem podwoiliśmy liczbę dronów na straży.

Zatem trochę się zirytowaliśmy, że atak nadszedł w dzień. Jak na szturm goryloidów, nie był specjalnie imponujący. Nieco ponad dziesiątka małpoludów napadła na pozostającą z tyłu rodzinną grupkę i zanim ktokolwiek się zorientował, uprowadziła dwójkę młodych. Deltanie zareagowali od razu – puścili się w pogoń, próbując odciąć goryloidom drogę do lasu.

W tej sytuacji niszczyciel byłby równie groźny dla dwojga młodych, jak dla goryloidów, więc poprzestaliśmy na straszeniu ich dronami, licząc, że się zdezorientują i spłoszą. Na oko się udało. Po chwili Deltanie dogonili je i nadziali z połowę na dzidy. Reszta uciekła między drzewa, krzycząc z przerażenia.

Niestety jeden z młodych był martwy. Goryloid, który go niósł, postarał się, by się nie wrywał.

Deltanie byli zrozpaczeni i wieczorem urządzili mu pogrzeb. Co ciekawe jednak, nie było mowy, że migracja to błąd. Gdyby to byli

ludzie, jestem przekonany, że mądrzy po fakcie przerzucaliby się wzajemnymi oskarżeniami. Deltanie przyjęli to spokojnie. Nie potrafiłem zdecydować, czy podchodzą do tego fatalistycznie, czy filozoficznie.

– Im dalej będziemy szli, tym częściej się to będzie zdarzać. Dużo częściej – powiedział Marvin.

– Goryloidy? No tak, wiem. Ale za dnia niewiele możemy zrobić. Podcierwień jest na nic. Wszystko się rusza, z różnymi prędkościami, a obszar do pokrycia jest po prostu zbyt duży.

Westchnął.

– Ja wiem. Tylko... nawet po tej ostatniej rundzie narodzin oni wciąż mają małą pulę genetyczną.

Kiwnąłem głową i zacząłem się zastanawiać.

– Zaraz... a ty nie wspominałeś kiedyś, że jest trochę takich małych, porozrzucanych grupek? Może trzeba by je poprzyłączać?

– Niezły pomysł. Korzystny dla obu stron. Ja co drugą noc będę robił obserwacje z dużej wysokości. Jak wypatrzę jakieś ogniska, to wyślemy tam *bawbe*, żeby przekonało ich do migracji.

Wyszczrzyłem się na to. Moja boska reputacja kompletnie nie przekładała się na szacunek, nawet do samych siebie.

* * *

Migracja robiła się coraz liczniejsza. Nie dość, że znaleźliśmy parę małych grupek i przekonaliśmy je, żeby się dołączyły, to najwyraźniej sam przemarsz robił takie zamieszanie, że słychać go było z wielu kilometrów. Pod koniec pierwszego miesiąca co najmniej jedna grupka przyłączała się prawie codziennie. Choć często pojawiały się problemy w negocjacjach, gdy różni Deltanie próbowali stawiać się na czele, przeważnie kończyło się to tylko wymianą ostrych słów. Miałem przecucie, że zawdzięczamy to dzidom z krzemienym grotem oraz Arnoldowi z jego potężnym toporem.

Marvin i ja staraliśmy się kryć z dronami, zwłaszcza w obecności nowych. Nie chcieliśmy ryzykować, że ktoś się wystraszy. W końcu jednak ten temat się pojawiał, albo z tego czy innego powodu byliśmy zmuszeni podlecieć bliżej. Skutki przeważnie były dość komiczne. Deltanie nie reagowali na UFO lepiej niż ludzie.

Migracja osiągnęła poziom dobrze ponad pięciuset osobników. Znaczną część stanowiły samice i młode. Zatem i Marvin, i ja wydaliśmy dwa westchnienia ulgi, gdy cała banda dotarła na podnóże przełęczy.

Ta część wiązała się z innymi zagrożeniami. Musieli wyjść daleko ponad strefę ich ulubionego klimatu, czyli solidnie zmarznąć – nie mieli

żadnej ochrony przed zimnem ani drapieżnikami. Nie było też na co polować.

Nim zaczęli wspinaczkę, dopilnowałem, żeby przeliczyli zapasy żywności. Czekał ich co najmniej tydzień bez żadnego innego źródła pożywienia. To nie był dobry moment na bylejakość.

Ruszyli w górę z samego świtu, by pokonać za dnia jak największą odległość. Wiedziałem, że każdy kolejny dzień będzie miał coraz wolniejsze tempo. Liczyło się, żeby zacząć jak najlepiej.

Dotarcie na przełęcz zajęło cztery dni. Zabudżetowaliśmy sześć – osiągnięcie było spore. Nikt jednak nie chciał się tam zatrzymywać, bo potwornie wiało. Postanowili iść aż do wieczora, po prostu, żeby wyjść z tego wygwizdowa.

* * *

Wędrówka w dół z oczywistych powodów odbywała się szybciej. Trzy dni później migracja wlała się do lasu, tym razem jeszcze z zachowanymi zapasami jedzenia. Aby to uczcić, rozłożyli się na cały dzień na skraju lasu. Zrobili sobie przerwę na ucztę i zjedli zapasy. Odtąd mogli bowiem zbierać jedzenie i polować.

Minęły kolejne dwa dni, zanim nadeszła katastrofa.

49. Riker, maj 2166, Układ Słoneczny

[Firewall zablokował próbę włamania]

Zesztywniałem i odwróciłem się do Gupika, zapomniawszy o posiedzeniu ONZ.

– Co? Ktoś nas próbuje zhakować?

[Potwierdzam. Źródło jest prawdopodobnie w strumieniu wideo z posiedzenia ONZ]

– Zagrożenie?

Zamiast odpowiedzieć, Gupik wypluł zrzut pamięci. Zbadałem go. Wyglądało na to, że haker oparł swój atak na podstawowym projekcie *Nieba*. Oryginalne statki nie miały firewalla, polegały tylko na szyfrowaniu całej łączności. Wychodziło jednak na to, że szyfrowanie miało ukrytą furtkę. Komuś udało się wstrzyknąć parę pakietów, które rozbiły się o firewall zrobiony przez Boba 1.

Na szczęście pomyślałem o tym, żeby system łączności ONZ zapisywał do logu cały ruch sieciowy. Wypróbuję później ten hak na Piaskowym Bobie. Nie miałem specjalnych wątpliwości, że próba wyszła z enklawy WIARY, ale nim zacznę rzucać oskarżenia, potrzebuję mieć jakąś dokumentację. No i jeszcze pytanie, co w ogóle mogę z tym zrobić. Przecież nie ma jakiegś planetarnej policji, do której mógłbym złożyć skargę.

Dzisiejsze spotkanie ONZ było poświęcone na oko wyłącznie rutynowym sprawom, postanowiłem więc od razu zająć się własnymi rzeczami administracyjnymi.

Pierwsza na liście była wiadomość od Homera. Tylko jedna fraza. „Stacja kosmiczna!” z wykrzyknikiem. Nie rozumiałem, co mógł zmienić w tym projekcie, żeby miał sens, ale pogadam z nim, kiedy będę miał chwilę.

Zerknąłem w strumień wideo z ONZ, lecz dalej nie działało się nic godnego uwagi.

Była też wiadomość od Julii, całkiem długa, opisująca historię rodzinną. Najwyraźniej bez zastrzeżeń uznała mnie za swojego krewnego. Trochę mnie to poruszyło. Miejmy nadzieję, że ona nie wysłała tego tylko dlatego, że Cranston jej kazał.

[Źródło jest w Nowej Zelandii]

Gupik przeszedł, skąd wyszły pakiety. Ale Nowa Zelandia? To się

kupy nie trzymało. I znaczyło też, że nie będę miał dowodów, których potrzebuję, żeby dać się Cranstonowi we znaki. Może zablefuję.

Tymczasem hakerowi nie miało się udać, więc równie dobrze mogę mu pozwolić próbować dalej.

Puściłem testowy sygnał do Homera. Odpowiedział, że może pogadać. Przez chwilę zachwyciłem się faktem, że mogę z nim bez opóźnienia rozmawiać przez pół Układu Słonecznego. Nie musieliśmy się już przejmować prędkością światła.

Wskoczyłem mu do wirtualki.

– Stacja kosmiczna?

Homer schował okienko, w które patrzył, i odwrócił się do mnie.

– Rozwiązanie naszych problemów. – Uśmiechnął się szeroko.

– Jeśli nie wymyśliłeś czegoś nowego, to nie.

– Tylko nowy punkt widzenia – odpowiedział. – Dotąd myśleliśmy o stacjach kosmicznych dla ludzi. To oczywiście do niczego. Powietrze musi być w sam raz, ciężenie w sam raz, grube osłony przed promieniowaniem, pancierz przeciwko mikrometeoritom, ludzi trzeba zakwaterować, wyżywić, zapewnić rozrywki, bla, bla, bla. Ale jeśli nie chcemy tam mieć ludzi, konstrukcja może być o wiele prostsza.

– Dobra, Homer, poddaję się. Krowy tam będziemy hodować? A może... – Wytrzeszczyłem oczy.

– I się wydało – powiedział, pokazując mi palcem. – Rolnictwo. Wystarczy tylko tyle prędkości obrotowej, żeby było wiadomo, gdzie dół, a gdzie góra – mniejsze naprężenia, lżejsza konstrukcja. W środku może być jedna wielka komora, a światło jest dostępne dwadzieścia cztery godziny na dobę. Trochę sprzętu do pilnowania, czy mieszanka atmosferyczna i temperatura jest odpowiednia – i załatwione.

Zastanowiłem się nad tym.

– Rośliny zużywają CO₂ i produkują tlen. Jeden dzieciak z zapałkami wystarczy, żeby to odwrócić. Ale my musimy produkować kalorie, jak najintensywniej. Masz już pomysł, co to konkretnie będzie?

Podniósł kciuk.

– Pewnie, że tak. Pamiętasz ten zapis biblioteczny o genetycznie zmodyfikowanym kudzu? Więcej wartości odżywczych, mniejsze wymagania na środowisko, strawne dla ludzi...

– Oraz duże nasłonecznienie i optymalna temperatura w okolicach dwudziestu stopni. Gdzie my znajdziemy takie warunki? A, zaraz... – Wyszczrzyłem zęby.

– No właśnie. A teraz mamy dostęp do svalbardzkiego banku, możemy sobie wybrać taki kultywar, który najlepiej będzie pasował do środowiska, które nam wyjdzie. – Zawahał się, uniósł palec wskazujący. – Tylko że kudzu potrzebuje bardzo dużo wody, więc trzeba ją będzie ciągle wozić na górę, chyba że ściągniemy sobie z Saturna parę gór

lodowych...

– ...przy użyciu holowników do asteroid. – Kiedy dopracowaliśmy szczegóły, budził się we mnie coraz większy entuzjazm dla tego pomysłu. – Mogą też posłużyć jako źródło regolitu na glebę. Nawóz trzeba będzie przywieźć, ale objętościowo to przyszcz. Zwłaszcza jak już się rozkręcimy.

– A najlepsze – dokończył Homer – że da się to zrobić moimi drukarkami, tymi samymi, które teraz budują następcę Artura.

Ostatnia uwaga Homera przypomniała mi o pułkowniku. Jęknąłem. Jego na pewno taka linia rozumowania nie udobrucha. Dla niego każdy sprzęt, który robi cokolwiek innego, jest bez sensu odrywany od budowy statków-kolonii.

– Butterworth i tak dostanie piany.

Homer podskoczył na krześle.

– Fajnie. Będę mógł popatrzeć?

* * *

Piany dostał nie tylko Butterworth, całe zgromadzenie ONZ się wściekło. Krew zalała wszystkich oprócz grup stojących w obliczu głodu. Zaczęli się drzeć nieartykułowanie. Siedziałem z opadniętą szczęką, gdy oskarżali mnie o (cytuję) „zbrodnicze nadużycie” zasobów, które przecież wcześniej w ogóle nie były uwzględnione w równaniu. W końcu miałem dość. Poprosiłem o głos.

– Panie i panowie. Chodzi o to, że niektórzy ludzie umrą z głodu, i to w ciągu sześciu miesięcy do roku. Ci z was, którzy mają zapasy, nie chcieli się podzielić, więc to ja jestem zmuszony rozwiązywać ten problem. Rozwiązanie jest sensowne i nawet nie wpływa na harmonogram. Owszem, wpływa na statki-kolonie, bo wykorzystujemy odzyskane z Ziemi surowce do budowy stacji kosmicznych, a nie statków. Ale jestem skłonny wymienić przyszłe statki-kolonie na obecnych żywych ludzi. A po drugie, część z was, zanim doczeka się swojej kolejki, też będzie uzależniona od naszych plantacji kudzu. To może zanadto nie krytykujcie, co?

Wyłączyłem mikrofon, czyli zająłem z powrotem miejsce i patrzyłem, jak przewodniczącego zalewają prośby o głos.

Niewiarygodne. Zawsze i wszędzie to samo.

* * *

Odbębniałem dzienną rundę rozmów i oczywiście w kolejce był też

Cranston. Niesamowite. Z drugiej strony musiałem pogadać z nim o tej próbie włamania. Przetarłem oczy, zarządziłem kawę i nawiązałem połączenie.

– Dzień dobry, pastorze. Chciał pan porozmawiać o czymś konkretnym?

– Właściwie tak. A dokładniej o dzisiejszym posiedzeniu. Może nie jesteśmy najbogatszą enklawą na Ziemi, ale mamy pewne nadwyżki. – Pokiwał głową. – Jak wielokrotnie przypominałeś.

– A pan odmówił oddania choćby części z nich. Coś się zmieniło?

– W pewnym sensie. Skoro wpadłeś na ten pomysł z kudzu, wydaje się, że oddanie części naszych nadwyżek zuboży nas tylko przejściowo, a nie na zawsze...

Usiadłem prosto. Gdzieś w tym musiało się kryć jakieś „ale”, lecz przynajmniej brzmiało to w miarę rozsądnie.

– Oczywiście coś za coś. Skoro już zdecydowałeś umieścić Szpiców na statku numer trzy, gdzie miejsca zostało w sam raz dla naszej enklawy – a kiedy oddamy nadwyżki będziemy wśród tych najuboższych – wydaje mi się, że to całkiem rozsądny wybór, aby w ten sposób dopełnić ten statek.

Spojrzał na mnie wyczekująco. Zjeżyłem się na tę próbę protekcji, ale potem zastanowiłem się. Wszystko, co powiedział, było prawdą. Choć wciśnięcie enklawy WIARY na następne miejsce w kolejne było trochę na siłę, ale nie aż tak. Zwłaszcza jeśli pozbędą się zapasów. A nagrodzenie takiej otwartej współpracy będzie też jasnym przekazem dla reszty.

Przez parę milisekund patrzyłem w przestrzeń. To ciekawe. Jeśli od razu mu odmówię, dowiodę własnych uprzedzeń.

– Pastorze, to zadziwiająco rozsądna propozycja. Będą ją musiał omówić z ekipą, ale chyba zostanie przyjęta.

Udało mu się nie promienieć nadmiernym samozadowoleniem. Kiwnął głową i sięgnął do wyłącznika.

– Moment. Mam jeszcze jedną drobną sprawę. – Opowiedziałem mu o próbie włamania, pomijając, dlaczego się nie udała. – Co pan o tym myśli?

Milczał parę sekund – dla mnie wieczność. Kiedy się odezwał, był zażenowany, zupełnie jak nie on.

– Zakładam, Riker, że pytasz, a nie oskarżasz, dzięki temu, że geograficzne źródło ataku jest właśnie takie, a nie inne. – Uśmiechnął się nieznacznie. – Bo jak się okazuje, Nowa Zelandia jest zupełnie logiczna. Widzisz... ekhm... nasze sondy kosmiczne nie do końca były opracowane przez nas, przez WIARĘ. Pracowała nad nimi Australia, a jeden z naszych agentów sobie technologię... eee... pożyczył.

– Szpiegostwo? Wykradliście ich plany?

– Możesz sobie to nazywać, jak chcesz, ale to bardzo prawdopodobne, że Federacja Australijska ma, lub miała, bardzo dobrą orientację w konstrukcji naszej sondy. A kiedy Brazylia zaczęła zrzucać na nich skały, większość ocalałych na pewno wylądowała w Nowej Zelandii. – Popatrzył na mnie, przekrzywiając głowę. Wniosek był jasny.

– To bardzo ciekawe. Dziękuję za grę w otwarte karty, pastorze.

Pożegnaliśmy się, a ja od razu wysłałem wiadomości do Charlesa i Homera.

Charles odpowiedział po chwili:

– Zgadza się na propozycję WIARY. Poza tym to też ratuje naszą rodzinę. Wiem, że ty nie chcesz tego umieszczać w równaniu, ale ja się tak bezstronnością nie przejmuję.

Potem Homer:

– Zgoda. A ta historia z Australią też wydaje się prawdopodobna. Cranston bardzo rzadko gada sensownie. Mam nadzieję, że czegoś sobie nie nadwerężył.

Parsknąłem śmiechem. No dobra, zdaje się jesteśmy dogadani.

50. Bob, czerwiec 2166, Delta Eridani

Z perspektywy czasu widać, że trzeba się było tego spodziewać. Musiał być jakiś powód, dla którego Deltanie wynieśli się z okolic grzbietu skalnego, mimo lepszego położenia i zasobów. I był – miał postać goryloidów.

Migracja Deltan była liczna, hałaśliwa i rozciągnięta. Stanowiła nieodpartą pokusę, jak wędrowny szwedzki stół.

Zaatakowały wczesnym rankiem, zaraz po świcie, gdy czujniki podczerwieni dronów były bezużyteczne. Oczywiście ani o tym nie wiedziały, ani o to nie dbały. Po prostu ruszyły, kiedy było cokolwiek widać.

Deltanie byli na wpół zaspani, na wpół zdeorganizowani i kompletnie nieprzygotowani. Liczba napastników całkowicie przytłoczyła wszystkich obrońców – zaskoczyła nawet mnie i Marvina.

Zaatakowały jednocześnie na kilku frontach, w klasycznym stylu polującej sfory. Odcinały pojedynczych osobników od głównej grupy, jednocześnie angażując obrońców pozorowanymi atakami. Zaraz udało im się pochwyć kilkunastu Deltan – głównie młodociane osobniki i samice.

Na szczęście mieliśmy zasadę trzymania niszczycieli w pogotowiu. Ściągnięcie ich zajęło niecałe dziesięć sekund. Kilkanaście goryloidów rozprysło się z wielkim hukiem. Musieliśmy wybierać cele niezbyt bliskie Deltan, więc w żaden sposób nie pomagaliśmy porwanym. To był kolejny problem.

– Gupik! Obstaw każdego porwanego jednym dronem. Niech się go trzyma, obojętne, co się dzieje.

[Tak jest!]

Atak niszczycieli sprawił, że goryloidy zamarły, a Deltanie się zmobilizowali. Wyposażeni we włócznie z krzemiennymi grotami mieli przewagę w walce z bliska.

– Za dużo ich jest. Po prostu nie wystarczy nam niszczycieli. – Marvin spojrział na mnie z paniką na twarzy.

Zwróciłem się do Gupika:

– A niszczyciele z autofabryki...

[Są w drodze. Ale czas podróży wynosi prawie dobę przy maksymalnym przyspieszeniu]

Na początku mieliśmy dwadzieścia pięć niszczycieli. W pierwszej fali zużyliśmy połowę, a zostało prawie pięćdziesiąt goryloidów. Sparaliżowało mnie na parę milisekund.

Marvin pstryknął palcami.

– Może nie używajmy ich w tak niszczący sposób. Walmy goryloidy z prędkością rzuconego kamienia. Dwudziestokilowa stalowa kula ich spowolni, a Deltanie spokojnie dokończą.

– Dawaj.

Zaczęliśmy nawalać goryloidy z małą prędkością. Były zadziwiająco odporne – uderzenie niszczycielem z taką prędkością człowieka zabiłoby na miejscu, a je tylko na moment dezorientowało. Złapałem się na tym, że tego samego osobnika uderzam już któryś raz.

I wciąż traciliśmy niszczyciele. Były w stanie wytrzymać kilkanaście ciosów, potem coś się w nich psuło. Zanotowałem sobie w pamięci, że musimy wymyślić, jak je zbierać i naprawiać. I to raczej szybko.

– Gupik, każ autofabryce budować więcej niszczycieli, na najwyższym priorytecie. I wyślij parę dronów transportowych do punktu migracji.

[Tak jest]

W końcu obrońcy Deltan zaczęli zyskiwać przewagę. Samice i młode zbiły się w gęstą masę pośrodku, tak że goryloidy nie były w stanie się do nich przebić, żeby wyłuskiwać maruderów. Obrońcy działali w zorganizowanych grupach i osłaniali się nawzajem. Niszczycieli zostało nam sześć i musieliśmy bardzo je oszczędzać.

– Dobra, Marvin, trzeba pójść za porwanymi. Gupik, daj status i położenie.

Gupik wyświetlił plastyczną mapę terenu, z lokalizacjami ofiar i dymkiem przy każdej. Ponad połowa już była częściowo pożarta.

Każdy z nas wziął po dwa niszczyciele i ruszyliśmy na goryloidy. Uderzaliśmy je w tył głowy, aż poddały się i zrezygnowały, albo ofiara uciekła, korzystając z zamieszania. W sumie udało się uratować może z jedną trzecią porwanych.

Podleciałem dronem do Arnolda.

– Jest trochę rannych, sami nie wrócą z powrotem do nas. Musicie zebrać oddziały i pójść po nich.

Arnold przez parę chwil gapił się na drona, a potem zaczął pokazywać palcem konkretnych Deltan i wydawać rozkazy. Rasą byli zdecydowaną, trzeba im przyznać. Gdy konieczne było działanie, nikt już nie gadał po próżnicy. Po chwili zorganizowali ekipy ratunkowe, które pobiegły w ślad za dronami.

Spodziewałem się, że zdołają sprowadzić wszystkie ocalałe ofiary poza jedną, choć część z nich będzie trwale okaleczona.

Westchnąłem i zerknąłem na Gupika.

– Ile zadań na liście dotyczy uczenia Deltan podstawowych zabiegów medycznych?

[Dwadzieścia sześć]

– Tak myślałem. – Bałem się zapytać, ile ich jest w ogóle. Nie pierwszy raz zastanowiłem się, czyby nie narobić kilkudziesięciu Bobów, żeby pracowali nad tą listą, aż będzie do opanowania. I jak zwykle nie przychodziło mi do głowy nic, co można by wywalić z harmonogramu autofabryki, żeby zrobić w nim trochę luzu.

Mam już tego dość!

– Gupik, chcę, żeby zostało wyprodukowane pięćdziesiąt niszczycieli, a potem odłączyć jedną grupę drukarek i zlecić jej budowę kolejnych drukarek. Czas trochę zwiększyć moce.

[Replikacja grupy drukarek jest czaso- i zasobochłonna, co negatywnie wpłynie na działanie i przyniesie natychmiastowy spadek produktywności]

– Wiem. W krótkim czasie strata, w dłuższym zysk. Gdybyśmy to zrobili zaraz na początku, już by się nam zbilansowało. Pora przejąć inicjatywę.

Zwróciłem się do Marvina:

– Na poważnie zastanawiam się nad bronią z materiałem wybuchowym.

Wytrzeszczył oczy.

– Wow. To niezłe ustępstwo. Nie cierpimy materiałów wybuchowych.

– Wiem. I przy produkcji każdej partii jest ryzyko wysadzenia drukarki. Dlatego myślę, czyby nie robić ich po staroświecku. Zbudować laboratorium chemiczne, obsadzić paroma szopami i użyć metod przemysłowych do budowania głowic bojowych.

– Sporo czasu zejdzie, nim będzie to miało zdolność produkcyjną. – Marvin pokręcił głową. Miał na twarzy wypisaną niewiarę.

– No tak, ale mam złe przeczucie, że z tymi goryloidami będziemy się męczyć przez dłuższy czas. Przelicz, jaka musi być średnia gęstość populacji, żeby w tak krótkim czasie zdążyło się zebrać aż tyle osobników. Ewidentnie oni po tej stronie przełęczą mają swoją stolicę.

Marvin gapił się w przestrzeń przez milisekundę czy dwie, potem kiwnął głową.

– Rozumiem, co masz na myśli. To będzie wojna na wyniszczenie.

* * *

– Przeszliśmy taki kawał drogi i mamy się tu zatrzymać? – Uszy starszego sterczały prosto w dół w deltańskim odpowiedniku niedowierzającego wytrzeszczu oczu.

Rozejrzałem się po kręgu starszyny i dostrzegłem tę samą minę na większości twarzy. Westchnąłem. Przez drona nie najlepiej się rozmawiało. Może i budził podziw u ludu pierwotnego, ale mnie krępował brak mowy ciała. Spróbowałem jeszcze raz:

– Tylko na jakiś czas. Podczas tego ataku zużyłem wszystkie niszczyciele. – Tłumacz przełożył to na „fruwające kamienie”. – Muszę zbudować kolejne. Przynajmniej na razie wytlukliśmy trochę goryloidów, a te, co przeżyły, będą się bać.

Arnold, który należał teraz do kręgu, skinął głową.

– To prawda. Stwory szybko nie zaatakują. Na każdego, kogo zabrały, zabiliśmy trzy, a większość ludzi przyprowadziliśmy z powrotem.

Niestety, choć w kwestii zapewnienia sobie posiłku goryloidy nie odniosły specjalnego sukcesu, udało im się zabić podczas ataku prawie dwudziestu Deltan. Taki poziom strat był niedopuszczalny. Jeszcze kilka takich ataków i wrócą do liczebności sprzed migracji.

– Na ile czasu? – Starszy nie ustępował, prosił tylko o uściślenie. Ale ja jeszcze wcale nie skończyłem.

– Na pięć dni. Niszczyciele są już w drodze, chcę mieć ich dużo więcej pod ręką, nim zaczniecie znowu ryzykować. Potem będę sprowadzał nowe najszybciej, jak się da.

Arnold znowu się wtrącił:

– To się nie skończy w dzień czy dwa. Żeby tak szybko przyszło tyle goryloidów, musi ich być bardzo dużo.

Chwilę zachwycąłem się tym stwierdzeniem. Zerknąłem na Marvinę, któremu brwi wjechały na czubek głowy.

– To chyba jest przypomnienie, że silny nie znaczy głupi. Typ jest naprawdę bystry!

Skupiłem się z powrotem na dronie.

– To prawda. Przeleczę fruwającymi kamieniami po lesie i policzę goryloidy. Wtedy będziemy wiedzieli, z czym mamy do czynienia. I może da się ominąć największe skupiska.

– A nie możesz ich pozabijać, zanim do nich dojdziemy?

Całkiem rozsądne pytanie.

– Zużyłbym fruwające kamienie na zabijanie goryloidów, które może wcale na nas nie napadną. Lepiej skupić siły na tych, które przyjdą. Ale w przyszłości będę mógł wcześniej was uprzedzić.

Starszyna pokiwała głowami. Rozumieli, na czym polega niedobór zasobów.

Wydano rozkazy, ludzie zaczęli rozbijać nieco trwalszy obóz. Arnold zorganizował grupy myśliwych. A ja poszedłem poszukać Archimedesę, żeby opowiedzieć mu o tyczkach do namiotów.

– Zdaje się, że to dużo pracy i mały zysk. – Archimedes przyjrzał się swojemu pierwszemu namiotowi. Tak naprawdę był to dość żalony szałas.

– Ta płachta jest za mała na dobrą osłonę. Gdyby była większa, dałoby się zrobić wyższy namiot, można by do niego normalnie wchodzić i wychodzić, a boki chroniłyby przed wiatrem i deszczem.

Archimedes obszedł namiot.

– Trudno go spakować, ciężko nieść. Ciężko rozstawić. Wygląda na to, że bardziej by się przydał w stałym obozie.

Marvin parsknął śmiechem, widząc moją minę.

– No, wielki boże z nieba, co ty na to?

– Cicho siedź.

Odłożyłem projekt „namiot” ad acta i zmieniłem temat lekcji. Prostowanie włóczni. To wzbudziło entuzjazm tak u Archimedesesa, jak i Arnolda. Widzieli, jaką różnicę robi po prostu wybieranie prostszych gałęzi. Pomysł, żeby wziąć prawie dowolną gałąź i rozprostować ją, był dla nich objawieniem.

Przez chwilę wyjaśniałem, jak trzymać w parze krzywy kawałek drewna i jak zbudować ramę do gięcia. Arnold i Archimedes pobiegli szukać materiałów, Arnold – z toporem nonszalancko przerzuconym przez ramię.

Obróciłem drona, żeby rozejrzeć się po obozie. Tyle tu jest do zrobienia. Ja może i mam wieczność do dyspozycji, ale ci ludzie nie za bardzo.

51. Bill, styczeń 2174, Epsilon Eridani

[Wiadomość od Milo]

Uniosłem wzrok, początkowo zirytowany, że mi ktoś przerywa. Analizowałem prognozy wzrostu mchów, porostów i traw, które uprawiałem. Zbudowałem jedną z Homerowych farm pierścieniowych, żeby wyhodować jak najwięcej podstawowego substratu, zanim umieszczę go na powierzchni Ragnaröka.

– Poleciał na... 82 Eridani, tak?

[Potwierdzam]

– I...

[W wiadomości jest opis bardzo pozytywnej perspektywy kolonizacyjnej. Oraz zapis zniszczenia statku *Niebo*]

– Co takiego?

Pozamykałem projekty, opróżniłem biurko i wyciągnąłem wiadomość z kolejki przychodzących. Usłyszałem, z jakim zapamięłem Milo opisuje pierwsze skany układu. I z jakim lękiem przekazał informację o nadlatujących rakietach. W załączniku była przyrostowa kopia zapasowa, ale miałem złe przeczucie...

– Gupik, są jakieś szanse na odtworzenie?

[Niestety. Plik jest obcięty, nie ma końca]

– Szlag.

W bibliotece była masa materiałów na ten temat. Jeśli coś spróbuję zmagistrować – czyli wymusić odtworzenie go z niekompletnej kopii, bardzo duża szansa, że rezultat będzie upośledzony. Albo w ogóle nie przeżyje. Choć smutno było tracić jednego z nas, nie miałem ochoty oglądać siebie w takim stanie.

– Dobra, Gupik? Zarchiwizuj tę kopię, wstaw do *In Memoriam*. U nas budują się cztery Boby w wersji 3, tak? – Gdy skinął głową, ciągnąłem: – Jak tylko będzie fizycznie możliwe, zarzuć kolejne cztery. Daj im ile wlezie niszczycieli. Musimy mu odpłacić za Milo.

[Tajest]

Ten cały Medeiros naprawdę robił się upierdliwy. Najpierw Epsilon Eridani, potem Alfa Centauri, teraz to. Trzeba będzie wyrwać chwasta.

52. Riker, styczeń 2168, Układ Słoneczny

Wskoczyłem do VR Homera.

– Cześć, Trójeczka.

Homer odpowiedział szerokim uśmiechem.

– Ale wiesz, że Trójeczka nigdy nie będzie tak śmieszna jak Dwójeczka?

– E tam. – Wzruszyłem ramionami. – Musisz mieć jakieś przewisko, bo już jesteś establishment pełną gębą. – Otworzyłem listę, którą wcześniej mi wysłał. – Naprawdę będziesz się teraz pakował w hodowlę?

– A czemu nie? *Farma 1* ma takie zapasy konstrukcyjne, że aż wstyd. Sprawdziliśmy ją na tyle, że spokojnie mogę rozkręcić ją do pół g i nic się nie zepsuje. A odkąd rozpracowaliśmy sterowanie atmosferą... – Uniósł porozumiewawczo brwi.

Prawdę mówiąc, przez pierwsze kilka miesięcy *Farma 1* była koszmarem. Każdy aspekt środowiska wchodził w pętle dodatnich sprzężeń. Musieliśmy w końcu posadzić nad nią cztery MSI na pełen etat, zanim doszliśmy, jak wytłumić te rezonanse.

– Dobrze, panie kapitalisto. Tylko proszę pamiętać o szarych ludziach, dobrze?

Homer zaśmiał się, a ja poprosiłem o kawę.

Szło ku dobremu.

Obwarzanki, jak je zaczęliśmy nazywać, przypominały grube koła rowerowe. Od piasty do obręczy rozchodziły się liny z włókna węglowego, zapewniające sztywność konstrukcji. Trzy grubsze szprychy mieściły windy. Obwarzanek był ustawiony prostopadłe do słońca, a lustra między piastą i obręczą odbijały światło do środka, przez przezroczysty strop obręczy. Wszystko było skonstruowane jak najprościej, by zminimalizować czas budowy i zapotrzebowanie na materiały.

Parę chwil popijałem w milczeniu kawę.

– Co mi się naprawdę podoba: że SZLAG nam się do tego nie dobierze. Odporne na sabotaż.

– Chyba że opracują pociski ziemia-kosmos – odpowiedział nonszalancko Homer.

Zerknąłem na niego, ale chyba nie podsuwał tego na serio. Na Ziemi nastąpiły kolejne ataki na źródła żywności, musieliśmy zmieniać przez to harmonogramy dostaw. Liczyliśmy, że nowa farma uwolni nas od tej presji.

Farma 1 dostarczała teraz regularnie kolejnych porcji kudzu,

dzielonych według ludności i potrzeb. Julia zapewniła mnie, że choćby nawet najbardziej pomysłowo je przyprawić, zawsze smakowało jak... no cóż. Jak kudzu. Oraz działało na układ trawienny podobnie do fasoli. Hmm. Jak to dobrze być replikantem. Homer ciągle wymyślał nieskończone wariacje na temat piosenki *Fasolka, fasolka, muzyczna fasolka*, niektóre nawet przyjęły się na Ziemi.

Druga farma kosmiczna miała wejść do eksploatacji za tydzień, a moje obliczenia wskazywały, że na następne trzy lata będziemy mieć całkiem znaczne nadwyżki żywności. Potem spadająca produkcja na Ziemi znów stanie się poważnym problemem.

Trzecia farma, na razie ukończona w połowie, miała zawierać mieszankę roślin uprawnych, tak dla urozmaicenia menu, jak dla zdrowia. Na czwartej Homer chciał założyć hodowlę krów, świń i kur. I owiec, jeśli do tego czasu Nowozelandczycy nie zjedzą wszystkich okazów. Niby materiał genetyczny był na Spitsbergenie, ale żeby z niego skorzystać, trzeba by wyfabrykować sztuczne macice.

Homer zmienił się w prawdziwego obszarnika. Co zrozumiałe, był dumny, że jego pomysł tak dobrze się sprawdził – tak bardzo, że zajmował się nim teraz od świtu do nocy.

Dopiłem kawę i wstałem.

– Dobra, wracam do swoich kopalni. Postaraj się niczego nie wysadzić, dobra?

Gdy znikalem, zasalutował mi jednym palcem.

53. Bob, czerwiec 2166, Delta Eridani

Zanim rozbiliśmy obóz, Deltanie zostali ponownie zaatakowani, lecz nie przez goryloidy. Miałem taką obsesję na punkcie tej ich walki, że zapomniałem, że ta planeta ma pełnowymiarowy ekosystem, równie zróżnicowany i bogaty, jak te najbogatsze na Ziemi.

Wliczając też więcej niż jednego drapieźnika alfa.

W tym wypadku napastnikiem było coś wypełniającego tę samą niszę, co lamparty czy inne duże koty. Tylko że polowało małymi stadami. Dopadło myśliwego, który odszedł parę kroków za daleko od grupy. Reszta rzuciła mu się na pomoc i zaczęła kłuć drapieźniki dziadami. Po chwili było pozamiatane.

Na szczęście dla potencjalnej ofiary te odpowiedniki lamparta (nie, nie będę nazywać ich lampartoidami) nie zabijały od razu. Jak w przypadku wielkich kotowatych, chwytają ją i dusią. Zła wiadomość była zaś taka, że myśliwy doznał dość poważnych obrażeń. Kiedy pomagali mu dojść z powrotem do obozowiska, jeden z innych myśliwych zażartował, że powinien mieć prawo do mięsa jednego „kota”, za to, że jest taką dobrą przynętą.

– Ja naprawdę tych ludzi lubię – powiedziałem.

Marvin odwrócił się i spojrzał na mnie.

– To się dobrze składa. Inaczej musiałbyś sobie opracować jakieś numery z ogniem i siarką.

– Hmm. Pewnie tak. Co mi przypomina jedną rzecz – będę im pomagał, będę z nimi przez jedno pokolenie, czy coś koło tego, ale potem lepiej przejdę do legendy. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby się ode mnie uzależnili.

– Prawda. A ja zapewne wtedy sobie gdzieś polecę. – Marvin rozwinął mapę kosmosu wokół Alfy Eridani. – Tyle planet, tyle gatunków...

W ciszy, która zapadła, pomyślałem o tym, że już w ogóle mnie nie cieszy, że go pożegnam. Odkąd go stworzyłem, poszliśmy w inne strony, staliśmy się całkiem innymi ludźmi. Ale dogadywaliśmy się dobrze, co wcale nie było takie pewne. Uśmiechnąłem się do siebie, wspominając jedną z wiadomości Billa, opisujących, jak iskrzyło na początku między Rikerem i Homerem. Szkoda, że tego nie widziałem. Na pewno było na co popatrzeć.

Po dostarczeniu najnowszej partii niszczycieli mieliśmy

wystarczającą siłę ognia, żeby zaryzykować wznowienie marszu. Obwieściłem to kręgowi starszych, bardzo uważając, żeby ująć to jako informację, nie rozkaz. Nie chciałem wpaść w pułapkę odpowiedzialności za ich los, a już na pewno nie chciałem ściągnąć na siebie politycznego gniewu innych Bobów za to, że doprowadziłem do takiej sytuacji.

Starszyzna omówiła to i ogłosiła, że wyruszają następnego dnia rano.

* * *

Wymarsz przeszedł gładko. Dobrze im zrobił tydzień odpoczynku. Większość rannych była już na tyle na chodzie, żeby nadążyć za resztą, zdążyli też odbudować zapasy. Ja podwoiłem nocne straże i miałem w powietrzu wszystkie możliwe niszczyce, gotowe do ataku, choćby motylek kiwnął skrzydełkiem. Może goryloidy wyczuły złą karmę, bo nigdzie nie było ich widać.

Ta część drogi była wolniejsza niż pierwsza połowa migracji. Teren był trudniejszy, a z lasu zrobiła się prawie dżungla. Byliśmy po południowej stronie łańcucha górskiego, a klimat zgodnie z szerokością geograficzną zrobił się nieco bardziej tropikalny. Po stronie minusów – oprócz tego i wymuszonego postoju mieliśmy dotrzeć sporo po przewidywanym czasie. Po stronie plusów – nie wyglądało na to, by po tej stronie gór należało się specjalnie przejmować nadchodzącą zimą. Postanowiłem podejść do tego filozoficznie.

Gdy Deltanie szli, polatywałem obok Archimedeses. Ostatnio całkiem mocno przywiązał się do jednej z samic ze swojej grupy, którą nazwałem Dianą. Było oczywiste, że się mnie boi, ale nie chce wyjść na lękliwą przed Archimedesem. Trzymała się bardzo blisko niego i jednocześnie jak najdalej od mojego drona. Trochę to było komiczne, ale nie poddałem się moim co bardziej niedojrzałym pokusom.

Rozmawialiśmy akurat o wiedzy medycznej i zabiegach. Deltanie byli na etapie wywarów i okładów – nie wątpiłem, że niektóre z ich mikstur mają pewną wartość medyczną, ale byłem prawie pewien, że jakiś wywar z korzenia nie wyleczy złamanej nogi.

– Rozumiem, *bawbe*. Przyniosłeś nam wiele nowych pomysłów, które się sprawdziły. Ja ci uwierzę na słowo. – Archimedes wzruszył ramionami. – Ale zielarka całe życie leczyła wszystkich po swojemu. Ja nie będę z nią walczyć.

– Dobrze, rozumiem. To może mnie jej przedstawić?

Archimedes kiwnął głową i odwrócił się do Diany, której jakimś cudem udało się zrobić jeszcze bardziej przerażoną minę.

– Ty nie musisz iść – powiedział.

– Ale chcę – odpowiedziała. – Może ona go zabije.

Kurczę. Chyba lepiej przygotuję sobie na tę rozmowę niszczyciela albo i dwa.

* * *

Zanim dotarliśmy do miejsca z krzemieniem, musieliśmy znieść jeszcze trzy ataki. Żaden z nich nie był tak intensywny jak pierwszy, tak że straciliśmy tylko parę osób. Z drugiej strony straty goryloidów były znaczne, co bardzo mnie cieszyło.

– Mamy je wybijać? – Marvin zrobił zszokowaną minę.

– No jasne. Wybijemy goryloidy w promieniu wielu mil. – Machnąłem ręką w kierunku mapy terenu. – Przerzedzimy je na tyle, żeby Deltanie sobie z nimi radzili.

– No... a co, jeśli znów się namnożą? Powtórzy się to samo i tak w kółko. Lepiej zabijać te, co atakują, a resztę zostawić w spokoju. W końcu wyhoduje się goryloid, który nie lubi atakować Deltan.

Zastanowiłem się nad tym.

– Coś w tym jest. Dobra, zobaczymy, jak źle będzie, kiedy dotrzemy na miejsce. Może trzeba będzie je zawczasu trochę przerzedzić po prostu po to, żeby Deltanie mogli sobie usiąść i spokojnie zjeść.

– Rozumiem. Zobaczymy.

54. Riker, październik 2170, Układ Słoneczny

Ostatnie operacje montażowe. Dwa magiczne słowa od których przechodziły mnie ciarki. Homer, Charles, Ralph i ja unosiliśmy się pół kilometra od dwóch statków. Wszyscy się zgadzaliśmy, że bez sensu być fizycznie na miejscu, kiedy strumień wideo z drona jest równie dobry. Ale zgadzając się, jednocześnie pędziliśmy tutaj, żeby zdążyć. Taka logika. Nawet pułkownik Butterworth coś mówił, że chciałby polecieć na górę wahadłowcem i popatrzeć, choć w końcu się opamiętał.

Kiedy budowa statków zbliżała się do końca, celowo manipulowaliśmy zasobami, żeby oba statki szły jednocześnie. Były teraz kompletne, nie licząc ostatniej rzeczy – połączenia pierścienia napędu z kadłubem.

– Kurde, stary, naprawdę nam się udało. – W głosie Homera brzmiał zachwyt. Wszyscy to czuliśmy. Dla kogoś, kto dorastał w XX i XXI wieku, był to największy projekt inżynieryjny w życiu. Nie mogłem nie pomyśleć o scenach z budowy statku na Utopii Planitii w Star Treku. Bardzo podobny klimat.

Zerknąłem do okienka z podsumowaniem statusu. Na łączu byli wszyscy delegaci ONZ, wszyscy patrzyli na to wideo. ONZ dostała rzadkiego przypływu zdrowego rozsądku i postanowiła nie wygłaszać przemówień. Podejrzewałem, że wpłynął na to fakt, że każdy z nich chciałby takie wygłosić. To by dało w sumie jakieś osiem godzin przemówień. Szlag by mnie wcześniej trafił.

Wreszcie MSI nadzorująca budowę zameldowała, że wszystkie połączenia wykonano. Dwa statki-kolonie, oficjalnie ochrzczone *Exodus 1* i *Exodus 2*, były gotowe. Zdumiałem się, zdając sobie sprawę, że mam łzy w oczach. No dobra, może nie aż tak bardzo się zdumiałem.

* * *

– I jak tam, Will, stoicie z tym statkiem? – Julię w okienku wideo otaczali inni członkowie rodziny. Rozmowy ze słynnym przodkiem były już w rodzinie Hendricksów regularnym wydarzeniem. W kadr cały czas ktoś wchodził albo z niego wychodził.

W ogóle mi to nie przeszkadzało. Widok potomków mojej siostry

sprawił, że czułem się prawdziwym człowiekiem, o wiele bardziej, niż mogła to sprawić sama VR. Świadomość, że część mnie przeżyła, była ogromną satysfakcją, na poziomie, który trudno opisać słowami. Niezupełnie jak zostać rodzicem czy dziadkiem, ale coś w tym kierunku.

Otworzyłem listę w okienku na boku.

– Testy systemowe, testy integracyjne, testy obciążeń i na koniec lot próbny. Coś się oczywiście może zdarzyć, ale to powinno przejść w miarę rutynowo.

– A trzeci statek?

Oczywiście, że Julia interesowała się akurat tym. I ona, i cała jej rodzina mieli lecieć *Exodusem 3*, razem ze Szpicami. Wymogłem tę obietnicę na Cranstonie, zanim zgodziłem się na jego propozycję. I nie miał powodu jej nie dotrzymać. Te trzy setki ludzi, czy coś koło tego, które miały się nie zmieścić na trzecim statku, byłyby pierwsze na czwartym, a po dotarciu na Omikrona-2 Eridani zastałyby już pobudowane domy. Cranston poszukał ochotników i co ciekawe, znalazł ich. Zdaje się, że niektórzy ludzie wolą, jak omija ich ciężka praca.

Julia westchnęła i uśmiechnęła się do mnie.

– Zanim przylecieliście, wszyscy uważali, że chyba będziemy ostatnim pokoleniem ludzkości. Niektórzy mówili, że to egoistyczne rodzić jeszcze dzieci. Cieszę się, że tak się nie okazało. – Przytuliła siedzącego na kolanach syna Justina, jednego z najmłodszych członków klanu Bobów.

Justin oczywiście nie rozumiał zupełnie nic. Ale obrazki były ładne, a wujka Williama lubił. Zrobiłem do niego minę, roześmiał się. Justin Hendricks, Kosmiczny Kadet.

55. Bob, lipiec 2166, Delta Eridani

Wreszcie nadszedł dzień, w którym dotarliśmy nad złożę krzemienia. Dawny obóz był na szczycie wzniesienia, które wystawało nad poziom lasu. Na Ziemi byłoby to idealne miejsce na zamek. Z moich wcześniejszych skanów wiedziałem, że jest stamtąd widok na las we wszystkie strony, na wiele kilometrów, aż po góry i wzgórza na horyzoncie. Samo miejsce było gołe i skaliste, ale u podstawy skalnej półki było zagłębienie dające naturalną osłonę. Parę skalnych stawików napełnianych częstymi deszczami zapewniało zapasy wody. Grań pośrodku wznosiła się nad wszystkim jak kiosk okrętu podwodnego.

Miejsce było tak idealne samo z siebie, że często powracało pytanie, czemu zostało opuszczone.

– Nie wiem. – Tylko tyle można się było dowiedzieć od większości starszych.

Mojesz dodawał, że pamięta tylko, że rodzice bardzo się bali. Myślał – co prawdopodobne – że było tu pełno goryloidów. Zauważyłem, że jednemu z innych starszych nie pasowało to wyjaśnienie. Postanowiłem z nim później porozmawiać.

Kazałem dronom zrobić szybki zwiad dookoła i poszukać goryloidów. Wyniki mnie zmroziły. To wyglądało jak jakiś ich rezerwat. Cholerstwa były wszędzie. Ale dlaczego? Nie mieli tu Deltan do polowania – ogólnie przypominało to nie do końca dopracowany scenariusz D&D.

Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Odkąd odkryłem Deltan, w zasadzie nie posunąłem się w analizie biologicznej całego ekosystemu i to był kop w moją dupę za to zaniedbanie. Goryloidy były wszystkożerne. A wśród roślinności po tej stronie znajdowało się drzewo z pożywnymi strąkami, które stanowiły główny składnik ich pożywienia. Strąki były twarde i trudne do rozłupania, co tłumaczyło siłę i rozmiary tych zwierząt.

Do tego, jeśli biochemia na Edenie jest podobna jak na Ziemi, strąki zapewne nie dostarczały wszystkich niezbędnych białek. A kto ma masę białka? Oczywiście Deltanie.

To wyglądało na wyjaśnienie. Strąków było aż nadto dla wielkiej populacji goryloidów, ale musiało je strasznie ciągnąć do innych źródeł białka. A ja właśnie kazałem kilkuset eleganckim białkowym pakietom wmaszerować w sam środek ich terytorium. Świetnie.

Jednakże coś mi się w tej populacji goryloidów nie zgadzało...

Bez ostrzeżenia przez las poniosły się echem dwa gromy dźwiękowe.

[Dwa goryloidy zbliżyły się na odpowiednią odległość i zostały zneutralizowane]

– Dzięki, Gupik. Dobra robota.

Nie chciałem żadnych niespodzianek, kazałem więc Gupikowi wcześniej nawalać niszczycielami każdego goryloida, który podejdzie na sto metrów do Deltan. Ci już całkiem się przyzwyczaili do gromów dźwiękowych i tylko podnosili głowy, żeby spojrzeć, czy nie ma kolejnych małpoludów. Lecz czujniki dronów pokazały, że goryloidy w pośpiechu opuszczają ten obszar.

– Arnold, trzeba się przygotować do obrony.

Arnold kiwnął dronowi głową, odwrócił się i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Deltanie żwawo ruszyli w stronę urwiska. Wojownicy na straży wzięli do rąk największe i najostrzejsze włócznie.

* * *

Osiedlili się w tym miejscu bez trudności. Znaleźli stare paleniska, oczyszczone miejsca do spania, nawet poukładane w pryzmy kamienie nadające się do budowy niskich ścian. Arnold natychmiast rozstawił warty i zapytał mnie o rozkład miejscowych goryloidów. Odpowiedź mu się chyba nie spodobała. Zresztą wcale się nie dziwię.

Kiedy tylko walizki stanęły na ziemi, Archimedes ruszył z Mojżeszem tam, gdzie pokazywał starzec. Zaraz powstanie ACME Przedsiębiorstwo Produkcji Grotów i Toporów, Spółka z nieograniczoną nieodpowiedzialnością. Przydzieliłem im drona i dwa niszczyciele, żeby ich pilnowały.

– To jak, będziemy je wybijać? – Mina Marvina jasno świadczyła, co o tym myśli.

– Nie. Masz rację. Potrzebne jest długoterminowe rozwiązanie, czyli goryloidy muszą się nauczyć unikać tego obszaru i nauczyć swoje młode, żeby też go omijały. Postawię MSI z niszczycielami, niech stróżuje i tłucze wszystkie goryloidy, które podejną za blisko. W końcu do nich dotrze.

– A plemię nauczy się oczekiwać obrony od *bawbe*. – Marvin parsknął śmiechem, lecz wyczułem w jego głosie jeszcze coś ostrego. Łypnąłem na niego, unosząc brew.

– Właśnie, szefie, o... tutaj – powiedział i podrzucił mi strumień wideo z jednego z dronów.

Na skraju złoża krzemienia paru Deltan starannie ułożyło szczątki jednego niszczyciela i obstawiło je małymi ogienkami.

Wytrzeszczyłem oczy.

– To jest...

– Ołtarz, tak. Chwała i cześć dla *bawbe*!

56. Bill, marzec 2167, Epsilon Eridani

Diagram orbitalny przedstawiał sprawę jasno i wcale mi się ona nie podobała.

Zerknąłem na Gupika. Ten mi nie pomoże. Admirał Ackbar gapił się na mnie, a jego rybia mina niczego nie zdradzała.

– Da się jeszcze uratować górę lodową?

[Prawdopodobieństwo większe niż 50%. Ale zapewne nie uda się uratować jej napędu]

Potarłem czoło, powstrzymałem się od przekleństwa.

– Dobra, Gupik, ty pilnuj korekt kursu. Ja przygotuję skrypt dla dronów, żeby wymontowały napęd. Może uda się coś zrobić na skrót.

Góra lodowa lecąca na Ragnaröka była jedną z największych, jakie udało nam się dotąd znaleźć w pasie Kuipera. Ale niestety trochę zboczyła z kursu i trzeba było dać jej napęd na pełen gaz do ostatniej chwili, żeby weszła na właściwy tor. Nie chciałem tego zepsuć, żeby pożeglowała sobie w słońce albo co gorsza z pełną prędkością walnęła w planetę.

Gupik zaczął korekty kursu, których skutki widoczne były w czasie rzeczywistym na diagramie. Patrzyłem na to w roztargnieniu, rozważając możliwe opcje. W razie konieczności byłem gotowy odżalować napęd i zbudować sobie nowy. Gdyby asteroida była mniejsza, machnąłbym ręką i pozwolił jej minąć się z planetą. Ale była ogromna. Mogłem stracić wszystkie inne asteroidy zaplanowane na kolejne sześć miesięcy, kiedy będę budował nowy napęd, a i tak byłem do przodu.

Ale jeśli stracę napęd, nie będę miał kontroli nad tymi kolejnymi asteroidami. Jeśli któraś będzie trafiać w sam środek tarczy, będę mógł tylko bezradnie patrzeć, jak się rozchlapuje.

Zwoziliśmy te bryły lodu z pasa Kuipera, w odstępach mniej więcej tygodniowych. Garfield je znajdował i rzucał do środka układu swoim napędem asteroidowym, a ja łapałem je tutaj swoim. Za dziesięć lat na Ragnaröka miało spaść dość lodu, żeby jego małe morza połączyły się w oceany. Plan długoterminowy – planeta ma się nadawać do zasiedlenia przez ludzi.

[Zaraz wejdzie na właściwy kurs. Dwie minuty do wyłączenia

napędu]

– Dzięki, Gupik. Ile czasu zostanie na wymontowanie?

[650 sekund]

No to będę miał niezłe ciśnienie. Przejrzałem skrypt dla dronów, który napisałem. Do czystego demontażu potrzeba było dwanaście minut. Trochę luzu było, ale i tak...

Było dwanaście oddzielnych konstrukcji, które trzeba było odczepić z mocowań i odlecieć z nimi, zanim góra lodowa wejdzie w atmosferę. Mocowania już spisałem na straty – wykręcenie ich zajmie zbyt długo. Może nie narobią zbyt wielkich szkód na powierzchni.

Garfield wskoczył mi do VR.

– I jak to wygląda, Bill?

Patrzył, jak rozwija się sytuacja, ale na szczęście nie próbował komentować. I tak ze swojego miejsca na obrzeżach układu nie był w stanie nic zrobić. Nawet gdybym miał dwa razy tyle dronów i tak nie pomogłoby mi to uratować całego sprzętu.

Wyszczrzyłem się.

– A, dzień jak co dzień. Nie ma tu nic ciekawego. Proszę się rozejść...

[Napęd wyłączony. Zaczynać demontaż]

Rozkazałem dronom rozpocząć odzysk napędu. Odtąd wszystko zależało od MSI – sztucznych inteligencji, które nimi sterowały. Ja mogłem tylko nie przeszkadzać i się nie wtrącać. Albo uratują sprzęt, albo Ragnarökowi przybędzie parę nowych kraterów.

Sześćset pięćdziesiąt sekund później asteroida weszła w atmosferę. Skończył się czas. Gdyby zostawić górę samej sobie, odbiłaby się od górnych warstw atmosfery i poszybowała ku zachodowi słońca. Całkiem dosłownie. Ja jednak uruchomiłem ładunki wybuchowe i góra lodowa rozpadła się na wielką liczbę odłamków, na tyle małych, żeby stopiły się w trakcie przejścia przez atmosferę. Pod jej oporem pozmieniały losowo kurs. Wszystkie stopią się na dużej wysokości i zaczną spadać na ziemię jako deszcz, trwający od paru dni do paru tygodni.

Nie licząc paru mocowań oraz dwóch segmentów napędu, które spotka nieco odmienny los. Trudno.

Spojrzałem na Garfielda i wzruszyłem ramionami.

– A ostrzegałem cię, że to się może stać. Nie powiem: „a nie mówiłem”, ale...

– Nie powiesz. W ogóle. – Skrzywiłem się do kamery. – Następna bryła przyleci za tydzień. I niestety będę musiał z niej zrobić krater. Nic na to nie poradzimy. Ale gdybyś mi puścił parę segmentów, na ASAP-ie, to następne asteroidy już ogarnę.

– A potem mam zbudować zapasowe?

– W krótkim terminie tak. Długoterminowo... to wiesz, Garfield, nie podoba mi się całe to mocowanie. Instalacja trwa długo, demontaż też

długo. Za którymś razem coś musiało się zaciąć. Tak się zastanawiałem, czy dałoby się to zrobić bez fizycznego dotknięcia asteroidy.

Garfield zrobił zdziwioną minę.

– Poważnie? Znaczy po prostu ustawić te segmenty na orbicie wokół lodu?

– No... jakoś tak. Potrzebne będą dwa oddzielne kanały napędowe, ale co do zasady powinno to działać. To nam wszystko znacznie przyspieszy. A ja muszę sobie zrobić przerwę od projektu Android. Dość mam polowania na błędy, poprawię jeden, to zaraz wyłazi pięć.

Garfield zaśmiał się.

– Dobra, staruszk. Wyciągnę parę segmentów i puszcze je do ciebie.

* * *

Wbrew temu, co powiedziałem Garfieldowi, gdy tylko zaparkowałem ocalałe segmenty napędu, otworzyłem folder z projektem Android. Otworzyło się okienko wideo z aktualnym fizycznym prototypem, umieszczonym w jednym z orbitalnych laboratoriów.

Android był teraz wyłączony i wisiał na podtrzymującym go stojaku. Superktoś miał czworonożne ciało, był wielkości – łatwo zgadnąć – łosia i jego urody. Bateria anten łącznościowych na głowie dziwnie kojarzyła się ze słynną parą łopat. Pewnie to nie był przypadek. Już wspominałem, że jestem trochę niepoważny?

To był Superktoś w wersji pięć bazylionów czy coś takiego. Sama generalna idea nie była aż tak skomplikowana. Sztuczny szkielet z włókna węglowego, mięśnie z plastików pamięciowych, kurczących się po podaniu napięcia, i czujniki odpowiadające normalnym pięciu zmysłom. Opakować to wszystko w zdalne sterowanie i replikant – na przykład piszący te słowa – mógłby go kontrolować jak swoje normalne ciało.

No cóż, tyle teorii. Ale próba doprowadzenia tego do stanu używalności była niekończącym się pasmem frustracji.

Mechanicznie Superktoś działał całkiem nieźle. Problemem były zmysły, odruchy i łączność. Dotyk oraz receptory ciepła i zimna wymagały precyzji mikrochirurga. Drukarki niewiele w tym pomagały. A im więcej lokalnego przetwarzania mu wbudowywałem, tym większego systemu komputerowego potrzebował. A jeśli chciałem, żeby robił to zdalnie, tym większe pasmo przesyłania musiał mieć. I tym bardziej ograniczenie do prędkości światła wszystko pierdzieliło. Łączność nadświatlna oczywiście by załatwiła sprawę, ale jeszcze daleko mi było do UNOP-a tak małego, żeby dał się wsadzić do łosia.

Chciałem, żeby wrażenie ze sterowania łosiem było realistyczne.

Chciałem czuć, że biegnę po ziemi, czuć zimno, ciepło, dotyk, wiatr na twarzy – coś zupełnie odmiennego od prowadzenia drona czy niszczyciela, przypominającego raczej grę komputerową. Łoś był gotowy w dziewięćdziesięciu procentach, ale ostatnie dziesięć okazywało się prawdziwą rzeźnią.

Z westchnieniem zamknąłem folder i otworzyłem projekt napędu dla asteroid. Wracamy do prawdziwej pracy.

57. Mario, sierpień 2169, Beta Hydri

Beta Hydri była 23,4 roku świetlnego od Słońca. Zamiast kłócić się i konkurować z innymi Bobami o bliższe kandydatki, postanowiłem polecieć gdzieś dalej. „Lubię żeglować po zakazanych morzach” i inne Melvillowskie klimaty. Liczyłem, że zanim ktokolwiek dotrze tak daleko, zdążę postawić stację kosmiczną z napisem „Byłem tu. Mario”.

No i spójrzmy prawdzie w oczy: nie miałem ochoty zadawać się z innymi Bobami. Zdumiewające, jak bardzo nie zwracali uwagi na różnice pomiędzy poszczególnymi klonami. A to przyprawiało o gęsią skórkę. Za małe różnice, żeby byli innymi ludźmi, ale wystarczające, żeby na każdy temat mieli inne zdanie. Zupełnie jakby patrzeć na siebie samego z uszkodzonym mózgiem. A po drugie, Bob 1 ustanowił regułę, że najstarszy Bob dowodzi, ale nie sądziłem, żeby to się mogło dłużej utrzymać. Oryginał Boba nigdy nie lubił nikogo słuchać.

Zresztą nieważne. Ja jestem tutaj, oni są tam i całkiem mi to odpowiada. Czas zbadać moje królestwo.

Opadłem do układu, hamując z łagodnym 2 g. Mogłem wlecieć o wiele ostrzej, ale na wszelki wypadek, gdyby w układzie czaił się Medeiros, nie chciałem mu pokazywać, co mam pod maską. Zobaczy 2 h, ułamek promieniowania z reaktora, który mam solidnie ekranowany, i robi się bezczelny. Taką miałem nadzieję. Dobrze byłoby mieć okazję się spotkać i sprawić mu kolejny łomot. Miałem dwa niszczyciele podpisane jego nazwiskiem. Nie, naprawdę. Pomiędzy układami nie było za wiele do roboty, więc kazałem szopom wymalować „Medeiros” na dwóch niszczycielach.

Na razie jednak nie było tu widać nic brazylijskiego. Ani w ogóle żadnego. Układ był duży i całkiem wypełniony, lecz jak dotąd nie znalazłem rudy metalu. Poważnie. Żadnej. Linie widma gwiazdy pokazywały mniej więcej dwie trzecie metaliczności Słońca. A przeważnie skład systemu odpowiadał składowi macierzystej gwiazdy.

Z założonymi rękami obszedłem balkon mojego domku na drzewie, rozkoszując się widokiem i tysiącmetrową przepaścią pode mną. Ten las nigdy nie istniał poza literaturą, a i tak był amalgamatem wielu różnych książek. Głównie był to *Midworld* Alana Deana Forstera, ale trochę ten wzorzec przerzedziłem, żeby mieć lepszy widok. Dodałem masę

ziemskich ptaków i skasowałem wszystko, co wielkie, głodne i smokowate.

Uniosłem brew, patrząc na Gupika.

– Opinia?

[Powyżej moich widełek płacowych]

Zachichotałem. *Nieba* w wersji 2 miały więcej mocy obliczeniowej i pamięci, niż miał na początku *Bob 1*. Gupik miał dużo miejsca do rozwijania swojego standardowego projektu, a ja dałem mu jeszcze więcej. Stawał się prawdziwą osobą. Był zjadliwy i impertynencki, prawie bezczelny. Uwielbiałem to. Bo oczywiście nie był klonem Boba.

– Dobra, cwaniaku. Wyniki analizy?

[A, to mam. Wynik: nie ma metali]

– Dziękuję, kapitanie Obwiesiu. Jakies pomysły dlaczego?

[Nie, ale dało się zauważyć, że wszystkie inne pierwiastki są w normie. Tylko metali brakuje. I to całkowicie]

To po prostu nie było możliwe, nie w ramach znanych teorii o powstawaniu gwiazd czy planet. Gupik zamrugał i spojrzał na mnie. Wiedziałem, co powie.

[Ktoś tu był przed nami]

– Szlag. Medeiros. Ale nie powinien zostawić autofabryki?

Po czym ugryzłem się w język i zamiast gadać, zastanowiłem się. Coś w tej teorii śmierdziało i nie była to ryba – autor.

– Zaraz. O jakiej ilości rudy my mówimy? Przyjmijmy, że ten układ ma jej tyle, co powinien mieć. Ile lat zajęłoby Medeirosowi przerobienie jej na śliczne małe Medeiroski?

[1732 lata. Mniej więcej]

– Czyli to możemy skreślić. Przelecieliśmy tylko dwadzieścia parę lat świetlnych. I on musiał lecieć tyle samo. – Mówiłem oczywistości i wiedziałem o tym, ale zawsze uważałem, że rozmowa z kimś pomaga mi uporządkować myśli.

[No, jest pewna wada w tej teorii]

– Myślisz? – Wskazałem na diagramie układu wewnętrzne planety. – Może trzeba będzie zorganizować wydobycie na planetach? Popatrzmy na te skaliste i zobaczmy, co tam jest.

[Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem]

Dotarcie do czwartej planety zajęło nam kilka dni – wciąż nie chciałem odsłaniać wszystkich kart, na wypadek gdyby ktoś patrzył. GL19-4 była brązową kulką błota z szarymi oceanami i gęstą, mętną atmosferą. Wyglądała jak wynik intensywnej aktywności wulkanicznej, choć żadnych pierścieni ani łańcuchów wulkanów za bardzo nie widziałem.

Wszedłem na orbitę biegunową i zacząłem głębokie skany w poszukiwaniu... właściwie czegokolwiek. Oczywiście złóż metali, ale

także aktywności wulkanicznej i wszystkiego, co interesujące.

I zaraz przyszły dwie wiadomości – dobra i zła. Dobra: znalazłem masę ciekawych rzeczy. Zła: zero metali. Zero. W każdym razie w zasięgu mojego arsenału. Bo planeta miała pole magnetyczne, więc oczywiście musiała mieć metaliczne jądro. Ale w skorupie – nic. Może trochę tu, trochę tam, ale nie tyle, żeby się opłacało grzebać.

[Wykryto anomalie]

– A to jest co? Nie anomalia?

[Wykryto dwapłusanormalną anomalie. Lepiej?]

To mi się już tak nie spodobało. Przez krótką chwilę myślałem o zresetowaniu Gupika. Ale tylko przez chwilę.

Nie żebym miał powody do niepokoju. Jedną z pierwszych naszych przeróbek było odcięcie Gupika od naszych myśli. To już było zbyt denerwujące. Teraz wymagał poleceń głosowych, obojętne jak się zdefiniuje głos w systemie komputerowym, który gada sam do siebie.

– Dobra, Gupik, co to takiego?

[Akumulacja czystego metalu. Artefakt]

– Jasna cholera. – Zastanowiłem się. – Wystartuj trzy drony eksploracyjne, wyślij na miejsce anomalii. Daj im po parę szopów. Jeden z dronów niech leci spiralą od pozycji artefaktu, inne niech szczegółowo go zbadają.

[Tajest]

Teraz już był poważny. Bo to była poważna sprawa. Czy to rozwalony Medeiros? A może sonda jakiegoś innego państwa?

Drony dotarły na miejsce w rekordowym czasie – chyba Gupik sterował nimi trochę zbyt agresywnie – i zatrzymały się nad anomalią. Jeden zaczął krążyć, stopniowo oddalając się od środka, a dwa pozostałe wylądowały i wypluły dwa dwudziestocentymetrowe szopy. Potem podniosły się i zaczęły wykonywać z bliska skany optyczne.

Jedno było oczywiste – to nie była jedna z sond. Co więcej, to w ogóle nie było z Ziemi. Nie potrafiłem określić dokładnie, dlaczego wołało „obce”, ale tego nie zaprojektował żaden ludzki umysł. Najlepszym porównaniem, jakie przyszło mi do głowy, był statek obcych z Prometeusza. W ogóle nic tu się nie trzymało kupy.

Poświęciłem chwilę na delektowanie się tą myślą. Właśnie znalazłem pierwszą inteligentną formę życia poza Ziemią. No dobra, zważywszy, że to wrak, możliwe, że znalazłem zwłoki pierwszej inteligentnej formy życia. Ale i tak...

Ewidentnie to był jakiś statek transportowy. Rozbił się i otworzył. Część zawartości się wysypała, a były to, zdaje się, wyłącznie niekończące się stosy wielkich metalowych sztab. Różnych. Każda sztaba składała się z czystego jednego pierwiastka. Żelaza, tytanu, miedzi, niklu, całych ton. Ale ładownia była wypełniona tylko w jednej czwartej,

chyba że ktoś coś wyjął.

Chyba znaleźliśmy naszych złodziei metali. No dobra, jednego. I „złodziej” to chyba zbyt **mocne słowo. Ale jednak...**

[Anomalia]

– O, a teraz co?

[Sam sobie zobacz]

Popatrzyłem na podsunięte przez Gupika wideo. I szczęka mi opadła. Ta planeta nie była martwa. Znacząca teraz była, ale kiedyś nie.

Patrzyłem na martwy ekosystem – tak mógłby wyglądać basen Amazonki, gdyby wszystko w nim naraz wymarło. Suchy, zwiędły, zerodowany. Ale to jednak były drzewa, krzewy i sporadycznie zwierzęta. A ciągnęło się to w nieskończoność.

* * *

Kazałem paru dronom-analizatorom porobić sekcje zwłok, żeby spróbować ustalić, co się tu stało. Niezupełnie do tego były skonstruowane, ale miałem ze sobą całą ziemską biologiczną i medyczną wiedzę oraz bardzo zaawansowany kawał technologii, zaprojektowany... hmm... przeze mnie samego.

Cięły, kłuły i wbijały, znalazły też parę odpowiednich okazów. Miały swoje polecenia, a ich MSI spokojnie miały dość kompetencji, żeby działać w ramach zadanych im parametrów. Musiałem się tylko trzymać z daleka i nie plątać im się pod ich mechanicznymi nogami.

Drony i szopy dalej badały wrak. Nie wiem dlaczego, ale posłałem parę niszczycieli, żeby pounosiły się groźnie nad nimi. Wszystko tu było bardziej martwe niż grób, niż trup, ale miałem jakieś nieprzyjemne przeczucie.

Raporty z biologicznych dronów przyszły z pingnięciem na mój pulpit. Podbiegłem i otworzyłem plik.

Wow.

Z natury uszkodzeń komórek wynikało, że wszystko zabiło coś podobnego do impulsu promieni gamma. Potężna dawka promieniowania, aż nadto wystarczająca, żeby zabić natychmiast. Wiedziałem o tym, bo zginęły nie tylko zwierzęta, ale ich wewnętrzna flora bakteryjna (czy jej miejscowy odpowiednik). Jednocześnie. Nie było żadnego gnicia, żadnego rozkładu od wewnątrz. Musiałem przyjąć jakieś założenia, z wykorzystaniem ziemskich analogii, ale byłem prawie pewien, że są dobrym przybliżeniem.

Zauważyłem też, że bardzo niewiele ich znaleźliśmy. Wszystkie okazy były małe, w dziwnych, niedostępnych miejscach albo w złym stanie, nawet jak na trupy. Byłem prawie pewien, że 99% fauny nie

znaleźliśmy.

Ponieważ nie było rozkładu, nie dało się ocenić, jak dawno to się stało. Pewną sugestią była erozja zwłok i martwych drzew, oraz analiza paru śladów leśnych pożarów, gdzie nie było śladów nowego wzrostu. Oszacowałem, że jakieś pięćdziesiąt do stu lat temu.

Posłałem drony biologiczne, żeby sprawdziły jeszcze parę innych punktów na planecie, w szczególności punkty dokładnie po jej przeciwnej stronie.

[Uwaga! Wroga aktywność!]

– Co jest? Co się dzieje?

[Atakują jednego z szopów]

– Niech drony dadzą parę punktowych impulsów SUDDAR-u. Żeby było jak najwięcej szczegółów.

[Już]

Wyłączyłem VR i podkręciłem swój zegar do maksimum. Strumień wideo szedł w czasie rzeczywistym. Pokazywał kadr z perspektywy atakowanego szopa i obok z perspektywy drugiego. Pierwszy wyglądał, jakby oblaży go mechaniczne mrówki. Widziałem, że go pożerają – metalowe części robiły się coraz cieńsze i nikiły.

– Gupik! Wysadź oba szopy. Autodestrukcja! Już!

Gupik nie wahał się i nie kwestionował. Strumienie wideo zniknęły.

– I włącz firewalla na naszych urządzeniach do łączności. Wątpię, żeby udało im się wydobyć z szopów klucze szyfrujące, ale po co ryzykować?

Przeskoczyłem do analizy skanów SUDDAR-owych, które właśnie kompletowały się na biurku. Na boku Gupik odłożył nagrania wideo z szopów.

Najpierw odtworzyłem te wideo. Pierwszy z szopów otworzył jakiś pojemnik czy drzwiczki. To uaktywniło mrówki. Trudno powiedzieć, czy to była reakcja obronna, czy one po prostu uznały szopa za surowiec do pozyskania. Zresztą co za różnica. Tak czy owak, zaczęły go demontować. Punktowy skan SUDDAR-u pokazał, że rozkładały go na części. Plastik i ceramika na oko ich nie interesowały.

Nie żałowałem, że je wysadziłem. Na pewno nie mogłem ich ściągnąć z powrotem, ryzykując, że zabierze się z nimi któraś z mrówek. Może to głupie, ale w swoim czasie naczytałem się dość fantastyki naukowej, gdzie zaawansowane technologie przejmowały system łączności i dobierały się do komputera. A tym razem tym komputerem byłem ja.

Nowe szopy zawsze mogą sobie zbudować.

Ale skąd te mrówki brały energię? Przeskanowałem statek jeszcze raz i stwierdziłem, że mniej więcej połowa mrówek, które przeżyły samobójstwa szopów, była teraz nieruchoma. Nie wiedziałem, czy są martwe, czy tylko w stanie uśpienia.

Postanowiłem skanować w odstępach pięciosekundowych, żeby zobaczyć, co one kombinują. Co dziwne, za każdym skanem aktywnych było coraz więcej mrówek. Co za cholera? Wyłączyłem SUDDAR na pełną minutę. Przy kolejnym skanie prawie jedna czwarta była nieaktywna. Kurde. Przestałem skanować, odczekałem pięć minut, a potem dałem krótki i jak najsłabszy impuls. I rzeczywiście: większość już się nie ruszała.

Szlag! One są zasilane sygnałem SUDDAR-u! To moje skany je uaktywniły.

No to ładnie. Wystarczy, że spróbuję na nie popatrzeć, a się włączą. Ale to też znaczyło, że obcy wynaleźli sposób na przesyłanie mocy podprzestrzenią i wykorzystywanie jej gdzie indziej. Trzeba koniecznie zbadać te mrówki.

Odczekałem godzinę i wysłałem jednego jednocentymetrowego szopa. Nie ma mowy, żeby mrówka przewiozła się z powrotem na szopie tylko trochę większym od siebie. Zabrał kilka mrówek i wyniósł je z wraku. Miałem dla nich przygotowane kilka małych trumienek wypełnionych plastikowym żelem. Szop powtykał je w żel, potem dodał utwardzacza. Powstało coś w rodzaju mrówek pod szkłem. Może uda im się z tego wydostać, ale mam nadzieję, że wcześniej je przeskanuję.

Przybliżyłem oba drony i kazałem im zrobić najmocniejszy i najbardziej dokładny skan zbliżeniowy, na jaki pozwalał ich sprzęt. Dały mi mapę tych mrówek na niemal molekularnym poziomie. Patrzyłem zafascynowany, jak obie się włączyły i wysunęły z przednich odnóży małe narzędzia tnące. Na szczęście nie mogły się ruszyć, więc tylko wycięły w utwardzonym żelu po dwie dziurki. Dobrze wiedzieć.

Zdetonowałem szopa – ostrożności nigdy za wiele – i wróciłem do domku na drzewie, by wszystko sobie przetrawić.

* * *

Skończyłem skany. Na całej planecie nie było śladów cywilizacji, więc ten wrak zdecydowanie musiał być obcy. Obcy przylecieli, być może zabili wszelkie życie jakąś bronią promieniotwórczą, opróżnili układ z surowców, zebrali zwłoki, odlecieli. Masa założeń, ale do faktów pasowały.

Skan mrówek ujawnił parę interesujących szczegółów. Już budowałem symulacje, żeby niektóre z nich przetestować.

Skany wraku nie przyniosły niczego zaskakującego. Kierowała nim jakaś SI albo MSI. Miał reaktor termojądrowy. Miał napęd SURGE i nadajnik SUDDAR-u. Ale jego SUDDAR wydawał się zaprojektowany do przekazywania energii do skojarzonego z nim odbiornika. Oprócz

wykorzystania jako radar. Zrobiłem szczegółowe skany, żeby zbadać to dokładniej.

Może obcy przylecieli, uratowali załogę i zostawili wrak. Wątpliwe. Właściwie nie było w nim miejsca na cokolwiek biologicznego. Prawdopodobnie statek był wyłącznie dla SI. Czy ta cywilizacja w ogóle była biologiczna? Fakt, że zebrali wszystkie trupy, sugerował odpowiedź, i to taką, która wcale mi się nie podobała. Przychodził mi do głowy tylko jeden powód, żeby trudzić się zbieraniem takiej ilości białka.

To było jednorazowe zajście? Czy oni systematycznie napadają na układy? Jeśli tak, to dokąd lecą? Nie chciałem, żeby taki los spotkał Układ Słoneczny, nawet kiedy nie będzie już tam żadnych ludzi. Delfiny i szympansy też zasługują na swoją szansę.

Poczułem ukłucie rozczarowania, gdy wyparowała wizja spotkania się z Wolkanami czy Asgardczykami. To bardziej przypominało scenariusz Obcego. Najbardziej gówniany wariant pierwszego kontaktu.

Podobało mi się to czy nie, trzeba było poinformować innych Bobów. Powstawał kolejny problem. Z takiej odległości nie mogłem wysłać wiadomości wprost do Billa. Potrzebowałem do tego stacji kosmicznej, a do jej budowy – surowców. Ruda zawarta we wraku, nawet wliczając sam wrak, nie wystarczała.

Trzeba będzie stąd odlecieć.

58. Riker, kwiecień 2171, Układ Słoneczny

Nadszedł wielki dzień. Statki-kolonie były przetestowane od A do Z, skontrolowane przez delegację ZSE i obleciane na trasie do Jowisza i z powrotem. Teraz parkowały na niskiej orbicie okołoziemskiej i czekały na pasażerów.

Homer wykonywał wokół mojego kapitańskiego fotela jakiś dziki taniec wojenny, boleśnie przypominając mi o moim braku poczucia rytmu. Dzięki ulepszeniom VR od Billa Bobowie mogli wchodzić w fizyczną interakcję, zamiast tylko gadać ze sobą przez okienka wideo. Miało to swoje wady.

Skupiłem się z powrotem na wideo ze statusami, pokazującymi ludzi stojących w kolejkach do wahadłowców. Każdy z nich mógł pomieścić pięciuset pasażerów, upchniętych jak w godzinach szczytu.

Przypomniały mi się dni pierwszej pracy, kiedy dwa razy dziennie jeździłem przez port tramwajem wodnym. Twarde plastikowe ławki, ledwie szersze od ramion, ustawione tyłem do siebie, tak że przez całą drogę siedziało się oko w oko z kimś obcym. I dwa razy dziennie ten wkurzający nagrany wykład o tym, jak używać kamizelek ratunkowych. Fajnie było.

Wahadłowce mieściły więcej ludzi, a lot na statek trwał trochę dłużej niż piętnaście minut, ale to miała być dokładnie taka sama prozaiczna, nudna jazda. Na końcu pasażerowie będą zagonieni do kapsuł hibernacyjnych, dostaną środek nasenny i zostaną podpięci i zamknięci w skrzynkach wielkości trumien. Z nadzieją, że obudzą się za niecałe sześć lat czasu pokładowego nad swoim nowym domem. Taki w każdym razie był plan.

Dziesięć wahadłowców wykonało w sumie czterdzieści lotów, żeby zawieźć na statki kolonistów ZSE. Na każdym statku umieszczono pewien procent zawartości Svalbardzkiego Banku, na koniec w ładowni znalazły się też wahadłowce.

Nadeszła nieunikniona pora na uroczystość. Każdy musiał wygłosić przemówienie. Można się tego było spodziewać po figurach z ONZ, ale czemu nagle zechcieli także przywódcy grup z przeciwnej strony planety? Zanim dotarli do połowy, musiałem sobie wyłączyć emulację propriocepcji, żeby nie wypaść z fotela, bo przysypiałem. Wyciągnąłem z lamusa Piaskowego Boba i dałem go na wideo, żeby udawał, że słucha.

W końcu jednak skończyli. Howard, nasz najnowszy Bob, miał lecieć ze statkami w charakterze eskorty. A także, mówiąc między nami – mną i Howardem – żeby dopilnować u celu podróży, że są grzeczni. Miałem nadzieję, że to tylko nadmiar paranoi z mojej strony, lecz na wszelki wypadek dałem Howardowi do ładowni parę najnowszych wynalazków Billa.

Kolonie miały maksymalne stałe przyśpieszenie 1 g, więc podróż miała im zająć nieco dłużej niż Bobowi w wersji 1. Będą w drodze przez nieco ponad osiemnaście lat, z czego na pokładzie upłynie sześć, choć nie dla kolonistów leżących w kapsułach hibernacyjnych.

Statki były obsadzone przez dwa klony Rikera i pierdyliard szopów. Nie było sensu, żeby ludzie narażali swoje DNA na tak długą podróż. Macierze z replikantami umieściłem na statkach prawie na samym końcu, żeby nikt nie miał czasu wywinąć jakiegoś numeru. Zresztą nie widzieliśmy żadnych prób włamań, może ten ktoś po prostu zrezygnował.

Trzeci statek, przeznaczony dla Szpiców i enklawy WIARY, miał wylecieć za cztery miesiące. Mieli założyć pierwszą osadę na drugiej planecie – tej, której nie wybrały sobie ZSE. Jej zadaniem było wybudowanie infrastruktury niezbędnej, żeby przyszłe grupy mogły się bez problemu osiedlać. Ale za to byli pierwsi. Coś za coś.

Valter podszedł do tego filozoficznie.

– Nawet druga nagroda to wspaniały dar – powiedział w swojej przemowie.

W budowie były trzy kolejne statki. Wliczając je oraz powracające z Omikrona-2, mieliśmy szansę utrzymać stały strumień emigrantów z Ziemi, tak długo, jak długo ktoś będzie chciał się wyprowadzić. Tymczasem pozostawione zasoby i produkcja kudzu zapewnią na długi czas wyżywienie kurczącej się populacji Ziemi.

Miałem tylko nadzieję, że znajdziemy więcej światów nadających się do kolonizacji, zanim oni tam znowu zaczną do siebie strzelać.

* * *

Odrobinę się wzruszyłem, patrząc w holo, jak statki-kolonie mijają orbitę Marsa. Po dziesięciu latach z hakiem ciężkiej pracy i przepychanek z bandą, ehem... twardych przepychaczy, wreszcie wystartowaliśmy. Naprawdę poruszająca chwila. Nawet Homer nic nie gadał.

Wreszcie wstałem i przeciągnąłem się ze stęknieniem.

– No dobra, to do roboty.

Homer wyszczerzył zęby i wyciągnął listę.

– Zadania na dziś...

59. Bill, maj 2172, Epsilon Eridani

Uniosłem pneumatyczny klakson nad głowę i nacisnąłem guzik. Pokój wypełniło głośnie „blaaaaaat”. Ustały rozmowy i wszystkie głowy skierowały się ku mnie.

– Cześć wszystkim, witam na pierwszym Konwektyklu Bobów. Zbudowałem tu w Skunk Works macierz, która z zapasem wystarczy, żeby odtworzyć w VR całe bobiwersum.

– Bobiwersum? Naprawdę? – Garfield łypnął na mnie złośliwie. Parsknąłem śmiechem.

– Właśnie mi przyszło do głowy. Ale to chyba dobrze brzmi.

– Bobiwersum. BobNet. Zaraz się okaże, że galaktyka jest za mała na nasze ego. – Garfield starał się, jak mógł, żeby odegrać dezaprobatę, ale trudno jest oszukać samego siebie.

Rozejrzałem się po publiczności. Na razie tłumu nie było. Byli Riker, Homer i inne klony z Układu Słonecznego, Bart i jego klony z Alfj Centauri oraz Bobowie w drodze do Omikrona-2 Eridani z kolonistami. Z tą ostatnią grupą za jakiś miesiąc zerwie się kontakt, kiedy ich τ stanie się zbyt wysokie, żeby móc się połączyć w VR. Miejmy jednak nadzieję, że do tego czasu kilku innych Bobów odbierze plany UNOP-a i się dołączy.

Homer zwinął dłonie w trąbkę i głośno zabuczał.

Rozejrzałem się po grupie.

– No dobra, panowie, liczę, że będziemy to robić regularnie. Łatwiej będzie wymienić się wszystkimi nowymi informacjami.

– A poza tym będziesz miał pretekst, żeby katować nas piłką do baseballa! – wrzasnął Bart.

– Odmawiam zeznań. – Uśmiechnąłem się do wszystkich. – A na razie... jest piwo. I kawa. I pub, w którym możemy usiąść. To jak, możemy?

Wszyscy wskoczyliśmy do wirtualki z pubem i rozsiedliśmy się na krzesłach. Pora to uczcić.

60. Khan, kwiecień 2185, 82 Eridani

Nie walcz z wrogiem silniejszym od ciebie. A jeśli nie masz wyjścia i musisz z nim walczyć, dopilnuj, by walka była na twoich warunkach, nie na warunkach wroga.

Sun Zi, *Sztuka wojenna*

Zwolniliśmy do podrelatywistycznych prędkości na długo przed dotarciem do 82 Eridani. Chcieliśmy mieć dużo czasu na rozpoznanie sytuacji, bez ogłaszania Medeirosom naszej obecności.

Bill dotrzymał obietnicy, że pomści Milo. Osiem Bobów w wersji 3, w tym ja, czekało na rubieżach układu na okazję, by wspólnie nawrzucać Medeirosom. Jednakże Medeirosy miały trzydzieści pięć lat, żeby się tu zainstalować. Żaden z nas nie myślał, że po prostu nadlecimy i nakopimy im, jak na Epsilonie Eridani albo Alfie Centauri.

A ponieważ zawsze byliśmy ostrożną osobą, głównym priorytetem było rozpoznanie. Każdy z nas miał dwie sondy zwiadowcze o grubo ekranowanych reaktorach, z SUDDAR-em o zasięgu trzech godzin świetlnych i łącznością przez UNOP. I z minami. Nie chcieliśmy, żeby Medeirosy dostały te technologie w swoje łapy.

A w odwodzie mieliśmy nową broń, dzięki Skunk Works Billa.

Celowo nadlecieliśmy od gwiazdnej północy, pod kątem prostym do płaszczyzny ekliptyki. Choć nie spodziewaliśmy się, że Medeiros myśli w dwóch wymiarach – w końcu był przede wszystkim wojskowym – przewidywaliśmy, że jego sprzęt będzie rozmieszczony głównie w ekliptyce. Nasze sondy powinny przelecieć przez tę płaszczyznę, zanim zdąży zareagować.

Wypuściliśmy zwiadowców szeroką falą, żeby jak najdokładniej przeskanować cały układ. Była spora szansa, że przelecą niezauważone – nie nadawały nic, a reaktory miały mocno ekranowane. Nie można było liczyć na to, że i nas wszystkich nie wykryje. Mieliśmy tylko nadzieję, że jeśli namierzy jedną czy dwie sondy, może uzna, że ma do czynienia tylko z jednym Bobem.

Wysłałem reszcie oddziału zaproszenie na spotkanie. W parę milisekund w mojej VR pojawiło się siedmiu Bobów.

Rozejrzałem się wokół stołu.

– Narada strategiczna, panowie.

Hannibal wziął od Jeevesa kawę i wyświetlił schemat układu.

– Będziemy uważać na wszystko, co się chowa za księżycami czy planetami. Nie nabierzemy się drugi raz na ten sam numer. Dzięki wstępnemu raportowi od Milo wiemy całkiem dobrze, gdzie co jest. Po drugie...

Nagle Hannibal zniknął z VR. Popatrzyliśmy wstrząśnięci po sobie, potem jak jeden mąż porzuciliśmy VR i weszliśmy na najwyższe obroty.

– Kto jest fizycznie najbliżej Hannibala? – zapytałem odruchowo, choć już sprawdzałem schemat naszego rozstawienia. Hannibal był na końcu linii Bobów, obok siebie miał Toma. – Tom, masz coś z SUDDAR-u?

Odpowiedź nadeszła po milisekundzie.

– Mam bardzo rozmyty obraz z SUDDAR-u, ale Hannibala nie ma. Zaraz...

Poczekaliśmy ciągnące się w nieskończoność cztery milisekundy, aż odezwie się ponownie.

– Rozmyte echo rozszerza się i rozrzedza. To chyba jakaś eksplozja. Lepiej wszyscy przeskanujcie się dookoła i uważajcie na czynnik zaskoczenia.

Uznałem, że to dobry pomysł, i podkreśliłem SUDDAR na pełną moc, robiąc dookólny, sferyczny skan o zasięgu trzech godzin świetlnych. Wynik był negatywny, nie licząc czegoś bardzo niewyraźnego, jak cienia widzianego kątem oka, w kierunku układu.

Bingo.

– Ludzie, leci do nas coś, z bardzo dużą prędkością. I się maskuje, ekranuje, czy coś w tym rodzaju, na tyle, że widzę to tylko, jak skanuję to punktowo.

Pomruki paru innych potwierdziły odebranie informacji.

– Ja też coś takiego mam – zameldował Barney.

– Ja też – powiedział Tom.

Porównanie zeznań zajęło parę milisekund i dotarło do nas, że lecą do nas trzy niezidentyfikowane obiekty – i wciąż przyśpieszają. Wypuściliśmy ku nim trzy nasze normalne sondy – może coś zobaczą.

– Robią uniki – powiedział Fred. – Chyba się spodziewają, że sondy będą próbować taranować.

– Nie jest to zły pomysł, gdyby się miało udać – odpowiedziałem – ale najpierw chcemy jakąś telemetrię.

Sondy i nadlatujące obiekty minęły się po piętnastu minutach, dzięki sumie ich prędkości. Wróg cały czas zygzakował tam i z powrotem. Sondom udało się złapać tylko jeden czy dwa niewyraźne obrazy, zrobili za to pełne skany SUDDAR-em.

Gdy rezultaty trafiły na nasze biurka, dzięki natychmiastowej łączności NOP-em wszyscy zatchnęli się jednocześnie.

– Ja pierdzielę, to są bomby atomowe. Zbudował sobie broń

rozszczepialną.

– Z ekranowanym reaktorem i bardzo, bardzo dużym silnikiem SURGE – dodał Fred.

– To się klei z tamtymi odczytami. Chyba Hannibal jest już tylko radioaktywną chmurą – powiedział Tom. – Mamy przerąbane.

– Chuja tam przerąbane – odpaliłem. – Ile mamy czasu, zanim zbliżą się na tyle, żeby nas zniszczyć? Tom, masz jakieś pojęcie o megatonach?

Nastąpiła chwila ciszy, zanim Tom wrzucił nam do VR odczyty z czujników. Ponieważ chodziliśmy na pełnych częstotliwościach i VR się nie wyrabiała, nie był to nawet papier – po prostu gołe okienko z danymi.

– Tu jest analiza mini-maks. Mamy cztery minuty – całą wieczność. Przez ich prędkość i rozrzut nie mamy szans na unik. Nie mamy czasu na wyjście poza promień rażenia.

– No – odezwał się Kyle – Medeiros całkiem nieźle to sobie zaplanował. Pewnie myśli, że nas przechytrzył. Niech myśli.

Uśmiechnąłem się, słysząc ten beznamiętny ton.

– Ahaa... dobra, no to ich rozwalamy. Dwóch Bobów na bombę, a ja poprawię, jeśli będzie trzeba. Wszyscy potwierdzić, jak tylko będą mieli naładowane.

Mieliśmy wytoczyć naszą tajną broń. Bill wziął technologię miecza świetlnego, czyli w praktyce rozgrzaną do wysokiej temperatury zjonizowaną plazmę w magnetycznej butelce, i zbudował na jej podstawie coś nowego. Znalazł sposób, żeby tę plazmę wyrzucać, razem z otaczającym polem magnetycznym, jak torpedę. Powstawała rozgrzana do miliona stopni i niosąca ogromny ładunek elektryczny igła, która rozpryskiwała się, gdy na coś trafiła, i generalnie przetapiała się przez to na wylot, jednocześnie dając punktowo bardzo silny impuls elektromagnetyczny. Broń była dość dokładnie przetestowana na Epsilonie Eridani, ale to miało być jej pierwsze użycie w praktyce.

Kiedy wszyscy zameldowali naładowanie, dałem rozkaz:

– Ognia!

Sześć plazmowych igieł wystrzeliło z prędkością zbliżoną do prędkości światła. Jedną z największych zalet tej broni była niewidzialność dla SUDDAR-u, bo samej masy tu było bardzo niewiele. A każda inna forma wykrywania była ograniczona prędkością światła. Plazmowe igły nie potrafiły się naprowadzać na cel robiący unik, ale cel nie wiedział, że nadlatują, póki nie został trafiony.

Igły pokonały tę odległość w bardzo krótkim czasie i wszystkie trzy cienie zniknęły. Pełne skany SUDDAR-em, najbardziej skupioną i najsilniejszą wiązką, nie wykryły niczego poza echem odłamków.

Ned wypowiedział się za wszystkich:

– No, to było nerwowe.

Fred dodał:

– Ledwo byliśmy to w stanie wykryć, tylko dzięki temu, że Bill ulepszył SUDDAR-y. Co to ma być, Medeiros wynalazł jakieś zagłuszanie SUDDAR-u?

– Wątpię – odpowiedziałem. – Zawsze wyglądał tylko na zawodowego wojskowego. Jak dla mnie, bardziej prawdopodobne, że Cesarstwo Brazylii opracowało tę technologię jeszcze na Ziemi. Pewnie zanim go wysłali, wgrali mu wszystkie swoje tajne projekty. To by wyjaśniało też bomby atomowe.

– Czyli to może nie być ostatnia niespodzianka?

Na to pytanie odpowiedziała wiązka przekleństw i pomruków.

Na moment zapadła cisza, po czym znów odezwał się Ned:

– Chyba musimy zrobić kolejną naradę strategiczną.

* * *

– Maskowanie? – Twarz Billa była jak studium zdumienia i zaniepokojenia.

– Tak. To jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi nam do głowy.

Odtworzyłem mu w okienku całą sekwencję, w tym dymki ze wskazaniami czujników.

– No cóż. Trochę kupa. Zobacz, czy da się jakąś próbkę zebrać, czy coś. A ja popracuję na tym od swojej strony. Ale niestety czynnik zaskoczenia już przepadł. – Bill zasalutował mi nieformalnie i zniknął.

Super. Nas ośmiu – nie, już siedmiu – przeciwko nieznannej liczbie Medeirosów o nieznanym wyposażeniu. Szanse mi się naprawdę nie podobały.

– Narada! – obwieściłem.

Sześciu innych Bobów wskoczyło do mojej VR.

– Bill nie miał za wiele pomysłów. Ale zauważył, całkiem słusznie, że jeśli teraz odlecimy, z zamiarem powrotu, to Medeiros będzie jeszcze lepiej przygotowany. Sugeruje, żebyśmy zaktualizowali sobie kopie zapasowe i ruszyli na niego.

– Łatwo mu mówić. – To był Elmer, od początku nieszczerze zapalony do tego przedsięwzięcia. Zdaje się, że kwantowe zjawiska sprawiły, że miał trochę miększy charakter od reszty.

Kojarzył mi się z postacią Billa w filmie *Obcy – decydujące starcie*.

Połyptałem na niego przez chwilę, po czym ciągnąłem:

– Mamy igły plazmowe, mamy niszczyciele, z tą nową kontrolowaną detonacją termojądrową. To nie za wiele. Najlepsze wyjście to chyba trochę mu narozrabiać, zanim nas zniszczy. Dopilnujcie, żeby mieć włączoną autodestrukcję, zróbcie przyrostowe kopie i pożegnajcie się

z własnym tyłkiem. Wchodzimy.

Bobowie zniknęli z mojej VR, siedem statków skręciło ku środkowi układu i zaczęliśmy przyspieszać z 10 g.

* * *

Początek nurkowania do wewnętrznego układu był stosunkowo łatwy. Medeiros wciąż zakładał, że mamy taki sam SUDDAR i jest w stanie zobaczyć wszystko, czym do niego strzelimy. Ale kiedy zniszczyliśmy mu z szóstką latających bomb, chyba zaczęło już do niego docierać.

Szerokie skany SUDDAR-em pokazały, że wszystko, co ma napęd SURGE, rozprasza się we wszystkie strony. Jednocześnie w obszarze zapaliło się ponad sto ech radiacyjnych. Zaczęły się poruszać. Pewnie wabiki. I całkiem skuteczne. Nie mieliśmy jak poznać, które są prawdziwymi celami.

– Narada!

Gdy tylko inni Bobowie się pojawili, zacząłem.

– Jasne, niektóre emisje termojądrowe to wabiki. Pewnie większość. Ale część to będą Medeirosy, a część to bomby. I do tego będą jeszcze zamaskowane bomby. Jakież propozycje?

Pierwszy odezwał się Elmer. Zdziwiło mnie to.

– Bomby, żeby nam coś zrobić, muszą się zbliżyć na małą odległość. Jeśli będziemy poruszać się w szyku i oddelegujemy paru Bobów do wypatrywania zamaskowanych obiektów, powinno się udać, nie dopuścimy ich tak blisko.

– A jeśli – wtrącił się Fred – będziemy niszczyć też wszystkie wabiki, które wejdą w ten zasięg, nie powinno nam się nic stać.

– Tak na pewno lepiej niż się rozdzielić – postanowiłem. – Ale igły plazmowe będą skuteczne tylko dopóki Medeiros się nie zorientuje i nie zacznie zygzakować. Po drugie, ich ładowanie plazmą długo trwa. To nie są rewolwery z Hollywood.

– No to trzeba narobić jak najwięcej szkód, zanim się zorientuje – stwierdził stanowczo Tom. – Walimy. Może nasz brak planu pomiesza mu na chwilę szyki.

To było na tyle głupie, że aż genialne. Popatrzyliśmy po sobie bez słowa, kiwnęliśmy głowami i zabraliśmy się do pracy.

* * *

Zrobiła się z tego gra w kotka i myszkę. Medeiros wiedział, że mamy coś, co potrafi niszczyć znienacka jego jednostki. Pewnie myślał, że to

niewidoczna rakietą. Zareagował, rozpraszając swoje jednostki i odwracając naszą uwagę wabikami. Zniszczyliśmy ich bardzo dużo, ale nie wiedzieliśmy, czy w ogóle niszczyliśmy cokolwiek sensownego.

Wreszcie nadszedł moment, którego się obawialiśmy. Jednostka Medeirosa wyminęła kilka igieł plazmowych i weszła w zasięg detonacji. Prawie. Ale impuls EMP i promieniowanie na chwilę zawiesiły nam wewnętrzne systemy. Na szczęście *Nieba* w wersji 3 miały wszystko nadmiarowe. Pięciu z nas było w stanie kontynuować. Reszta chyba straciła zbyt dużo funkcjonalności. Zdziałała autodestrukcyjna eksplozja przeciążone reaktory. Miałem nadzieję, że kopie zapasowe Freda i Jacksona były świeże i kompletne.

Medeiros chyba wykumał, że nasza broń nie naprowadza się na cel. Po czasie, jaki zajęło mu rozsyłanie rozkazów z prędkością światła, wszystkie kontrolowane przez niego jednostki w układzie poleciały na nas, zygzakując jak szalone.

– Plan B, panowie. Rozdzielić się i zadać jak najwięcej szkód.

Rozproszyliśmy się w losowych kierunkach, również zygzakując.

Uciekając, przeanalizowałem zapisaną telemetrię z momentu zmiany taktyki Medeirosa. Jego jednostki dostawały rozkazy przez radio. Te najbliższe pierwsze zmieniły taktykę, potem dalsze, w miarę jak rozchodził się sygnał. Pośrodku oczywiście znajdował się Medeiros.

Ustalenie, gdzie musi być, zajęło około czterdziestu milisekund, z dokładnością do paru tysięcy kilometrów. Zbyt duży obszar, żeby losowo strzelać plazmowymi igłami, ale w sam raz dla inteligentnych niszczycieli, które mają cel. Przesłałem współrzędne innym Bobom i jednocześnie wypuściliśmy wszystkie niszczyciele. Jednocześnie zaczęliśmy zagłuszać SUDDAR-em z maksymalną mocą. Wszyscy w systemie byli teraz ślepi, nie licząc konwencjonalnej optyki i radaru. Trik polegał na tym, by to utrzymać, dopóki...

Sygnały Hectora i Toma zanikły bez ostrzeżenia. Poczulem ukłucie smutku. Prawie na pewno trafiły ich atomówki. Czyli zostawała nas trójka plus ewentualne pozostałe niszczyciele. Dalej strzelałem igłami do śladów radiacyjnych, najlepiej, jak potrafiłem. Piloci MSI z reguły byli dość przewidywalni. Wielu z nich wchodziło w takie same uniki, które po paru iteracjach dawało się odgadnąć.

Nagle odpadł Barney. Zostaliśmy tylko Elmer i ja. Musiałem mu oddać honor – pod ogniem już nie narzekał, że to niebezpieczne. W myślach awansowałem go na Michaela Biehna.

Po moich dwóch stronach jednocześnie eksplodowały dwie atomówki. Albo były trochę niecierpliwie, albo zobaczyły, że mają coraz gorszą pozycję, bo odległość była trochę za duża, żeby mnie anihilować. Ale nie za duża, żeby mnie uszkodzić. Przez parę minut byłem ugotowany, podczas gdy Gupik poganiał szopy, żeby podmieniały układy

albo robiły obejścia.

– Khan, cały jesteś? – Elmer sprawdzał, co ze mną.

– Trochę uszkodzony. Szopy naprawiają. Nie próbuj mnie osłaniać. Nie chcemy być jednym celem.

– Nie mam problemu stary. Sam się trochę pobawię...

[Napęd SURGE aktywny]

To właśnie chciałem usłyszeć.

Wcisnąłem pedał gazu do poziomu ostrzegawczego i wystrzeliłem z prawie 15 g. Nie do utrzymania na dłuższą metę, ale uratowało mi to tylek, bo kolejna atomówka wypaliła mi za rufą. Promień rażenia był prawie na styk.

Wreszcie, gdy już prawie zdecydowałem, że mam dosyć emocji na najbliższe sto lat, niszczyciele skupiły się w punkcie przestrzeni, gdzie podejrzewaliśmy Medeirosa. Zdalna telemetria pokazywała czterdzieści cztery niszczyciele celujące w trzy brazylijskie sondy. Medeirosy chyba wreszcie dostały optyczne ostrzeżenie, bo skręciły i się rozproszyły. Tyle że było o wiele za późno. Co najmniej połowa niszczycieli nawiązała jakiś kontakt, zanim nie zostało nic wystarczająco dużego, żeby łapać się jako cel.

Pozostał tylko jeden drobny problem. Zniszczenie Medeirosów nie wyłączyło ich jednostek. Wciąż ścigały nas dziesiątki śladów radiacyjnych, z których przynajmniej część stanowiła prawdziwe zagrożenie.

– Elmer, jakieś pomysły?

– A jak twój sprzęt?

– Gacie mam do wymiany, ale jestem na chodzie.

– Ja nie za bardzo. SURGE mi przerywa, a nie mam czasu ani części, żeby go naprawić.

Milczał przez chwilę. Ogarnęła mnie fala współczucia i smutku. Miał przerąbane i obaj dobrze o tym wiedzieliśmy.

– Puściłem Billowi przyrostową kopię, więc, że zacytuję piosenkę Celine Dion...

– Oj, Elmer, daj spokój.

Parsknął śmiechem.

– Jak chcesz. Czyli wyłączasz suddarowe zagłuszanie i zmykasz po cichu. Ja będę do ostatniej chwili wszystkich oślepią. Pozdrów Billa ode mnie.

– Tak zrobię, stary. Sayonara.

– Hasta la vista, baby.

Zrobiłem, jak prosił. Kiedy mój nadajnik SUDDAR-u zamilkł, wszystkie brazylijskie jednostki skupiły się na jedynym jasnym suddarowym źródle w okolicy. Gdy stamtąd uciekałem, słana przez Elmera telemetria pokazywała, że zlatuje się do niego prawie

pięćdziesiąt obiektów. Potem zniknął.

* * *

Szybowałem bez napędu prawie przez dwa tygodnie, żeby wystarczająco oddalić się od 82 Eridani. Dopiero potem włączyłem wszystkie systemy. Wysłałem Billowi pełen raport i poświęciłem czas na dokładniejsze naprawy. Ostatnim, czego potrzebowałem, była awaria sprzętowa pomiędzy gwiazdami.

Z ośmiu Bobów, którzy polecili na 82 Eridani, zostałem tylko ja. Ale zdaje się, że zniszczyliśmy Medeirosów, więc z tego punktu widzenia to był sukces. Nie mogłem jednak przekonać siebie, że łomot był tylko jednokierunkowy.

Wskoczyłem Billowi do VR.

– Cześć, Bill.

– Cześć, Khan. – Błysnął uśmiechem. – Dalej nie potrafię tego powiedzieć, żeby nie krzyknąć⁴.

Pośmialiśmy się jak zawsze. Coraz mniej było dobrych imion – cieszyłem się, że udało się jeszcze znaleźć coś, co ma jakieś nerdowskie podteksty.

– Doszły wszystkie kopie zapasowe?

Ze smutkiem pokręcił głową.

– Trzy nie przeszły w całości. Pasma UNOP-a po prostu nie jest na tyle pewne. Masa zgubionych pakietów, powtórzeń... Dodałem ich do listy *In Memoriam*.

– Elmer?

Bill uśmiechnął się, nieznacznie i smutno.

– Jemu się udało. Zdaje się, że wszystkich nas zaskoczył, prawda?

Kiwnąłem głową i pozwoliłem ciszy trwać jeszcze parę milisekund.

– Ale wiesz... trzeba tam będzie wrócić.

Również kiwnął głową.

– Nie mamy pewności, czy to były wszystkie Medeirosy, nawet jeśli zniszczyliśmy wszystkie aktywne. A te obiekty obsadzone przez MSI dalej będą się wałęsać i patrzeć, co by tu wysadzić. – Machnął ręką. – Zresztą, nie owijając w bawełnę, ja muszę się dowiedzieć, jak on robi to maskowanie. To jest dla nas prawdziwe zagrożenie.

Przez chwilę pocierałem w namyśle podbródek dłonią, potem spojrzałem na nią z rozbawieniem. Zdążyliśmy się już tak przyzwycząić do VR, że przez większość czasu czuliśmy się w pełni ludźmi. Dopiero absurdalność jakiegoś gestu na moment przywracała nas do rzeczywistości.

– Bill, ja bym chciał być w tej następnej fali. Jestem to winny tym,

którzy zginęli. Powrót zajmie mi trzynaście lat, więc załaduj moją kopię zapasową na jeden z nowych statków. Wyślę ci pełną kopię. Daj znać, czy przeszła, dobra?

Bill kiwnął głową.

Zasalutowałem mu i zniknąłem z jego VR.

Idę po ciebie, Medeiros.

4 Chodzi o Khana ze *Star Treka* – w filmie *Star Trek II: Gniew Khana* admirał Kirk wykrzykuje w złości jego imię. W scenariuszu podobno były cztery wykrzykniki (przyp. tłum.).

61. Howard, wrzesień 2188, Omikron-2 Eridani

Dolecieliśmy.

Trudno mi opisać uczucie radości i ulgi, gdy minęliśmy pas Kuipera i oficjalnie weszliśmy do układu Omikrona-2 Eridani. Nie przechwyciły nas żadne wolkańskie krążowniki, więc dorobiłem sobie parę w VR. A co, nie stać mnie?

Przeskanowałem szybko układ, żeby potwierdzić wyniki Milo i sprawdzić, jak stoimy z orientacją względem ekliptyki. Dwa statki-kolonie, Bert i Ernie – tak, sami się tak nazwali, tak, z własnej nieprzymuszonej woli – weszły do układu, hamując znacznie łagodniej, z 1 g. Do Wolkana i Romulusa dotrą tydzień czy dwa po mnie.

Wiele razy myślałem, jak to jest być statkiem-kolonią. Typy będą w praktyce przez parę stuleci kursować jak autobusy. Na Ziemię, na Wolkana. Na Ziemię i z powrotem. W kółko. Z drugiej strony to była bezcenna służba na rzecz ludzkości. Każdy Bob powinien to doceniać.

Po drugie, odkąd dotarliśmy na miejsce, ludzkość już oficjalnie nie stawiała wszystkiego na jedną kartę. Może można będzie sobie trochę spokojniej odetchnąć. Ale tylko trochę.

Zawisłem w punkcie L4 pomiędzy Wolkaniem i Romulusem i postawiłem znak nawigacyjny. Stąd będziemy robić początkowy rekonesans, tu damy pułkownikowi Butterworthowi i jego ludziom czas na podjęcie decyzji. A skoro miałem około dziesięciu dni wolnego, wysłałem na obie planety trochę dronów eksploracyjnych, żeby uzupełniły informację ze skanów Milo. I zrelaksowałem się z filiżanką kawy.

Milo zostawił w układzie dwie MSI i trochę dronów autofabrykacyjnych, żeby kontynuowały wydobywanie. Drony odlewały z oczyszczonych metali sztabki, spinały je w wiązki i opatrywały radiowymi bikonami. Przez kilkadziesiąt lat świętego spokoju automatycznie zebrało się paręset tysięcy ton gotowego do użycia surowca, a wszystko na orbicie wewnątrz pasa asteroid. Dziesięć lat temu Riker nastawił MSI na budowanie rolniczej stacji-obwarzanka, żeby zapewniała rezerwowe źródło pożywienia. Trzeba ją tylko obsiać nasionami z zapasów, które ze sobą przywieźliśmy. Miałem nadzieję, że nie okaże się potrzebna. Oczywiście moja nadzieja nie była nawet w połowie tak silna, jak nadzieja kolonistów. Najwyraźniej kudzu to nie

był pokarm bogów, choć przy opisywaniu go często pojawiały się odwołania do różnych bóstw.

Odbyłem szybkie rozmowy z Billem i Rikerem, żeby wiedzieli, że nam się udało. Na pełne meldunki przyjdzie czas. Riker rzucił mi listę statków-kolonii, które już wystartowały i były w drodze. Ale zero ciśnienia, prawda?

* * *

Exodus 1 i *2* bez problemów weszły na orbitę. Krótka wymiana wiadomości UNOP-em, po czym Bert i Ernie wyłączyli napędy i zajęli się utrzymaniem pozycji.

– Witam was u Spocka, chłopaki. – Wskoczyłem do wspólnej VR i wyszczerzyłem się do nich.

Odpowiedzieli oczywiście tym samym. W końcu jesteśmy przecież *Bobami*. Obaj wybrali sobie mundury z *Battlestar Galactica*, a jako tło do VR sterownię tego statku. Trochę mnie to zdziwiło, nie miałem tego na liście ulubionych seriali. Chociaż Cyloni faktycznie byli niekiepscy.

– Naprawdę się zastanawiałem, czy nie zrobić paru wolkańskich krążowników, żeby nas tu eskortowały – powiedział Ernie.

Poczułem, że twarz mi czerwienieje, a Bert zaczął się śmiać tak bardzo, że omal nie spadł z fotela.

Przez minutę cieszyliśmy się tym żartem – dobry śmiech to jedna z najlepszych rzeczy, które można mieć jako samoświadoma istota i nigdy nie powinno się przepuszczać żadnej okazji do niego. Otarliśmy łzy z oczu, rozwinąłem holo układu, z powiększonymi Wolkanem i Romulusem w rogu.

– Trzeba nacisnąć na Butterwortha, żeby jak najszybciej podjął decyzję. Chciałbym wyładować kolonistów, kiedy tylko się da, żebyście obaj mogli wracać na Ziemię. – Wskazałem ręką holo. – On już ma wyniki pomiarów Milo, ja jeszcze uzupełniłem te dane. Tym razem to nie będą negocjacje. Wybiera A albo B i działamy.

Ernie kiwnął głową.

– Gupik mnie informuje, że Butterworth wybudził się z hibernacji i za godzinę będzie gotowy do rozmowy. Przygotuję mu pakiet informacji, niech się na spokojnie ze wszystkim zapozna. A spotkanie za ile? Za trzy godziny?

Kiwnęliśmy z Bertem głowami i przeszliśmy do następnej sprawy.

* * *

– Wielkich wątpliwości nigdy nie było – powiedział z uśmiechem pułkownik Butterworth. Widziałem na wideo, że siedzi w mesie *Exodusa 1*. – Wulkan od zawsze był bardziej sensowny, mogłyby to zmienić tylko nowe informacje. Trzeba czasu, żeby rozwinąć własną produkcję żywności, a solidny istniejący ekosystem może wypełnić tę lukę. – Kiwnął głową do kamery. – Dziękuję, że potwierdziliście biogodność miejscowego ekosystemu. To eliminuje wiele niepewności.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi. Teraz, gdy jego grupa cywili miała przed sobą jakąś przyszłość, pułkownik był o wiele mniej spięty. Kontynuował trochę roztargniony:

– Mam nadzieję, że kiedy przylecą Szpice, będziemy mogli im pomóc, póki nie ogarną się z własną produkcją. – Podniósł brew i łypnął na mnie. – Bo *Farma 1* jeszcze nic nie produkuje, prawda?

– Jeszcze nie. Ale większość kolonistów zostanie w hibernacji, póki nie będziemy gotowi, więc na pierwszy miesiąc wystarczą zapasy ze statku.

Pułkownik stęknął.

– Trochę za bardzo na styk, jak dla mnie.

Po czym wpatrzył się z zachwytem w wirtualną tablicę, którą pokazał Bert. Wyświetlała w czasie rzeczywistym status wszystkich trwających, przyszłych i zakończonych operacji przy budowie kolonii. Okienka wideo przeskakiwały rotacyjnie pomiędzy setką widoków.

Załogi osadnicze już się wybudziły i zaczęły zwozić na Wolkana drukarki. Na powierzchni szopy montowały wydrukowane modułowe jednostki mieszkalne. Sterowane przez MSI koparki i spychacze wyprzedzały je, przygotowując grunt pod nowe domy.

Za dwa dni zaczniemy budzić pierwszą falę cywilów i zwozić ich na dół do nowych domów. I we wszechświecie pojawią się najprawdziwsi Wolkanie.

Gene Roddenberry byłby dumny.